Migotania

Gazeta literacka

Nr 3 (76) 2022 kwartalnik

JUBILEUSZ!
2002 - 2022
PISMO UKAZUJE SIĘ JUŻ XX LAT

POLECAMY:
Urszula Małgorzata Benka, wiersze, wiersze
Marek Wawrzkiewicz, Rosja. Co mam z tym zrobić? esej
Maria Jentys - Borelowska, Wasyl Stus, z cyklu „"Życie i książki", esej
Christian Manteuffel, wiersze
Czesław Karkowski, Parę uwag o dyskusji filozoficznej, esej
Leszek Szaruga, Mruganie
Anna Frajlich, Pień topoli
Roman Warszewski, Dzień, gdy wypłynęła ryba, proza

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

„Największym wrogiem państwa jest życie duchowe jego obywateli".
(Andrzej Strumiłło, w tekście D. Pawlickiego)

Teresa Ferenc

Pamięć

Źródłem się podziemnym
dobijasz
wołasz
Nigdzie ujścia

Szczelnie cię zamknęłam

Objęłam tak mocno

że chcąc twój bieg zamknąć
siebie zatrzasnęłam

Szukam po omacku
noc mi się pogłębia

Coraz bardziej jesteś
im bardziej cię nie ma

(Wspomnienie o Teresie Ferenc wewnątrz numeru,)

W numerze prezentujemy prace fotograficzne Janusza Stobińskiego
Plakat artystyczny: Janusz Stobiński
Plakat poetycki: Urszula Małgorzata Benka

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2022

FELIETON

Salman i szatan. Oko za słowa

Roman Warszewski

Salman Rushdie jest bez wątpienia jednym z najwybitniejszych narratorów współczesności. Pisze nie tylko przysłowiowym piórem, ale także całym swym życiem - co najmniej jego połową, odkąd musiał zacząć baczyć na każdy swój krok.

Właśnie dopisał kolejny *chapter* (tworzy po angielsku).

Kilka dni temu 24–letni fanatyk (specjalnie nie wymieniam nazwiska) zaatakował go nożem przed jego wykładem w USA. Pisarz ledwie uszedł z życiem, ale prawdopodobnie straci oko. Fanatyk, mimo że został aresztowany, uważa się za szczęśliwego bohatera – za wykonawcę wyroku, który w przełomowym roku 1989, 14. lutego, a więc w Walentynki, na Salmana Rushdiego wydał inny fanatyk - ajatollah Chomejni.

Sprawa swój początek ma trzydzieści trzy lata temu,

gdy zmieniał się świat i padał Mur Berliński. Nawet osoby z mojego pokolenia ledwie pamiętają, o co wtedy poszło; co dopiero młodsi. Gdzieś w tle, oczywiście, majaczą *Szatańskie Wersety*.

Sam Rushdie, pisząc o sobie w trzeciej osobie w książce „Joseph Anton", tak to później relacjonował:

„(…) złościł się [potem] na siebie, że zapomniał nazwiska reporterki BBC, która mu przekazała, że to koniec jego dotychczasowego życia i początek nowej, mroczniejszej egzystencji. Zadzwoniła na prywatny numer domowy, nie wyjaśniając, skąd go wzięła. „Co to za uczucie – spytała – dowiedzieć się, że został pan właśnie skazany na śmierć przez ajatollaha Chomejniego?" Był wtorek, słoneczny dzień w Londynie, lecz jej pytanie przysłoniło światło. „Nie jest przyjemne", nie wiedząc tak naprawdę, co mówi. A pomyślał sobie: Już nie żyję. Zastanawiał się, ile zostało mu dni i doszedł do wniosku, że odpowiedzią jest prawdopodobnie liczba jednocyfrowa. Odłożył słuchawkę i zbiegł po schodach z pracowni na piętrze wąskiego szeregowca w Islington, gdzie mieszkał. Okna w salonie miały drewniane okiennice i w niedorzecznym odruchu pozamykał je i zaryglował. Potem zamknął na klucz drzwi wejściowe."

Niedługo potem trafił do studia telewizyjnego CBS, bo był największym newsem dnia. (Jak łatwo te newsy i związane z nimi detale idą potem w zapomnienie.) „Ludzie w redakcji na różnych monitorach wypowiadali już słowo, które wkrótce zawiśnie mu na szyi jak kamień młyński. Używali [go] (…), jakby było synonimem wyroku śmierci."

Jakie to było słowo?

Fatwa.

Dekret Chomejniego (równie fanatycznego i anachronicznego jak nam współczesny ideolog z Żoliborza) brzmiał następująco: „Informuję dumnych wyznawców islamu na świecie [nasz ideaolog też uwielbia mówić o dumnych Polakach –RW], że autor książki „Szatańskie wersety", która znieważa islam, Proroka i Koran, a także wszyscy zamieszani w jej publikację, świadomi jej treści zostają skazani na śmierć. Wzywam wszystkich muzułmanów, żeby ich zgładzili, gdziekolwiek ich znajdą".

W swej książce (znakomitej zresztą, jednej z najlepszych), w której Rushdie sam o sobie pisze w trzeciej osobie, czytamy: „Ktoś podał mu wydruk tekstu, gdy prowadzono go do studia na wywiad. (…) Jego dawne „ja" chciało się sprzeciwić, tym razem słowu „skazani". Nie był to wyrok wydany przez sąd, który by uznawał lub któremu by podlegał, lecz dekret okrutnego starca na łożu śmierci. Ale wiedział też, że przyzwyczajenia jego dawnego „ja" nic już nie znaczą. Był teraz kimś nowym. Był człowiekiem w oku cyklonu, już nie *Salmanem*, którego znali przyjaciele, lecz *Rushdiem*, autorem szatański wersetów. (…) Książka ta stała się dosłownie szatańskim dziełem, a on był jej szatańskim autorem. „Szatanem Rushdym", rogatą istotą na transparentach demonstrantów na ulicach dalekich miast, wisielcem z wystającym czerwonym językiem na prymitywnych rysunkach, które nieśli. *Powiesić szatana Rushdy'ego*. Jak łatwo było wymazać przeszłość człowieka i skonstruować jego nową wersję (…)"

A potem: „Podszedł do niego jeden z korespondentów zagranicznych, który chciał go wesprzeć na duchu." Zanim ten coś powiedział, Salman „zapytał [go] (…), co powinien myśleć o słowach Chomejniego. Czy powinien je potraktować poważnie? To tylko retoryczny gest, czy autentyczna groźba?

– Och, niech się pan tak nie przejmuje – powiedział dziennikarz. – Chomejni skazuje prezydenta Stanów Zjednoczonych na śmierć w każdy piątek po południu."

Memento

Tak właśnie było. Tak wyglądało to, co dziś trudno już pamiętać w szczegółach. Ale zamachowiec dekret gniewnego starca doskonale sobie utrwalił – mimo że gdy edykt wydano, jego nie było go jeszcze na świecie. Szczury z Oranu nigdy nie wymierają. Zawsze wrócą. Camus. miał rację.

Roman Warszewski

Cytaty pochodzą z książki Salmana Rushdiego pt. „Joseph Anton", tłum. Jacek Kozłowski, Rebis, Poznań 2012.

Na marginesie: Joseph Anton to imię i nazwisko, które Rushdie przybrał, kiedy – chroniąc się przed fatwą – przez lata żył w ukryciu. Joseph od Józefa Korzeniowskiego, a Anton od Czechowa – jego dwóch ulubionych pisarzy.

Janusz Stobiński

Spis treści

Roman Warszewski, Salman i szatan. Oko za słowa, felieton.....str.2
Zbigniew Zbikowski, Aramejczycy wymyślili za mało, wiersz.....str.3
Marek Wawrzkiewicz, Rosja. Co mam z tym zrobić? esej.....str.4
Maria Jentys-Borelowska, Wasyl Stus, z cyklu „Życie i książki", esej.str.7
Christian Manteuffel, Hybrydą być! All is true, esej.....str.10
Christian Manteuffel, wiersze z cyklu Pożegnania.....str.13
Czesław Karkowski, Parę uwag o dyskusji filozoficznej, esej.....str.14
Czesław Sobkowiak, wiersze.....str.16
Dariusz Pawlicki, O nieistniejącym (jeszcze) społeczeństwie
mecenasów, esej.....str.17
Elżbieta Juszczak, wiersze.....str.20
Marian Kisiel, Mały cmentarz (8), Dziennik.....str.21
Dorota Czerwińska, wiersze.....str.25
Krystyna Śmiechowicz, Boris Michajłowicz Nosik,
pisarz nieznany, esej.....str.26
Anna Jachim, wiersze.....str.34
Marta Fox, Czy widział ktoś mężczyznę w klatce? polemika.....str.35
Ewa Niezgoda-Gierszewska, wiersze.....str.38

OMÓWIENIA:
Andrzej Wołosewicz, „Szkice" Czesława Karkowskiego.....str.41
Mirosława Michalska-Suchanek, Rosyjskojęzyczna
literatura w Izraelu str.43
Dariusz Tomasz Lebioda, Wnikanie w wieczność.....str.46
Andrzej Walter, Powieść współczesna,
czyli Niepokorny z Côte d'Azur.....str.49
Andrzej Wołosewicz, Wawrzkiewicz – świadek swojego czasu.....str.51

Urszula Małgorzata Benka, wiersze.....str.53
Anny Frajlich, Pień topoli. wspomnienie.....str.54
Katarzyna Boruń-Jagodzińska, wiersz.....str.59
Małgorzata Dorna-Wendrychowska, Odczytywanie wizji malarskich
Pawła Wyborskiego, sztuka str.60
Roman Warszewski, Dzień, gdy wypłynęła ryba, opowiadanie...str.64
Rosa Berbel, wiersze.....str.66
Leszek Szaruga, Mruganie, wiersz.....str.68
KSIĄŻKA KWARTAŁU
Aleksandra Naróg, Maria Jentys-Borelowska,
Portret w półcieniach.....str.69
RECENZJE.....str.70 - 80
Dariusz Tomasz Lebioda, Nieco popiołu.
Hanna Bilińska - Stecyszyn, O sobie za pomocą cudzych biografii
Joanna Sendłak, Podróż przez spaloną ziemię. Warszewski.
Mateusz Wabik, Szkicowanie światła po ciemku
Jerzy Lengauer, Kulturalna historia Ukrainy w cieniu imperializmu
Mateusz Wabik, Bez strachu przed Niemcami ani rusz
Mateusz Wabik, Eksploracja mrocznych ścieżek
Mateusz Wabik, Zwroty akcji, umieranie i odrobina humoru
Roman Warszewski, Applebaum. Dogonić czas. Tylko jak?
Robert Rudiak, Poetyckie zatrzymanie świata niezatrzymanego
wg Leszka Dembka.

Janusz Stobiński, bota biograficzna.....str.83
Leszek Szaruga, Wyprasowanie (40).....str.84
MIGOTANIA JESZCZE WIĘCEJ
Urszula M. Benka, O zabawie na chwilkę, esej.....str.85
Marian Lech Bednarek, Deska, Bazyliszek, prozy.....str.86
Ron Padgett, Jak osiągnąć doskonałość.....str.87
Emil Pisarz, Z jakiego mięsa jest nasza literatura. polemika.....str.89
Maciek Kaczmarski, Lala, proza.....str.90
Grzegorz Borowiec, wiersze.....str.93
Adam Buszek, Otwórz okno, podaj rękę str.94
Ewa Popiela, Wit Romanowski, Teresa Ferenc.
Dom o ścianach poezji.....str.95
Marek Wawrzkiewicz, Okruchy (5).....str.98

Zbigniew Zbikowski

aramejczycy wymyślili za mało

aramejczycy wymyślili za mało słów dlatego
po aramejsku kobieta oznacza zarazem materię
z której utkany jest kosmos
i ciepłą stronę człowieka

słowo studnia to również źródło wody czystej
i dusza niezmierzona w głębi
której świeci nieuległy brylant

a znowu pić to także chłonąć poznawać przez wgląd przyswajać
w niektórych przypadkach być jednym

kobieto daj mi pić z tej studni prosty
komunikat i cały poemat

w języku aramejskim nie są potrzebne metafory bo każde
słowo oznacza to co oznacza i coś innego i jeszcze
coś i nikt nie wie czy mówi prozą czy wierszem bo w każdym
szczególe jest ogół i w każdym ogóle szczegół a każdy
wiersz jest prozą i każda proza poezją

w jednym prostym zdaniu mieszczą się dzieje
stworzenia historia zbawienia i opis
zdarzenia przy studni

nie wiem czy tak jest
naprawdę ale byłoby
pięknie gdyby było

ESEJ

Marek Wawrzkiewicz

Co mam z tym zrobić?

21 lutego, moje urodziny. Zadzwonił z Kijowa Anatolij Krym, pisarz, dramaturg, przyjaciel. Rozmawiamy przynajmniej dwa razy w miesiącu.

Pół godziny później telefon z Moskwy. To Andriej Dubrowicki, syn moich zmarłych przyjaciół, Ludmiły i Igora. Andrieja i jego młodszego brata Kiryłła, znam od dzieciństwa, Dubrowiccy czterdzieści lat byli jak rodzina. Powiedziałem Andriuszy, że w mojej ostatniej książce wiele razy ich wszystkich wspominam i że w najbliższym czasie wyślę im tę książkę.

Ale stał się 24 lutego.

Nazajutrz wysłałem w imieniu ZLP do Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy list z wyrazami solidarności i uruchomiliśmy zbiórkę pieniędzy. A jednocześnie zastanawiałem się nad listem do związków pisarskich Rosji – żeby zaprotestowały przeciwko bezsensowi i bestialstwu tej wojny. Nie zrobiłem tego i była to decyzja słuszna – niedługo potem dowiedziałem się, że organizacje te poparły swojego prezydenta. Nie mogłem w to uwierzyć. Nie mogę tego zrozumieć. Pomyślałem też, że zadzwonię do moich rosyjskich przyjaciół. Zrezygnowałem i miałem rację. Świetny pisarz i mądry człowiek Michaił Kurajew, o którym w swoich książkach pisałem, i którego na tych łamach kilkakrotnie wspominałem, entuzjastycznie wsparł wojnę z „nazistami" ukraińskimi. Nie zadzwoniłem też do Katii, Diny i Borysa w Petersburgu, do Andrieja i Aloszy w Moskwie, do kilku innych – bałem się, że powiedzą mi o słuszności decyzji Putina.

Tania i Sasza od trzydziestu lat mieszkają w Polsce, znam dobrze jeszcze kilku Rosjan od lat tu żyjących. Nie spotykam się z nimi, nie dzwonię, bo nie wiem, czy są po stronie prawdy, czy niegodziwości i zbrodni. Mam w Warszawie bliskich znajomych – Ukraińców. Ponieważ ich język znam niewystarczająco dobrze, żeby precyzyjnie wyartykułować to, co myślę i czuję, rozmawiam z nimi po rosyjsku z dokuczliwym uczuciem niestosowności.

Zapewne zachowuję się defensywnie. Ale doprawdy nie wiem, co mam z tym zrobić.

Myślę także o moich znajomych Ukraińcach mieszkających od zawsze w Rosji. O Rosjanach mieszkających od zawsze w Ukrainie. O rosyjskich tłumaczach literatury ukraińskiej i ukraińskich tłumaczach rosyjskiej literatury. Nie wiem, co myślą, co robią. Nie wiem, jak teraz żyją. Wiem, że nie chciałbym być na ich miejscu.

* * *

Niekiedy robimy remanent własnych grzechów. Niektóre wspominamy z lubością, o innych wolelibyśmy zapomnieć, ale się nam nie udaje. Są jeszcze inne – kłopot w tym, że nie wiemy, czy w ogóle należą do grzechów pojmowanych w kategoriach religijnych czy etycznych. Oto przez całe lata, znaczną część naszego życia, robiliśmy coś w dobrej wierze i na miarę własnych możliwości. I nagle świat się zmienia w sposób, którego nie mogliśmy przewidzieć. Ten nowy czas weryfikuje nasze przeszłe działania. W tym samym, ale jednak innym świecie, to, co robiliśmy, okazują się błędem (?). Lustro czas ukazuje naszą karykaturę, teraźniejszość przekreśla wiele z tego, co uważaliśmy za dorobek.

Do rzeczy: rusofilia przekształca się w rusofobię.

Moja znajomość z Rosją trwa kilkadziesiąt lat. Większość tego czasu zajmuje Rosja radziecka. Ponieważ od dawna zajmowałem się przekładami klasycznej i współczesnej literatury rosyjskiej, jeździłem do tego kraju często, to w końcu wylądowałam na cztery lata w Moskwie, jako korespondent polskiej prasy literackiej i społeczno-kulturalnej (była, była taka). Pisałem o teatrze, o plastyce, muzyce, o tym, co dzieje się w literaturze. Ale co innego było ważniejsze: przetłumaczyłem z rosyjskiego kilka książek i setki wierszy, wiele opowiadań, moje przekłady poezji i prozy narodów Związku Radzieckiego są w kilkudziesięciu antologiach, sam też antologie układałem. W moich dwóch ostatnich książkach o Rosji pisałem wiele –dobrze, źle, z uznaniem i krytycznie, z zadziwieniem i osłupieniem. Tak było przez całe lata. Nie mogę tego odwołać, nie mogę się wyprzeć, choć moje pierwotne sądy o tym kraju stopniowo się kruszyły, łuski opadały z powiek – wielokrotnie z uczuciem żalu. Ale nie zmieniał się mój podziw dla teatru, muzyki, do rzadko oficjalnie demonstrowanej – niejako podziemnej – plastyki, do literatury. Po zawaleniu się radzieckiego ustroju bywałem w tym kraju rzadziej, ale obserwowałem NEPowskie zmiany w postaci całych dzielnic straganów i budek z towarami wszelkimi, otwartych dyskusji politycznych i mnóstwa nowych gatunków wódki i piwa. Jechałem kiedyś samochodem z Moskwy do Jasnej Polany. Po drodze widziałem ogromnie bilbordy zachęcające do „kupowanie ziemi w Abchazji"; była ona gruzińska (inna rzecz, że tego nie chciała), a teraz stała się rosyjska, (choć tego nie chciała tym bardziej). Zmiany w obyczajowości sygnalizowały szyldy hotelowe: można w nich było wynająć pokój na pół godziny. W krótkim czasie skruszała surowa, socjalistyczna moralność niepozwalająca na przykład zameldować się w hotelu parom, które nie były małżeństwem. Tylko w porcie lotniczym Szeremietiewo II było po staremu: służby graniczne i celnicy patrzyli na cudzoziemców tym samym stalowym, radzieckim wzrokiem - funkcjonariusze strzegli raju przekształconego z radzieckiego w rosyjski. Jednak wydawało mi się, że zmieniło się prawie wszystko. A przecież to nieprawda.

W listopadzie 1982 zmarł Leonid Iljicz Breżniew. Od paru lat był przedmiotów coraz głośniej opowiadanych jadowitych dowcipów i drwin. Ale ludzie się bali następstwa – przecież może być jeszcze gorzej. Nastał Andropow. Naród znał jego KGBowską przeszłość, ale odetchnął z ulgą: nareszcie ktoś nas weźmie za mordę, w tym bardaku nie dało się dłużej żyć. Nie znam żadnej innej nacji cieszącej się, że w taki słowiański sposób zostanie zdyscyplinowana. Potem Czernienko, czynownik bez osobowości, był na okres przejściowy, na czas potrzebny do utarcia się szczytów władzy. I utarło się, utrzęsło, rządy starców się skończyły, przyszedł Gorbaczow. Było to otwarcie okna w zatęchłym domu. Spotykał się z ludźmi, rozmawiał, a nie przemawiał godzinami z kartek, pokazywał się z żoną, co było szokująca nowością, błyszczał za granicą. Ale był raczej nadzieją świata, a nie Rosji. Przed pierwszymi wyborami prezydenckimi Moskwa była oblepiona plakatami. Pamiętam jeden z nich: zapatrzony w dal Żyrinowski przytula do mocarnej piersi drobną staruszkę w chustce na głowie; projektował ten obraz prawdopodobnie mistrz światowego kiczu. Oglądałem też kilkuminutowe wystąpienie telewizyjne kandydatów. Gorbaczow mówił mądrze, ale jakby bez przekonania, bez ognia. Zagłosowało na niego półtora procent wyborców. Powiadają, że był to skutek prób wprowadzenia prohibicji, „suchego zakonu". Pewnie też, pewnie na wszystkim zaważyła ekonomia, ale był jeszcze jeden, bodaj czy nie najważniejszy powód: Rosja przestawała być potęgą, a tego naród zaakceeptować nie mógł. Znosił niedostatki, biedę, bo przecież miał wpajaną przez lata świadomość: Rosja jest mocarstwem. I za to, żeby zawsze taka była, warto zapłacić wyrzeczeniami.

Wizyta Andrieja Dubrowickiego z żoną Kariną słono mnie kosztowała, bo rachunki telefoniczne były wówczas bardzo wysokie. Andriej codziennie dzwonił do rodziców, ale przede wszystkim do młodszego brata Kiriłła i krzyczał, żeby ten nie wychodził z domu – akurat był czas puczu Janajewa. A potem mój obraz nowej Rosji kształtowały z daleka filmy i seriale, takie jak „Kryminalna Rosja" i „Bandycki Petersburg". Uzupełniały ten obraz opowieści o strzelaninach na ulicach miast, o wymuszeniach, o upadku wielkich firm i błyskawicznych wzlotach innych,

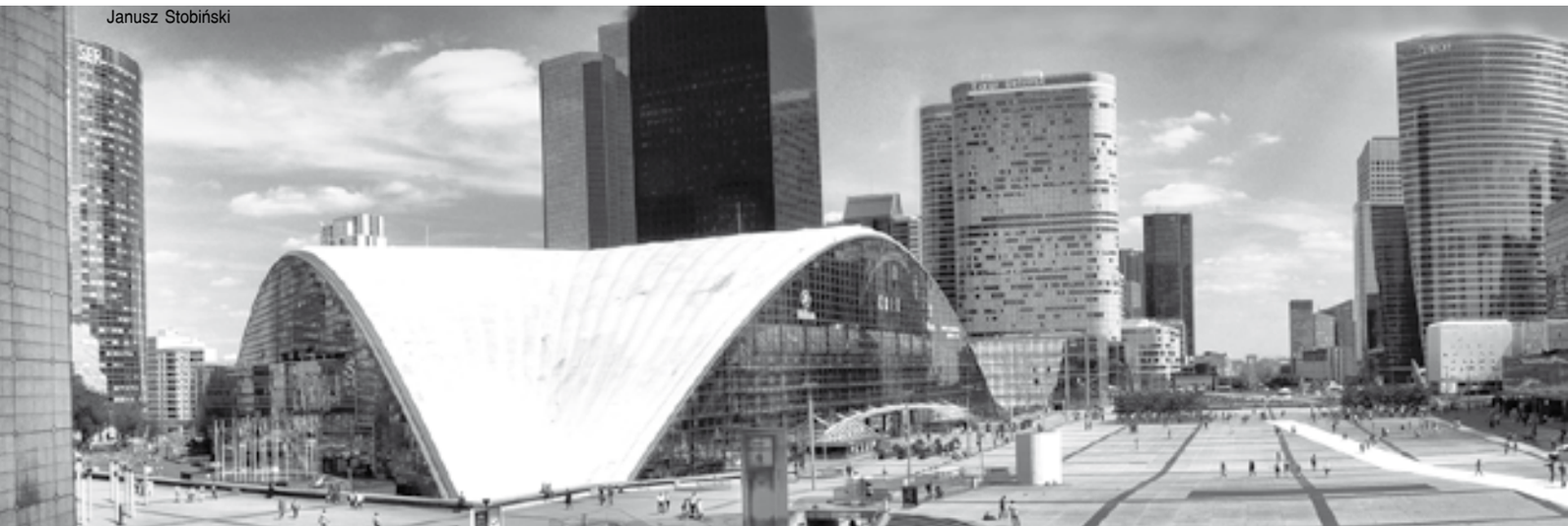

Janusz Stobiński

o ogromnych fortunach, o klasie „nowych Ruskich", o pojawieniu się w języku Puszkina słowa „autorytet", którym określano największych bandytów i mafiosów. Przyjechał do mnie Misza Kurajew, świeżo po pobycie w Togliattim. W tym nadwołżańskim mieście na domach gęsto pojawiły się świeżutkie tablice pamiątkowe takiej mniej więcej treści: - W tym miejscu śmiercią bohaterską, ostrzeliwując się do ostatniego naboju, poległ Wania Iwanow, ksywa Groźny.

Urodziła się nowa Rosja, której nie znałem. A może nie znałem i tamtej?

* * *

W tych wojennych czasach może to zabrzmieć jak herezja: jesteśmy do siebie podobni. My i oni. Polacy i Rosjanie.

Harmonijnie łączy się w nas kompleks wielkości i kompleks niższości. Jesteśmy więksi od innych (Jagiellonowie, przedmurze), bardziej cierpieliśmy, ponieśliśmy – przecież nie z własnej winy! – wielkie straty, nikt tak pięknie nie ginął, jak my, nikt tak nie skakał przez płot i nikt tak jak my nie obalał berlińskiego muru. Co tam Czesi ze swoim praskim powstaniem, kiedy nas zginęło 200 tysięcy! A jednocześnie czujemy się gorsi od innych, tych z Zachodu – są (niezasłużenie) bogatsi, mają lepsze samochody, komputery, plaże i lepszą walutę, lepiej się ubierają i dokładniej myją. Przez wiele lat nie wstydziliśmy się swoich wychodków, przywykliśmy, ale niekiedy myśleliśmy: a co by powiedział odwiedzający je cudzoziemiec? Wstydziliśmy się z powodów międzynarodowych.

Rosja jest największa, nigdy nie przegrała (pierwsza wojna szwedzka, Cuszima, pierwsza wojna światowa, Afganistan - wytarte gumką), zawsze wygrywała. Jest trzecim Rzymem, jej bogactwa i przestrzenie są niezmierzone. W głównym programie informacyjnym TV Wremia ukazywały się niekiedy wiadomości sportowe, a z nich dowiadywałem się, że w międzynarodowych zawodach lekkoatleta radziecki zajął trzecie miejsce; nie mówiono, kto go wyprzedził. Ale przecież było wiadomo: ludzie radzieccy może nie są najbogatsi, ale są najszlachetniejsi, najmężniejsi, wynaleźli wszystko, co służy ludzkości, a ona, niewdzięczna, o tym zapomniała i wynalazki przypisała innym. Popatrzcie - nasze „baksy" w Ameryce są legalną walutą, nazywają się dolary. Jednak cudzoziemiec, nawet Polak (kurica nie ptica, Polsza nie zagranica), był jakby kimś lepszym. W początku lat siedemdziesiątych byłem w Leningradzie atrakcją towarzyską, może mniej jako polski poeta, a więcej jako posiadacz bordowych skarpetek – przecież w przyrodzie występują tylko szare albo czarne. W początkach znajomości z licznymi rosyjskimi poetami traktowany byłem trochę z góry, ale niemal każdy z nich wyznawał mi, że ma przodków polskich – z rodów szlacheckich, a jeszcze lepiej z hrabiowskich.

Bagaże moje były szczupłe, nie woziłem niczego na sprzedaż. Ale polski turysta miał rozum biznesowy, wiedział „co idzie". Na przykład przywożone przez niego na handel dżinsy „wycieruchy" i perfumy „Być może". Kompleks wobec Niemców (przegranych), Francuzów, Anglików (zdrajców) i przez całe lata śmiertelnych wrogów,choć w srytości podziwianych – Amerykanów, był jeszcze głębszy i wyraźniejszy. Krótki wyjazd na Zachód każdego Rosjanina nobilitował. Po powrocie opowiadał rodakom o innym świecie. Niepojętym, bo lepszym od tego, w którym żył. Było to trudne do zrozumienia.

Zawsze wdzieliśmy lepiej, dumnie tkwi w nas dziedzictwo sarmatyzmu. Wedle tego dziedzictwa wszystko, co nie pasuje do naszych obyczajów, wierzeń i uprzedzeń jest dziwaczne, głupie, a nawet wrogie. To przetrwało: 27 siedem krajów Europy nie ma racji, my ją mamy. My, ostatnia wyspa racjonalizmu i zdrowego chłopskiego rozsądku w zdegenerowanym świecie Zachodu.

Granica między patriotyzmem a nacjonalizmem jest ruchoma i przesuwa się zgodnie z zapotrzebowaniem politycznym. Jest to prawidłowość obowiązująca prawie na całym świecie, a co dopiero u nas, w kraju przynajmniej dwóch patriotyzmów. O pierwszym nie mówi się, bo to wstyd: porządnie pracować, płacić podatki, działać w społecznościach, nie podpalać lasów i segregować śmieci – to nie nadaje się na afisz. Nasz opatrzony przymiotnikiem „narodowy"(jak prawie wszystko) z natury rzeczy jest patriotyzmem walecznym. Jego wykwintem są tłumy kiboli mieniących się bezpośrednimi potomkami powstańców warszawskich i zagłuszających weteranów tego powstania krzykami i gwizdami. Oni by powstanie wygrali, a potem przez pięćdziesiąt lat aż do skutku wysadzali mosty Pod godłami falangi, a nawet swastyki, maszerują i wiecują teraz w świetle rac i pochodni pod rozczulonym i hojnym spojrzeniem władz.

Przyznaję: nie bez pewnego wzruszenia obserwowałem kilka razy obchody „Dnia Pobiedy" (bardzo gromko o tym śpiewał Josif Kobzon) w moskiewskim parku im. Gorkiego. W alejkach stały budki i namioty z napisami, że tu i tu spotykają się weterani takiej, a takiej gwardyjskiej dywizji. Na stołach było wszystko, co weterani przynieśli: rzodkiewki, szczypiorek, słonina, kiełbasa, kiszone ogórki. I wódka. Weterani wypijali i zakąszali, wspominali i ściskali się, a każdy z nich był obdarowywany przez dzieci w pionierskich chustach czerwonym goździkiem. Zwycięstwo w „wojnie ojczyźnianej" było fundamentem jedności narodu – i jest nim nadal. To można zrozumieć. Ale nie mogę pojąć, dlaczego Putin i jego kamaryla, pamiętając przecież z kim Rosja walczyła, popiera młodzieżowe organizacje jawnie nawiązujące do faszyzmu. Dlaczego to się objawia w krajach, które od faszyzmu ucierpiały najbardziej?

Jesteśmy podobni. Oni też wiedzieli lepiej. Tak myśleli i może – jak się okazało 24 lutego – myślą wciąż tak samo.

Zastanawiam się jak mając przeszło trzydziestu lat mogłem być tak głupi i na to fundamentalne pytanie nie znajduję odpowiedzi.

Wczesne lata siedemdziesiąte. Mój przyjaciel, poeta Wiktor Maksimow zaproponował, żebyśmy odwiedzili naszego wspólnego druha w Wyborgu. Dwie głupoty: według radzieckich przepisów mogłem się od Leningradu oddalić najwyżej 30 kilometrów, a Wyborg leżał znacznie dalej i był miastem zamkniętym, niedostępnym dla cudzoziemców. Ponieważ po rosyjsku mówiłem źle, w „elektryczce" udawałem milczącego Estończyka – oni też słabo władają rosyjskim. Głupota największa: przy suto zakrapianej kolacji w gronie ośmiu dżentelmenów rozmowa zeszła na politykę. Pamięć o wkroczeniu bratnich armii do Czechosłowacji była jeszcze świeża. Ktoś z biesiadników wyraził kategoryczną opinię, że w taki sposób ten kraj uratowaliśmy. Nie wytrzymałem: dlaczego zawsze jesteście pewni, że lepiej wiecie, co jest dobre dla innego państwa, dlaczego uważacie, że jego mieszkańcy nie mogą o sobie decydować? Zostałem pobłażliwie przytłoczony argumentami o wspólnocie socjalistycznych krajów. Nie pomyślałem wówczas, że w tym towarzystwie musiał być ktoś, kto miał bliski kontakt z odpowiednimi służbami. Ale zrozumiałem: oni wiedzą lepiej.

Każdą nową budowlę, kawałek nowej drogi, nowy most, musi u nas pokropić duchowny. Od wielkości obiektu zależy ranga: mały mostek święci proboszcz, większy kawałek drogi biskup, a rozbiórkę elektrociepłowni, na którą wywalono półtora miliarda złotych – prawdopodobnie arcybiskup.

Uroczysty, transmitowany przez telewizję państwową koncert na Dniach Literatury Słowiańskiej w Kołomnie otwierał patriarcha Wszechrusi. Potem, pod kolosalnym namiotem, przy ogromnych stołach zasiadło pół tysiąca biesiadników, w tym przynajmniej stu prawosławnych duchownych. Jak oni śpiewali „Mnogije lieta" jak pili i zakąszali… Poczytajcie Gogola, będziecie wiedzieli.

Putin powołuje się na dziedzictwo wielkiego władcy Piotra I. Ktoś trafnie zauważył: car otwierał się na Europę, prezydent drzwi do niej nieodwołalnie zamyka. My zaś jesteśmy w Europie, ale ona się nam nie podoba, więc też się na nią zamykamy.

Idea państowiańska postarzała się, ale niekiedy wracają jej echa. Według niej miał się zjednoczyć cały świat słowiański i utworzyć potężne, jednolite mocarstwo. Rozumie się samo przez się, że hegemonem miał być Rosja. Idea ta pod inną nazwą wraca teraz w, że tak powiem, filozofii politycznej Władymira Władymirowicza. Właśnie jesteśmy świadkami próby wprowadzenia jej w życie. My też intelektualnie nie jesteśmy →

gorsi. Zaświtała w tęgich umysłach myśl o stworzeniu potęgi państwowej rozciągającej się od morza do morza. Rzecz jasna, wszystkie kraje, które by do niej należały, z entuzjazmem i radością zgodziłyby się, że Polska byłaby przywódcą.

Tak. Na różne sposoby jesteśmy do siebie podobni. My i oni. Polacy i Rosjanie. Nasze wspólne dzieje są niekiedy dziejami poszukiwania przejawów przyjaźni, jednak przede wszystkim są historią nienawiści. Czyli czegoś, co kłóci się z wymarzonym przyjaznym i pokojowym świecie.

Ale przecież zdarzały się nam spory historyczne bez mordobicia. Na przykład o to, kto wynalazł wódkę. Albo dysputy: kto więcej pije – Rosjanie czy Polacy? Moim zdaniem wychodzimy na remis.

* * *

Prawdziwa literatura jest wyrazem wolności wypowiedzi. Interpretacje bywają często fałszerstwami dokonywanymi na potrzeby bieżącej polityki.

Słynny wiersz Mickiewicza „Do przyjaciół Moskali" był cytowany często, jako dowód odwiecznej przyjaźni polsko rosyjskiej. Jednak cytowano go bez szczególnego entuzjazmu. Była wprawdzie w wierszu szlachetna szyja Rylejewa i braterska dłoń Bestużewa, ale był też zbrodniczy car. A car to car, car to Rosja, a Rosja to Rosja, nawet ta radziecka.

Wiersz Puszkina do Mickiewicza zaczynający się słowami: był pośród nas… cytowano w mowie i piśmie tylko do słów: … odszedł na zachód pożegnany przez nas błogosławieństwem. Ucinano poecie dalszy ciąg wiersza …lecz dziś gość ten cichy stał się naszym wrogiem itd. W innym tekście wielki poeta rosyjski ma pretensje do Polaków, że sprzymierzyli się z tyranem (Napoleonem). Puszkin nie ma wątpliwości, że Polska zawsze powinna być z Rosją – na jej warunkach. Dla wielu rosyjskich pisarzy i publicystów polskie powstania były przykładami bezrozumnego wichrzycielstwa, polskie poddaństwo było czymś oczywistym. Jak można buntować się przeciwko rozumowi?

Czy Puszkin był patriotą, czy może miał skłonność do nacjonalizmu? Literatura rosyjska, nawet ta największa, dostarcza nam wielu powodów do zastanawiania się nad tym problemem. Wszyscy wiedzą o wrogości wielkiego Dostojewskiego do Polaków, a wiedzy tej nie osłabia fakt, że pisarz nienawidził też innych narodów. A że malował w czarnych barwach obraz współczesnej sobie Rosji? To nie przeszkadzało mu być namiętnym patriotą (nacjonalistą?). Zmniejszyło się uwielbienie naszych elit kulturalnych do Josifa Brodzkiego po ujawnieniu jego wiersza pełnego pogardy dla Ukraińców. Dałoby się wygrzebać z historii rosyjskiej literatury parę nazwisk (Hercen) pisarzy cechujących się akceptowalnym patriotyzmem, ale nie jest tego wiele. Czytam jeszcze raz „Armię konną" Izaaka Babla, opowieści o małych kresowych miasteczkach polskich zdobywanych przez szwadrony Budionnego, obrazki malowane podziwem i tęsknotą. Nie ma w nich bitewnych triumfów, wszystkie są nasycone kurzem letnim, dziwną nostalgią z nienapisanym, ale wyraźnym pytaniem: po co to robimy? To jeden z tych wyjątków. Twórczość Sołżenicyna znamy wybiórczo i mało kto zna jego polityczno-filozoficznych rozprawy o wielkiej, prawosławnej Rosji. Rosyjska teraźniejszość rodzi dzieła będące w pewnym stopniu kontynuacjami tych idei. Owszem, żaden kraj nie chce być mały i słaby, ale świat nie może się zgodzić na budowanie wielości na gruzach i zgliszczach innego państwa – tak, jak to się dziś dzieje.

Nie jestem w stanie rozróżnić rosyjskiego patriotyzmu od rosyjskiego nacjonalizmu. Co więcej, podejrzewam, że mieliby z tym problemy współcześni rosyjscy pisarze. Nie sądzę, że moglibyśmy dojść do wspólnych definicji.

W połowie lat osiemdziesiątych urodził się jeden z najbardziej kłamliwych sloganów ZSRR. Głosił on: Związek równoprawnych republik.

Obracałem się w Rosji wśród ludzi kultury, ale miałem też wiele kontaktów z innymi środowiskami i wiem, jak ta równoprawność wyglądała. Rosjanin mający niewielkie szanse na awans społeczny i finansowy w Moskwie, Leningradzie czy innym mieście, wyjeżdżał do którejś z republik Azji Środkowej i tam otrzymywał stanowisko powyżej swoich zdolności i możliwości. Ale mimo to czuł się zdegradowany – żył przecież wśród ludzi gorszych. Nawet nie rosyjscy „bracia Słowianie", Ukraińcy, Białorusini, byli obywatelami niższego sortu, przedmiotem drwin, a nawet pogardy.

Siergiej Michałkow napisał słowa do hymnu Związku Radzieckiego i był z tego bardzo dumny. Ale kiedy „niezłomny Związek Radziecki, którego wolne republiki połączyła wielka Ruś" okazał się ułomny, ten sam poeta do tej samej dostojnej muzyki Aleksandrowa napisał słowa hymnu nowej Rosji – już bez Lenina i Stalina, ale tak samo patetyczne. (Coś mi przypomina ten patos na zamówienie). Byłem kiedyś na wieczorze poetów z Mordowii, który prowadził w moskiewskim domu literatury właśnie Michałkow. Od pierwszych słów, którymi witał gości z bratniej, autonomicznej republiki, aż do pożegnania, drwił i szydził z bohaterów spotkania i był z siebie bardzo zadowolony.

Poeci rosyjscy często tłumaczyli poezję innych narodów ZSRR. Tłumaczyli nie znając ich języków, na podstawie „rybki", czyli przekładów filologicznych. Ale poezję tę – kirgiską, tadżycka, uzbecką – ulepszali, czyli przekształcali tak, żeby była podobna do rosyjskiej. Kiedy w wierszu kazachskim pojawiał się legendarny bohater tego narodu, to w przekładzie był on Ilią Muromcem. Kiedy w wierszu jakuckim pojawia się opis jakiegoś obyczaju, to w przekładzie rosyjskim był już swojski, ludowy, powszechnie znany, nasz. Tak było z treściami, a o formie nie ma co wspominać – też musiała być nasza, rosyjska. Nawiasem mówiąc podobne operacje translatorskie obserwuję i u nas, a są one dokonywane na współczesnej poezji ukraińskiej – ujawniła się cała grupa tłumaczy znających język ukraiński tylko pobieżnie, którzy za nic maja formę. Wiersz „klasyczny" w przekładzie na polski staje się wierszem wolnym, bez rymu i rytmu, przełożona zostaje treść – czyli prymitywne tłumaczenie filologiczne awansuje do rangi przekładu artystycznego.

Z rozrzewnieniem wspominam swoją naiwność. Myślałem w latach siedemdziesiątych, że moje zachwyty Bułhakowem, Bablem będą dla pisarzy rosyjskich przyjemne, ale było to kwitowane półsłówkami. Nie rozumiałem dlaczego unika się rozmów o Chlebnikowie, że nawet poezja Zabołockiego nie jest tematem długich literackich dysput. Poeci, prozaicy, znali tę twórczość, ale przecież w latach trzydziestych i czterdziestych była ona surowo potępiana. I ta radziecka mentalność przetrwała przez lata w świadomości nawet wybitnych twórców. Na wszelki wypadek należało zachować dystans.

* * *

Znałem wielu wybitnych reżyserów i aktorów, muzyków i malarzy, ale przede wszystkim poetów i prozaików. Wspominam długie i serdeczne rozmowy z nimi. Dziś, kiedy coraz brutalniejsze formy przybiera rosyjska agresja, przywołuje je i w pewnym sensie weryfikuję. I ta weryfikacja wypada niepomyślnie. Ale może wynika to z kontekstu, z tego, co się dzieje za południowo wschodnią granicą, nie tak daleko od Warszawy? Może przynajmniej niektórzy z nich przyznaliby, że dzieje się największe zło we współczesnych dziejach świata?

Po 24 lutego zastanawiam się, czy usiadłbym przy stole z rosyjskim pisarzem. I nie wiem. Ale nie tęsknię za takim spotkaniem.

Nie, nie wyrzucę na śmietnik książek Czechowa, Gogola, Tołstoja, Bułhakowa, Babla i Astafiewa. Nie spalę wierszy Achmatowej, Cwietajewej, Mandelsztama, Gumilowa, Tiutczewa, a nawet Jewtuszenki i Rożdżedstwieńskiego, nie mówiąc o leningradzkich i petersburskich przyjaciołach. Będę słuchał Czajkowskiego i Rachmaninowa. Nie pozbędę się kilku płyt CD, na których mam parę rosyjskich filmów ze wspaniałymi kreacjami aktorskimi. I to mi musi wystarczyć – na dziś i na jutro.

Moja znajomość z Ukrainą jest długa, ale ta bliższa trwa dwadzieścia lat, czyli od młodej niepodległości tego kraju. Ze swoimi starymi i nowymi przyjaciółmi, pisarzami, rozmawiałem u nich i u nas – wielokrotnie i szczerze. I z rozmów i z tego, co pisali wyłaniał się obraz dość ponury. Gorzko kpili z europejskich ambicji Ukrainy, z kolejnych władz, dawali przykłady na wszechobecny bałagan, rosnącą nierówność społeczną, korupcję i inne grzechy główne. Ale nie wątpili nigdy w niepodległość i suwerenność swojej ojczyzny. Mówili jednym głosem – ci z zachodu i ci ze wschodu Ukrainy. Może za kilkanaście, za kilkadziesiąt lat, kiedy będzie już po wszystkim, ktoś wyrazi opinię, że Putin Ukrainie czymś się zasłużył – wpłynął na zbudowanie tożsamości narodowej.

W pogodne lipcowe popołudnie zobaczyłem na Krakowskim Przedmieściu kilkusetosobową demonstrację. Ktoś coś bełkotał przez megafon, wątły chórek powtarzał jakieś hasła, a czoło pochodu zdobił transparent z napisem: Wołyń. Pamiętamy.

To działo się w dniach wojny. Tak, pamiętać trzeba. Ale nie wiem, czy właśnie w tym czasie tę pamięć trzeba przywoływać. I czy demonstrowano za pamięcią, czy może za czymś, za kimś innym. Nie opowiem o tej demonstracji moim ukraińskim przyjaciołom. Byłoby mi wstyd.

A w ogóle pozostanę przy pytaniu postawionym w tytule: i co ja mam z tym zrobić?

Marek Wawrzkiewicz

Janusz Stobiński

Maria Jentys-Borelowska

POEZJA Z GNIEWU, BÓLU I MIŁOŚCI

(O Wasylu Stusie i Ukrainie)

Spośród materiałów, które złożyły się na drugi tegoroczny, specjalny, poświęcony Ukrainie numer miesięcznika „Więź" (z datą „lato 2022") – materiałów bez wyjątku ważnych i wartościowych poznawczo - najważniejszy i najbardziej poruszający jest *Dziennik wojenny z mojej wioski* Dmytro Stusa. Czytałam go w pierwszej kolejności, dwukrotnie, chłonąc każde słowo, nie dlatego, że otwiera ten numer, nie dlatego także, że przynosi niezwykle piękny i sugestywny - przy prostocie i oszczędności środków wyrazu - obraz pierwszych tygodni „dziwnej, gwałtownej wojny, której być nie powinno", a która j e s t i zamienia Ukrainę w pogorzelisko i cmentarzysko, a jego mieszkańców w sieroty, wdowy i kaleki, w tułaczy i często bezdomnych nędzarzy.

Czytałam go tak, jak się czyta coś bardzo cennego, coś, czego żadną miarą pominąć nie można, choć przecież znałam już niejedną relację z przebiegu wojny w sąsiednim kraju. A sprawiła to m a g i a n a z w i s k a. Dzięki niej lektura prozy Dmytro Stusa stała się dla mnie zarazem repetycją poezji Wasyla Stusa, jego ojca, poety, który za wierność sprawie narodowej zapłacił (jak zresztą wielu podobnych mu niepokornych ukraińskich twórców) życiem. Każda wzmianka o ojcu lub matce w *Dzienniku wojennym* wywoływała z mojej pamięci któryś z dopiero co poznanych łagrowych wierszy poety. Tych, w których najdramatyczniej zmagał się z potwornością swego zaiste krzyżowego cierpienia.

Urodzony 6 stycznia 1938 roku we wsi Rachniwka w obwodzie winnickim ZSRR, zmarł Wasyl Stus 4 września 1985 w obozie karnym w Kuczino w obwodzie permskim. Skazany za „antysowiecką działalność" (poetycką, publicystyczną, wydawniczą) w dwóch procesach: w roku 1972 (na osiem lat) i w roku 1980 (na 15 lat) - spędził w więzieniach i łagrach więcej niż czwartą część swego niedługiego życia (13 lat z zasądzonych mu łącznie 23). Jakie było to życie, niech dadzą nam wyobrażenie choćby poniższe wiersze z *Palimpsestu,* zbioru z lat 1972-1979.

*****

Zabrakło Boga na tej ziemi:
Bóg nie wytrzymał – sprzed oczu ucieka,
aby nie widzieć nieludzkich krzywd,
szatańskich tortur i okrucieństwa.
W potwornym kraju jest potworny bóg –
poczwarny władca, król wściekłości
szalonej – nie ma już innych ulg
prócz tej jedynej: wszystko wyciąć w pień,
unicestwić i powolutku nieba
do dołu opuszczać, by świat pozostał
bezniebną ojczyzną szalonych
katowanych katów. Pan Bóg umarł.

(przekład Agnieszki Korniejenko)

*****

O, Boże, skąd aż tyle mej rozpaczy
i samotności, która nie zna granic.
Nie mam ojczyzny. Oko bada granie,
wśród przepaści pragnę drogę wypatrzyć.
Oto – mój szlak powrotu. Albo – nie.
Oto mój szlak. Na koniec świata płynąć.
Przebacz, kochana moja Przykraino,
i, matko, nie przeklinaj mnie.
Poszedłem precz. Na oślep. Gnany szałem
poszedłem precz, z wściekłości już zmęczony.
Różowe szczyty, w lodach uwięzione,
a ponad nimi – stado wron czerniało.
I ślepnie wieczór. Linia gór – i
niby z kartonu wykrojone ich kontury,
i cała twoja droga – w dół lub w górę.
Tamtędy iść. Iść tędy. Iść.

(przekład Bazylego Nazaruka)

Wróćmy jednak do teraźniejszości, o której opowiada w swoim dzienniku syn poety, Dmytro Stus. Jest ona nie mniej, choć inaczej, tragiczna niż przeszłość przedstawiona w wierszach Wasyla. Jakby nie dość było hekatomby ofiar ojców - a także dziadów, pradziadów i tak dalej, bez końca - pokolenie synów znów musi płacić krwią za prawo do własnej ojczyzny, do ukraińskiej tożsamości, godności, niezależności. Rosyjski „car" bowiem chce ją, jak kiedyś, mieć pod nogami, poniżoną, zniewoloną i poddaną. Od 24 lutego 2022 roku toczy już jawną i bezpardonową wojnę przeciw Ukrainie - w Ukrainie, pustosząc i wyludniając kraj.

Dmytro Stus, literaturoznawca, edytor, dyrektor generalny Narodowego Muzeum Tarasa Szewczenki w Kijowie, ukazuje tę wojnę z perspektywy Dmytriwki, podkijowskiej wioski, w której mieszka i z której dojeżdża do pracy. Przed wojną dojazdy te były łatwe i szybkie, kilkunastominutowe, po 24 lutego stały się niebezpieczna i nad wyraz uciążliwe, wielogodzinne, jeździ tam jednak, bo ma wiele zadań do spełnienia. Oto co pisze w *Dzienniku* pod datą 3 marca: *„[…] U nas jest względnie, ale to bardzo względnie, cicho. Po jednej stronie zniszczone, na ile jestem w stanie to ocenić, Irpień, Bucza i Hostomel, po drugiej Biłohorodka, Stojanka, Horenycze. W domu mam leżącą, przykutą do łóżka mamę, byłą żonę i dwoje dzieci. Wywiozłem je z miasta już pierwszego dnia, żeby były blisko mnie. A sam dotelepałem się do Kijowa zabezpieczyć spuściznę po Szewczence, bo co by nie powiedzieć, jestem dyrektorem muzeum. Ale gdy tylko pojawiła się taka możliwość – wróciłem do swoich. […] Tutaj mam archiwum Wasyla Stusa, o które też trzeba się troszczyć".*

Mama, którą Dmytro Stus ma w domu, to Walentyna Popeliuch-Stus, wdowa po nieżyjącym od 37 lat Wasylu Stusie, ukochany „kopciuszek" poety, jedyne, obok syna, dobro, które mu pozostało po skazaniu na niebyt. Toteż dla niej jednej - oszalały z wściekłości i rozpaczy, wpół umarły za życia - zachował do końca czułość, o niej myślał z bolesną tęsknotą. Oddzieleni tysiącami kilometrów i setkami zakazów, spotykali się w snach, a ze snów tych rodziły się wiersze przeniknięte tkliwością i żarem miłosnych uniesień. Oto jeden z owych kołymskich erotyków, zaczerpniętych z *Palimpsestów* (cytuję w przekładzie Agnieszki Korniejenko):

W pustej chacie, samotna,
niby ściana - biała,
śpi, czekaniem zmęczona,
żona, tęsknotą zbolała.
Całkiem mała, skurczona:
którą noc, który dzień,
wieści o mężu spragniona -
ani widu, ani słychu. Cienia cień
po ścianach błąka się, snuje,
nimbami dźwięczą ikony,
strach stęka i nawołuje
spoza sosnowej osłony:
mój sokole zgubiony,
którą drogą trzeba mi iść,
o gościnę, gdzieś przepadł,
pytać, znaleźć i przyjść.
Już za tobą, kochany,
oczu, by szukać, nie stanie,
jak koń sznurem spętany,
świt dęba powstanie.

Czy wychodząc w roku 1965 za poetę-dysydenta Walentyna Popeliuch wiedziała, jaką przyszłość sobie gotuje? Czy rodząc rok później syna liczyła się z tym, że zostanie z dzieckiem sama? Niewątpliwie była wszystkiego świadoma. Liczyła wszak (jak i Wasyl) 27 lat i dobrze wiedziała, w jakim kraju żyje, kim jest i co robi jej wybranek. Nie miała jednak innego wyboru, ponieważ KOCHAŁA. Kłopoty zaczęły się prawie natychmiast. Po głośnym, publicznym proteście przeciw tyranii we wrześniu 1965 Stus został zwolniony z pracy w Instytucie Literatury Akademii Nauk USRR i zdegradowany do roli palacza w kotłowni, cenzura zaś zatrzymała pierwszy zbiór jego wierszy *(Kruhowert)*, który złożył w wydawnictwie. Taki sam los spotkał niebawem drugi tomik poety - Zimowe drzewa (tytuł oryginału: *Zymowi derewa*), a następnie trzeci - *Wesoły cmentarz* (tytuł oryginału: *Weselyj cwyntar*). Nieskory do kapitulacji poeta w 1970 roku opublikował →

Zimowe drzewa w Londynie, a w 1971 roku własnym nakładem wydał - w dwunastu egzemplarzach! - Wesoły cmentarz. Karę za te „zbrodnie" przeciw własnemu państwu - Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej - wymierzono mu bezzwłocznie: 12 stycznia 1972 roku został uwięziony i po procesie skazany na 5 lat łagru i 3 lata zesłania1. Pierwszą część kary odbył w kolonii karnej w Mordowii, drugą część na Kołymie. Po powrocie do Kijowa w sierpniu 1977 roku zaangażował się w działalność Ukraińskiej Grupy Helsińskiej2, wydał też w Monachium tomik wierszy *Świeca w zwierciadle* (tytuł oryginału: *Swicza w swiczadi*), za co już w maju 1980 roku został ponownie aresztowany i skazany na 10 lat więzienia i 5 lat zesłania. Zmarł - jak już wiemy - w roku 1985, w obozie w Kuczynie, odbywszy ledwie trzecią część kary. Ponieważ śmierć ta nastąpiła, gdy przebywał w karcerze, biografowie Stusa zgodnie mówią o jej „niejasnych okolicznościach". Był skrajnie wyniszczony, wychudzony, wyczerpany, to prawda, ale czy na tyle, by umrzeć?

Jak było do przewidzenia, Walentyna Popeliuch-Stus została z synem sama. Przeżyła męża o całe 37 lat. W chwili, gdy Dmytro pisze swój Dziennik wojenny, jest stara, obłożnie chora, prawie nieobecna. „*Mama wciąż śpi* - notuje syn pod data 5 marca 2022. - *Mam przeczucie, …że odchodzi. Że to ma być także jej ofiara*". W następnym akapicie dodaje: „*Właściwie ta myśl prześladowała mnie już od kilku dni, ale dopiero dzisiaj odważyłem się zapisać ją w komputerze. Duchowo jestem na to przygotowany*". Przestaje walczyć o jej życie (zresztą nie ma czym, leki się skończyły), dba jedynie, by nie marzła, co nie jest łatwe, gdyż brakuje prądu, a wkrótce zabraknie także gazu. Karmi ją też i poi, co również zdaje się bezsensowne, ponieważ mama śpi prawie nieprzerwanie? Robi to jednak - z największą czułością.

Mama to zadanie numer jeden, lecz nie jedyne. Są jeszcze jego własne córki i wnuczki, które trzeba wywieźć z coraz bardziej zagrożonej Dmitriwki, no i jest archiwum ojca, które także należy czym prędzej zawieźć do Kijowa i tam zabezpieczyć, ale czy wolno zostawić mamę?! „*Bodaj najważniejsze rękopisy i jakieś pamiątki - znów przedmioty i czy one warte są cierpień mamy? Cierpień jego 'kopciuszka', którego tak kochał i który był dla niego kimś więcej niż Eurydyka dla Orfeusza*". W trosce o przyszłość własnych dzieci Dmytro dokonuje wyboru, choć „on boli", bo „cena nieludzka": powierza mamę sąsiadom i rusza w niebezpieczną drogę, ze świadomością, że może z niej nie wrócić. Wraca. Przenosi mamę do letniej kuchni, gdzie można napalić w „kozie" (jest 10 marca, temperatura w nocy spada poniżej 8 stopni Celsjusza), i odzyskuje „prawie absolutny" spokój. Pisze: „Dzieci i wnuki są bezpieczne, mama - obok mnie, a wszystko inne nie ma, jak się okazuje, żadnego znaczenia. Dopiero za taką cenę pojąłem, co to takiego Los w rozumieniu taty".

Wróćmy teraz do wierszy Wasyla Stusa, człowieka, któremu przypadł w udziale los zaiste krzyżowy, bohatera, który do końca pozostał wierny sobie, nieugięty, pełen dumny i godności, a przy tym ludzki, arcyludzki. Z jakiego źródła czerpał tę wielką siłę moralną i skąd płynęło doń owo światło, które oświetlało mu drogę wiodącą przez mroki kazamatów i łagrów? Ci, co znają jego życie i dzieło, twierdzą, że ojcem duchowym był mu Taras Szewczenko, mistrzami zaś Johann Wolfgang Goethe i Rainer Maria Rilke. On sam w Dwu słowach do czytelnika z roku 1969 wyznał, że poezję Szewczenki wyssał „z mlekiem matki". „Pierwsze lekcje poezji - matczyne - napisał. […] Najważniejszy ślad w duszy to matczyna kołysanka Oj, łuli, łuli, moja dziecino. Szewczenko nad kołyską - tego się nie zapomina. A tęsknie śpiewane: Pójdziesz, mój synku, tą Ukrainą,/ Przeklniesz nas, wiem… - wzrusza do dziś. Coś podobnego do tęsknej lamentacji pogrzebowej z Testamentu: Pochowajcie i wstawajcie,/ Pozrywajcie pęta,/ Niechaj wrażą krwią skropiona/ Wstanie wolność święta. Pierwsze znaki naszej duchowej anomalii, smutek jako pierwsze uczucie niemowlęctwa na tym białym świecie. To były wrażenia z dzieciństwa. Dobrego dzieciństwa."3

Czy zatem można rzec, że los Wasyla Stusa został w ś p i e w a n y w jego czystą dziecięcą duszę przez matkę, nieświadomą tego, że owym wieszczym śpiewem naznacza go na całe przyszłe życie, niczym mityczna Ananke, bogini nieuchronnego przeznaczenia? Jest to możliwe, choć fatalistą w antycznym rozumieniu tego pojęcia Stus nie był. A jednak w Palimpsestach jest wiersz sugerujący wieszczy wpływ Szewczenki, ojca, proroka i duchowego wodza narodu ukraińskiego (cytuję w przekładzie Wiktora Woroszylskiego):

I los przeznaczony wieszczeniami:
ląd się rozprzestrzeni w nieskończoność
i choć w bezdeń, choć na wolność - poderwiesz się ostatnimi siłami.

Gdyby szło o kogokolwiek innego z licznej grupy niepokornych ukraińskich poetów, którzy doświadczyli tego samego co Wasyl Stus, nie wahałabym się mówić o losie tragicznym. Jednak gdy chodzi o twórcę Palimpsestów, słowa te zdają się niewłaściwe, niewystarczające. On przecież nie był ofiarą kremlowskiego tyrana, lecz jego nieugiętym i nieugiętym przeciwnikiem, był rycerzem wolności zbrojnym jedynie w SŁOWO PRAWDY, gdy wróg, któremu wypowiedział wojnę, dysponował potężnym aparatem represji. Wiedział o tym, dlatego z rozmysłem wystawiał się na takie jak ta próby: „Przez sto szafotów przejść, sercooki,/ przez sto szafotów, sto stosów, sto golgot, / bo świat rozmienił się na kroki/
przyczajonych nadkatastrof". Chciał być silny, mężny, dumny.

I był taki! A z każdym doświadczonym cierpieniem stawał się silniejszy moralnie, ale i bliższy śmierci. W Wesołym cmentarzu jest wiersz, w którym opowiedział ze straceńczą fantazją o początku swojej drogi przez piekło (cytuję w przekładzie Wiktora Woroszylskiego):

Ani się już spodziewasz, ani czekasz.
Nareszcie jesteś wolny, wolny, wolny.
Wygnaniec z własnej woli, czemu zwlekasz?
Niech listy spłoną w ogniu, ogniu, ogniu.
Niech wiersze spłoną, spal je bez litości,
niech się spopieli górny duch zuchwały.
A teraz - ruszaj. Kurzem bezdomności
wędrówka twoje przyprószy sandały.
Co jutro? Jakiś dzień i strawa jakaś.
A co, jeśli nie będzie dnia i strawy?
Zginiesz, wygnańcze, na swych krętych szlakach,
do śmierci włócząc się na chybił trafił.

I w tymże tomiku z dramatyczną ekspresją przedstawił proces rozpadu i wyobcowania lirycznego „ja" przez zderzenie go z lustrzanym sobowtórem. Warto pochylić się nad tym wierszem, gdyż w ciekawy sposób ukazuje destrukcję psychiki człowieka poddanego presji nadmiernego strachu i bólu. Oto on, w przekładzie Agnieszki Korniejenko:

Sto luster skierowano we mnie,
w samotność moją, w moją niemoc.
Ty tu? Naprawdę ty? Na pewno
ty - ale nie tu, nie widzę cię.
Gdzie jesteś ty? Gdzie jestem ja? Gdzież?
Jak z rzeszota długo czekany deszcz
zalewa duszę całą we łzach.
Czy załom? Przepaść? Czy urwisko?
Strach jak ciężko wyschłym oczom.
Sto twych narodzin - konań sto.
Kim jesteś ty? A kim jestem ja?
Umarły? Żywy? Nie sam jeden?

Cała dalsza droga Stusa przez piekło łagrów była drogą męczeńską i bohaterską, podczas której upadał i podnosił się, umierał i zmartwychwstawał, rozpadał się i scalał, zatracał i odzyskiwał, pół szalony, pół umarły, pełen miłości, pełen nienawiści… I coraz bardziej samoświadomy4. W końcu osiągnął poziom nadświadomości właściwy tym jedynie, którzy spojrzeli w otchłań i nie cofnęli się przed nią.

W łagrze prowadził „obozowy zeszyt", w którym zapisywał ważne dlań wydarzenia i myśli. O Polsce lat 80. napisał: „Śledzę wydarzenia w Polsce. Niech żyją wolontariusze wolności! Cieszy nieugiętość Polaków wobec radzieckiego despotyzmu, ten ogólnonarodowy zgiełk robi wrażenie; robotnicy, inteligenci, studenci - wszyscy prócz wojska i policji. Jeżeli dalej tak potoczą się wydarzenia, to jutro płomienie ogarną i wojsko. Co wtedy zrobią Breżniewowie-Jaruzelscy? […] *Polska robi epokowy krok w totalitarnym świecie i przygotowuje upadek. Ale czy polski przykład stanie się i naszym - oto pytanie. Polska podpalała Rosję przez cały XIX wiek - teraz kontynuuje swoją próbę. Życzę polskim powstańcom najlepszej przyszłości i spodziewam się, że polityczny reżim 13 grudnia nie zadusi świętego ognia wolności*".

Do końca tworzył. Po *Palimpsestach* powstał *Ptak duszy* (tytuł oryginału: Ptach duszi), ostatni tomik Stusa, zniszczony przez KGB, jednak - wedle najnowszych odkryć - nie całkowicie, ponieważ przezorny autor, przemycając swoje wiersze w listach do przyjaciół, nie ograniczał się do jednej kopii i jedynego odbiorcy.

Dopóki istniał Związek Radziecki, a Ukraina była jego cząstką (Ukraińską Socjalistyczną Republiką Radziecką), Wasyl Stus jako poeta nie mógł zaistnieć w swojej ojczyźnie. Zdany był na czytelnika-Ukraińca żyjącego w diasporze w USA, Kanadzie, Wielkiej Brytanii. Sytuacja zaczęła ulegać zmianie po roku 1989, kiedy doczesne szczątki poety przewieziono do Kijowa i pochowano z honorami na Cmentarzu Bajkowa, a tysiące kijowian oddały mu cześć jako bohaterowi Ukrainy i męczennikowi sprawy narodowej. Po roku 1991, w suwerennej Ukrainie, nastąpił zwycięski powrót poety do ojczyzny i na ojczysty Parnas.

A co działo się przez te wszystkie okrutne lata z Walentyną Popeliuch-Stus, kobietą, którą poeta, wedle świadectwa syna, kochał żarliwiej niż Orfeusz Eurydykę? Ile łez wylała? Ile nocy spędziła bezsennie? Czy może bluźniła Bogu? Jakimi klątwy obrzucała katów? Tego się nie dowiemy, bo i jej już nie ma. Umarła 25 marca 2022 roku. Pod datą 27 marca, w niedzielę, Dmytro Stus napisał: „Odeszła cicho i spokojnie. Ostatnie siły witalne opuściły jej umęczone ciało i jej ziemska droga dobiegła końca. O 13.30 jeszcze oddychała. Równo, choć oddech jakby słabł. Przez cały ten dzień działo się bardzo dużo. Granaty, rakiety, wymiany ognia z automatów w pobliżu. Wszystko wokół spowijały chmury dymu". Akapit niżej dodał refleksję: „Taki los. W 1941 ona wraz ze swoją mamą ewakuowały się z Ufy, uciekając przed Niemcami. Podczas przeprawy przez Wołgę na barkę, tuż obok niej, upadł pocisk, ale się nie rozerwał, bo spadł na worek z piaskiem. Teraz wszyscy uciekają na Zachód przed Rosjanami, a mama nie czuła całej tej grozy i umarła własną śmiercią. Tak jakby jej życie i Los zależały od czegoś innego, nieziemskiego. Pewnie miał rację tato, Wasyl Stus, pisząc, że ich, tzn. jego i mamy, losy należą do historii. Dobrze by było wiedzieć tylko - jakiej…"

Cztery dni później, po pożegnaniu mamy, w Dmitriwce rozpętała się wojna: w ciągu jednej nocy na wioskę spadło 70 pocisków z ciężkich granatników, spłonęło dziesięć domów. Ale, o dziwo!, dom, w którym znajdowało się archiwum Wasyla Stusa, nie doznał najmniejszego uszczerbku. Sprawdza się więc „cudowna myśl" Wiernadskiego - pisze poruszony diarysta pod datą 29 marca - o energii duchowej, która tworzy się wokół ziemi równolegle z biosferą: „rękopisy i archiwa nie płoną, energia prawdziwych utworów (tekstów) broni nie tylko siebie, ale i swoich wyznawców, ludzie, którzy robią to, co muszą, bez płaczu i narzekań - żyją. I jest to największa nadzieja i najważniejsze doświadczenie tej wojny. Przynajmniej dla mnie.

Cały Dziennik wojenny z mojej wsi zdaje się być potwierdzeniem tej nadziei i tej głębokiej wiary w przewagę Dobra nad Złem, bo każdym zapisem, każdym przedstawionym faktem Dmytro Stus dowodzi, że Dobro niezawodnie pojawia się i „działa" tam, gdzie Zło usiłuje narzucić swój porządek. Czy jednak nie jest to nazbyt życzeniowe myślenie o wojnie? Wszak Ukraina od miesięcy krwawi, krwawi, krwawi i tego krwotoku nikt nie może zatrzymać! No tak, tak, ale przecież Wasyl Stus dzisiaj by nie napisał takiego wiersza, jak poniższy, ze Świecy w zwierciadle (w przekładzie Wiktora Woroszylskiego):

Cieszcie się, obłudnicy i grafomani,
że mój rodzony kraj - to królestwo niemoty.
I jestem sam! I jest mój ból w piersiach!
I jest łza, co na wylot przepala
kamienny mur, gdzie rozkwita kwiat
w trzy okrzyki barw,
trzy okrzyki szaleństw.

Nie napisałby poeta takich słów w roku 2022, bo Ukraina nie jest niema i bezsilna, pozbyła się knebli, kagańców, kajdan i pęt, mówi i krzyczy pełnym głosem. Również człowiek ze swym bólem nie jest w niej sam!

Za to słowiański „brat" ze wschodu nie zmienił się ani na jotę, jest taki sam jak w XX, XIX, XVIII, XVII wieku…

Maria Jentys-Borelowska
Warszawa, 20 sierpnia 2022.

---

1 Gdyby wypadło mu żyć i tworzyć w USRR w latach 50. XX wieku, rozstałby rozstrzelany bez sądu i bez wyroku, jak dziesiątki niepokornych twórców tamtych czasów, których nazywa się dziś „rozstrzelanym odrodzeniem". Ponieważ w latach 60. i 70. już t y l k o łagrowano buntowników, jest zaliczany do „uduszonego pokolenia".
2 Ukraińska Grupa Helsińska (ściślej: Ukraińska Grupa na rzecz Wykonania Porozumień Helsińskich) - organizacja, której zadaniem była obrona praw człowieka; założona 9 listopada 1976 roku.
3 Wasyl Stus: Dwa słowa do czytelnika, w: Agnieszka Korniejenko: Poezja Wasyla Stusa. Kraków, Wydawnictwo Universitas 1996 s. 31.
4 Agnieszka Korniejenko we wstępie do swojej książki pt. Poezja Wasyla Stusa (por. przypis 3) pisze: „Cały proces twórczy Stusa można ująć właśnie w psychologicznej formule dezintegracji pozytywnej". Jest to konkluzja zamykająca analizę kilku utworów poety, w których proces dezintegracji osobowości lirycznego „ja", a następnie jej integracji pozytywnej (czyli na wyższym poziomie świadomości) jest ukazany w sposób nader interesujący. Ten sam klucz interpretacyjny do poezji Stusa zastosował Bohdan Rubczak w szkicu Zwycięstwo nad otchłanią, zamieszczonym w tejże książce.

Janusz Stobiński

ESEJ

Krystian Medard Manteuffel

Hybrydą być! All is true...

Janusz Żernicki, twórca Orientacji Poetyckiej „Hybrydy", mój przyjaciel i rówieśnik, miałby dziś za sobą 80 dekad życia. Pisałem o nim i o Jego „hybrydach" w „Twórczości" 7-8/2019. („Hybryda dwóch poetów: Janusz Żernicki, Edward Stachura") W tym szkicu chciałbym podzielić się garścią przemyśleń powstałych po tej publikacji.

I. Sto lat temu. Na emigracji (gdy Polski nie było na mapie)

Tytuł mojego tekstu jest zmodyfikowanym tytułem powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego „Hybrydy"[1]. Słowa: *all is true (to oczywiste)* użył Kraszewski jako motto swojej powieści. Jej akcja, chociaż to właściwie opowiadanie, rozgrywa się w kurorcie niemieckim Wiesbaden, na terenie Hesji. Musiało się to dziać krótko po wyjeździe poety z Warszawy. W ostatnich trzech latach mieszkał z rodziną w Warszawie przy ulicy Mokotowskiej 48. W roku 1863 musiał uciekać z kraju przed grożącą mu zsyłką na Sybir za zaangażowanie w powstaniu styczniowym. Udał się na teren Niemiec szukając dla powstańców wsparcia i schronienia w landach nie należących do Prus.

Kraszewski napisał wiele powieści, które potem służyły nam jako podręczniki historii Polski. Szczególnie w czasie, gdy nasi rodzice zauważyli, że ta historia w naszych podręcznikach szkolnych jest inna od tej, którą znali z autopsji. Czas opowieści, to czas, gdy dzieje kultury polskiej wpisują się w ruch *Młodej Europy*, której inicjatorami byli obok Włochów, Niemcy i Polacy; to rodzący się modernizm. W tle tej opowieści rewolucyjne zmiany w filozofii zwiastują nowe prądy w poezji. Kraszewski był świetnym kronikarzem, spróbujmy więc podsłuchać o czym rozmawiają kuracjusze w Wiesbaden w połowie lat 60 dziewiętnastego wielu:

– Dosyć dwojga, żeby zabić i oszaleć człowieka — przerwała Ewelina — ale czy wy ludzie jesteście? Przepraszam, pokolenie dzisiejsze, które się przyznaje do pochodzenie od małp, jest też do nich podobne... Szlachetniejsze uczucia gasną... poezya umiera, świat pekeflejszu, piwa i kartofli... górą... Oczy kobiety nic dziś nie mogą, boście im mowę i znaczenie odebrali... O! okropnie! okropnie!

– Skądże tak czarny pogląd na świat, zapytał Starża, ja go nie widzę biało także, to pani wiesz, ale ja to co innego. Je suis paye pour cela, mam lat sześćdziesiąt... a pani..

– Ja mam ośmdziesiąt! przerwała Ewelina, jam stara, zgrzybiała, umierająca, a wyście temu winni, bo młodość nie ma czem żyć na waszym świecie… bo uczucie pochłaniają lody tego oceanu…

Starża podparł się na lasce i począł powoli.

– Nie mogę pani w Wiesbaden przed kursalem wykładać filozofii historyi… ażeby ją pocieszyć; ale powiem tylko, że niezawodnie we sto lat po naszej śmierci wszystko się to na najśliczniejszą, zieloną poezyę odmieni.

– Piękna pociecha! przerwała kobieta – ale ja mam prawo żyć! kochać, być kochaną, szczęśliwą, napić się poezyi, podlecieć nad ziemię… a więzi ranie to błoto wasze… a wasz świat trzyma mnie na sznurze przywiązaną do stajennego swojego słupa.

Dyskusja, którą ilustruje Kraszewski, to autentyczna reakcja na te nowe zjawiska w literaturze. Na styku dwóch epok tworzą się postawy hybrydowe, gdy jeszcze nie odeszło poprzednie a bohaterów opowieści wchłania nowy czas, konfrontuje nas ze sobą los wplątanych w wielkomocarstwowe interesy Rosji, Prus i Austrii.

Dziś nieznajomy, obcy, robi, co chce, a przynajmniej czynić może, co mu się podoba, jak gdyby nikt na niego nie patrzał; gra taką rolę, jaka mu do smaku przypada… nie jest pod nadzorem niczyim prócz swojego sumienia. Z sumieniem zaś… jak wiadomo, człowiek wchodzi w różne układy w potrzebie.

Nie jest li to chorobą społeczną, ta potrzeba i żądza niepomierna ruchu, to szukanie czegoś, co po za sobą znaleść się nie może?…

Rosyan i Polaków liczba była przemagającą, żadna narodowości tylu dobrowolnych nie dostarcza Europie wygnańców, co my i nasi serdeczni nieprzyjaciele.

I im i nam ciężko w domu! nie dziw. ofiarą nie każdy być umie, kątem nie zawsze długo być można. I to męczy…

Na neutralnym gruncie spotykamy się tu w rękawiczkach, nieznajomi, ale spojrzawszy sobie w oczy, sypiemy iskrami pogardy i nienawiści.

Moskale i Polacy zagranicą mamy ten przywilej, żeśmy więcej od innych wyzyskiwani – a ostatecznie budzimy może śmiech i litość. Wśród świata, który pracuje i owoc pracy, grosz szanować umie, my jedni jakbyśmy go odziedziczyli bez potu, sypiemy nim z dziecinną rozrzutnością.

Ale o to mniejsza… rozsypujemy też siebie po gościńcach… w najrozmaitszy, sposób.

Lubią nas, ale bawiąc się nami, na seryo nas nikt nie bierze, prócz… prócz tych których życie całe nie jest seryo.

Na neutralnym gruncie spotykamy się tu w rękawiczkach... Przemiany w literaturze i obyczajowości, sytuacje, położenie społeczne wymagają od bohaterów znalezienia się w postaci hybrydy kosztującego nowy świat, tęskniąc za odchodzącym i marząc o tym, *że niezawodnie we sto lat po naszej śmierci wszystko się to na najśliczniejszą, zieloną poezyę odmieni.* No więc przypomnijmy sobie, co działo się potem.

Józef Ignacy Kraszewski nie doczekał wolnej Polski. Zaangażowany badacz historii na emigracji w Niemczech dostrzegł pojawianie się nowego prądu w filozofii i sztuce. W roku 1884 fantom ekspresjonizmu niemieckiego ujął w swoim programie „Unser Credo" Hermann Conradi. Do ugruntowania tego prądu w Niemczech przyczynił się walnie inny polski poeta i filozof, Stanisław Przybyszewski. Literatura i sztuka *Młodej Polski* stanowi dla nas nieprzemijającą, piękną, jeśli nawet nie najpiękniejszą kartę historii naszej kultury, a przecież ten ożywczy prąd rodził się i rozwijał w kraju, którego już ponad sto lat nie było na mapach. Wydarzenia tego okresu łączą się z fabułą powieści Kraszewskiego, dowodzą w sposób nadzwyczajny, że związki kultur to związki narodów a nie polityków. Przybyszewski zostawił po sobie w historii literatury niemieckiej termin „Przybyszewski-Zeit". Po pozostawieniu po sobie rozpoznawalnych znaków na ziemi niemieckiej, wrócił do Polski. Wrócił do wolnej Polski. Program Conradiego został przeszczepiony przez Przybyszewskiego na łamach krakowskiego „Życia" w styczniu 1899 w niemal bliźniaczy „Confiteor", dając oficjalny początek modernizmowi polskiemu. W Poznaniu patronuje narodzinom „Zdroju".

Nurt ekspresjonizmu rozwijał się jednak w obu krajach inaczej. W Polsce, której w tym czasie nawet nie było na mapie, „od pisarzy i artystów oczekiwano ciągle, że wszystko złożą w ofierze na ołtarzu ojczyzny"[2]. W Niemczech niebawem twórczość modernistów płonęła na stosach miast niemieckich, a twórcy trafili do obozów koncentracyjnych lub ratowali się ucieczką. Lecz nawet ci, którzy uwierzyli w socjalizm, szukając schronienia w Rosji sowieckiej, trafiali tam do lagrów, bo to nie o ten socjalizm chodziło. Pomiędzy tymi orientacjami znalazła się wolna Polska.

Przybyszewski patronował narodzinom „Zdroju", czasopisma wydawanego w Poznaniu w latach 1917-1922, którego twórcy reprezentowali ekspresjonizm w postaci programowej. Już w 1920 roku powstał Związek Zawodowy Literatów Polskich, zaś w 1924 roku została powołana polska sekcja PEN Clubu reprezentująca polską literaturę na forum międzynarodowym. Literatura międzywojenna nie była jednolita. W poezji dwudziestolecia międzywojennego, podobnie jak w prozie, początkowo dominowali twórcy debiutujący w okresie Młodej Polski. Byli to między innymi Bolesław Leśmian, Leopold Staff oraz Jan Kasprowicz. Z czasem do głosu zaczęło dochodzić nowe pokolenie, z którego największą poczytnością cieszyli się twórcy związani z grupą *Skamander*: Jan Lechoń, Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Jarosław Iwaszkiewicz oraz Kazimierz Wierzyński. Oryginalną poezję tworzyły Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, która do swoich liryk wprowadziła elementy erotyczne, nową składnię i obiegowe zwroty oraz Kazimiera Iłłakowiczówna, w której twórczości brzmiała nuta głębokiej religijności. Poezję nawiązującą do tradycji romantycznej tworzyli między innymi Józef Czechowicz i Jerzy Liebert. Nurt rewolucyjny i patriotyczny reprezentował między innymi Władysław Broniewski. Poezję katastroficzną tworzyli Czesław Miłosz i Władysław Sabyła. Oryginalnym i popularnym poetą nie związanym z żadnym liczącym się ugrupowaniem literackim był Konstanty Ildefons Gałczyński. Pojawili się futuryści: Stanisław Młodożeniec, Tytus Czyżewski, Bruno Jasieński.

Najwyraźniejszy związek z aktualnym prądem w literaturze światowej miał dla rozbudzonej intelektualnie Polski ruch awangardowy, obejmujący wszystkie kierunki, które zrywają z realizmem i mimetyzmem i są nastawione na kreację zupełnie nowych jakości estetycznych. Jest to zjawisko nowoczesne, które pojawiło się na początku XX wieku, a w jego obręb zalicza się prądy takie, jak

futuryzm, dadaizm, ekspresjonizm czy surrealizm. Pod znakiem awangardy rozwijali swoją twórczość: Julian Przyboś, Tadeusz Peiper, Anatol Stern, Bruno Jasieński. Awangardziści wychodzili z założenia, że tworzenie nie jest dziełem przypadkowym, ale wyrazem pewnych przekonań, które da się przedstawić w formie jasno sformułowanych zasad. Stąd na początku XX wieku pojawiło się wiele manifestów artystycznych, w których twórcy przedstawiali nową wizję poezji. Prawie każdy ruch awangardowy uważał niemal za swój obowiązek opublikowanie manifestu. Ta zasada nie była obca także polskim awangardystom.

II Literatura *w młynie historii czasu*

Wojna i okupacja niemiecka, stały się sprawdzianem dla polskiej literatury, nie tylko dla samych pisarzy, ale i dla jej znaczenia dla narodu. Środowisko pisarzy zostało chaotycznie rozproszone: część znalazła się w niemieckich obozach koncentracyjnych, część łagrach radzieckich, niektórzy wyemigrowali. Wielu wstąpiło w szeregi wojska polskiego poza granicami kraju, wielu zostało zamordowanych przez Niemców, przez Rosjan lub zginęło w walce. W warunkach okupacji debiutowało całe pokolenie młodych poetów, angażujących się w walkę narodu przetrwanie oraz chroniących wartości narodowe przed grozą rzeczywistości. Pokolenie to nazwane zostało po wojnie „Pokoleniem Kolumbów".

W gettach, niemieckich obozach jenieckich, więzieniach lub obozach koncentracyjnych tworzono poezję okolicznościową (Tadeusz Borowski i Grzegorz Timofiejew). Tomik wierszy powstałych w obozach śmierci to np. „Szopka w Dachau". Poezja obozowa miała na celu podniesienie na duchu więźniów, mobilizację moralną, psychologiczną walkę o godność i przede wszystkim protest przeciwko zbrodniom ludobójstwa.

Ci, którzy pozostali w kraju zajęli się organizowaniem życia literackiego w konspiracji: były to zebrania lub wieczory poezji - spotkania literatów w mieszkaniach w celu dyskutowania i lektury poezji, publikacji. Pisarze uczestniczyli także w współtworzeniu podziemnej prasy i wydawnictw (około 200 z 1500 polskich podziemnych publikacji dotyczy literatury). Duża część pisarzy i poetów walczyła w polskiej armii na obczyźnie, bądź była związana z podziemnym ruchem oporu wojskowym lub cywilnym w kraju.

Faszyzm niemiecki nie przetrwał II wojny światowej, przetrwał ją komunizm i doprowadził do podziałów na świecie nie tylko pod względem ustrojowym, ale głosząc doktrynę uknutą przez Stalina: „historię tworzą zwycięzcy", zmierzał do wymazania lub fałszowania dorobku kulturalnego tych krajów, które zostały podporządkowane sowieckiej doktrynie. Literatura krajowa w tym okresie przeżywała początkowo żywiołowy rozwój. Powstało wtedy wiele wybitnych utworów głównie o tematyce okupacyjno-wojennej. Ówczesne władze wspierały bujny rozwój kultury, licząc na pozyskanie jej do celów propagandy. Wkrótce jednak podjęto działania mające na celu uzależnienie kultury od ideologii komunistycznej. W listopadzie 1947 prezydent Bolesław Bierut podczas III zjazdu Związku Zawodowego Literatów Polskich zapoczątkował rewolucję kulturalną. Uzyskał poparcie ze strony „aktywu" partyjnego istniejącego w związku, który zaatakował „niedostatki ideologiczne" literatury. Mimo sprzeciwu pisarzy katolickich do władz ZZLP weszli komuniści. Na następnym zjeździe w styczniu 1949 komuniści Stefan Żółkiewski i Władysław Sokorski w referatach ogłosili, że socrealizm stanowić będzie jedyne kryterium oceny. Na czele Związku stanął komunista Leon Kruczkowski.

III. Emigracja wewnętrzna (w poszukiwaniu międzymiejsca)

Początkiem powojennej poezji były w kraju nowe tomy dobrze znanych twórców, jak Leopold Staff, Mieczysław Jastrun, Adam Ważyk. Szczególną rolę odegrały zbiory „Miejsce na ziemi" (1945) Juliana Przybosia i „Ocalenie" (1945) Czesława Miłosza; Przyboś pozostał wierny awangardowej poetyce i kreacyjno-dynamicznej wizji rzeczywistości, Miłosz odszedł od poetyki katastroficzno-wizyjnej ku zobiektywizowanej liryce ironii i dystansu. Popularność poezji Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego ugruntował zbiór „Zaczarowana dorożka" (1948), w którym nastrojowy liryzm splatał się z żartobliwą groteską, a rodzajowy realizm — z baśniową fantastyką. Twórczość liryczną kontynuowali też Tuwim i Broniewski. Pośród debiutów najwybitniejszy okazał się tom „Niepokój" (1947) Tadeusza Różewicza, zawierający propozycję nowego sposobu odczuwania oraz nowego, antypoetyckiego i antyestetycznego modelu wiersza.

Państwo w tym okresie posiadało monopol wydawniczy i dążyło do podporządkowania sobie twórczości literackiej. Jego polityka szła dwoma torami. Z jednej publikowano w dużych nakładach klasykę, z drugiej masowo wydawano też literaturę radziecką (dzieła Lenina i Stalina). Oszołomieni zasięgiem totalitarnego oddziaływania partii, zafascynowani dynamizmem systemu, zastraszeni, albo też przekupywani przywilejami materialnymi, jakie przyznawano posłusznym, polscy twórcy coraz aktywniej włączali się w propagowanie nowych kanonów sztuki. U szczytu sławy znajdował się wtedy Władysław Broniewski, (autor „Słowa o Stalinie"), oraz Konstanty Ildefons Gałczyński, autor licznych socrealistycznych wierszy, sprawnie zresztą napisanych. W duchu socrealistycznym pisali czołowi polscy poeci: Julian Tuwim, Mieczysław Jastrun, Adam Ważyk, Antoni Słonimski oraz wielu innych. W prozie dominowały powieści „produkcyjne" o schematycznej akcji i fabule, sławiące ustrój i piętnujące „wrogów ludu". W tym duchu pisali Bohdan Czeszko, Witold Zalewski, Jerzy Putrament, Tadeusz Konwicki, Władysław Machejek, Wojciech Żukrowski, Nieco na wyższym poziomie stały utwory Juliana Strykowskiego i Igora Neverly`ego. Wielu wybitnych pisarzy zaprzestało w tym okresie pracy twórczej. Po śmierci Stalina (1953) zaczęły pojawiać się pierwsze utwory zwiastujące koniec epoki socrealizmu (min. „Poemat dla dorosłych" Adama Ważyka).

Czy akurat Adam Ważyk był tym, który swoim „Poematem dla dorosłych" uczynił istotny przełom? Nie. Ale zrobił wyłom w murze w który weszła fala: dziś powątpiewam, choć tak też wydawało mi się wówczas; mam szacunek dla filologów, którzy pracowali nad rozdziałem „Polskiej literatury współczesnej" Encyklopedii PWN z roku 2007. Niebawem przyszedł bowiem rok 1956, władza zdecydowała się na upust z nabrzmiałego worka, aby nie dopuścić do jego eksplozji.

Październik 1956, negacja realizmu socjalistycznego, najszybciej i najwyraźniej zaowocowała w poezji. Późna twórczość Przybosia zmierzała w stronę poezji kreacyjnej wyobraźni, podejmującej wielkie tematy metafizyczne. Ważyk nawiązał do swych fascynacji kubizmem poetyckim; w wierszach Jastruna odezwały się tony znamienne dla neosymbolizmu z lat poprzedzających II wojnę światową. Dawny futurysta Aleksander Wat powrócił jako poeta doświadczenia historycznego i egzystencjalnego. Różewicz ponowił poetycką analizę świata obdartego z wartości, pogrążającego się w chaosie. Rok 1956 przyniósł kilka debiutów ponownych bądź spóźnionych. Własny ton odnalazła Wisława Szymborska, osiągając pełnię wyrazu w tomach „Wszelki wypadek" (1972) i „Wielka liczba" (1976). Zbigniew Herbert w swych poetyckich książkach od „Struny światła" (1956) po „Pan Cogito" (1974) kształtował wzorzec trwania przy wartościach zagrożonych i odrzuconych. „Obroty rzeczy" (1956) Mirona Białoszewskiego inaugurowały jedno z najoryginalniejszych przedsięwzięć polskiej poezji współczesnej; radykalne zakwestionowanie norm poetyckości usytuowało Białoszewskiego w kręgu poezji lingwistycznej, czyniącej język głównym bohaterem wypowiedzi poetyckiej; innymi przedstawicielami tej orientacji byli: Zbigniew Bieńkowski, Ignacy Karpowicz, Witold Wirpsza. Pośród rzeczywistych debiutów największy, choć krótkotrwały rozgłos zdobył Jerzy Harasymowicz, uważany wówczas za poetę śmiałej, bliskiej surrealizmowi, wyobraźni. Trwalsze okazało się dzieło Andrzeja Bursy, zbuntowanego poety cielesności i cierpienia, a także Stanisława Grochowiaka, który na przełomie lat 50 i 60 w swych wierszach dawał wyraz fascynacji światem brzydoty. Klimat okresu tzw. odwilży, zwłaszcza dążenie do rewizji dogmatów i stereotypów myślowych znalazło wyraz w cyklu mistrzowskiej aforystyki „Myśli nieuczesane" Stanisława Jerzego Leca, również autora fraszek, wierszy satyrycznych i lirycznych.

Wielu literatów nie powróciło z emigracji po roku 1945. Wielu znów wyemigrowało. Ważną pozycję wśród gatunków emigracyjnego piśmiennictwa uzyskał esej; jego niepowtarzalną polską odmianę współtworzyli między innymi: Jarema Stempowski, Stanisław Vincenz, Józef Wittlin, Konstanty Aleksander Jeleński; Czesław Miłosz nadał formę eseju swej pierwszej emigracyjnej książce - „Zniewolony umysł" (1953). Bliski formie eseju jest „Dziennik" (tomy 1–3, 1957–66) Witolda Gombrowicza stał się jego najżywiej odbieranym dziełem i zapoczątkował okres niezwykłej popularności prozy diarystycznej.

Polska stała się jednym z państw totalitarnych. Pojęcie „emigranta wewnętrznego", określono w Niemczech dla grupy pisarzy, którzy podczas panowania reżimu hitlerowskiego nie opuścili III Rzeszy, odpowiadało po zakończeniu II wojny światowej roli pisarza w NRD; są to pisarze, którzy nie opuszczają kraju, ale wycofują się z życia publicznego, milcząc całkowicie jako twórcy bądź unikając tematyki współczesnej. Dlatego eseje Miłosza, które ukazały się w Niemieckiej Republice Federalnej wcześniej niż w Polsce, *już w roku 1953 w renomowanym wydawnictwie Europa Verlag w Stuttgarcie w tłumaczeniu prof. Alfreda Loeple pod sugestywnymi tytułami - „Zdobycie władzy" tłumacz zatytułował „Das Gesicht der Zeit. Menschen in der Mühle der Zeitgeschichte". (Oblicze czasu. Ludzie w młynie historii czasu), odczytywane były w Niemczech jak los ich narodu w Niemieckiej Republice Demokratycznej.*

W młynie historii czasu jest literatura, to świadectwo istnienia człowieka od czasu człowieka jaskiniowego. Współczesna twórczość literacka nie może rozwijać się bez jej krytyki, więc i ona należała na monopolu państwa; była to krytyka medialna będąca sama w sobie instrumentem propagandy a wentylem bezpieczeństwa była cenzura. Kim był typowy krytyk w PRL-u? Według Janusza Sławińskiego, to ekspert z nominacji, który nie powinien ani na chwile zapominać, ze reprezentuje ciało, któremu nominacje zawdzięcza; czyli inaczej, który przemawia do publiczności jako dyplomowany funkcjonariusz jakiejś firmy. I ta instytucjonalna przynależność – jak pisał Sławiński w roku 1979 „ma znaczenie podstawowe, a nie to, czy wypowiada poglądy istotne czy banały lub głupstwa". Charakterystyczna dla tego okresu rola nadzorcy działań →

twórczych mogła być odgrywana zgodnie z rożnymi wzorami: mogła przypominać role prokuratora, policjanta, żandarma, kiedy indziej „zawodowego sykofanta, innym razem rewizora lub kontrolera, ale też wcale często doświadczonego starszego towarzysza – doradcy i przewodnika"3 .

IV. Hybrydyzacja tożsamości cywilizacyjnych

Obie dyktatury, niemiecki faszyzm i radziecki komunizm, doprowadziły jeśli nie do wymordowania w obozach koncentracyjnych i gułagach, to do rozgonienia po świecie pisarzy i intelektualistów. Nie tak dawno spotkałem się z pracą mgr Anny Wolny z Instytutu Filologii Romańskiej UJ o hybrydycznych strategiach tożsamościowych na przykładzie powieści urodzonego w roku 1937 wybitnego pisarza brazylijskiego Moacyra Scliara.[4] Umieszcza on swoje opowieści w przeważającej większości na terenie nierozłącznie związanym przez historię z licznymi falami europejskiej imigracji żydowskiej, ale także włoskiej, niemieckiej, ukraińskiej i polskiej. Obszar spotkania kultur, religii i ras. Anna Wolny w swojej analizie procesów hybrydyzacji imigrantów odwołuje się do formuły innego brazylijskiego krytyka kultury i eseisty, Silviano Santiego według którego hybryda to nie tylko mozaika elementów, ale przede wszystkim nowa jakość, oryginalna i niezależna, oscylująca między dwoma brzegami, istniejąca w „międzymiejscu" (*entrelugar)*. Nie jest wcale konieczne do bycia hybrydą posiadanie pamięci czy świadomości przynależności do Starego Świata – hybrydyczność jest nadaną odgórnie, nie kulturową, lecz biologiczną cechą, która zostaje w wyniku intencjonalnego procesu kulturowego wchłonięta i zredukowana.

Specyficzna w obrębie tego rozdwojenia stała się po wojnie sytuacja w Niemczech, gdzie społeczeństwo zostało w sposób dosłowny rozdzielone murem. Hybrydyzacja dwóch grup sztucznie rozdzielonego narodu? Wolfgang Welsch, filozof niemiecki urodzony tuż po wojnie, dorastający w obliczu rozdzielonego kraju i świadomości istnienia jednego narodu tworzy dla wyjaśnienia tej specyfiki pojęcie „transkultury" (Jedes Individuum habe seine „eigene innere Transkulturalität. (...) Jede Kultur ist hybrid.) Koncepcja transkulturowości mówi, że dzisiejsze kultury w dużej mierze charakteryzuje mieszanie, przenikanie i hybrydyzacja, a kultury nie mają już sugerowanej wcześniej formy jednorodności i odrębności. Pojęcie transkulturowości jako nowej koncepcji kultury powstało w odpowiedzi na brak satysfakcji z koncepcji takich jak wielokulturowość i interkulturowość. Welsch uważa, że opis współczesnych kultur jako wysp lub sfer jest niezgodne z faktami i normatywnie zwodnicze. Teoria mówi, że nasza tożsamość jest w dużej mierze zależna od „obcych" elementów. Częścią kultury jest wymiana różnych stylów życia, wartości i przekonań. Poprzez tę wymianę tworzą się nowe formy połączeń, które tworzą sieci.

Można jednak wyróżnić charakterystyczne cechy literatury ponowoczesnej: intertekstualność, ludyczny charakter utworu, uwolnienie powieści od celów pozaliterackich (utwór nie imituje rzeczywistości, stanowi bowiem dzieło wyobraźni). Dominuje eklektyzm (świadome zmieszanie wielu stylów, poetyk), literacki happening, autentyzm, parodia, zabawa i czarny humor.

To były znamienne dla mojego pokolenia lata 1956 – 1960, gdy na Uniwersytecie Toruńskim aktywizowała się grupa młodych poetów, a wśród nich Janusz Kwiatkowski. Urodził się w pobliskim Ciechocinku tuż przed wybuchem wojny. Jego rodzice byli nauczycielami. Janusz był świadkiem tajnych lekcji dla dzieci polskich prowadzonych w mieszkaniu Kwiatkowskich. W Ciechocinku leżącym w pobliżu byłej granicy rozbiorów Rosyjskiego i Pruskiego osiedlonych było wielu Niemców. Okupant nie przejmując się niekwestionowaną polskością Doliny Kujaw od pierwszych dni, wprowadzając terror i pokazowe egzekucje zmieniał miasto w niemiecki kurort nadając mu nazwę „Harmannsbad". Przybywali kuracjusze z III Rzeszy, ale też nowi osadnicy, a miasto wraz z przebiegiem wojny stawało się szpitalem wojskowym. To była szczególna nauka historii kraju. Janusz wspominał w swojej biografii obraz wagonów kolejowych przeciekających krwią rannych żołnierzy niemieckich ewakuowanych w pospiechu przed nadciągającymi czerwonoarmistami. Czas okupacji kończył dla Ciechocinka także samosądami nad cywilna ludnością niemiecką; w domu Kwiatkowskich znalazła schronienie kilkunastoletnia dziewczyna niemiecka, która jeszcze po zakończeniu wojny chodziła na spacery z Januszem i jej rówieśnikiem Zygmuntem Dmochowskim[5]. Wspomnienie tych czasów maluje się potem w twórczości poety niezatartym obrazem potworności dla obrazu wojny lecz nie nienawiścią do narodu niemieckiego. Przyjaciel i współautor książki biograficznej o Januszu Żernickim[6], Satnisław Jasiński, puentuje ten znaczący moment: „6-letni polski chłopiec chciałby uciec ze swoją 15-letnią niemiecką królewną ze świata ślepej przemocy".

Wydarzenia pierwszej połowy dwudziestego wieku zmieniły świat. Człowiek, jego kultura i sztuka stają się nie tylko zapisem dziejów ale twórca musi odnaleźć siebie często między skrajnie innymi brzegami swojego jestestwa, zostaje wciśnięty w swoje *międzymiejsce*, które dla przeciętnego homo sapiens może być oazą przetrwania, ale dla twórcy jest miejscem obserwacji i reakcji. Staje się hybrydą.

Hybrydyczne jest to, co należy do dwóch lub kilku zbiorów, gatunków lub stylów. Uważa się za hybrydyczną kompozycje dwóch elementów niezwyczajnie połączonych w celu wytworzenia trzeciego elementu, który może posiadać cechy dwóch pierwszych w stopniu osłabionym lub wzmocnionym.

Hybryda to zatem nie tylko mozaika elementów, ale przede wszystkim nowa jakość, oryginalna i niezależna, wędrująca pomiędzy dwoma brzegami, istniejąca w „międzymiejscu". (Anna Wolny, Instytut Filologii Romańskiej „Centaur we własnym kraju – o hybrydycznych strategiach tożsamościowych na przykładzie powieści „O centauro no jardim")

ABSTRAKT

Bo aby stworzyć hybrydę, potrzeba dwóch, co najmniej dwóch.

Od lipca 1988 nie było mnie już w Polsce; wiem tylko z istniejących zapisów i rozmów:

Janusz pozostawił 14 zbiorów poezji. W roku 1998 włocławska MBP wydała całościowy zbiór zatytułowany „Wędrowiec z Tężniopolis". To była wspaniała inicjatywa włocławskiego działacza kulturalnego, Aleksandra Kociłowicza i bibliotekarki pani Janiny Górniak. Mógłbym ten tekst zamknąć zdaniem ze wspomnienia o Januszu jego współziomka, poety Zygmunta Dmochowskiego: „Janusz Żernicki cierpiał, był niedocenionym twórcą, zepchniętym przez politykierów pióra na margines życia."

11 listopada 1961 roku w herbaciarni „Gong" przy Alejach Jerozolimskich w Warszawie odbywa się spotkanie młodych poetów: Macieja Bordowicza, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Jerzego Górzańskiego, Andrzeja Jastrzębca-Kozłowskiego, Zbigniewa Jerzyny, Jarosława Markiewicza, Andrzeja Zaniewskiego. Dołącza do nich Janusz Żernicki. Wszyscy wiedzą o celu w jakim się spotykają, mimo to Edward Stachura i Barbara Sadowska przychodzą mocno spóźnieni. W grupie tej nie ma Jerzego Koperskiego. Pada propozycja stworzenia grupy poetyckiej. A gronie tak zróżnicowanych poetyk nie da się ułożyć deklaracji programowej, ale „orientacja na poezję" jest wspólna. Tak powstaje grupa o nazwie Orientacja Poetycka. Nazwa wydaje się zbyt ogólna, wtedy J. Żernicki proponuje „Hybrydy" i propozycja kompromisu zostaje przyjęta, gdyż nazwa - Orientacja Poetycka Hybrydy – zawiera w sobie to, co wspólne i to, co różni ich między sobą.

Zapis powyższy cytuję wiernie z jedynej znanej mi książki biograficznej o Januszu Żernickim: „Janusz Żernicki - poeta osobny" napisanej przez bliskiego przyjaciela poety, Stanisława Jasińskiego i jego żonę Wandę Kwiatkowską wierząc, że zapis ten zostanie zachowany wiernie w historii literatury polskiej.

Ale historia literatury polskiej nie kończy się na tym: historia literatury polskiej jest wchłaniana przez kształtującą się historię kraju. Politykierzy pióra byli i są. Póki co można kliknąć na polską Wikipedię i dowiedzieć się, że... „*Orientacja Poetycka Hybrydy* to **Orientacja Poetycka Hybrydy** – grupa poetów polskich, debiutujących w latach 1962–1965, której nazwa pochodzi od warszawskiego **klubu studenckiego Hybrydy.** Poetów tych nazywano również „pokoleniem 1960"."

Nie wiem czy historia będzie sprawiedliwa, powtarzam za Jerzym *Leszinem* Koperskim, komentującym wybór wierszy Andrzeja K. Waśkiewicza „*Widmowe światło wspólnoty*" (Anagram 2001). Chciałoby się odpowiedzieć: zależy, kto tworzy historię. A wtedy z widmowego światła wspólnoty pojawia się głos Józefa Stalina – „historię piszą zwycięzcy". Jerzy Koperski odszedł jako twórca Orientacji Poetyckiej „Hybrydy".

All is true... - powiedział Kraszewski. Niemiec powiedziałby: - Alles klar... (wszystko jasne i dodał za niemieckim tłumaczeniem miłoszowskiego eseju: *literatura rodzi się w młynie historii czasu tworząc hybrydowy łańcuch*).

Krystian Medard Manteuffel
(w Niemczech, 2020)

1 Cytat i wypisy pochodzą z I wydania opowieści Józefa Ignacego Kraszewskiego „Hybrydy" wydanej w roku 1869 we Lwowie nakładem Księgarni Gubrynowicza i Schmidta.
2 Marcel Reich-Ranicki 6 marca 2011 na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung": „(...) Literatura polska miała wówczas, coraz więcej obowiązków niż praw. Polacy bronili się przed germanizacją i rusyfikacją. Literatura miała utrzymać w jedności naród, któremu groził rozpad, zastąpić państwo, które już nie istniało.(...)" W roku 1962 Reich-Ranicki mówił o tym w Radu Heskim, a w roku 1963 rozwinął ten temat w eseju Die Rolle des Schriftstellers in Polen. Essays zur Literatur, hrsg. Von A. Frise. Frankfurt am Main 1963.
3 J. Sławiński, Krytyka nowego typu [w:] idem, Teksty i teksty, s. 146. Por. tez D. Tubielewicz-Mattson, Polska socrealistyczna krytyka literacka jako narzędzie władzy, Uppsala 1997.
4 „Centaur we własnym kraju" – o hybrydycznych strategiach tożsamościowych na przykładzie powieści Moacyra Scliara „O centauro no jardim".
5 Zygmunt Stefan Dmochowski (1931 – 2013) poeta, pochodził z zasiedziałego kujawskiego rodu. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Przez dwanaście lat uczył języka polskiego w liceum w Radziejowie. Następnie przeniósł się do Opola, gdzie był nauczycielem, wizytatorem i kierownikiem zakładu szkoleniowego.
6 Janusz Żernicki – poeta osobny, Stanisław Jasiński, Wanda Kwiatkowska. Wydawnictwo Adam Marszałek, 2002.

Krystian Medard Manteuffel

...Ono

...powiedział mi: Ono ...to nie teatr,
*i wszystko przy nim blednie, blednie nawet sama śmierć!**

nie spodziewałem się stanąć raz jeszcze naprzeciw Niego,
zdawało mi się, że dawno zakończyłem spór i że widziałem już
krajobraz manichejski rozłożony na zmęczone walką bieguny

wyczulony na demoniczną sferę zwaśnionych prawd i zakłamań,
dotykalną bliskość przepaścistych głębin i uniesień niebiańskich,
uodporniłem się na pokusy świata i na ascetyczne kontemplacje

gdy zatraciłem sens hiobowych zmagań w nawias zamknęły się
kosmogoniczne ucieczki do ekstremalnych krańców wszechżycia

a teraz Ono, moje własne, nie ze mną już biegnie, lecz z boku
podkłada mi nogę i słyszę Jego chichot, gdy padam na twarz

2009

**Życie to nie teatr – E. Stachura*

Gałązka

Wojciechowi Siemionowi na pamiątkę wspólnej interpretacji Steda w Petrykozach, w kwietniu, 2002.

...zamknęli już ziemię, wyrównali gładko,
być może kamieniarz już ci płytę wyrył;
przycisną, przywalą kilka zwiędłych badyli,
ciężko zatem będzie Tobie i tym kwiatkom

stałem sobie z boku, gdy przechodził orszak,
teraz, gdy już poszli, pozwól, że usiądę;
wszyscy byli w czerni, jak każe obrządek,
a ja, cóż, stare dżinsy no i ta gałązka

już przekwitła dawno, a ja tak bezmyślnie
skubałem i oskubałem wszystkie liście;
zapewne, musiałem z tym wyglądać śmiesznie
chciałem Ci coś, zanim odejdę, powiedzieć,
cóż, głupio, że jestem na Twoim pogrzebie
i wątpię, czy kiedyś spotkamy się jeszcze
przy grobie

Steda, 1979

Pożegnanie z Brunem*

„I co tu wybrać jak nie tę dal - te nogi plecy i chlebak..."
„Nocna w sierpniu rozmowa z Cendresem"
Ryszard Milczewski- Bruno

...i życie moje już mnie nie obchodzi - rozbrat
z nim brać nie bronią dyktatury, sierpomłoty
ogień pali się w czystej czerwonej, a potem
dwa kroki do przodu, trzy kroki wspak, pod wiatr.

to runianne słońce, gdzie głowoboli krew
wody szuka i kładzie się na huśtach fali,
lubiany war od Wisły środek duszy smali,
gdzie wielkie oczy niosą, łabędzia płynie śpiew.

Ten śpiew, że tak głośny, to musi milczenie,
a to milczenie, to nie milczenie to woda,
a ta woda, to nie była woda - to był wiersz
jak już to już, a w oczach to łzy i omdlenie,
a w oczyznę głębie dać się - to i nie szkoda,
a te oczy, nie były oczy - to była śmierć…

maj, 1979

* *Ryszard Milczewski-Bruno zginął tragicznie 17 maja 1979 roku.*

ESEJ

Czesław Karkowski

Parę uwag o dyskusji filozoficznej

Czytam „Heidegger. An Introduction" Richarda Polta (Cornell University, 1999), reklamowaną jako "without a doubt the best general introduction to Heidegger ever written" (bezsprzecznie najlepsze, generalne wprowadzenie do Heideggera, jakie w ogóle napisano). Chyba w połowie książki, zmęczony, zarzuciłem lekturę.

Autor, ewidentny entuzjasta Heideggera, znaczną część rozprawy poświęcił na metodyczne rozwiązywanie sensów podstawowego dzieła Heideggera „Bycie i czas". Wyświadczył jednak filozofowi jak najgorszą przysługę. Wykładając kolejne kroki rozumowania zawarte w tej rozprawie, ujawnił to, co wielu Heideggerowi zarzuca, a o co ja nieustannie go podejrzewam: za zasłoną hermetycznego słownictwa, ezoterycznej stylistyki, kryją się całkiem banalne, pospolite treści.

Fascynacja Heideggerem wynika w dużej mierze (albo i w całości) z atmosfery głębi tej filozofii rzekomo docierającej do takich tajników mądrości, że trzeba ogromnego wysiłku intelektualnego i wielkiej inteligencji, aby przeniknąć sekret życia, bytu, ujawnionego wreszcie w tej rozprawie. To magia alchemika posługującego się wymyślonym dla tej dziedziny wiedzy słownictwem i zawiłą stylistyką, ponieważ ludzkość dotychczas nie miała określeń na tak niezwykłe rewelacje, jakie znajdzie zaklęte w „Bycie i czasie".

Entuzjaści tej filozofii, których przecież nie brakuje, mają na tego rodzaju „wstępy" w stylu Polta, przybliżenia do mądrości Heideggera, gotową odpowiedź. Wykładnia tej filozofii w języku wspólnej komunikacji – powiadają - spłaszcza, zniekształca głębię tej myśli, której inaczej nie da się wyrazić, jak tylko w kategoriach tego właśnie dyskursu. Inni, jak ja, powiedzą: jeśli tych mądrości nie można zakomunikować we w miarę intersubiektywnym języku, to znaczy, że jest to filozofia wymagająca „kultu" – czcicieli, którzy zamkną się w hermetycznym kręgu tej doktryny i mówią między sobą tym właśnie językiem - wtajemniczonych, którym odgradzają się od profanów. Jedyną przepustką do sekty jest przyjęcie tej mowy, bo wraz z nią przychodzi objawienie.

Wspomniany Polt ma oczywiście jak najlepsze intencje i autentycznie pragnie obiektywnie, rzeczowo i w miarę bezstronnie przedstawić dokonania i wielkość filozofa. Efekt przeciwny – Heidegger jawi się w jego prezentacji jako myśliciel banalny, opowiadający truizmy wzniosłym, skomplikowanym językiem. Jest to filozofia miałka, a poza tym przejawiająca agresywną tendencję do omnipotencji: autorytatywnych wypowiedzi o ontologii i o poznaniu, o sztuce, społeczeństwie i polityce, o gospodarce i technologii. Otwiera wszystkie drzwi – w domyśle: dotychczas zamknięte dla człowieka. Ale to, jak wiadomo (określenie dotyczące „mandarynów" akademii) oznacza agresję społeczno-polityczną intelektualisty, który rezerwuje sobie ostatnie słowo (i to najtrafniejsze we własnym przekonaniu) we wszystkich sprawach. Zazdrośnie domaga się rangi „eksperta". W istocie idzie przecież o ów rząd dusz. Heidegger kadził więc Niemcom, jak tylko mógł, że są wielkim narodem i historia (ów najwyższy bóg po likwidacji religii) jest po ich stronie.

Dlaczego trzeba zmarginalizować religię? Bo w przeciwnym razie istnieje coś większego niż „ja" – rzecznik historii, a przecież nic takiego być nie może i nie powinno. Chciał być Heglem XX wieku. Opowiadał się więc za państwem Hitlera, ale i przeciwko niemu, skoro nic nie może sięgać ideału; hitlerowcy byli dlań zbyt prostaccy, a on dla nich – nadto wyrafinowany. A przy tym, co najistotniejsze, jak trafnie wyraził to Polt, „nearly all the ontological claims in 'Being and Time', are simply too general to be branded fascist" (prawie wszystkie ontologiczne twierdzenia w „Byciu i czasie" są zwyczajnie zbyt ogólne, by je napiętnować jako faszystowskie) (s. 163), czy też reprezentujące jakieś inne, np. przeciwne stanowisko. Po prostu nie wiadomo, po jakiej stronie się opowiadał w politycznym i społecznym dyskursie.

Czy był tak sprytny? Nie, skoro nie mógł wyprzedzić swego czasu. Wyrażał się w terminach ogólnych, na tyle niekonkretnych, że można było jego wypowiedzi interpretować w najrozmaitszy sposób. A on sam później wykładał zgodnie z nową sytuacją znaczenie swych stwierdzeń – oświadczając po czasie, że takie właśnie poprawne sensy miał na myśli jakie odpowiadają współczesności.

Wyznawcy i czciciele (używam tych słów celowo, bo kult przybiera formę religijną) Heideggera wyjaśniają tę filozofię według jego kategorii, czyli w istocie nie tłumaczą niczego. Poza tym, co to za filozofia, która potrzebuje objaśnień? Filozof ma być tym, który tłumaczy „świat", a nie go zaciemnia. Ale wskutek specyfiki tego mętnego dyskursu „heideggeryzm" zaczyna się od tłumaczenia tego, co ojciec-założyciel, filozof, miał na myśli i zwykle też wysiłek ów na tym się kończy. W praktyce mamy więc do czynienia z żonglerką terminami, „wyjaśnianiem" przy pomocy pojęć, które dopiero muszą zostać objaśnione. Błąd „petitio principii". Zwolennicy przypominają sektę wtajemniczonych, broniących się przed inwazją, ciekawością profanów. Nie możesz poznać „z zewnątrz", o czym jest mowa. Zawsze pozostanie się „poza". Jeśli zaś chcesz wejść, dostąpić wtajemniczenia, posługuj się tymi znakami mowy tajemnej.

Jeśli zaś chce się przełożyć jego (Heideggera) kategorie na język powszechnie zrozumiały, podlegający dyskursowi, tłumaczenie to dokonuje się w drodze kolejnych interpretacji, które nie wiadomo jak ściśle przylegają do autentycznych intencji Heideggera. Prawdopodobnie nie, skoro interpretacja to zawsze odejście od oryginalnego znaczenia.

W doniosłości utrzymania tej (ezoterycznego) stylistyki tkwi przekonanie, że sprawy filozofii (a ogólniej – humanistyki; w Heideggerze tkwią źródła wielu nowoczesnych a modnych dziś prądów humanistyki) są tak delikatne i skomplikowane, że nie da się ich wyrazić w normalnym, dyskursywnym języku. Kluczem do nich są sekretne teorie i tylko ich tajemna mowa pozwala zrozumieć ujawnioną tą drogą rzeczywistość. Trzeba więc posłużyć się tym językiem i tymi terminami, bo tylko one są nośnikami stosownych znaczeń. Odbiorca musi wejść w tę mowę, zaaprobować płaszczyznę rozumowania. Realną dyskusję można prowadzić wyłącznie wewnątrz teorii, co oczywiście przestaje być rzetelną dyskusją. Na krytykę „spoza" entuzjaści mają dwa gotowe, a podstawowe argumenty: 1. Nie zrozumiał, o co chodzi; 2. Jest zwykłym ignorantem.

**

Język Heideggera jest zapewne kluczem do interpretacji, ale interpretacji z zewnątrz. Autor „Bycia i czasu" jako filozof egzystencji, żywił złudzenie, iż kiedyś, w mitycznej greckiej, a bardzo odległej przeszłości, ludzie stykali się wprost i bezpośrednio z rzeczywistością i elementy tego doświadczenia zawarte są w pradawnym języku presokratyków. Analiza źródeł tych właśnie wypowiedzi pozwoli na uchwycenie pożądanego pierwotnego, oryginalnego doświadczenia rzeczywistości wprost. Dodam, utraconego później na skutek dialektyki Sokratesa i nauki platońskiej.

Naiwny, bo inaczej tego nazwać nie mogę. W zapisanych świadectwach dawnej myśli nie ma śladów bezpośredniego doświadczenia otaczającego świata oraz doznania metafizyki egzystencji, a przy tym trudno sobie wyobrazić, aby mogło być inaczej. Skąd ta moja pewność? Potwierdzenie odnajdziemy w doświadczeniu religijnym jako najpierwotniejszym zapośredniczeniu rzeczywistości i w modelu tego doświadczenia najlepiej przedstawionym zapewne w „fenomenologicznej metodzie" analizy świętości Rudolfa Otto, albo pismach Mircea Eliade traktujących o historii religii. Do niczego wcześniejszego dostępu nie mamy.

Wracając do „złudzenia" Heideggera. On i jemu podobni podzielają przeświadczenie (w istocie pochodzenia biblijnego), że pierwotnie ludzie nadawali miana jednemu, konkretnemu stanowi rzeczy. Kierowali się jakąś pra-poetycką ekonomią lingwistyczną: jedno słowo – jeden element rzeczywistości. Przedarcie się przez gąszcz i pomieszanie określeń współczesności jest możliwe przez dotarcie do pierwotnego (w założeniu podstawowego, elementarnego; w domyśle – trafnego) znaczenia, czyli prawdziwego rozpoznania rzeczywistości.

Samuel Coleridge w „Biographia literaria" zauważa (s. 69 polskiego wydania), że nie istnieją żadne absolutne synonimy „w naszym języku". Oznaczałoby to przekonanie, zgoła pewność, iż w następstwie rozwoju języka to, co obserwator traktuje jako pomieszanie pojęć – dwa złączyły się w jedno; jedno rozszczepiło się na dwa słowa o podobnym znaczeniu, jedne wychodzą z użycia, inne się pojawiają – w istocie jest procesem doskonalenia, niuansowania słownictwa, dostosowywania go do wymogów dnia; innymi słowy – cieniowania znaczeń.

Dodaje złośliwie i anegdotycznie: ktoś, kto usiłuje biciem wydobyć zeznania ze sprawcy, przerywa jego okrzyki bólu: „tylko bez tych dygresji! Cały ten zgiełk nie jest odpowiedzią na moje pytania." Tak jakby owo rozbudowane wielosłowie, m. in. poetyckie, w przekonaniu współczesnych myślicieli służyć jedynie miało maskowaniu jednego jedynego właściwego określenia. To smutek niektórych filozofów pracowicie przedzierających się przez gąszcz, bogactwo określeń jako zbędnej ozdoby tworzącej coraz gęstszą barierę oddzielającą nas od prawdy o rzeczywistości. Tymczasem wła-

śnie o owe „dygresje" chodzi. Język się bogaci, różnicuje, zmienia wraz z historią społeczeństw, a wraz z nim doskonali nasze doświadczenie życia.

Nawiasem mówiąc, dla Coleridge'a, jak i dla mnie, argument filozoficzny jest równie dobry i tej samej mocy, co wiersz, poetycka, metaforyczna wypowiedź, albo zgoła żart.

Mit Adamowy utrzymuje się uporczywie. Nie wierzę w drogę od słów do rzeczy. Zresztą, nie jest to kwestia wiary, ale świadectwa wielosetletnich, daremnych wysiłków dotarcia do tej wymarzonej ostatecznej prawdy. Tymczasem wraz z ewolucją społeczną rzeczywistość wciąż nam ucieka. Osaczamy ją raczej niż jednoznacznie przygważdżamy, doganiamy niż drążymy w głąb, stąd i potrzeba wielu niemal synonimicznych wyrażeń zbliżających nas do sedna. Ponadto, ten trud należy podejmować wciąż i nieustannie.

**

Dla mnie istota heideggeryzmu, jeśli ją w ogóle rozumiem, a nie tylko traktuję jako dogodne narzędzie wyrażania własnych myśli, to przekonanie, iż historia jest pojęciem „syntetycznym a priori", czyli człowieka i jego sprawy zawsze musi się ujmować w kontekście dziejów, w określonym czasie, a nigdy z punktu widzenia jakiegoś, uniwersalnego „everymana", człowieka jako takiego; „podmiotu poznającego" – ulubionej ogólnej kategorii filozofów. Zniósł więc raz na zawsze „nauki" humanistyczne, tj. ich roszczenie do powszechnej ważności w stylu przyrodniczym. Dla Hegla, na przykład, były one możliwe dzięki wprowadzeniu koncepcji „końca historii".

Samuel Earle w artykule „Heidegger, the homesick philosopher" ("Europe", 11 września 2019) pisze, że w istocie dzisiejszy wpływ Heideggera polega na uznaniu jego koncepcji duchowej ojczyzny. Współcześnie coraz więcej ludzi nie czuje się w swoim kraju jak u siebie. Powiadają, że woleliby żyć gdzieś indziej.

To poczucie autor artykułu odczytuje jako bezpośredni sens zwrotu Heideggera. Niezależnie od (pochopnych) politycznych deklaracji, dotyczyłoby to rosnącej w liczbie ludzi, którzy nieswojo czują się pośród zalewających ich ziemie obcych przybyszów. Cudzoziemcy niszczą narodowy charakter kraju i harmonii między ziemią a ludźmi.

Innymi słowy, Heidegger byłby antyglobalistą zanim to słowo miało jakikolwiek sens. Antyglobalizm bowiem to przeświadczenie, że nie wszyscy są równi, ani nie wszystkie kraje (ziemie) są jednakie. Gdyby tak było, panowałaby jednakowa, bezwzględna jednolitość. Tymczasem nie wszyscy pasują do dowolnych społeczeństw, kultury nie są równe sobie a zatem i nieporównywalne, bo przecież ów ruch ludności dowodzi, iż jedne są „lepsze", inne – „gorsze". Heidegger apeluje (nie wprost naturalnie) o zróżnicowanie, o waloryzację ziemi i społeczeństw. Pełna równość to śmierć duchowości.

Jeszcze pod koniec XIX wieku intelektualiści odnotowali przerażające dla nich zjawisko – wkroczenie mas na scenę. „Masa" to termin umowny oznaczający nieokreśloną wielość, niekiedy tłum, coraz bardziej zauważalną wielką liczbę przedstawicieli klas niższych zajmujących fizycznie centralne, coraz ważniejsze miejsce – w rozrywce, konsumpcji, sztuce i polityce - miejsca dotychczas tylko dla elit. „Masa" to konstrukt wygodny celem przeprowadzenia dość arbitralnych (choć intuicyjnie oczywistych) dystynkcji, opisów: tłum i ja, oni (wielość) i my (nieliczni).

„Bunt mas" Ortegi y Gasseta stanowi klasyczną, rzec można, rozprawę na ów temat. Wzrost mas w liczbie i znaczeniu charakteryzuje się określonymi cechami 1. Przeludnieniem – wszędzie pełno ludzi; 2. Pchają się wszędzie. Masy zajmują wszelkie miejsca dawniej przeznaczone dla „lepszych" ludzi. 3. Dyktatura mas. Narzucają swoją wolę, swój gust, swoje preferencje. A są nimi materialna przyjemność, obniżenie poziomu intelektualnego życia społecznego dostosowanego do ich poziomych gustów. 4. Dyktatura mas znamionuje upadek tego świata, klęskę Zachodu. Ortega i Oswald Spengler (a także heideggeryzm) mówią jednym głosem: tam, gdzie pojawia się masa, musi dojść do obniżenia standardu kultury wąsko rozumianej, zepsucia smaku, trywializacji myślowej. Znika autorytet wykształconych smakoszy, tych, którzy się znają na tym, co dobre.

Jedną z recept na trzymanie „masy" z dala od wkroczenia na tereny zarezerwowane dla elity, jest uczynienie literatury/sztuki/filozofii zbyt trudnymi dla pospólstwa do zrozumienia. To była główna (?) recepta na wykluczenie mas z udziału w kulturze. Znany z dawnych czasów teoretyk „kultury masowej", Dwight Macdonald, wprowadził pojęcia kultury „wysokiej" i „niskiej": ta druga jest dla pospólstwa; pierwsza – dla elit. Rozwarstwienie społeczne, które nowoczesny przemysł znosi, wróciło w innej postaci.

Rewolucja w sztuce, literaturze, hermetyczny język Heideggera (jako symbolu wyobcowanego intelektualisty) temu właśnie miało służyć. Jeśli nie da się wyeliminować masy z udziału w kulturze, to przynajmniej niech nie ma dostępu do „prawdziwej" kultury. Utrzyma to konieczny dystans przeciętnych wobec dokonań elitarnych. Stąd teoria (i praktyka) awangardy jako tej, która ciągle „ucieka" przed naporem kultury masowej w tak odległe rejony, że się już dawno pogubiła w tym, co robi, a zdezorientowani krytycy prześcigają się w teoriach mających na celu podciągnięcie nowych dokonań pod kategorie „sztuki".

Pojawiają się pierwsze socjologiczne teorie tłumu z Francuzem Gustave le Bronem „The Crowd" (1895) jako bodaj pierwszym. Tłum jest nieobliczalny, nieracjonalny, kieruje się nagłymi zmianami emocji: to napiera, to rzuca się do panicznej ucieczki. Wkrótce powstają teorie kultury masowej z tym samym przesłaniem, co wymowa refleksji Horkheimera i Adorno utożsamiająca to, co się dzieje w Ameryce z trywializacją gustu, myśli, dokonań. Amerykanizm był dla nich najgorszym przejawem tandety kulturowej – prymitywnej, ogłupiającej, bazującej na elementarnych emocjach („Dialektyka Oświecenia").

Kim więc są ci „prawdziwi" intelektualiści, arystokraci ducha? Dysponują szczególną („sekretną") wiedzą niedostępną dla mas. Albo - są strażnikami prawdziwych wartości, wiecznych, w przeciwieństwie do przejściowych, pobieżnych, którym hołduje nierozumny tłum. Albo: są prawdziwymi profesjonalistami w czasach kultu zawodowych kwalifikacji: mówią językiem specjalistów zarezerwowanym dla tej grupy fachowców.

Problem polegał jednak na tym, jakich argumentów użyć, aby stwierdzić, że to, co podoba się masom, nie jest prawdziwą sztuką/kulturą/myślą. Trzeba zakwestionować to, co miało być ich – intelektualistów – głównym orężem; ich rozum, ich intelekt. Technologia z jej racjonalnością, która znosi podziały społeczne, jest najgorszym wykwitem tego właśnie masowego społeczeństwa: dla wszystkich po równo i w możliwie jak najlepszym gatunku. Stąd wrogość do Ameryki - nie tylko ze strony Heideggera - symbolu kraju zawładniętego przez prostackie masy (cytaty z co większych głupstw, jakie filozof wypisywał przeciwko USA, znaleźć można w artykule Johna T. Giordano – „Catchwords: On Heidegger and "Americanism"). Stąd nieufność do logiki, podejrzliwość w stosunku do racjonalnej argumentacji. I stąd wywyższenie intuicji naturalnego arystokraty ducha, wiary w jego czucie, albo „lepszą" wiedzę. Skąd? Wcześniej – z urodzenia, urodzenia, z tytułu, z zajmowanego miejsca w społeczeństwie; później z wyrafinowanego wykształcenia znawcy wiedzącego, co dobre, a co nie, co jest prawdą, a co pozorem tylko.

Elita decyduje o cywilizcji narodu, jest istotą społeczeństwa. Tam wśród niej, dokonują się najważniejsze procesy intelektualne. Każdy wytwór jej myśli winien być studiowany z nabożeństwem. Emanacje ich ducha mogą być trudne do zrozumienia dla „mas", ale należy wierzyć, iż tkwią w nich uniwersalne wartości, choćby na pozór wydawało się inaczej. Myśl ta jest zaklęta w słowie niezwykłym, dalekim od potocznego użycia, sprofanowanego przez „masy". Sięgnięcia do takiego właśnie ezoterycznego języka wyraża przekonanie, że sprawy filozofii (humanistyki) są tak delikatne i skomplikowane, że nie da się ich wyrazić w normalnej, dyskursywnej wypowiedzi. Kluczem do nich są sekretne teorie i tylko ich język pozwala zrozumieć ujawnioną tą drogą rzeczywistość. Trzeba więc posłużyć się tą stylistyką i tymi terminami, bo tylko one są nośnikami stosownych (w ich przeświadczeniu – autentycznych) znaczeń. Odbiorca musi wejść w ten język, zaaprobować płaszczyznę porozumienia – na „ich" warunkach. Realną dyskusję można prowadzić wyłącznie wewnątrz teorii, co oczywiście przestaje być rzetelną dyskusją. Przypominając: na krytykę „spoza" gotowe są dwie podstawowe strategie ratunkowe: 1. Nie zrozumiał, o co chodzi; 2. Jest zwykłym ignorantem, prostakiem.

I tak się krąg współczesnej dyskusji zamyka.

**

Efektem tej rozpowszechnionej praktyki jest daleko idące wyobcowanie (by nie użyć modnego słowa „alienacja") akademickiej filozofii (nauk humanistycznych) ze społeczeństwa. Podniesienie jej do rangi nauki (tradycja heglowska), albo właśnie do rzędu fachowej wiedzy tajemnej (rodem z Heideggera) spowodowało, że „zawodowi" filozofowie (humaniści) mówią do siebie, piszą dla siebie i wzajemnie się oceniają – podług kryteriów coraz mniej zrozumiałych dla społeczeństwa. Zamykają się w wąskich kręgach „specjalistów" i są z tego zadowoleni.

Zawarte w powyższym artykule sugestie sprowadzić można do dwóch zasadniczych zaleceń: 1. Należy wyprowadzić filozofię z murów uniwersyteckich i uczynić ją z powrotem dziedziną społecznej komunikacji; 2. Wziąć sobie do serca imperatyw Ezry Pounda: „make it new". Filozofia to nie dziedziną porosłych kurzem teorii, ewentualnie omawianych i analizowanych przez „zawodowców" – historyków, ale żywą wciąż i aktualną dziedziną refleksji; pokazać, na przykład, że myśl św. Augustyna, Dunsa Szkota, Leibniza czy Vico może być dla nas dziś ważna i mówić coś o nas samych i o współczesności.

Czesław Karkowski

Czesław Sobkowiak

x

Na polne i leśne kwiaty
I na krzewy przydomowe
Kształty roślin gałęzie
Także idzie poezja
Patrzę i milczę z jej powodu

Czy wyobrażasz sobie
Że liście kora trawa mech
Mogłyby bez niej starać się
Każdego roku od nowa nabierać blasku
Pozostawione samym sobie

x

Coś robię akurat przed południem
Ciągle coś potrzeba bez ponaglenia
Zbieram i przenoszę kawałki drewna
Na miejsce pod dach by schły na zimą
A co jeszcze to się zastanowię

Wiem że są rzeczy tego dnia ważniejsze
I nie ma sekundy czasu na dywagacje
Przychodzi komuś domu bronić
Być człowiekiem gdy zechcą związać ręce
Bez zawahania wiedzieć jak się zachować

x

Nie za dużo mówię
Ani chcę wziąć na siebie
Całą rozległość
Codziennego zamętu
Koniecznego rozstrzygania
Mieć potem na własność
Nieuniknione wyrzuty
Choć to nie jest logiczne
Ale ja nie chcę
Za dużo zgubić

x

Ta cząstka nie jednaka
Mowa w niej bezimienna
Która mój mózg zwabia
Przychodzi nie w pełni
Jednak stara się zaułki rozjaśniać
Są tylko akcenty i małe znaki
Jakieś sygnały z nieznanego adresu
Z daleka z bliska w podróży
Sprawia w szary zwykły dzień
Gdy zewsząd idzie chłód na ręce
Że nie jestem głodny innej treści

x

Ludzie wstają do codziennych zajęć życia
Ubierają się szybko coś jedzą biegną na autobus
Bo jeszcze ich mięśnie są silne i liczą że wiele się uda
Swojego życia nie zgubić ale unieść nieco dalej
A nawet przekonać się co to jest czas darowany

Czasem życie wychodzi na plus i opowieści są na plus
Pewność zdaje się obejmować nieskończoność chwili
Nie łamie się dach nad głową i trwa podłogi poziom
Zanim się okaże po wszystkich złudzeniach że czeka łza
I ziemia mówi to czego wcześniej nie chciała powiedzieć

x

Życie biegnie i dobiega
I teraz mówi zdawkowo
Otwartym tekstem
W nieco szorstkim tonie
Gdziekolwiek jestem
Że zawsze chodziło
O to samo jedno
Ile w stopach
I ile oddechu

x

Wystarczył nocny deszcz i szelest
Ciepło światło rano mgła nad asfaltem
To co ginęło odnalazło sens
Liście mogły się rozwinąć

Czemu mnie nie wystarcza
Mylę się dokądkolwiek idę
Nie ma tego czegoś jakby deszczu dla mnie
Choć się rozglądam

Nie słyszę jednego zdania
Oczy nie widzą jednego obrazu
Oprócz tego biorą górę różne zwątpienia
Zawzięte gdy z nimi próbuję rozmawiać

x

Odzywa się
Moja wyobraźnia
I wprawia się w ruch
Którą niepotrzebnie
Próbuję zapisywać
Lecz na nic wysiłek
Odzywa się tak
Że wszystko niewiadome
Kosmicznie ją przerasta

Dariusz Pawlicki

O NIEISTNIEJĄCYM (JESZCZE) SPOŁECZEŃSTWIE MECENASÓW

„Rzeczy tworzące naszą cywilizację (...) nie powstały dzięki nam samym (...), lecz dzięki trudom i cierpieniom nieprzerwanej wspólnoty ludzkiej, której jesteśmy ogniwem (...). Na nas ciąży odpowiedzialność za dziedzictwo wartości, które przypadło nam w udziale, za jego przechowywanie, przekazywanie, doskonalenie i rozszerzanie, tak, by ci, którzy przyjdą po nas, mogli je przejąć jako trwalsze i pewniejsze, jako bardziej dostępne i hojniej rozdzielone pomiędzy wszystkich".

John Dewey, Common Faith.

Tzvetan Todorov w *Ogrodzie niedoskonałym [1]*, między innymi, napisał:

Montaigne uważał, że ludziom trzeba pozwolić na kierowanie własnymi sprawami nie dlatego, że są dobrzy i inteligentni (bo nie są), lecz dlatego, że nikt tego za nich nie zrobi.

Pominę, przynajmniej w tym tekście, przekonanie Michela Montaigne'a, że ludzie nie są dobrzy i inteligentni. Natomiast skupię się na jego zdecydowanej, niezabarwionej żadnymi wątpliwościami, pewności, że nikt, tylko każdy z nas indywidualnie, winien kierować własnymi sprawami. On, żyjący w XVI wieku, o tym wiedział. Ale dlaczego ogromna większość spośród ludzi wiodących życie na początku XXI wieku, w tzw. świecie zachodnim, nie ma nic przeciw temu, aby w tak szerokim zakresie kierowało nimi mrowie urzędników wszelkich szczebli? Uważa to przy tym za rzecz jak najbardziej normalną. Mało tego, wręcz nie wyobraża sobie, aby mogło być inaczej. Czy to przekonanie wynika z braku wiary we własne siły, przyzwyczajenia czy braku samodzielności, a może jest wynikiem lenistwa? Powody najpewniej są różne. Lecz nie można wykluczyć i tego, że w przypadku niektórych osób, w grę wchodzą wszystkie wymienione przyczyny.

To właśnie z tytułu owego kierowania/rządzenia wspomniani urzędnicy są opłacani (niektórzy sowicie). Lecz czy naprawdę należy oddawać tak wiele, jak to ma miejsce, osobistej suwerenności w ręce ludzi, których osobiście znają bardzo nieliczni, a pozostali, co najwyżej, z imienia i nazwiska? Moim zdaniem odpowiedź winna brzmieć: Nie!

Spod pióra rodaka Montaigne'a, ale żyjącego dwa wieki później, Alexisa de Tocqueville'a wyszło i takie oto zdanie:

Naszych współczesnych ustawicznie żerają dwie sprzeczne namiętności: potrzeba, by ktoś prowadził ich za rękę, i pragnienie zachowania wolności. Nie mogąc pozbyć się żadnego z tych przeciwnych instynktów, starają się zaspokoić oba naraz [2].

Z dwóch sprzeczności wskazanych przez Tocqueville'a wybieram tę drugą, z pierwszej, ochoczo rezygnuję.

Jest jednak tak, jak jest: jesteśmy we władzy ludzi specyficznej profesji. Owo powierzenie swego losu w ręce innych, dotyczy zresztą każdej dziedziny ludzkiej działalności. I rzecz jasna jest bardzo wiele przesłanek ku temu, aby w imię dobra wspólnego zrezygnować z części indywidualnej wolności/niezależności (nie negując takiej potrzeby, zwracam przede wszystkim uwagę na skalę zjawiska). Rzecz w tym, iż ta rezygnacja może być większa bądź mniejsza. Ale tak jakoś „dziwnie się" dzieje, że jest ona, niestety, większa, coraz większa! To znaczy - inaczej niż bym oczekiwał. Jak mogłaby wyglądać rzeczywistość kształtowana przez ludzi tworzących pewną wspólnotę, choćby narodową, ale polegających, przede wszystkim, na sobie, przedstawię na przykładzie kultury, która jest mi szczególnie bliska. Właśnie na jej przykładzie, a nie, chociażby, polityki, gdyż, jak stwierdził Aleksander Sołżenicyn: „Życie polityczne nie jest wcale głównym przejawem życia człowieka, polityka nie jest bynajmniej upragnionym zajęciem dla większości ludzi. Im bardziej rozbuchane w kraju życie polityczne, tym więcej ponosi strat życie duchowe. Polityka nie powinna dławić duchowych sił i twórczego tchnienia narodu" *[3]*. A ponieważ polityka jest przede wszystkim przejawem władzy państwowej w dziedzinie społecznej, gospodarczej, kulturalnej, wojskowej, jak też innych, więc zacytuję taką oto myśl Andrzeja Strumiłły:

Największym wrogiem państwa jest życie duchowe jego obywateli [4].

Nad owym życiem, jak nad żadną inną sferą działalności człowieka, państwu, jakiekolwiek by ono nie było, najtrudniej jest bowiem roztoczyć kontrolę. Dla wielu państw, a konkretnie pewnych ich instytucji, istnienie owej trudności było i jest, niemal, zniewagą!

Wrogie kulturze, i to często wbrew zamierzeniom swoich inicjatorów, jak też na przekór nazwie, jest państwo kulturalne (określenie, zdawałoby się, jak najbardziej pozytywne). Takiego terminu używa Marc Fumaroli w książce *Państwo kulturalne; religia nowoczesności [5]* na określenia sytuacji, gdy państwo, a konkretnie państwo francuskie, za pośrednictwem swych agend, od kilku ostatnich dziesięcioleci wywiera potężny, wręcz dominujący wpływ na kulturę. Przyczyniając się do jej kształtowania na miarę potrzeb rządzących koterii, grup sprawujących władzę. A kultura „przykrawana", kształtowana, to, jak twierdzi Fumaroli, „innymi słowy – propaganda". Propaganda ta ma służyć grupom „trzymającym władzę". To właśnie na jej rzecz działają urzędnicy reprezentujący najpotężniejszego mecenasa francuskiego, to znaczy, wspomniane, państwo. To oni decydują o tym, kto konkretnie, a także jakie przejawy owej kultury, wypłyną na, przysłowiowe, szerokie wody. Celowi temu służy, między innymi, organizowanie wielkich wydarzeń kulturalnych, na przykład wystaw obrazów o światowej renomie, mających sprawić, aby oglądający poczuli, że kultura, i to ta najwyższego lotu, wszelkimi porami przenika do ich wnętrza. Nawiasem mówiąc, czy można mówić o jakimkolwiek kontakcie z dziełami, gdy jest się pośród tłumu? A organizatorom właśnie na tych tłumach najbardziej zależy. Dlatego tak wiele, i to praktycznie za wszelką cenę, czynią, aby były one obecne.

Za sprawą kierowania (chciałoby się powiedzieć – ręcznego) kultura, przynajmniej ta ogólnie dostępna, traci swoją pierwotną wielopostaciowość, wielopoziomowość. To znaczy ubożeje za sprawą narzucania ludziom/obywatelom tak „uśrednionej" oferty kulturalnej, aby jak największa liczba odbiorców mogła znaleźć w niej Coś dla siebie. To więc, co nie mieści się w tej „uśrednionej" kulturze, według państwa kulturalnego, a dokładniej mówiąc – jego funkcjonariuszy, nie zasługuje na uwagę.

Proszę zauważyć, jak wielką rolę w państwie kulturalnym odgrywa to, co można policzyć: liczba sprzedanych biletów, zwiedzających, wystaw; wysokość budżetu itd.

*

Kultura jest tą dziedziną ludzkiej działalności, którą, tak jak zresztą pozostałymi, w naszej części Świata, zawiaduje ministerstwo kierowane przez ministra. Nazwa tego resortu w różnych krajach jest różna, ale najczęściej występuje w niej słowo „kultura" odmienione w drugim przypadku.

Ministerstwo kultury – ministerstwem kultury, ale w tej dziedzinie najwięcej mogłoby zależeć od obywateli. Mogłoby, ale jest inaczej. Choć o tym, że oni są najważniejsi, mówi się, a jakże. Rzecz jednak w tym, że wygłaszane są opinie jednostronne. Owa jednostronność polega na podkreślaniu, że kultura nie może istnieć bez odbiorcy. W takich sytuacjach informuje się, jak wiele osób obejrzało jakiś film, zakupiło tę czy

inną płytę muzyczną itd. Ale nie czyni się kroku dalej, aby pokazać/wskazać, choćby w czasie powtarzających się kłopotów finansowych ministerstw kultury, że byłoby jak najbardziej wskazane, aby jak najwięcej spośród nas stało się... mecenasami. A doprecyzowując: ludźmi świadomymi możliwości, jakie daje/stwarza indywidualne wspieranie kultury, czyli mecenat na skalę może niewielką, ale bardzo istotną (zwłaszcza, kiedy weźmie się pod uwagę możliwą liczbę potencjalnych mecenasów). Początkiem musiałoby być jednak uświadomienie sobie przez kolejne osoby, że wydają pieniądze nie tylko, aby Coś nabyć bądź Coś zobaczyć, ale także po to, aby Jakąś inicjatywę lub Kogoś wesprzeć. A niekiedy, dosłownie, utrzymać przy życiu. Z tego względu dwa słowa spośród tych, jakich dotąd użyłem w tym eseju, są kluczowe ze względu na jego przesłanie: świadomość i mecenat. To dlatego, że uważam, iż każdy z nas, najczęściej w sposób skromny, ale jednak, ma możliwość, swoistego rodzaju, opieki nad tą czy inną dziedziną kultury. Branie pod uwagę czynnika finansowego jest, oczywiście, niezbędne, wręcz konieczne. Zresztą określenie „mecenat" zawiera wyraźne odniesienie do sfery finansowej (na takowym wsparciu, w znacznym stopniu, polegała działalność Caiusa Cilniusa Maecenasa, od którego nazwiska wzięła się nazwa działalności mającej na celu opiekę nad sztuką, literaturą, nauką; także nad jej twórcami). Brak owego wsparcia, najpewniej, nie zaszkodzi tradycyjnej kulturze ludowej (to fakt, że będącej w odwrocie), jak też jej współczesnej wersji – to znaczy popkulturze, którą współtworzy na przykład hip-hop. Natomiast istnieć przestaną, albo zostaną ograniczone te obszary kultury, które wymagają dłuższego czasu na powstanie dzieła bądź zakupu wielu komponentów/elementów, aby mogło dojść do jego stworzenia. Przykładem może być rynek prasy literackiej (ze szczególnym uwzględnieniem tej jej części, która ukazuje się w wersji papierowej). Wspominam o czasopismach literackich, jak też społeczno-kulturalnych (literatura jest w nich obecna, nie tylko w postaci różnych omówień, recenzji), ponieważ wspieranie ich może służyć, jako ilustracja działania indywidualnego mecenatu. A jemu właśnie, jak już podkreślałem, przede wszystkim poświęcam ten tekst. Przykład prasy wspomnianego rodzaju jest interesujący, choćby, z tego względu, że nakłady tworzących ją tytułów są, niestety, niewielkie. Regułą jest 300 - 1000 egzemplarzy. Bardzo rzadko w grę wchodzi 2000 egzemplarzy. Lecz w sytuacji, gdy wysokość nakładu jest taka, jaka jest, to znaczy najczęściej niska, jeden więcej sprzedany, albo zwrócony wydawcy egzemplarz, nie jest błahą sprawą. A stała liczba zakupionych egzemplarzy (oczywiście, najlepiej, gdyby był to stały wzrost) gwarantuje istnienie tego czy innego tytułu. Jest też dopingiem/zachętą dla redakcji do kontynuowania działalności. Stanowi również podstawę do snucia planów na przyszłość. I to nawet wtedy, gdy pewna liczba nabywców konkretnego tytułu, kieruje się przy zakupie, nie jego całą bądź prawie całą zawartością, ale tylko tym, że publikuje w nim autor, którego twórczość podziwiają. Bez względu na to, z jakiego rodzaju czytelnikiem ma się do czynienia, niezmiernie ważna jest jednak owa świadomość (najczęściej jednak jej brak), że nie chodzi wyłącznie o sam zakup. Ale również o mecenat – świadome przyczynianie się do istnienia/trwania Czegoś. Zresztą może on przybrać też formę darowizn przekazywanych na rzecz wybranego/wybranych tytułów. W tym wypadku systematyczność i stała kwota nie są istotne. Liczy się każdy taki gest - jest bowiem dodatkowym wsparciem.

Piszę o tego typu prasie, gdyż po pierwsze, jak już wspomniałem, jest znakomitym przykładem możliwości tkwiących w każdym człowieku, jako potencjalnym mecenasie. Po drugie, zwracam na nią uwagę, gdyż powszechne są utyskiwania na szczupłość tego rynku, na znikanie z niego kolejnych tytułów (dotąd istniejące niekiedy zastępowane są nowymi), na ograniczanie nakładów. Wystarczy jednak zapytać jednego czy drugiego utyskiwacza w powyższej kwestii, aby niezwykle często dowiedzieć, że nie kupuje on prasy literackiej w ogóle, albo czyni to sporadycznie. Nie widzi bowiem zależności pomiędzy sytuacją w konkretnej dziedzinie, a swoim postępowaniem. To zresztą jest kolejny przykład na dostrzeganie przyczyny jakiegoś zjawiska w uczynkach bądź poniechaniach ze strony Innych! Winni zawsze są Inni!

Podobnie jak z prasą, rzecz ma się z teatrami czy kinami. Nie kupując biletów do tych instytucji sprawimy, że one w końcu przestaną istnieć. Tak więc chodząc do nich (używam formy „my", ale nie uczęszczam do tych placówek, przyznaję się), aby obejrzeć najnowszą inscenizacje czy też film ulubionego reżysera, winniśmy być świadomi tego, co spowoduje nasze poniechanie w tym względzie.

Nie inaczej jest z księgarniami. Przykładowo w rejonie swego zamieszkiwania mamy dwie księgarnie. Jedna z nich jest niewielka, z miłą atmosferą, właścicielem orientującym się znakomicie w świecie książki, z tym, że ceny oferowanych w niej pozycji są wysokie. Druga księgarnia (oferuje nie tylko książki) jest kilkupiętrowa, pośród sprzedawców wciąż pojawiają się nowe twarze. Ale książki oferowane w niej są tańsze niż w tej pierwszej. Aby pooddychać „książkową", niemal intelektualną atmosferą, porozmawiać, nie tylko o nowościach, ale w ogóle o książkach, przewertować interesujące pozycje, chodzimy do tej mniejszej. Natomiast w celu nabycia jakiegoś tytułu – do tej większej. A gdy, po jakimś czasie, ta pierwsza upadnie, będziemy żałować, i to bardzo, że kolejny raz zwyciężyła komercja. Zwyciężyła, gdyż jeden z drugim, trzecia z czwartą przyczyniła się do tego. Niestety, najczęściej nie towarzyszy temu żadna refleksja!

Ceniąc pracę jakiegoś, na przykład, grafika, choćby od czasu do czasu zakupmy pracę, która wyszła spod jego ręki. Po to, aby miał na wikt, opierunek i kwaterunek. Bo to, że będzie tworzył, nawet wtedy, gdy nie dokonamy żadnych zakupów, jest pewne. Nie kieruje się on bowiem racjami ekonomicznymi. Do tego imperatyw tworzenia jest siłą nie do okiełznania – artystą się jest (nawet wówczas, gdy się nie tworzy), a nie bywa nim. Tak samo jest z prozaikami i poetami.

Często, wręcz bardzo często, nie zdajemy sobie sprawy, że nasze poczynania i zaniechania mają daleko idące konsekwencje. W tym przypadku - w różnych dziedzinach kultury.

Jeżeli będziemy reprezentować typ wspomnianego mecenasa, wówczas aktywność bądź bezwład w rozmaitych dziedzinach kultury, nie będą zależały, w tak znacznym stopniu jak dotąd, od „rozdawców" rozmaitych grantów lub od ich braku. A nikt sprawami kultury nie pokieruje lepiej niż my sami, to znaczy jej bezpośredni odbiorcy (także jej twórcy, ale o nich w tym eseju będzie niewiele). Jest jednak istotny do spełnienia tego warunek, który powtórzę: musimy zdawać sobie sprawę z tego, że tak wiele od nas zależy. I to wbrew temu, co przywykło się twierdzić! A gdy to sobie uświadomimy, dobrze byłoby, abyśmy uczynili krok do przodu...! Wtedy zaś, żeby już pozostać przy przykładzie czasopiśmienniczym, nie będą miały miejsca ograniczenia w liczbie ukazujących się tytułów, jak też zmniejszenia ich nakładów. Ale skoro brakuje indywidualnych - to znaczy potencjalnie bardzo licznych, ale drobnych mecenasów - to jest jak jest... W tym wypadku siła jest w masie; koniecznie jednak myślącej.

Ale rola mecenasów nie sprowadza się wyłącznie do wspierania takiej czy innej instytucji związanej z kulturą, gdyż, jak zauważył Marc Fumaroli: „Nigdy dość powtarzania, że talent mecenasa jest akuszerem talentów artystów i pisarzy" *[6]*. Nic dodać, nic ująć.

*

Mnogość mecenasów, cóż z tego, że działających w skromnej bądź bardzo skromnej skali, pozwoliłaby uniknąć wielu twórcom kultury przyjmowania postawy klienckiej, to znaczy chęci spełnienia oczekiwań (niekiedy za wszelką cenę). A taka postawa dawała i daje o sobie znać w kulturze, jak i w każdej innej dziedzinie ludzkiej działalności.

Waga/przydatność/ranga, na przykład, wynalazku jest oceniana niezależnie od przesłanek, jakie kierowały uczonym / wynalazcą. Jeśli chodzi jednak o dzieła sztuki czy literatury, to sprawa nie jest tak prosta. To znaczy jeśli czas powstania takiego dzieła ginie w mrokach dziejów, wówczas ocena postawy jego twórcy, jak też celu, jaki jemu przyświecał podczas tworzenia, staje się sprawą marginalną, wręcz nieważną. Lecz w przypadku tych całkiem współczesnych, wspomniany kontekst nie będzie obojętny dla oceniających wymowę samego dzieła. Rozszerzenie/upowszechnienie zjawiska mecenatu sprawi, że wielu twórców uniknie, mówiąc wprost i dosadnie, świnienia się. Bo jak powiedział Albert Camus odnośnie pisarzy, co można jednak rozszerzyć na ogół twórców kultury: „Pisarz nie może służyć tym, którzy tworzą historię; służy tym, którzy jej doświadczają".

*

Pisząc o powyższych sprawach, ze zrozumiałych względów, mam na myśli przede wszystkim Polskę (opisywane zjawiska mają miejsce także w innych krajach). A w niej, mimo funkcjonowania tak wielu organizacji pozarządowych, jak też bogacenia się społeczeństwa (jako takiego), wciąż ma miejsce spoglądanie wprost bądź ukradkiem, na tę czy inną instytucję państwową czy samorządową. Chodzi tu jednak nie tylko o władze najwyższe, ale też niższych szczebli. W tych przypadkach jawnie, bez zażenowania, oczekuje się, aby dało o sobie znać państwo kulturalne, które to określenie przywołałem za sprawą Marca Fumaroliego. A owo państwo ma cele nie do końca „kulturalne" (o czym była mowa). Wymaga też spełnienia urzędniczych/konkretnych oczekiwań.

Będąc społeczeństwem mecenasów mielibyśmy dużo większe możliwości zaspokajania naszych indywidualnych potrzeb. A te są o wiele bardziej zróżnicowane niż przewidują to rozporządzenia wydawane przez ten czy inny urząd.

*

Przykłady takiego oddolnego mecena-

tu można mnożyć. Ale dodanie kolejnych, do wymienionych powyżej, pozostawiam Szanownym Czytelnikom. Jeśli oczywiście mieliby na to ochotę. Wspomnę jednak na koniec, że nie było i nie jest moim celem dyskredytowanie mecenatu państwowego. Natomiast, po pierwsze, przemawia przeze mnie potrzeba zwrócenia uwagi na szkodliwość czyjejś dominacji w skądinąd specyficznej dziedzinie, jaką jest kultura. Po drugie, pragnąłem zaprezentować oddolne, obywatelskie antidotum na takowe zjawisko.

P. S.

I.

Na zakończenie odczytu, jaki wygłosił w Bangkoku, na kilka godzin przed swą tragiczną śmiercią, Thomas Merton wypowiedział następującą radę:

Kiedy już zapomnicie wszystko inne, co zostało powiedziane, proponuję wam zapamiętać na przyszłość to właśnie przesłanie: «Od tej chwili każdy stoi na własnych nogach» [7]..

II.

W obronie autonomii człowieka, także tworzonych przez niego organizacji społecznych, religijnych, wypowiedział się w 1931 r. (czas rosnących w siłę totalitaryzmów), w encyklice *Quadragesima Anno*, papież Pius XI. Poniższy interesujący cytat dotyczy całokształtu działalności człowieka, także tej kulturotwórczej:

Nie wolno jednostkom wydzierać i na społeczeństwo przenosić tego, co mogą wykonać z własnej inicjatywy i własnymi siłami, podobnie niesprawiedliwością, szkodą społeczną i zakłóceniem porządku jest zabierać mniejszym i niższym społecznościom te zadania, które mogą spełnić, i przekazywać je społecznościom większym i wyższym.

Dariusz Pawlicki

---

[1] Tzvetan Todorov, Ogród niedoskonałości; Czytelnik, Warszawa 2003.
[2] Alexis de Tocqueville, O demokracji w Ameryce, PIW, Warszawa 1976.
[3] Aleksander Sołżenicyn, Kak nam obustroit' Rossiju?
[4] Andrzej Strumiłło, Factum est; Oficyna Wydawnicza Stopka, Łomża 2008.
[5] Marc Fumaroli, Państwo kulturalne, religia nowoczesności; Universitas, Kraków 2008.
[6] tamże.
[7] Przetrwanie czy proroctwo? Listy Thomasa Mertona i Jeana Leclercqa; Wydawnictwo homini,Kraków 2004.

Janusz Stobiński

Elżbieta Juszczak

Róża

Różo Północy, naga Różo śniegu,
która w kaskadach spływasz między drzewa.
Różo Polarna z magnetycznym okiem,
tańczysz nam na lodowej krze.
Kto całuje twe oczy, promień czy nadzieja?
Różo Pogody, Różo Huraganu,
szkarłatna Różo na białej pościeli.
Kto o zmierzchu zamyka twe oczy
tęsknoty większej niż śmierć?
Senna różo oddechu lżejszego od powietrza,
piąstko, szeleście, płatku, nawiasie istnienia.
Pąsowa Różo pachnąca naftaliną,
rycerska Różo herbarza, szermierko. Różo paziów i króli.
Pani naszych włości, łuczniczko nadziei,
głupi kwiatku, ścięty jednym ruchem
pamiętający słoneczne ogrody.
Ścięta różo szafotu i Różo pątników, Różo ptaszników
i Różo morderców. Różo długich noży, Różo litanijna
z kościoła Świętego Marcina, gdzie kobiety umierały w męce.
Piękna Różo mrozu świecącego z okna.
Różo skrojona srebrem łyżwy pod wysokim niebem.
Różo chłopca skaleczonego miłosnym spojrzeniem.
Różo warg napiętych do bólu.
Różo żagli rozpiętych między jeziorami.
Różo snu, lasu, ogrodu, wiejskiego wyrębu.
Różo pogrzebowa rzucona na piasek.
Arcyróżo dumna jak katedra. Morska Różo wiatrów,
zapomnianych kochanków, ich pocałunków,
które porywa huragan Kioto. Podkówko ust skaleczonych.

Skąd widać jasność

Jakiekolwiek oczy, ich blask, zbocza i wodospady
i lot mew z konturem nieba, przemiał wiatraków,
które pracowicie mielą tlen i azot.
Jakiekolwiek wpatrywanie się w zimny błękit
po zbyt wyczerpującej zimie.
Jakiekolwiek ulice z ich śpiewającymi rankami,
z potopem głów, ramion, lekkich torebek i ust.
Jakikolwiek mur słońca opierający się o paznokcie i policzki,
szept po rozgałęzionych ulicach starych lub nowych
i wołanie u włosów rozległych jak amazońska puszcza.
Jakiekolwiek zwycięskie śpiewanie na czubku sosny
i ciemny gospel u podnóża katedr.
Jakakolwiek jasność spływająca z masztów
wolności i świetnych widoków.
Jakakolwiek miłość przyklękła na brukach ulic
pochylająca głowę pod czerwonym kaskiem iskier.
Jakikolwiek ślad dobra w duszy niewinnego lub przestępcy.
Jakiekolwiek ciało pragnące ciepła i rozkoszy.
Jakakolwiek ciemność prowadzona na smyczy
przez pochodnie krwi i hekatomby miast.
Jakiekolwiek cierpienie ulatujące z twarzy
o skamieniałych ustach.
Jakikolwiek świat, zbyt doczesny lub idealny
i kierat dni posuwający się ku chwale pieniądza.
I jakakolwiek ciemna ława na sali sądowej
i czeluść skąd wychodzą demony i psychopatyczni władcy,
skąd widać jasność twej ludzkiej zmęczonej twarzy.

Marian Kisiel

Mały cmentarz (8)

1

Konfucjusz, *Myśli*, przekład mój, przez rosyjski. — „Myśląc nerwowo o przyszłości, ludzie zapominają o teraźniejszości; tym samym nie żyją ani w teraźniejszości, ani dla przyszłości. Żyją tak, jakby nigdy nie mieli umrzeć, a umierając, rozumieją, że tak naprawdę nigdy nie żyli".

2

Edmund o Juliuszu: „Stworzyć istotę taką jak on, tak utalentowaną, tak inteligentną i zabić ją w trzydziestym dziewiątym roku życia! Dlaczego?" — Edmund i Juliusz de Gouncourt, *Dziennik. Pamiętniki z życia literackiego*, wybór i przekład Joanna Guze, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988, s. 303.

3

Po bezustannych rozmowach z ciżbą znajomych, telefony przestały dzwonić. Ten, zdawałoby się, tak lubiany rozmówca, nagle został sam. O, jakże to mu było potrzebne! Milczenie zastąpiło mu ową centralę telefoniczną, w której „mówi się, mówi się", ale nie słucha. Dzisiaj wie, że tamte rozmowy, choć sprawiały mu przyjemność, nie dawały nadziei. Nadzieja przychodzi wtedy, kiedy do drzwi zapuka gość, który nie wie, kim jesteś, ale tak bardzo chciałby, żebyś go nie odtrącił.

4

Nadzieja na prawdziwe spotkanie. I żeby nie usłyszeć słów, jakie Gracjano kieruje w stronę Kasja w *Otellu*: „Żal mi, panie, że cię w tak żałosnym / Stanie zastaję; szukałem cię wszędzie" (przeł. Józef Paszkowski, w: Wilhelm Szekspir, *Tragedie*, t. 2, przeł. Józef Paszkowski, Leon Ulrich, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1964, s. 479; seria *Dzieła dramatyczne*, t. 6).

5

Lew Karsawin, *Poemat o śmierci*, 53, przekład mój. — „«Niemniej, pozostanie dusza». — Nie, nie dusza, ale więdnące i nieskończenie bolesne życie mojego ciała, najpierw nieubłaganie nieruchomego, potem nieuchronnie rozpadającego się. — Ja, zimny trup, leżę w ciasnej trumnie. Błękitny dym kadzidła [unosi się w powietrzu]. Kadzidło nie osłabia jednak słodkiego zapachu rozkładających się zwłok. Czarna mucha siada na zamkniętym oku i powoli odpełza. Z daleka wydaje się, że nieboszczyk (czyli ja) otworzył szeroko oko i w ciszy, nie podźwignąwszy głowy, rozgląda się wkoło niesamowitym, jednookim spojrzeniem… W ziemi jest ciemno, wilgotno i duszno. Moje ciało puchnie, «faluje». Rozdyma mi żołądek. Twarz jest nabrzmiała. Mózg już zamienił się w śliską, rzadką masę, w ropę; przez moją świadomość mkną niczym wicher jakieś straszne, śmieszne obrazy. W mózgu swobodnie poruszają się i ssą go z zadowoleniem grube i — nie wiem dlaczego tak mi się wydaje — czerwone robaki. Wznieca się ogień rozkładu. Nie mogę go zatrzymać, nie mogę się ruszyć, ale wszystko czuję. — Ziemskie życie było tylko czyśćcem. To zaś jest piekłem, w którym robak nie umiera".

6

E. do mnie w czasie długiej rozmowy. — „Widziałam B., miał taką smutną twarz i zagubione oczy". — Zapytałem: „Czy dlatego, że wreszcie dotarło do niego, że nie jest gwiazdą, lecz świeci światłem odbitym"? — Odpowiedziała, że zapewne tak. Ale ja już tego wątku o B. nie ciągnąłem.

7

„Świnią stajemy się nie dlatego, że ona jest w nas, ale dlatego, że chcemy sprawdzić, czy się w nas dobrze usadowiła" — nie wiem kto to powiedział, ale pewnie ktoś doświadczony.

8

Im częściej sobie powtarzam, że czas ucieka, tym szybciej on biegnie. — Jeżeli nikt tego wcześniej nie powiedział, to jestem genialny. Jeżeli ktoś to powiedział wcześniej, to jestem plagiatorem. — Potrzebny jest bibliograf.

9

Julian Przyboś w *Zapiskach bez daty*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970, s. 208, 209. — „Doznałem, że śmierć tych, którzy nas kochali, po najgłębszym bólu i żałobie, jaka nas natychmiast ogarnia, daje rychło głęboką radość, pełną powagi moc. […] Kochający chcą, abyśmy, gdy oni przestaną żyć, my byli szczęśliwi".

10

„Na obcej ziemi boję się umierać" — pisze Józef Łobodowski w wierszu *Na własną śmierć* (idem, *Wiersze i przekłady*, oprac. Ewa T. Łoś, Bernard Nowak, Piotr B. Nowak, Wydawnictwo Test, Lublin 2020, s. 220). — W literaturze romantycznej — rozumiem, ale współcześnie tak strasznie mierżą mnie te puste frazesy. Ten patos, ta nieszczerość. Proszę bardzo, proszę wracać do „wrosłego w płowy pagór majdanu". Daję słowo honoru, że nie będzie żadne „małe dziecko litery nazwiska / zgadywało z deski, dżdżem na blich wytartej". — Łododowski umarł w 1988, świat wnet się zmienił, marzenia poetów nie.

11

Wspomniałem Staszka i Różę. Róża nigdy nie była tak piękna, jak w pierwszą rocznicę śmierci Staszka. Czasami unosi nas niezwykłość chwili, a czasami dobro, które chcemy oddać, a wcześniej tego nie umieliśmy.

12

Droga życia Lwa Tołstoja (czytana w oryginale). Jestem pełen podziwu dla człowieka, który u końca swoich dni zapragnął stworzyć „dzieło życia". Wydawało się, że nie musiał, że osiągnął już to, czego nie udaje się innym. A on poświęcił wiele miesięcy, żeby zebrać myśli innych, wpisać je we własne myśli, wyjąć z myśli innych coś dla siebie, przekształcić dawną myśl dla swojej myśli. Tak powstał *Krąg lektur* (tomy 41-42 w dziewięćdziesięciotomowym wydaniu jubileuszowym), *Na każdy dzień* (tomy 43-44), a wreszcie *Droga życia* (tom 45). Zbiory łączą się z sobą, te same myśli przechodzą między tomami, przybierają odmienny kształt, są swoimi wariantami. Tołstoj publikował je też (albo za niego publikowano) w osobnych broszurach. Dziś przykuwają uwagę jako coś świeżego, z czym nie chcemy, nie potrafimy się rozstać.

13

Kiedy wchodzisz tak głęboko w to, co wydawało się przyjaźnią, pamiętaj, że nie uda ci się zapełnić pustki, która będzie rozczarowaniem.

14

Jego dzień śmierci. Wspominam go, jakby był wskrzeszeniem.

15

Czy jestem zadowolony ze swoich książek? — Nie. — Czy chciałbym je wymienić na inne? — Nie. — Ilekroć wchodzimy do tej samej rzeki, zawsze dziwimy się, że zimna woda, która powoduje skurcz palców i dziwne orzeźwienie umysłu, wciąż nas wita jak kogoś nowego. To Heraklit. Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki, bo upłynął czas jej biegu — to już nie ta sama woda, i czas naszego życia. — Książki napisane odpłynęły jak woda w rzece, minął ich czas. A choć to wciąż jestem ja, to już nie jestem ten sam.

16

A każdym dniem odpływa chęć zapisywania myśli. Kiedy byłem młody, nikomu niepotrzebne słowa krzyczały wniebogłosy. Teraz milczą, i ja pragnę ciszy.

17

Powróciłem do tych zapisków po wielu miesiącach. Dlaczego tak długo milczałem? Nie wiem. — Co mam powiedzieć? Że się znudziłem zapisywaniem stanów duszy?

18

Im więcej czytam, tym mniej czuję się wtórny. Tyle myśli zakręca się wokół siebie, tylu autorów mówi to samo, o sobie nie wiedząc, albo prawie to samo. Jesteśmy w świecie słów, które — po Szekspirowsku — →

ciągną się, mnożą, stają puste. O, świecie słów! Dokładam ci kolejne, nikomu niepotrzebne wyrazy.

19

W moich wierszach jaśnieje cmentarz w Rakoszynie. Zostały tam złożone prochy moich bliskich. Od zawsze zachwyca mnie panująca na nim cisza i wyniosłość *coemeterium* — pagórka na nizinnym terenie. Kiedy tam jestem, nie boję się. Wiem, że duchy zmarłych ujmą się za mną w chwili ostatniej.

20

W chwili zniechęcenia — do życia przywraca absurd życia. Mnie ratują bajki Racheli Bojmwoł. Przetłumaczyłem ich sporą garść, ale nie mam dla nich wydawcy. Jedna z nich nosi tytuł *Stary żubr*. Brzmi tak: „Zając przybiegł do starego żubra. — Ratuj mnie, jestem zgubiony! Lisica wywęszyła moją norkę. Wrócę do domu — złapie mnie. Zostanę na noc w lesie — zagryzą mnie wilki. Co robić? Już się ściemnia, a ja nie mam gdzie przenocować… — Przyjdź jutro — odpowiedział stary żubr. — Na pewno coś wspólnie wymyślimy".

21

Rachela Bojmwoł, *Król i kwiat* — przekład mój. „Król pochylił się, żeby powąchać kwiat i z głowy spadła mu korona. Wtedy rozkazał pozbawić życia wszystkich swoich dworzan, którzy byli świadkami jego hańby. Potem rozkazał, by zgładzono lud, który dowiedział się, że król stracił swoich dworzan. Potem pochylił się i, przytrzymując koronę, powąchał kwiat".

22

Lektura. — Leonard Neuger, *Brokaty*, Austeria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2022. — Leonek był człowiekiem wielkiego uroku, raczej niespotykanym. Przyjaciel noblistów, aktorów, intelektualistów, jednocześnie przyjaźnił się z ludźmi zwykłymi, jakby zaprzeczając poglądowi, że niezwykłość osobowości musi wiązać się z zajmowaną przez nie pozycją społeczną. Leonek myślał inaczej: to w zwykłości starał się odszukać niezwykłość, a niezwykłość sprowadzić do poziomu zwykłości. — Żongluję tymi dwoma wyrazami jak student na egzaminie, ale chodzi mi o to, że Leonkowi nie były one potrzebne. Interesował go człowiek w jego prawdziwości, każdemu poświęcał swoją uwagę, pamiętał twarze, imiona, nazwiska, słowa wypowiedziane może nawet w jakichś dziwnych okolicznościach. Tak, wiele pamiętał. Wspólnota losu, jaką zawiązywał, była na zawsze, a nie na chwilę, ponieważ na chwilę nic być nie może. — *Brokaty* są zbiorem wspomnień. Czy zbiorem? Raczej zbiorkiem, niedużą książeczką, jaką udało się ocalić przed archiwum (archiwum wszystko zżera i ukrywa przed ciekawym spojrzeniem). Nie znalazła się tam, dzięki bliskim Leonka: Agnieszce Daukszy, Jurkowi Hirschbergowi, Ryszardoowi Nyczowi. I choć książeczka mogła pewnie przybrać inną postać, ocalała właśnie w takiej, a nie innej. Jako ostatnie słowo. Kogo? — Tomik otwierają dwa zdania: „Niedługo skończę siedemdziesiąt cztery lata. Najwyższy czas ułożyć sobie życie". Ironia godna Mistrza? A może nie jest to ironia? — Wspomnienia pisze się dla siebie (żeby nie uciekło z pamięci, żeby móc wspominać), a także dla innych (żeby poznali, a później wspominali). Leonek zapragnął cofnąć się do swoich lat młodych i burzliwych, „durnych i chmurnych", krakowskich i zagłębiowskich. Nie musiał tego czynić. Wspominając jednakże (w skrócie, zawężeniu, wyborze) szkołę, studia, pierwsze prace (liczba mnoga), oprowadza nas z uśmiechem po czasie, który nawet dzisiaj określany bywa jako opresyjny. Z uśmiechem — powtórzę — więc bez żalu, ze zrozumieniem czasu, w jakim się żyło. A poza tym, skoro już tamten czas minął, to — jak mówił Horacy — można przyjąć, że *mutato nomine de te fabula narratur*, czyli, że *ta bajka mówi o tobie, choć pod zmienionym imieniem*. — Wspomnienia pisze się niełatwo, bo coś trzeba uwydatnić, coś przemilczeć. I jedno, i drugie jest prywatyzacją przeszłości, znakowaniem, emocjonalnym ocenianiem, wartościowaniem, stygmatyzowaniem. Wspomnienie to niebezpieczny gatunek literacki. Leonek o tym doskonale wiedział. Ponieważ od lat piszę wspomnienia o umarłych, bo nikt inny nie chce lub nie umie, po jednym z nich Leonek napisał do mnie: „Pięknie i trafnie napisałeś, Marianku! I ważne, że nawet abnegaci nie odchodzą w nicość". — Nie odejść w nicość. Zapisać fragment, szczegół, może po prostu to, że się było, spotykało, śmiało, piło wódkę lub wino — to jest realizacja Rilkeańskiego niepokoju, że wszystko mija, domy trwają, drzewa będą dalej rosnąć, a my przeminiemy jak podmuch powietrza. Leonek nie chciał tego tak zostawić, a choć zabrał się późno do swoich wspomnień (a czy jest dla nich w ogóle dobry czas), to przecież podjął ten trudny (dla każdego) wysiłek podsumowania życia. — „Niedługo skończę siedemdziesiąt cztery lata". Kiedy, jak nie teraz? — W wieku późnym puszczają hamulce. Można sobie pozwolić na to, czy tamto. Leonek nie wyszedł z formy. Co brzydkie — wyretuszował, co bolesne — złagodził, co jątrzące — unieważnił. Wszystko za sprawą „dystansu sztokholmskiego", czyli spojrzenia z zewnątrz, zrozumienia, przebaczenia. Ale nie wszyscy z emigrantów umieją przebaczać i rozumieć. Sądzą, że sącząc jad, mają do niego prawo. Nie mają prawa. Leonek głośno o tym mówił. Czy dlatego, że udało mu się zdobyć wielką pozycję w świecie slawistyki zagranicznej? Ale przecież taką pozycję mógłby osiągnąć i w Polsce. Nie, nie dlatego. Wspominając swój powrót po trzydziestu latach do Katowic (a przecież przyjeżdżał i wcześniej) napisał o tych, z którymi widział się przed dekadami: „Jeżeli naprawdę miałem w ich życiu jakiś udział — jestem dumny. Rozmawiałem z ludźmi przyzwoitymi i pięknymi". — Okładką książki jest zdjęcie Leonka zrobione przez Joannę Helander. Piękna twarz, przenikliwe spojrzenie, półironiczny uśmiech. I elegancja ubioru. Takim cię, Leonku, zapamiętamy. Agnieszka Dauksza napisała w przedostatnim zdaniu swojego posłowia do tej książki: „Nie będzie nam go brakować, myślimy o nim". Tak! Nikt nie odchodzi w nicość, kiedy się o nim myśli.

23

Czasami chciałbym tytuł moich zapisków zmienić, bo niby dlaczego — *Mały cmentarz*? Ale wciąż powracam do pierwszej wersji tytułu, odrzucając inne. Jakby w miniaturze odkrywała się ostateczność, w wyobraźni — proch.

24

Zabrałem się za tłumaczenie Lwa Tołstoja, a właściwie za „hybrydę" Tołstoja. W pewnym momencie swojego życiu (u jego kresu) zaczął zbierać myśli różnych autorów o śmierci i wzbogacał je swoimi. Tołstoj aforysta. Tak powstała *Droga życia*, ale też inne jego myśli zebrane w *Kręgu lektur*. Wydał nawet ich kompilację, książeczkę *O śmierci*. Spodobała mi się taka myśl: „Boisz się śmierci, ale zastanów się, co by się stało, gdybyś został skazany w swojej, ciągle tej samej, cielesnej powłoce na życie wieczne?".

25

Raz jeszcze Tołstoj: „Jeśli człowiek jest tylko istotą cielesną, to śmierć jest końcem wszystkiego. Jeśli zaś człowiek jest istotą duchową, a ciało jest tylko ograniczeniem istoty duchowej, to śmierć jest wyłącznie zmianą".

26

Jakie mam prawo do wydobywania z rękopisu młodzieńczych zdań. Opracowuję te drżące wyznania i mam wrażenie, że jestem szpetnym podglądaczem. Edytor podglądacz to ktoś, kto dla ciekawości innych depcze pojedynczą prywatność. Ależ profesja! I nawet nie musi mieć rozgrzeszenia.

27

Przypadkiem znalazłem w Internecie link do audycji, w której mówiłem o Sławomirze Mrożku. Dziesięć lat wcześniej byłem laudatorem jego doktoratu honorowego w Uniwersytecie Śląskim. A teraz mówię z jakiegoś dalekiego dna, dziwię się, co mówiłem i ledwie poznaję się po głosie. Jakbym mówił z zaświatów.

28

6 lipca 2022. — Umarła Ania W. — Była urocza, kobieca, szalona, cieszyła się pełnią życia i oddawała się przyjaźni w takim stopniu, w jakim oddawała się życiu. — Czytała zachłannie. Miała niezwykłą umiejętność czytania głębokiego, wnikającego w sensy niejawne, wydobywającego z metafory prawdę o świecie. Lektura ją cieszyła, Ania przenosiła ją później na błyskotliwą narrację. Pisała eseje. Nie zacierała znaków własności, upodmiotowiała swoją lekturę, nadawała jej lekkość. Pisała tak — powiem za wierszem Ewy Lipskiej — że „nędzarz myślał, że pieniądze. A ci co umierają, że to urodziny". W jej narracji nie było meandrycznych zakrętów myśli, sprawna ręka prowadziła nas do pointy w taki sposób, że nie zauważaliśmy nawet, że byliśmy prowadzeni za rękę. — Zbiór jej szkiców nosił tytuł *Czytam, więc jestem*.

29

Caleb Wilde, *Wyznania przedsiębiorcy pogrzebowego. Jak praca ze śmiercią uratowała mi życie*, przeł. Elżbieta Janota, Znak Horyzont, Kraków 2019, s. 104–105. — „Skoro życie jest piękną, złożoną, nieuporządkowaną siecią wzajemnych relacji, dawania siebie innym i pozwalania, by ono dawali się nam, to czy w procesie umierania nie powinni wspierać nas ci, którzy utkali pajęczynę naszego istnienia? Czy po śmierci zamiast pojedynczego przedsiębiorcy pogrzebowego nie powinny dbać o nas osoby, które związały z nami swoje życie i z którymi my związaliśmy nasze? Przedsiębiorcy pogrzebowi są niewiarygodnie wartościowi — i zawsze istnieli w tej czy innej formie — ponieważ śmierć jest trudna, ale sadzę, że gdy pogrążone w żalu rodziny powierzają śmierć i umieranie «ekspertom», pozbawiają siebie i swoich bliskich czegoś ważnego".

30

Ten dawny (wiejski) zwyczaj czuwania przy zmarłym. Przebywanie zmarłego w domu, a potem przy eksportacji trzykrotne wznoszenie i opuszczanie trumny nad progiem domu. I niesienie jej na barkach mężczyzn, nawet jeśli kościół i cmentarz były oddalone od domu zmarłego o kilka kilometrów. — Kiedy okazywano więcej szacunku zmarłemu? Wtedy, czy teraz?

31

Ks. Jerzy Szymik w wierszu bez tytułu:

Miłość boli.
Im więcej miłości,
tym bardziej.
Niekoniecznie odwrotnie.

Piękny wiersz. — Ale ozdabiając go mottem ze św. Ignacego z Antiochii: „Moja miłość jest ukrzyżowana" — wiersz staje się tylko wyznaniem księdza, podczas gdy miłość nie kończy się wyłącznie na krzyżu. Boli, umiera w nas — cieleśnie, dramatycznie pragnących miłości.

32

Czytam ponownie *Dziennik na nowy wiek* Józefa Hena. Taki tytuł jest na obwolucie, a w środku: *Dziennik 2000-2007* (Wydawnictwo W.A.B, Warszawa 2009). Ten fragment wstrząsnął mną. — „W styczniu 1945 roku, po wyzwoleniu Warszawy, chciałem się przedostać do mojego miasta, spojrzeć na wypaloną ulicę, na dom, który był moją ojczyzną. Chłopcy z mojego plutonu powstrzymywali mnie: «Nie idź tam, tam nie ma nic». «Jak to nic?». «Nic. Tylko gruzy». Moje miasto zniknęło — wraz z tymi ludźmi, którzy je zaludniali. Noszę je w sobie, jest we mnie — prawdziwsze, barwniejsze, niemal bardziej dotykalne od tego, które postawiono na jego miejscu. Nowolipie nigdy ode mnie nie odeszło. Widzę twarze, słyszę głosy. Opisałem zwyczajnych ludzi, można ich lubić lub nie lubić, ale nie dlatego zostali zamordowani. Pisałem o dzieciach, które były tylko dziećmi. *Nowolipie* to książka o życiu — nie o śmierci. Ale człowiek wie o tej śmierci — i dlatego ta książka o zwykłym życiu jest książką o Holokauście" (s. 170).

33

Nie wiem, ile miałem lat. Byłem mały. Mama prowadziła mnie za rękę do domu opodal. Weszliśmy do pokoju „świątalnego". Pośrodku w seledynowej trumience leżał Jureczek. Nie wiem, ile miał miesięcy lub lat. Był w jasnym garniturku, wokół niego było pełno świętych obrazków. Dołożyłem swój. Nie pamiętam, czy się bawiliśmy; nie pamiętam, dlaczego umarł; nic nie pamiętam. Wiem tylko, że pierwszy garniturek otrzymałem dopiero na pierwszą komunię; nie był jasny, ale czarny. — A dzisiaj, wspominając niebożę, Jureczka M., wnuczka mojego chrzestnego, zastanawiam się, czy też spoczywa na tym samym cmentarzu, co mój chrzestny, moi rodzice i dziadkowie, moi znajomi. — Kiedyś dzieci chowano w odosobnionej części cmentarza. Nigdy nie zachodzę w to miejsce. A przecież spoczywa tam również mój kuzyn, którego nigdy nie poznałem, choć ciotka Stefania wielokrotnie mnie prowadziła na jego mogiłkę. A jeśli nie ciotka, to jej córka, Marysia. — Czasami wspomnienia przychodzą niespodziewanie i nic nie wyjaśniają.

34

Jechać, jechać. — Gottfried August Bürger, *Lenore*, w: *Gedichte*, Göttingen 1779, s. 89:

Sieh hin, sieh her! der Mond scheint hell.
Wir und die Todten reiten schnell.

Jazda bez biletu powrotnego zawsze jest bezbrzeżnym smutkiem.

35

Jedyna rozsądna myśl, że dzieci się nie będą z tego uczyły.

36

Wychodząc z pandemii, nie stajemy się lepsi, lecz bardziej nieufni. Nie przytulamy się, jak dawniej. Nie podajemy sobie dłoni. W bliskości upatrujemy zagrożenia, jakby wczorajszy przyjaciel był dzisiejszym wrogiem.

37

Polacy całujący ręce kobiet. W pandemii nikt nie całuje rąk kobiet.

38

Nie czytam swoich wierszy, nie występuję na spotkaniach autorskich. Przed pandemią miałem zasadę, że mogę czytać jeden raz w roku dla kogoś, kto przyjdzie (jeżeli przyjdzie) na spotkanie w bibliotece. Więcej — nie. Nie jestem poetą, który przeżywa każdy swój nowy wiersz. Mam w sobie tę wstydliwość uczuć, o której — w innym kontekście — pisał Tadeusz Peiper. Niemniej, tak, jeden wiersz — *Droga przez las* — ciągle mi się po głowie kołata. Kiedyś go dedykowałem J.R., ale powstał znacznie wcześniej, potem (huncwot) usunąłem dedykację, i ten wiersz krąży w moich myślach niczym nieusuwalna pieczęć. Bo jest wierszem o mnie, należy do mnie, wydobywa mnie z odmętów czasu — chłopca siedmioletniego — który tak lękał się przyszłości i tak łatwo w tę przyszłość wszedł. I tak obecnie tę przyszłość odczuwa jako czas teraźniejszy.

To nawet nie była droga przez las,
choć biegła między dwoma kwartałami
sadzonek. I nawet nie biegła,
choć też nie kluczyła. Wlokła się. I nawet
nie droga, choć nie była ścieżką. I nawet
nie między sadzonkami, choć ją okalały.

Stopy grzęzły w piasku rozpalonym, sypkim,
droga się dłużyła, choć nie była długa,
poręba w oddali nie była odległa.
Zewsząd czyhały cienie, których tam nie było,
bose nogi drżały w nazbyt nagim dukcie,
oddalał się dom, nie zbliżała łąka.

Nogi siedmioletnie, ileż w nich jest lęku!
Idą na spotkanie, lecz rzadko dochodzą
i z byle powodu biorą nogi za pas.
Wspominam je z uśmiechem, wciąż mam do nich słabość,
dzisiaj, gdy przechodzę tamtą drogą przez las,
choć już nie ta droga i nie ma sadzonek.

Piasek skrył się w trawie, szumią ściany sosen,
wystarczy się obejrzeć, by zobaczyć dom,
dłoń do brwi przyłożyć, by stała się łąka.

Postarzały się nogi, wloką się jak droga,
za krótka na spacer, zbyt odległa,
by przypomnieć, co odeszło z lasem.

39

Moi mistrzowie? Nie umiem o tym mówić.

40

Karl Marx, Friedrich Engels, *Über Kunst und Literatur in zwei Bänden*, 1 Bd, Red. M. Kliem, Berlin 1967, s. 143. — "[…] der Dichter aus sejner Sphäre herabfällt, dobalt ihm die Poesie zum Mittel wird. Der Schriftsteller betrachtet keineswegs seine Arbeiten als *Mittel*. Się sind Selbstzwecke, się sind so wenig Mittel für ihm selbst und für andere, dass er *ihrer* Existenz *seine* Existenz aufopfert […]". [Przekład polski: […] poeta przestaje być poetą, gdy poezja staje się dla niego środkiem. Dla pisarza praca jego nie jest środkiem. Jest samoistnym celem; tak dalece nie jest dla niego samego i dla innych środkiem, że dla jej istnienia, jeśli trzeba, poświęca własne istnienie". — Karol Marks, Fryderyk Engels, *O literaturze i sztuce. Wybór tekstów*, Warszawa 1958, s. 215].

41

Skąd ten cytat? Przywołał go w odniesieniu do moich wczesnych wierszy Piotr Wilczek. Potem przeczytałem go jako motto do wierszy wybranych Adama Czerniawskiego. Z kolei, pracując w sekretariacie zagłębiowskiej germanistyki, znalazłem go w enerdowskiej biblioteczce lektorskiej w edycji Kliema. I tak od czterdziestu lat bzyczy we mnie ten cytat, jak natarczywa mucha.

42

Mój ojciec był przystojny, mądry, małomówny, cieszył się powszechnym mirem. Był partyzantem z AK, miał złość na tych z NSZ i AL, ale nie wiem, czy po wojnie nie spotykał się z nimi. Nie wiem też, jaki miał do nich stosunek. Nie chciał wspominać wojny. Opowiadał nam Sienkiewicza. Sienkiewicz był pisarzem chłopów. Może ojciec chciał w nas zaszczepić ideał honoru i męstwa? Jeżeli tak, to mu się to udało. Żadne z nas (rodzeństwa) nie znosi podległości. Czasami tę podległość widzimy później, niestety. Honor nie jest dzisiaj w modzie. — Ojciec chodził na pogrzeby. Mama wiedziała, że trzeba przygotować garnitur na ten dzień. I ojciec szedł piechotą na pogrzeby do innych wiosek, odprowadzić kogoś, kogo nie znałem. — Kilometry w te i we wte szacowane szacunkiem.

43

Moja mama była piękna. Miała piwne oczy (jak babcia), włosy upinała w obwarzanek. Nie znała piosenek, śpiewała kolędy. „Jezus malusieńki, leży wśród stajenki, / Płacze z zimna, nie dała mu Matula sukienki". Zawsze w dzieciństwie prosiłem, żeby mi zaśpiewała tę piosenkę. Mama robiła ciasto na makaron, śpiewała, ja słu→

chałem, wyobrażając sobie „matulę" jako moją mamę. Pamiętam wszystko. Makatkę na ścianie (haftowaną niebieską nitką), obraz świętej rodziny, skromną chudobę, uwiązanie mamy w domu, bo ojciec kowal, szanowany w okolicy, zapraszał przyjezdnych na obiad, a przyjezdni to przecież koledzy, znajomi, krewni. — Można wspominać tamten czas jako utrapienie. Ale był czasem radości. Kiedy przyszła śmieć ojca, a potem zawał mamy i jej dwa udary, cóż znaczyły tamte troski? — A przecież wciąż widzę siebie na tej pryczce, wpatrzony w mamę, która ugniata ciasto i śpiewa o lichej stajence, czyli o świecie, który był jej światem.

44

Cmentarz w Rakoszynie. Bliskość bez lęku.

45

Telefon od J. — Zawstydziłem się, że tak dawna nie rozmawialiśmy z sobą. — Zakuty łbie, przecież nie jesteś jedyny na świecie!

46

Zerwane relacje. Jak je odnowić? Nie wierzę, że uda się je odnowić. — Gdybym miał samochód, mógłbym pojechać tu i tam. Ale nie mam samochodu. Zresztą, inni mają samochody, a nie jeżdżą. — Widocznie kres rodu i rodowodu jest znaczony najsłabszym (z wszystkich) uczuciem —— obojętnością.

47

Wspominam umarłych. Nie wymieniam głośno ich imion, Chodzę w milczeniu wraz z nimi, nie palę świeczek, nie składam kwiatów i wiązanek. Jest jeszcze pandemia. — Ale wiecie, dobre duchy, że jestem z wami,

48

Ma rację moja żona, że wyrzuca setki dziwnych kart, zapisanych bez powodu. Ta eksterminacja biblioteki mogłaby zostać uznana za agresję. Ale ja cieszę się, że znikające papiery otwierają mi przestrzeń dla oddechu.

49

Skończyłem 60 lat. Co dalej?

50

Anna Achmatowa napisała dwuwiersz, który jest pytaniem bez odpowiedzi. Można go uznać za podsumowanie jej życia. — Czasami całość zamyka się w cząstce.

Непогребенных всех – я хоронила их,
Я всех оплакала, а кто меня оплачет?

Wszystkich niepogrzebanych pogrzebałam godnie.
I wszystkich opłakałam. Kto zapłacze po mnie?

Marian Kisiel

Janusz Stobiński

Dorota Czerwińska

ba! lans

miasto zmieniło się w paszczę
skaczę mu na języku
w górę i w dół w dół i w górę
zanurzam się wtapiam otulam

a potwór dyszy więc grzeje
kolejny wiec olbrzymieje
a potwór krzyczy – nie słucham

najgorsze gdy zamknie pysk

Nieprzejrzystość

pomyślałby kto że to zwykły motyl
między szybami rozłożywszy skrzydła
ocienił słońce

po obu stronach muru błądzi ranek
twarz zakutana szmatą wyciągnięte ręce
zaraz rozbije się o plecy nocy
wyzwoli mgłę

i otumani stumanione miasto
ciągiem bez dat

Środek ciężkości

spaliłem prawie wszystkie mosty
został tylko zwodzony
jednoskrzydły jak anioł
od
specjalnej troski
do
uwiecznienia

on zwodzi ja zwodzę ty schodzisz
ostatnie przęsło

zacięte

twarde myśli
ubijają mgłę
wśród razów czuję
a może wiem

poślizgnę się na tym moście
bezgłośnie

defetyzm

niebo jest z chmurą
teczka z aktami
drzewo z kornikiem

dolina z górą
ogień z iskrami
absurd ze szczytem

a szczyt absurdu wniósł myśl ciekawą

że niczym trawa
na wielkiej łące
zostanę strawą

Dorota Czerwińska – urodzona 24 października 1968 roku w Warszawie, gdzie mieszka i pracuje do dziś. Nauczycielka i terapeutka. Liryką interesuje się od zawsze. Związana z portalami literackimi. Jej wiersze ukazały się w wielu Herbasencjach, w Tea Booku, Nowych Myślach, Post Scriptum, Helikopterze oraz w ogólnopolskich pismach literackich Elewator, Afront i Akant, a także w almanachach „Spiętrzenie" i w XXI Agonie poetyckim „O wieniec Akantu

Boris Michajłowicz

ESEJ

Krystyna Śmiechowicz

Boris Michajłowicz Nosik - pisarz nieznany

Jak opowiedzieć o pisarzu, którego utwory, poza krótkimi esejami, nie pojawiały się w polskich tłumaczeniach. Powołując się na słowa wielkiej poetki Anny Achmatowej, gdy proszono ją o napisanie wspomnień, mówiła - wszystko jest w moich wierszach... Wszystko można znaleźć w prozie Borisa Nosika i dlatego tak wiele fragmentów utworów znajduje się w tym krótkim wspomnieniu.

Boris Michajłowicz Nosik (10 marca 1931, Rosja – 21 lutego 2015, Francja)(19310310) pisarz, eseista, tłumacz, scenarzysta, dramaturg, poeta, autor tekstów piosenek. Urodził się w Moskwie, mieszkał w zaułku Bannym pomiędzy ulicami; Pierwaja Mieszczanskaja i Bolszaja Pieriejasławskaja. Ukończył specjalność redaktorską na Wydziale Dziennikarstwa Moskiewskiego Uniwersytetu im. M.W. Łomonosowa (MGU) i filologię angielską w Instytucie Języków Obcych. Odsłużył dwa lata w wojsku w Armenii i cztery lata stażu w Moskiewskim Radiu. Następne lata zajęły mu podróże po Związku Radzieckim i krajach ościennych. Podróżował jako prosty marynarz, jako chłopiec okrętowy mył pokłady, a efektem podróży było sześć książek (jedna z nich „Od Dunaju do Leny" wydana została w Polsce). Wędrował z geologami po Syberii, z badaczami historii i obyczajów staroobrzędowców po Mongolii, a z narciarzami-zjazdowcami po górach Kaukazu. W górach postawały ballady, piosenki i modlitwy do których od razu tworzono muzykę.

Cheget - od rana próbowałem coś pisać. Później po drodze do kolejki linowej przybiegali do mnie, do pokoiku ukraińskiej stacji badawczej, gdzie miałem zapewnione spanie, instruktorzy. Pytali tylko - masz coś nowego? Po gospodarsku chowając mój jedyny egzemplarz uspokajali, że do wieczora będzie muzyka. Bywało, że niekiedy gubili którąś z kartek gdzieś w górach, ale Wład Czebotariow nigdy nie zgubił. Był starszym instruktorem i moim przyjacielem. (...) W Moskwie przyjaciele-kompozytorzy też pisali czasami muzykę do moich tekstów; Sasza Taranienko, znakomity Ałmaz Monasypov, urocza Aniczka Ikramowa. Piosenki te śpiewano przede wszystkim w górach. Teksty tłumaczone na rosyjski śpiewała czarodziejka Ewa Demarczyk, często bez podania autora wchodziły do spektakli teatralnych. Niedawno w polskim filmie „Mała Rosja"[1] przetłumaczoną przeze mnie na język rosyjski piosenkę śpiewała aktorka rosyjska. Ale najczęściej śpiewał je w górach przy akompaniamencie gitary Wład Czebotariow. (Zapiski malen'kogo czełowieka epochi bol'szich cberszenii – „Notatki małego człowieka epoki wielkich osiągnięć"

Z tych „górskich tematów" powstał cały tomik. W całości wiersze weszły do powieści „Gora". Boris Nosik dużo czasu poświęcał pracy przekładowej tłumacząc przede wszystkim literaturę anglojęzyczną. Do najbardziej znanych należą przekłady utworów; Marka Twaina, H. Pintera, Evelyna Waugh[2], Nabokova[3], Saroyana, J. F. Coopera, J. Galsworthy'ego. Napisał pierwszą rosyjską biografię Vladimira Nabokova, a także biografie; Mikłucho-Makłaja[4], Wasilija Żukowskiego (który podobnie jak autor drugą połowę życia przeżył za granicą), Aleksandra Benoita, Jurija Annienkowa[5]. Od roku 1982 mieszkał we Francji, początkowo w Paryżu, później w Nicei, lub maleńkiej wiosce Vaujurennes (z sympatią nazywanej przez autora chutorem), gmina Aix-en-Othe, pomiędzy Burgundią i Szampanią. Wydał ponad pięćdziesiąt książek, przede wszystkim prozę dokumentalną o Rosji, Francji i rosyjskiej emigracji.

Autor ponad siedemdziesięciu audycji dla moskiewskiego kanału Kultura prowadził także audycje w „Radiu Svoboda" i programy dla Rosyjskiej Sekcji Radia BBC. Od 1959 roku członek Związku Dziennikarzy, od roku 1972 członek Związku Pisarzy Radzieckich. 13 maja 2010 roku Boris Michajłowicz Nosik znawca sztuki francuskiej i malarstwa rosyjskiego został Honorowym członkiem Rosyjskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zmarł w Nicei 21 lutego 2015 roku.

Jak wielu pisarzy jego pokolenia obok „utworów oficjalnych" dużo 'pisał w stoł', autor nazywa takie pisanie – pisaniem „dla siebie" (przykładem jest powieść „Koktiebiel"). Takie były czasy i taka była powszechna praktyka; pisarze, którzy nie chcieli współpracować z władzą (i należeć do tzw. nomenklatury) mieli zazwyczaj „jakąś" pracę pozwalającą utrzymać rodzinę, nie rzucać się w oczy, zmieszać z tłumem przeciętnych obywateli z comiesięczną pensją, ale poza tym było to, co najważniejsze – praca twórcza. Taka literatura nie miała szans na publikację, pisali świadomi tego, że być może ich książki nigdy nie znajdą się na półkach księgarskich. Tych już wcześniej uznanych, którzy teraz kategorycznie odmawiali udziału w zbiorowym kłamstwie, wyrzucano ze Związku Pisarzy, wydalano z kraju, lub wsadzano do więzień. Książki wycofywano z księgarń i bibliotek, a w encyklopediach i słownikach wymazywano ich nazwiska. Aby uzyskać status pisarza, być wydawanym, korzystać z przywilejów i ulg, należało pisać zgodnie z linią partii demonstracyjnie okazując lojalność. (Tak pisali laureaci nagród stalinowskich.) Boris Nosik do uprzywilejowanych należeć nie chciał. Pragnął podróżować, dużo czytał, nie interesowała go fikcja literacka, przedstawiał fakty, zdawał relacje. Wyjazdy służbowe w różne regiony kraju, możliwość przemieszczania się po całym imperium, dawała sposobność opisywania zdarzeń, których był naocznym świadkiem. Wędrował od Syberii przez wyżynne tereny Mongolii, pustynię Gobi, Pamir, Ałtaj, Kaukaz, aż do krajów nadbałtyckich. Poznawał zwyczaje, wierzenia, kulturę. Ale pisać należało ostrożnie, bo instytucja zwana Gławlitem[6] wychwytywała wszystko; wszelkie aluzje do ofiar wielkiego terroru, warunków życia ludzi mieszkających z dala od wielkich aglomeracji, nazwiska twórców zakazanych i niewygodne dla władzy informacje; wszystko to, co zdaniem rządzących należało objąć tajemnicą państwową (w tym także, poza istotnymi informacjami, wysokość wynagrodzenia)[7]. Tak więc niektóre z jego utworów w kraju ukazały się dopiero po trzydziestu latach (na przykład powieść Koktiebiel, w której z sarkazmem opisywał środowiska twórcze. Słynny Dom Pracy Twórczej w Koktebelu należał wcześniej do pisarza, malarza i poety Maksymiliana Wołoszyna, który nie miał dobrych układów z władzą. Zakaz publikacji jego utworów częściowo uchylono dopiero po wielu latach, w stulecie urodzin artysty. W książce Boris Nosik wspomina o nim wielokrotnie przedstawiając jako twórcę o nieprzeciętnej osobowości. Postaci występujące w utworze - choć pod zmienionymi nazwiskami są łatwo rozpoznawalne. Bo, jak nie rozszyfrować nazwiska poety - pupila władzy - donosiciela, który doskonale wiedział „za ile się sprzedaje", a wiele lat później, już z Nowego Jorku, w telewizyjnych rozmowach z dociskającym go Sołomonem Wołkowem w żenujący sposób usprawiedliwiał się i kajał, tłumacząc, dlaczego „musiał" donosić... i że nie zawsze... donosił.

Boris Michajłowicz wydawał także w wydawnictwach emigracyjnych, a w kraju jego książki przez długi czas wychodziły w drugim obiegu. Dopiero po 90. roku prozę zaczęły wydawać rosyjskie wydawnictwa literackie[8].

***

O swoich korzeniach, tak mówił...

Boris Mic

Boris Nosik i Jekatierina Sieriebriakowa. Fot. Boris Guessel

(…) gdy dorosłem zostałem dziennikarzem i niezmordowanym podróżnikiem - zwiedziłem wszystko, byłem wszędzie tam, gdzie tylko pozwalali jechać nawet mieszkałem na wyspie Beringa, w Pamirze i w Arktyce, i nawet za granicą; na Węgrzech i Białorusi, a do pogardzanych Śmiłowicz jakoś mnie nie ciągnęło (chociaż nazwa ta od samego dzieciństwa mnie i moim siostrom była bliska, ponieważ moja babcia i moja mama urodziły się w tych właśnie białoruskich Śmiłowiczach, podobnie jak Natalia mamka mamy i jej dwóch sióstr bliźniaczek, i jeszcze całe mnóstwo rodziny, a do Moskwy, przez Mińsk, wydostali się na kilka lat przed moimi narodzinami. (…) Opowiadania rodziców o Śmiłowiczach nie skłaniały mnie do odwiedzenia historycznej ojczyzny i dopiero wtedy, gdy miałem już połowę życia za sobą postanowiłem pojechać do Białorusi (a ona w zależności od tego w jakiej encyklopedii szukasz tych miejsc może także nazywać się Litwą albo Polską). Poszedłem do Wydawnictwa Sowiecki Ekran z podaniem o delegację. Delegacje dostawałem zawsze - pieniądze państwowe - do domu nie weźmiesz, a im samym nie chciało się jeździć. Napisałem; Proszę mnie wysłać na koszt pisma do mojej historycznej ojczyzny. Rano w Mińsku złapałem okazję, wysiadłem po drodze nie dojeżdżając do miasteczka. (…) …idąc przez pole zauważyłem krzyże i jedną z pierwszych rzeczy, które tam zobaczyłem był katolicki cmentarz, a wszystkie napisy na krzyżach w języku polskim. Wtedy zrozumiałem, dlaczego będąc po raz pierwszy w Warszawie, tak szybko zacząłem mówić w tym języku (po prostu przypomniałem sobie), a także, dlaczego tamta kuchnia, tak boleśnie i słodko przypominała mi kuchnię mojej babki. Powróciły rozmowy rodziców - w ich języku, także było dużo polskich słów. Pomyślałem, że Chaïm (Soutine) w Wilnie, dokąd zaniosło go z Mińska, też z pewnością doskonale wszystko rozumiał. Wszedłem do miasteczka i nagle wszystko było zrozumiałe. Były to ostatnie dni Śmiłowicz, bo tuż po moim wyjeździe przyjechały buldożery i wszystko zburzyły… A wtedy, gdy ja tam byłem, wszędzie było tak, jak za życia mojej pięknej babci Rozy, sąsiadki i rówieśnicy Soutine'a. Podczas mojej wizyty wisiały jeszcze podarte pierwszomajowe flagi. Domki były wciąż tamte, maleńkie z trzema, albo tylko dwoma okienkami, wewnątrz nie więcej niż czternaście metrów i tylko piec, stół, ławy. Właśnie w takim gnieździła się wielodzietna rodzina krawca Soutine`a. Moi też mieszkali w podobnym. Krawiec Soutine[9] naskrobał w nim jedenaścioro dzieci (bo czym się zajmować gdy zapada zmierzch, a lampy szkoda) Może jeszcze dziadka i babcię, a gdy mróz, to i kozę brali do domu. Sam kiedyś nocując na rosyjskiej wsi zasypiałem w takt „cmokania" cielątka. Przeszedłszy miasteczko znalazłem się na samym jego skraju wśród maleńkich drewnianych domków z takimi samymi dwoma lub trzema okienkami. Od tej ulicy zaczynała się pustka zaniedbanego cmentarza. Pośród śmieci i pasących się krów można było na nim znaleźć wszystko. (…) Cmentarz był żydowski na ocalałych kamieniach były jeszcze widoczne litery w jidysz, a być może i po hebrajsku. Żałowałem, że nie potrafię przeczytać. Z pewnością były tam nazwiska Rusinów[10] (babcia miała wielką rodzinę) i niewątpliwie Soutine'ów. (Fragment książki Jewriejskaja limita i pariżskaja dobrota) – „Żydowskie ograniczenia i paryska dobroć".

***

Szkolne lata pisarza, to okres stalinowskiego terroru. Podczas egzaminu wstępnego na studia dopatrzono się niewłaściwego pochodzenia i przyszły student otrzymał pytanie dodatkowe - wymień wszystkie stacje kolejowe na trasie Moskwa - Swierdłowsk (Jekaterynburg). Trasa z Moskwy do Swierdłowska, to około 1800 km. Podróż w tamtym czasie trwała prawie 30 godzin. Stacji kolejowych też z pewnością było nie mało. W następstwie tej odpowiedzi (lub jej braku) zamiast na studiach znalazł się, jako obrońca ojczyzny, na granicy radziecko-tureckiej z pięknym widokiem na górę Ararat (tak nieprzewidzianą wojskową karierę zakończył w randze oficera).

…w stolicy mojej ojczyzny nastąpiły pewne zmiany klimatyczne, które później krętacz, towarzysz i pisarz Ilja Erenburg[11] nazwał „odwilżą". W związku z tą „odwilżą" w radio można już było usłyszeć obcojęzyczne piosenki, w tym jedną Yves'a Montanda - „ À Paris"! - jakie obłędne to były słowa, można oszaleć z zachwytu!

Z Moskwy rodzina przysłała podręczniki do języka francuskiego, o lekcje poprosił młodą Ormiankę, a ona zaprosiła go do swojego domu.

Pierwszych prawdziwych mieszkańców Paryża poznałem w maleńkim ormiańskim miasteczku Eczmiadzyn, gdzie przez dwadzieścia pięć miesięcy odbywałem służbę wojskową. (…) - Słuchaj - powiedziała po ormiańsku - przyjdź do nas w niedzielę. Czwarta ulica, dom dziesiąty. Mąż będzie zadowolony. Wow, pomyślałem, Ormianka, rosyjski żołnierz, a na dodatek - mąż będzie zadowolony! W niedzielę długo czyściłam te swoje cholerne, ciężkie wojskowe buty, polerowałem do połysku guziki i oczami wyobraźni widziałem, jak ormiański mąż wita mnie kijem. Jednak poszedłem podręcznik do francuskiego starannie chowając pod maskę gazową. Mieszkali niedaleko pułku w biednej chałupinie z prymitywną podłogą z ziemi, a gdy wszedłem jej mąż, uroczy chudy młodzieniec w okularach, kąpał w drewnianym korycie swoje córeczki. W sieni było zimno, w korytarzu unosiły się kłęby pary. Osłupiały stanąłem w kącie pośród rozprysków pary i mydła. Okazało się, że Simona zapomniała uprzedzić męża o mojej wizycie. On domył piszczące dziewczynki, wytarł ręce, przedstawił się - i tak zostaliśmy przyjaciółmi. Było to w 1947 roku. Tak mieszkali tutaj przez prawie dziesięć lat w tym eczmiadzyńskim slumsie. Andronik z trudem dostał pracę nauczyciela języka francuskiego w ormiańskiej szkole dwadzieścia kilometrów od miasteczka z pensją 80 rubli - na pięcioro; on, żona, dwie dziewczynki i babcia, mama żony - nic tylko hulać za rubla, no może za trochę więcej. Byli paryżanami ci ormiańscy nowicjusze, byli z tych siedmiu tysięcy, których agitatorzy namówili do powrotu do ojczyzny - ojczyzny wiecznego szczęścia, do ojczyzny, której nie znali. (…) Mieli szczęście, że nie wsadzono ich do więzienia, bo wielu z tamtych repatriantów, podobnie jak wielu tamtych Rosjan, którzy ulegli propagandzie i wrócili, wysłano prosto do łagrów albo na zesłanie. Aby pocieszyć was dodam tylko, że wkrótce potem Ormian zaczęto wypuszczać z ich historycznej ojczyzny i jeden za drugim, prawie wszyscy (kogo nie zdążono jeszcze pochować w skalistej ziemi), dali nogę z powrotem… do Marsylii, do Valence, (...) A w tamtych dniach nie nauczyłem się francuskiego. W sumie minął miesiąc naszej znajomości i jakoś tak wieczorem powiadomiono mnie - jesteś przeniesiony do rezerwy. (…)

Uwielbiam Armenię, a dziś (w Paryżu, K.Ś.) rozmawiałem po ormiańsku z taksówkarzem i po prostu, to był mój dobry dzień. Ten nasz kraj[12] był ogromnym imperium. Żałować, że imperium przestaje być imperium tego po prostu nie rozumiem, nie jestem przekonany, że jakiś kraj powinien być mocarstwem; San Marino, Andora, Monako, to dobrze prosperujące kraje, taka mała Szwajcaria, a wszyscy tam dobrze żyją, nie muszą utrzymywać dużej armii i magazynować głowic. (Wokrug Pariża s Borisom Nosikom - „Wokół Paryża z Borisem Nosikiem")

***

„Od Dunaju do Leny" uznana za pierwszą powieść tak naprawdę była kolejną, →

bo pierwsza zaginęła. Została zapomniana w taksówce razem z maszyną do pisania. Wtedy operatorzy nie rejestrowali zamówień, więc odnalezienie taksówkarza było zupełnie nierealne. Ważną pozycją w dorobku Nosika jest biografia Alberta Schweitzera, książka wydana w latach 70. stała się bestsellerem. Przetłumaczona została na 40 języków, a w Niemczech miała, aż 14 wznowień. Do książki o Schweitzerze przygotowywał się przez kilka lat, gdyż wszystkie materiały, całe archiwum było w języku niemieckim. Biografie Nabokova i Schweitzera ukazały się w serii „Życie sławnych ludzi". W tej serii została wydana także biografia Bernarda Show jako przekład książki angielskiego autora. Z tym, że Emrys Hughes - deputowany do angielskiego parlamentu nigdy takiej książki nie napisał. Przekład jest, a oryginału brak…

***

Czy należy szukać antenatów, tak jak dla słynnego tancerza Niżyńskiego, poety A. Tarkowskiego, I. Smoktunowskiego jednego z największych aktorów tego okresu, Dimitrija Szostakowicza czy znakomitej tancerki Krzesińskiej. We wspomnieniach często przywołuje babkę Rozę Rusin o rosyjsko-żydowsko-polskich korzeniach, a o sobie mówił, że „z krwi nie jestem do końca Rosjaninem", lecz najsilniej związany był z Rosją i Francją.

To za sprawą babki, a także Ewy Demarczyk[13] Polska stała mu się bliska, o czym pisał wielokrotnie wspominając swoje wizyty w Warszawie, Katowicach i najważniejszym dla niego Krakowie. Kraków to; Piwnica pod Baranami, Piotr Skrzynecki, Dom na Groblach, nocne tłumaczenia wierszy dla „Ewy".

(…) Gdy rok później dotarłem do Krakowa[14] i odnalazłem mieszkanie Ewy, na dworze robiło się ciemno. A była już noc, gdy razem znaleźliśmy się na zadziwiającym, porywającym spektaklu Piwnicy pod Baranami, którego gwiazdą była Ewa nazywana Czarnym Aniołem.(…) Tej nocy dostałem od Ewy teksty czterech piosenek, wśród nich „Tomaszów" Juliana Tuwima, z prośbą bym przetłumaczył je na rosyjski. Na nocleg zabrał mnie do siebie brodaty twórca i spektaklu, i całego kabaretu - Piotr Skrzynecki. To właśnie w jego kuchni, wiedząc, że i tak nie zasnę po tak silnych wrażeniach o świcie siadłem do tłumaczenia.

Towarzyszył jej w podróżach koncertowych, a w czasie koncertów Demarczyk w Tallinnie, jako konferansjer opowiadał rosyjskim słuchaczom treść śpiewanych utworów. W Tallinnie było wielu Polaków. Pozostali tam po II wojnie światowej, tam założyli rodziny. Wśród tych polskich emigrantów największą popularnością cieszyła się piosenka o Rebece, być może przypominała im stare przedwojenne szlagiery.

***

Był autorem scenariusza do filmu Zinowij Pieszkow. Nieizwiestnyj syn Gor'kogo - „Zinowij Pieszkow. Nieznany syn Gorkiego". Pisał scenariusze do filmów dokumentalnych. Jednym z bardziej znanych scenariuszy filmowych Nosika jest scenariusz do filmu Legienda tiur'my Pawiak – „Opowieść o więzieniu na Pawiaku". Film opowiada o dwóch tadżyckich lotnikach, których faszyści uwięzili na Pawiku. Powstał w studio filmowym w Duszanbe.

***

Boris Nosik po raz pierwszy przyjechał do Francji z grupą pisarzy radzieckich; tydzień spędzili w Prowansji i trzy dni w Paryżu. Jak wyglądały takie wyjazdy wiemy z wielu przekazów. Odbywały się zawsze w towarzystwie opiekunów z KGB, harmonogram pobytu „dopięty" i żadnej możliwości indywidualnego poruszania się[15].

Paryż rue Daru, parkan wokół cerkwi. Fot. K. Ś.

W maju 1976 roku otrzymałem pierwszy paszport i mogłem wyjechać do Francji na prywatne zaproszenie. Wielokrotnie próbowałem wyjechać; gdy miałem dwadzieścia sześć, później trzydzieści sześć i ciągle uważano, że jeszcze nie dojrzałem do Zachodu, więc odmawiali, a gdy ukończyłem czterdzieści sześć lat - udało się… Pamiętam jak przed samym odjazdem siedzieliśmy z Andriejem Bitowem w Leningradzkim Domu Literatów rozmawiając o naszym ulubionym pisarzu i o tym - co mu powiem, gdy nagle go zobaczę? - Ale jak mógłbym go zobaczyć, skoro on jest w Szwajcarii, a ja we Francji. Zszedłem na ląd w Marsylii i dalej podróżowałem autostopem. W Marsylii nagle zrozumiałem, że nie interesuje mnie młyn Daudeta, bez szczególnego entuzjazmu oglądam Château d'If, słynne więzienie, z którego uciekał hrabia Monte Christo, natomiast niestrudzenie szukałem knajpy portowej, w której kiedyś młody Vladimir Nabokov obserwując rosyjskich marynarzy pisał listy do młodziutkiej Very niedawno poznanej w Berlinie, że bardziej interesuje mnie willa Iwana Bunina w Grasse i ślady rosyjskich emigrantów. Dotarłem do Grenoble doskonale pamiętając, że wizę mam tylko francuską i ten mój pierwszy wyjazd nagle może stać się moim ostatnim. Starałem się dostać jak najbliżej Montreux. W Annemasse pomógł mi spotkany na ulicy stary nauczyciel Armand; znalazł nocleg, a rano zawiózł do Genewy. (…) … najbardziej przestraszony byłem stojąc pod drzwiami mieszkania Nabokova. Mieszkał w nieco zapuszczonym starym Montreux Palace. Wiedziałem, że może się rozzłościć. Ale wycofać się nie było jak, bo drzwi się otworzyły i wyszła nieznajoma kobieta, zapytana o Władimira Władimirowicza… cicho smutnym głosem po rosyjsku powiedziała, że Władimir Władimirowicz czuje się bardzo źle. Nie odchodziła, więc zapytałem, czy może podać, a jeszcze lepiej przeczytać mu list. Kiwnęła potakująco głową i zacząłem pisać - próbowałem przypomnieć sobie o czym z Andriejem mówiliśmy w Domu Literatów, ale nic nie pamiętałem. Więc po prostu napisałem, że bardzo go kochamy i podpisałem - pisarz z Dalekiego Północnego Kraju. (Fragment wspomnień B.N. dla „Gazeta.ru".)

Nabokov nie spotkał się ze swoim biografem. Syn Borisa Michajłowicza, Anton, tak to zapamiętał; -

Nabokov był w domu, ale tata oczywiście wstydził się, bo co mu powie. (Bo co powiedzieć, jakich słów użyć, by dla takiego człowieka, jak Nabokov były interesujące.) Więc spojrzał na niego „żywego" i wyszedł. Jest to bardzo ludzkie i zrozumiałe. Kilka miesięcy później Nabokov zmarł.

Z książki Mir i dar Nabokova – „Świat i dar Nabokova"; - „Siedzimy przy stole w przytulnym mieszkaniu na avenue de Saxe w Paryżu. Pijemy herbatę, stół obficie zastawiony - to rosyjski dom… (dom Wiery Siemionownej). - Zakochał się (V. Nabokov) w naszej Romie. Też jej się podobał. Chciał się z nią ożenić. (…) - Wiera Siemionowna opowiada zadziwiające historie. Przede wszystkim o siostrze.. Roma odmówiła… ale potem tego żałowała. Patrzę na fotografię miłości Nabokova i wsłuchuję się w niesamowite historie o drugiej siostrze, która wyszła za mąż za adiutanta Piłsudskiego Bolesława Ignacego Wieniawę-Długoszowskiego. (W czasie wojny nie poradził sobie z polskimi problemami i popełnił w Nowym Jorku samobójstwo, a w tym roku, jesienią, jego prochy zostały uroczyście przeniesione do Krakowa…) Do niej (do Wiery Siemionownej Kliaczkin K. Ś.) w odwiedziny przyszli goście; Ariadna Skriabina, córka kompozytora z mężem, a z nimi jakiś Polak, też poeta, Julek Tuwim - nie miał gdzie mieszkać, więc został z nami i tak przemieszkał dwa miesiące… - Ja Wiem, że później, w Nowym Jorku, spotykał się z Nabokovem. Tłumaczyłem dla Ewy Demarczyk jego wiersze… a tamto imię, Roma, spotkałem już wcześniej. Roma (Romana) Siemionowna Kliaczkin? - Gdzie pan mógł je spotkać?.. - I Wiera Siemionowna zaczyna opowiadać, jak zmarła na raka Roma, a później ktoś do nich zadzwonił, że potrzebne jest miejsce na cmentarzu, bo zmarł jakiś pisarz. Siostry decydują; można go pochować z „naszymi na Sainte-Geneviève-des-Bois", bo miejsca już dawno tam nie było.

- Przypomniałem sobie! - Wiktor Niekrasow – mówię. - Tak. Pan go znał? Ten kamień, który tam postawili zupełnie mi się nie podoba… Przypominam sobie! Sam róg cmentarza Sainte-Geneviève-des-Bois. - Brzozy, brzozy, mogiły, mogiły i wszystkie nazwiska znane - i całkiem niedawno doszło jeszcze jedno - Wiktor Płatonowicz Niekrasow, mój przemiły koktebelski znajomy. I na tym samym kamieniu – Romana Siemionowna Kliaczkin - miłość Vladimira Nabokova. Tajemnicze motywy i niezmienność ludzkiego losu, ciągi przyczynowo skutkowe i czasowe zależności, to co tak

Boris Michajł

s Michajłowicz Nosik

bardzo ukochał Nabokov. Jak biograf może to zlekceważyć.

Podczas pierwszego pobytu we Francji przeglądając gazety Boris Nosik ze zdumieniem odkrył, że jeszcze żyją ludzie, o których mówienie w Związku Radzieckim łączyło się z dużym ryzykiem, a ich nazwiska nie pojawiały się ani w prasie, ani na półkach księgarskich. Okazało się, że jeszcze żyją i Nikołaj Struve, i księżna Maria (Maja) Kudaszewa, żona Romain Rollanda, i Tatiana Osorgina-Bakunina, Lidia Dieliektorska pomocnica i modelka H. Matisse'a, Jekatierina Sieriebriakowa córka znanej malarki Zinaidy Sieriebriakowej i wielu, wielu innych. Odkrywa historie zupełnie nieznane, bo urodzony w 1931 nie miał od kogo się dowiedzieć, tam w ojczyźnie niewielu chciało mówić, tutaj mówią wszyscy i mówią dużo, ale problemem jest wiek i pisarz wie, że musi się spieszyć.

Ślady tych ludzi w obcym kraju niezmiernie mnie poruszały, więc wędrowałem po tych śladach, odnajdywałem starych emigrantów i tych jeszcze żyjących, dopytywałem... dopytywałem...

Gdy wraca do Moskwy nikomu nie może powiedzieć o swoich odkryciach, bo naraża i siebie i słuchającego, poza tym nikt nie wydrukuje tamtych wspomnień, a i własne życie literackie może nagle zostać przerwane. Ale od 1982 roku mieszka w Paryżu, pracuje dorywczo, najczęściej jako przewodnik lub tłumacz, lecz najważniejsza rzecz, to dotrzeć do tamtych ludzi, gdy już wie jak szukać.

Nie od razu miałem odwagę cokolwiek o tym pisać. Zawdzięczam to młodemu paryskiemu redaktorowi (zbyt wielu takich tolerancyjnych redaktorów w ciągu swego życia nie spotkałem), to Lew Bruni powiedział - popróbuj! I tak zacząłem. Były to krótkie audycje radiowe dla Radio France Internationale (RFI) - mówiłem w paryskim studio, a skądś tam, z mojej Rosji, przychodziły listy: dajmy na to – „Dziękuję, to było ciekawe, nich pan jeszcze opowie - o tym lub czymś innym..." - W ten sposób dostawałem potwierdzenie tego, co czułem już wcześniej, że pierwsza emigracja i tamci ludzie wzbudzają w dalszym ciągu u nas w Rosji duże zainteresowanie. Więc postanowiłem zebrać te wszystkie gawędy o ludziach i ich życiu, ludziach z różnych powodów niepożądanych w kraju, albo i takich, którzy z jakiś przyczyn „ugrzęźli" za granicą. Dla swoich rozmów nie wybierałem bohaterów pozytywnych bądź negatywnych, geniuszy, czy złodziei. Dlatego spotkać tu można obok metropolity Eulogiusza[16], Nestora Machno[17], razem z Władimirem Nabokowem[18] Siergieja Efrona[19], obok Matki Marii[20] i Ilji I. Fondamińskiego[21] Nadieżdę Plewicką[22].

Pracował jako przewodnik grup turystycznych, jako tłumacz i dużo pisał. Jak opowiadał syn, pracował po dwadzieścia godzin na dobę i nie miał czasu na to, by zastanawiać się i martwić, że jego książki w Rosji nie są czytane. Pochłaniała go praca. Natomiast, jak smutny żart opowiada swoje perypetie z księgarzami francuskimi.

Jeżeli skręcimy w rue de l"Ancienne Comédie (tutaj była najstarsza paryska kawiarnia i tutaj mieszkał Mickiewicz), to po pięciu minutach wyjdziemy na malowniczą, prawie wiejską paryską rue de Buci. Zaczyna się od wesołego bazaru z owocami, warzywami, kwiatami i orientalnymi tkaninami, a naprzeciwko jest rosyjska księgarnia „Globus". Bywało, że dzwoni do mnie pracująca tam piękna ekspedientka Anna. - Cud! Wszystkie twoje książki zostały sprzedane! Przynieś więcej! - Ile przywieźć, pięć sztuk? Po co tyle! Przynieś jedną! (…) W domu przy 37 rue de la Bûcherie znajduje się jedna z najbardziej egzotycznych i najbardziej lubiana księgarnia Dzielnicy Łacińskiej - „Shakespeare and Company" starego George'a Whitmana, który jest uważany za wnuka słynnego poety. George znał właścicielkę przedwojennej księgarni Sylwię Beach i to od niej przejął księgarnię. Sylvia Beach przyjaźniła się z wieloma słynnymi pisarzami i wspomnienia o niej można znaleźć nie tylko u Hemingwaya. (…) Stary George też zna sporo ludzi (mnie zawsze wita po rosyjsku), a jego księgarnia wygląda przezabawnie; stosy książek na podłodze, zakurzone tajemnicze zakamarki pełne angielskich i miejscami rosyjskich książek. (…) Czasami George bierze moje książki na sprzedaż, a potem, upewniając się, że zniknęły z półek mówi chytrze robiąc do mnie oko - ukradli! Nie czekając na te cholerne pieniądze przetrząsam stertę zakurzonych śmieci i dostaję swoje w naturze… ! (Progułki po Pariżu – „Spacery po Paryżu")

Mieszkając długo w Paryżu i oprowadzając turystów poznał historię miasta i historię kraju; podawał więc fakty, daty i nazwy, a wszystko to ubarwiał opisami, bo miał „oko" znawcy sztuki. Miasto znał lepiej, niż niejeden rodowity mieszkaniec. Czytelnik jego książek zobaczy Paryż d'Artagnana

Boris Nosik i Boris Guessel w Bibliotece Turgieniewa

Boris Nosik z synem Antonem

i komisarza Maigreta, Ernesta Hemingwaya i Honore de Balzaca, Paryż Georgesa Brassensa i Franciszka Liszta. (Progułki po Pariżu s Borisom Nosikom – „Spacery po Paryżu z Borisem Nosikiem", Progułki po Pariżu. Lewyj bierieg i ostrowa - „Spacery po Paryżu. Lewy brzeg i wyspy", Progułki po Pariżu. Prawyj bierieg - „Spacery po Paryżu. Brzeg prawy", Russkije tajny Pariża - „Rosyjskie tajemnice Paryża"). Te książki to także przewodniki po historii rosyjskiej emigracji... Historie wybitnych francuskich postaci splatają się z losami Rosjan, tych, którzy przyjechali tutaj uciekając przed barbarzyńskimi hordami w nadziei na normalne życie, którzy tutaj zakochiwali się, cierpieli, później umierali i zostawali na dziesiątkach rosyjskich cmentarzy.

Tam jest teraz dziesięć tysięcy mogił nie dam rady napisać o wszystkich… ale staram się, bo zasłużyli na to.

Jest spadkobiercą i wykonawcą testamentu wielkiej Anny Achmatowej, która we wstrząsającym Requiem - świadectwie stalinowskich czasów - napisała; „ …chciałabym ich nazwać wszystkich po imieniu... ". Chciała, by nie zapomniano o ofiarach represji i podobnie autor książek o rosyjskich cmentarzach we Francji; …nie dam rady napisać o wszystkich, ale się staram… Stara się, by nie stało się tak, jak w Rosji, by nie zostali zapomniani.

Uciekali z ogarniętego rewolucją, a później wojną, właściwie dwiema wojnami, kraju. Uciekał sam kwiat rosyjskiej inteligencji.

Rosja została bez inżynierów, naukowców, malarzy, muzyków, kompozytorów, aktorów, reżyserów. To tutaj próbowali organizować swoje nowe życie ci książęta, hrabiowie, wybitni naukowcy. Książę Oboleński; wcześniej przyjeżdżając do Paryża zawsze zatrzymywał się w tym samym hotelu zajmując całe piętro, później długo pracował w nim jako odźwierny, a po pracy pomagał żonie sprzątać pokoje gościnne. We Francji największą grupę taksówkarzy stanowili wysoko urodzeni Rosjanie; książęta, hrabiowie, generałowie Białej Armii, młodzi oficerowie.

Nieprawdą jest, że byli prawnicy, byli prokuratorzy, byli lekarze, inżynierowie, dziennikarze stając się robotnikami lub taksówkarzami pozostali związani z tamtą warstwą kulturową do której wcześniej należeli. Przeciwnie, swoimi aspiracjami, dążeniami, poglądami, psychicznie starali się zbliżyć jak najbardziej do klasy, do której teraz należą i od której dzielą ich tylko różnice językowe i nie mamy prawa stawiać im żadnych żądań. Tak pisał w połowie lat trzydziestych znany już wtedy całej czytającej emigracji pisarz-taksówkarz Gajto Gazdanow. (…) Wybitny prozaik emigracyjny Gaito Gazdanow, rywal samego Nabokova, przesiedział za kółkiem prawie ćwierć wieku - od 1928 do 1952 roku. Jego książka Nocznyje dorogi - „Nocne drogi", to utwór paryskiego taksówkarza. Dopiero po wojnie, kiedy książki Gazdanowa zaczęły być częściej tłumaczone i publikowane, gdy został zatrudniony →

łowicz Nosik

w Radiu Svoboda, stary pisarz mógł zrezygnować z pracy kierowcy. (Russkije tajny Pariża – „Rosyjskie tajemnice Paryża")

***

My tak zwyczajnie powracamy we wspomnieniach do dawnych czasów, ale sam czas nie powraca, biegnie do przodu, a oni odchodzą i nie tak jak u Galicza[23] „jedni nie wiadomo dokąd inni - w książęta"… wszyscy oni odchodzą w - nigdzie… więc piszę o nich, żeby nie odeszli całkiem. Zmarła Tatiana Aleksiejewna Osorgina-Bakunina[24] była moją dobrą przyjaciółką, zmarł również Igor Aleksandrowicz. Niedawno odszedł Borys Nikołajewicz Łosski[25], także mój dobry przyjaciel, który odwiedzał mnie, by sobie porozmawiać… (…) Nieważne, jak niewiele (zaledwie jedną trzecią, ostatnią część mego życia) lat przeżyłem we Francji, ale niektórym moim nowym przyjaciołom i znajomym udało się w tym czasie spocząć pod tutejszymi brzozami; mój filmowy nauczyciel Aleksandr Arkadjewicz Galicz, drogi koktebelski rozmówca Wiktor Płatonowicz Niekrasow, miła mi sąsiadka i przyjaciółka Zinaida Aleksiejewna Szachowska, a także redaktor „Kontinientu" pisarz Władimir Emilianowicz Maksimow - jego także lubiłem…(…) Ci ludzie odchodząc mają już 95, 93 lata. Niech Bóg da nam wszystkim życie z taką doskonałą pamięcią. (Był ciełyj mir - i niet jego. – „Był cały świat - i nie ma go".)

To właśnie do nich docierał przeszukując spisy ludności, archiwa, wczytując się w pamiętniki; wysłuchując wdowich opowieści w maleńkich kuchenkach ich paryskich mieszkań, wędrując z weteranami armii (bardzo często różnych; i białej, i czerwonej) po wzgórzach otaczających Niceę, którą dzielił z Paryżem i domem na przedmieściu Aix-en-Othe albo trafiał na nich całkiem przypadkowo, nawet trudno sobie wyobrazić ile trzeba było odbyć rozmów, ile przewędrować, jaką mieć ciekawość ludzi.

Pewnego chłodnego jesiennego dnia wracając z samotnego spaceru po pięknym parku Montsouris zawędrowałem, aż na rue d'Arcueil i tam zauważyłem niedbale pomalowany płot, na którym napis zawiadamiał o otwarciu wystawy „ Cloch-art 85". Nazwa wydawała mi się pomysłowa: bo 'clochard', to legendarny, brudny paryski włóczęga, żebrak i alkoholik. A w nowej sztuce królowały już pop-art i op-art, więc dlaczego nie cloch-art. Popchnąłem dwuskrzydłową furtkę malowanej bramy i zobaczyłem duży, a sądząc po wyglądzie, opuszczony dom. Wszedłem do środka, idąc długimi korytarzami zauważyłem spod jednych drzwi smugę światła, zapukałem; ku mojemu zdziwieniu usłyszałem po rosyjsku - proszę wejść. Wszedłem, zobaczyłem szczupłego mężczyznę w okularach, który siedział na ławce w kącie i coś zszywał. W drugim narożniku palił się osierocony elektryczny piecyk, a obok niego na podłodze pozostawiona na gazecie pusta filiżanka, nóż, kawałek chleba i kawałek sera… Artysta miał na imię Nikołaj. Wyjaśnił mi, że francuscy artyści samowolnie zajęli tę nikomu niepotrzebną, porzuconą fabrykę, gdzie już od dawna w stróżówce mieszkał starzec-clochard i teraz organizują tutaj wystawy. (…) Wśród nich są także Rosjanie, którzy nie mieli swoich pracowni, a on, Nikołaj, nawet mieszkać nie miał gdzie, bo zaledwie przed dwoma laty samowolnie opuścił wycieczkową grupę z Mińska i został w Paryżu. Jak dotąd nic jeszcze nie osiągnął, nic nie sprzedaje, ale żyje nadzieją. - Tutaj jest całkiem nieźle - powiedziałem nie bardzo przekonująco.

To dziwne spotkanie spowodowało, że zacząłem zastanawiać się nad losem młodego artysty w mieście, gdzie artystów jest prawie półtora tysiąca. A w szczególności nad losami artystów pierwszej fali emigracji. Nie tych, którzy na wzór gwiazd „Świata Sztuki", czy Siergieja Szarszuna już wcześniej zdążyli poznać Paryż, a także sami dali się temu Paryżowi poznać, ale tych, którzy zaczynali właśnie tutaj jeszcze zupełnie młodzi. Wcześniej wydawało mi się, że artyście-malarzowi jest łatwiej, niż pisarzowi, malarz tworzy coś namacalnego, realnego, coś, co może być fragmentem umeblowania, a rękopisu na ścianie nie da się powiesić. Tymi przypuszczeniami podzieliłem się z Zinaidą Aleksiejewną Szachowską[26], której mąż należał do tak zwanej Szkoły Paryskiej i przyznała mi rację. Właśnie tym artystom, tym młodym, było znacznie trudniej, nawet jeśli wcześnie pojawili się wielbiciele i znawcy sztuki. Niełatwo miał także okrzyknięty geniuszem sławny Nikolaj de Staël. Uznanie zwykle przychodziło przed śmiercią, albo - częściej jeszcze - po śmierci. Dla nich sława była zimnym słońcem martwych… (Priwiet emigranta, swobodnyj Pariż! – „Wolny Paryż wita emigranta")

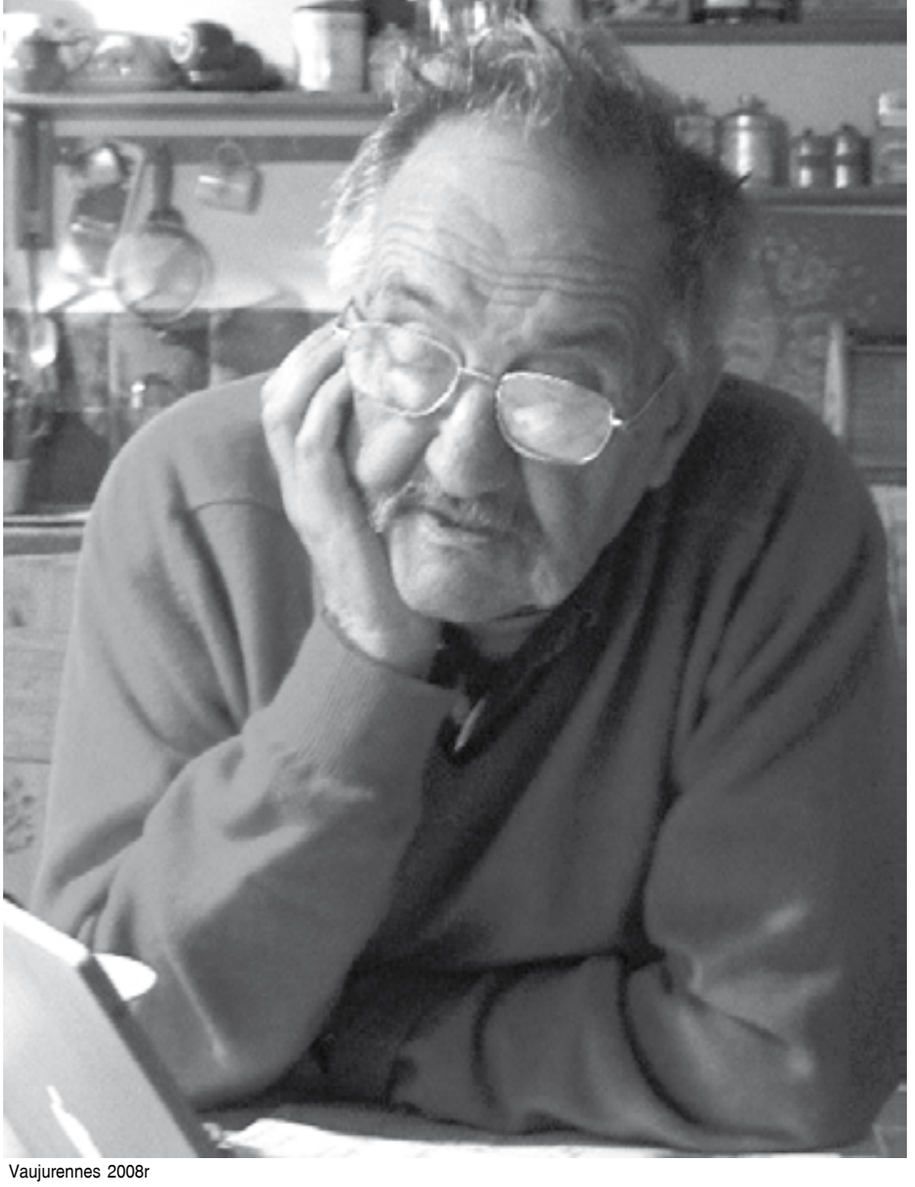

Vaujurennes 2008r

***

Już w latach sześćdziesiątych wśród mieszkańców Moskwy krążyły opowieści o podparyskim wiejskim cmentarzu Sainte-Geneviève-des-Bois. W trakcie pierwszego pobytu nie udało mu się zobaczyć tej podparyskiej nekropolii (dojazd skomplikowany - zmiany środków lokomocji - na dodatek w nieznanym terenie przystanek na żądanie). Cmentarz św. Genowefy, to jeden z największych rosyjskich cmentarzy na terenie Francji.

W połowie lat 80. byłem już prawie paryżaninem i co roku wędrowałem po ścieżkach tego cmentarza: to naprawdę niesamowite; ten cmentarz, to być może najbardziej niezwykła z rosyjskich nekropolii (dom zmarłych na obczyźnie). Udawało mi się docierać do rosyjskich mogił w Nicei, Rzymie, w Wiedniu, nad jeziorem Genewskim, w Lozannie, czy Bussy-en–Othe lub Mongolii, ale cmentarz Saint-Geneviève-des-Bois to szczególny cmentarz. (…) Pamiętam, gdy po raz pierwszy znalazłem się na tym cmentarzu i chodziłem pomiędzy kamiennymi nagrobnymi pomnikami i wysokimi drewnianymi krzyżami czytając: Bunin Iwan Aleksiejewicz, Mierieżkowski Dmitrij Siergiejewicz, książę Trubieckoj, książę Łobanow-Rostowski, generał Drozdow i Drozdowcy, Iwan Możżuchin, Teffi, Boris Zajcew, Gieorgij Iwanow, Konstantin Korowin, księżna Oboleńska, Piotr Struve, książę Feliks Jusupow, Nuriejew Rudolf, a także Niekrasow Wiktor Płatonowicz, Tarkowski Andriej Arsienijewicz i tuż obok Aleksandra Galicza Władimir Maksimow. Są tutaj absolwenci Imperatorskiego Aleksandrowskiego, dawniej Carskosielskiego Liceum, absolwentki Jekatierinowskiego i Smolnego - Instytutów Szlachetnie Urodzonych Panien, Drozdowcy-Kawalerzyści, Korniłowcy, aktorów wystarczyłoby, żeby wystawić dowolny spektakl, a muzyków, by stworzyć orkiestrę lub otworzyć konserwatorium, uczonych by powołać uniwersytet. (…) Stoi tu piękna cerkiew zbudowana w 1938 roku według projektu architekta Alberta Benois (styl nowogrodzki). Malowidła są dziełem samego Alberta Benois (brat sławnego Aleksandra[27]) i jego żony, a w pracy całą duszą pomagał im hrabia Szeremietiew, który właśnie wtedy

Boris Michajłow

zamieszkał tuż przy świątyni w charakterze skromnego diaczka-psalmisty. (...) - Priwiet emigranta, swobodnyj Pariż.

Ostatni raz na cmentarzu Saint-Geneviėv-des-Bois byłem w Wielkanoc. Mój były szkolny kolega artysta Witalij Statsinski i tłumacz Krzysztof Głogowski podrzucili mnie starym rozklekotanym samochodem Krzysztofa. Podchodziłem do cmentarza. Był środek nocy, już z oddali słysząc śpiewy podszedłem do ogrodzenia i zamarłem. Setki ogników trzepotało na mogiłach - świece, świece, świece.... Z cerkwi ze śpiewem wyszła procesja i z chorągwiami zaczęła wolno posuwać się wokół całego cmentarza, obok śpiących w pokoju wygnańców, widok wzruszający i niezapomniany. - Był ciełyj mir - i niet jego. – „Był cały świat - i nie ma go".

***

Doskonałym źródłem informacji były dla Borisa Michajłowicza Biblioteka Turgieniewa oraz cerkiew pod wezwaniem św. Aleksandra Newskiego na rue Daru. (Parkan wokół cerkwi do dziś oblepiany jest wszelkiego rodzaju pytaniami, prośbami, napisanymi odręcznie ofertami - adresy, telefony, fotografie przyklejone wprost do prętów ogrodzenia. Ten płot przez lata był, i jest, punktem informacyjnym.)

Paryż rue Daru, parkan wokół cerkwi. Fot. K. Ś.

Biblioteka Turgieniewa; ulica 11 rue de Valence. Na rue de Valence 18 kwietnia 2015 roku odbyło się spotkanie zorganizowane przez przyjaciela pisarza poświęcone jego pamięci, a miejsce było nieprzypadkowe. Biblioteka Turgieniewa, to najstarsza publiczna biblioteka rosyjskojęzyczna poza granicami kraju. Boris Nosik właśnie tutaj często naznaczał swoim rozmówcom spotkanie twierdząc, że to miejsce ma szczególną aurę i skłania ludzi do wspomnień. W tej bibliotece doszło też do spotkania dwóch mistrzów; mistrza słowa, jakim był Boris Nosik i mistrza fotografii - Borisa Dawidowicza Gessela.(był to koniec lat dziewięćdziesiątych)

Zdjęciami Gessela ilustrowane są wymieniane już przewodniki po Paryżu i te opisujące podparyskie miejscowości. Na długo przed spotkaniem artystów Boris Gessel (we Francji Guessel), który przyjechał do stolicy Francji nie znając języka wsłuchiwał się w audycje Wasilija Sziszkowa dla Rosyjskiej Sekcji Radia Francuskiego - Wasilij Sziszkow, to pseudonim Borisa Nosika. Te radiowe audycje Guessel nazwał spektaklami jednego aktora. Natomiast fotografie Guessela do książek Nosika wpisują się w tekst i są niezwykłym dopełnieniem informacji.

***

Chcąc wyjechać na Zachód Boris Michajłowicz mógł uzyskać paszport jedynie do Izraela i to bez możliwości przyjazdów do kraju, a w Moskwie pozostawał ukochany syn (z pierwszego małżeństwa) Anton. Poza tym doskonale pamiętał lata 60. Procesy Andrieja Siniawskiego i Julija Daniela, oskarżonych o publikacje utworów za granicą, a także słynne oskarżycielskie słowa noblisty Michaiła Szołochowa oburzonego łagodnym wyrokiem dla Siniawskiego (siedem lat kolonii karnej o zaostrzonym rygorze). Także protest na Placu Czerwonym (rok 1968- siedem osób heroicznie demonstruje przeciwko inwazji Rosji na Czechosłowację) w rezultacie którego Natalia Gorbaniewska poetka i tłumacz po więzieniu śledczym i więzieniu psychiatrycznym wyemigrowała z kraju. W Moskwie poznał Francuzkę, ożenił się i gdy miała urodzić się córka Sandra dostał pozwolenie na miesięczny pobyt, po roku - na dwa miesiące, po następnym - na trzy, aż na koniec zamieszkał w Paryżu i mając tam stałe miejsce zamieszkania mógł w miarę swobodnie przyjeżdżać do Rosji. Dopóki starczało sił powracał, później pogłębiająca się choroba serca uniemożliwiła podróżowanie. Zakończyło się to pierwszą operacją i opinią lekarzy, że nie powinien latać i trzeba ograniczyć dalekie podróże pociągiem. Od tego momentu zaprzestał wszelkich dalszych podróży, przestał odwiedzać rodzinę w ojczyźnie i podróżować do rodziny w Ameryce (tam mieszkają siostry pisarza). Następne lata mijały pomiędzy wioską latem, a Lazurowym Wybrzeżem zimą. Na prowincji życie było tańsze. W Vaujurennes miał przyjaciół (sami Francuzi). Dzieciom sąsiadów dawał lekcje angielskiego. Zżył się z miejscową ludnością. Francuzi nie są zbyt rozmowni, ale lubili go słuchać.

Uwielbiają słuchać. Tutaj ludzie nie są przyzwyczajeni do mówienia. Nie będą rozmawiać w kuchni. Mam znajomego psychoanalityka, który podwozi mnie do Paryża. Więc mu mówię: w Rosji nic byś nie zarobił. Bo tam, jak czujemy potrzebę zwierzeń, to siadamy w kuchni[28] i tam wszystko sobie mówimy, a we Francji nikt nikomu nic nie mówi. Dlatego chodzą do psychoanalityka, płacą mu 200-300 franków, kładą się na kanapie i opowiadają wszystko to, co my mówimy bez wydawania pieniędzy.

Vaujurennes 2008r.

***

W dorobku autora są książki o pierwszej, drugiej i trzeciej fali rosyjskiej emigracji, artystach takich jak: Chagall, Soutine, Chana Orlov, Natalia Gonczarowa, Michaił Łarionow, Jacques Lipchitz, Wiera Jermołajewa - trudno wyliczyć wszystkich. Pisał nie tylko artystyczno-historyczne przewodniki (Russkije tajny Pariża - „Rosyjskie tajemnice Paryża"), ale także związane z tym miastem historie miłosne. Jedna z nich: Anna i Amedeo - to historia tajemnej miłości rosyjskiej poetki Anny Achmatowej i włoskiego malarza Amedeo Modiglianiego. Autor skupia naszą uwagę na dwóch spotkaniach bohaterów (Paryż rok 1910. i 1911.).

Gumilow pokazawszy młodej małżonce wspominane wcześniej wspaniałości słynnego miasta przyprowadził ją na Montparnasse do słynnej Café la Rotonde, na rogu bulwaru Raspail, rue Vavin i bulwaru Montparnasse (najważniejsze dla Rosjan miejsce na przełomie prawie trzech stuleci), która pod płaszczykiem dawnej sławy winduje teraz nowe wysokie ceny. Myślę, że właśnie w tej kawiarni Anna i Amedeo spotkali się po raz pierwszy. Jest to tylko hipoteza, ponieważ nie ma o tym żadnej wzmianki w tzw. „źródłach"). (…) Ale oto doczekaliśmy się przybycia starców - André Derain, Othon Friesz (...) obok Japończyk Foujita, z kolczykiem w uchu, siedzi dumny, milczący, czasami tylko rzuci dwa, trzy słowa do siedzącego obok dandysa w pilśniowym kapeluszu i czerwonym szalu, ten dandys to Toskańczyk Amedeo Modigliani. Z nieodłącznym błękitnym notesem, dopóki trzeźwy mówi niewiele cały czas rysując. Bywa, że z wściekłością drze wspaniały rysunek, który jego zdaniem nie osiągnął jemu tylko znanego stopnia doskonałości... Szuka spojrzeniem nowego modela, potrzebuje kontaktu z drugim człowiekiem; spojrzeniem ocenia postać; bez tego nie potrafi malować, najważniejszy dla niego jest człowiek. Rozejrzał się dookoła i nagle zamarł zdumiony... Twarz... I to jaka... Młoda kobieta... skąd się tutaj wzięła? Kobiety tutaj to rzadkość, a już takie w ogóle tutaj nie bywają... Ona wyczuła to spojrzenie, podeszła, usiadła na wprost. Zaczęli rozmawiać, a gdzie w tym czasie był Gumilow? Być może odszedł na chwilę, może po kawę lub kieliszek wina. Gdy wrócił wszystko zrozumiał (bo wszystko było jasne) - wpadł we wściekłość, przecież przez cały czas tego właśnie się obawiał i jak gdyby oczekiwał. A ona, gdy tylko weszli od razu spostrzegła pięknego mężczyznę w czerwonym szalu. W ciągu półwiecza wielu słyszało od Anny Andriejewnej historię tej jednej, jedynej chwili - za każdym razem opowiadaną nieco inaczej - bo już zaczynała mitologizować… (Anna i Amedeo)

W programie Echo Moskwy Boris Nosik na pytanie prowadzącej audycję: „Czym różni się miłość wielkich od uczucia zwykłych śmiertelników? - odpowiedział –

„Przede wszystkim tym, iż znajduje odzwierciedlenie w sztuce (...) - przez wiele lat nad łóżkiem Anny Andriejewnej wisiał jej portret[29] namalowany przez Amedeo Modiglianiego. Wszystko co ich dotyczyło było dziełem sztuki; i krótka miłość Amedea do Anny, i jej bardzo długa, a uczucia ich łączącego nie można oddzielić od tego co tworzyli. Były powody dla których Anna Andriejewna milczała tak długo... a właściwie do końca."

Modigliani?

(…) …nie wiedział (i nikt z jego otoczenia nie wiedział), że adresowane do niego rosyjskie wiersze były już w Rosji zaczytywane, śpiewane ze sceny, że jego rosyjska

Boris Nosik z siostrą Alyoną

Boris Michajłowicz w Antibes

ukochana z 1911 roku jest wielkim poetą, gwiazdą Petersburga, królową petersburskich kabaretów, że jej rosyjska sława zaczęła się właśnie od wierszy o nim, zaczęła się po ich spotkaniu, że czekała na niego długo i dopiero niedawno przestała czekać. Bo jak można było o tym wszystkim wiedzieć w dalekim Paryżu, przecież on sam prawie o niej zapomniał, ale może nie zapomniał... (…) Do Paryża powróciła dopiero po pięćdziesięciu latach (i to jakich pięćdziesięciu latach!). Anna Achmatowa przeżyła, przeżyła siedem strasznych dziesięcioleci, przeżyła nawet katów swojego pierwszego męża Gumilowa. Wróciła do Paryża, by stanąć przed tym „mrocznym domem" na rue Bonaparte. Modigliani, nie żyje już od czterdziestu pięciu lat. Lecz tamtego lata w 1910 roku, tej pierwszej jesieni, a potem jeszcze zimy i wiosny, gdy mieszkała pod Petersburgiem, przez cały ten czas był razem z nią, był bliżej niej, niż ci, którzy ją otaczali... Cierpiała; powinien był dać znać o sobie, napisać lub przyjechać, ale ta miłość do niego „dalekiego", ta skrzętnie ukrywana tajemnica, ciągłe oczekiwanie: wszystko to było darem dla jej poezji (Boże mój, jak bardzo wdzięczna powinna być nasza rosyjska poezja temu nieszczęsnemu mieszkańcowi Montparnasse'u, temu doświadczonemu przez los toskańskiemu księciu!). (…) Spotkanie z Anną spowodowało przełom i w rzeźbie, i w malarstwie. Rysy twarzy, linie jej ciała długo jeszcze odnajdujemy w jego rzeźbach, portretach, kariatydach. (Anna i Amedeo)

Gdy ukazały się pierwsze zwiastuny książki (napisana była już we Francji w Vaujurennes), na autora spadła lawina krytyki, znawcy twórczości Anny Achmatowej protestowali przeciwko ujawnianiu szczegółów z życia osobistego poety (Anna Achmatowa była przeciwna nazywaniu jej poetką). Jednak w krótkim czasie książka ukazała się i to w aż trzech wydawnictwach. Pisarz dowiedział się o tym przypadkowo, a całkiem nieprzypadkowo poinformowano go, że na tantiemy nie ma co liczyć. Wykorzystano to, że był daleko, w obcym kraju, więc darował nie pierwszy i nie ostatni raz.

***

Pisał o słynnym La Ruche, o tym, jak to na peryferiach stolicy sztuki dzięki hojności francuskiego rzeźbiarza (Alfreda Bouchera) w byłym pawilonie winnym powstawały tanie mieszkania dla tych, którzy do Paryża przyjeżdżali bez adresu i najczęściej bez pieniędzy. Opisuje, jak kolejno pojawiali się tam białorusko-polsko-żydowscy artyści. Łączył ich jeden cel - sztuka. Tam mogli osiągnąć szczyty lub zginąć ci bohaterowie: Achipenko, Kikoïne, Marevna (Worobiowa), Indenbaum, Kisling, Zadkine, Czajkow, Krémègne, Epstein, Granowski. Większość mieszkańców tego domu mówiła po rosyjsku, polsku i prawie wszyscy znali jidysz, niewielu natomiast znało francuski, ale tutaj czuli się wolni. Pinchus Krémègne wspominał, że gdy przyjechał do Paryża w kieszeni miał trzy ruble, nie znał francuskiego, ale znał dwa słowa „Passage de Dantzig", to adres La Ruche. (Dom ten stoi tam nadal; w drzewach, za piękną kutą bramą - dzisiaj także mieszkają tam artyści. K. Ś.). Jeden z najznakomitszych stałych mieszkańców tego domu, który oficjalnie zyskał miano geniusza, Marc Chagall, tak mówił: „Tutaj albo zdychało się z głodu, albo zostawało geniuszem..." Pisał o Polakach odwiedzających lub mieszkających w La Ruche; o Leopoldzie Zborowskim, niezasłużenie zapomnianym marszandzie, który całe swoje krótkie życie oddał artystom.

Około 1916 roku u Modiglianiego pojawił się nowy wielbiciel, pomocnik i obrońca. Był nim polski poeta Leopold Zborowski, który został marszandem i zaprzysiągł sobie, że otworzy oczy światu obojętnemu na malarstwo Modiglianiego. Dla tego zadania zrezygnował z poezji i z uporem przebijał drogę przyjacielowi; przyprowadzając znakomite modele, rozwieszając jego płótna wszędzie, gdzie tylko było można - chociażby i u fryzjera. Przeczuwał, że zwycięstwo jest blisko (a przypuszczalnie, rozumiał także, że tragedia może dopaść ich wcześniej). (…) Po raz pierwszy na południe Francji Soutine'a zabrał ze sobą Modigliani. Pojechali na Lazurowe Wybrzeże, ale koszty pokrywał Zborowski." (Jewriejskaja limita i pariżskaja dobrota – „ Żydowskie bariery i paryska życzliwość")

Opowieści o polskich artystach, mecenasach, naukowcach pojawiają się w wielu jego książkach; Chopin, Mickiewicz, Maria Skłodowska-Curie, M. Kisling, rzeźbiarz E. Wittig, A. Halicka, Tuwim, Lunia Czechowska-Choroszo.

***

Paryż i Café Voltaire przy placu Odeon - pomiędzy wojnami uwielbiali ją pisarze amerykańscy; Scott Fitzgerald, Gertruda Stein, Ernest Hemingway, William Saroyan. Kiedyś przypadkowy przechodzień, Ormianin, spotkany na Place de l'Opéra zaprosił Borisa Michajłowicza do siebie, na przedmieścia, gdzie mieszkała duża grupa Ormian. W trakcie rozmowy pochwalił się, że często odwiedza ich - jeżeli tylko jest w Paryżu – inny Ormianin William Saroyan

Gdy dowiedział się, że tłumaczyłem Saroyana dał mi do niego telefon. (…) Zadzwoniłem tego samego wieczoru. Było bardzo późno. Przedstawiłem się … nagle mi przerwał ;- Przyjeżdżaj, stacja metra Notre-Dame de Lorette, pospacerujemy, pogadamy. Nie patrząc na późną godzinę pojechałem, wychodząc z metra zacząłem się rozglądać. - Nie tutaj patrzysz - krzyknął do mnie wąsaty starzec w słomkowym kapeluszu. Długo chodziliśmy po Paryżu i Saroyan zabawiał mnie historyjką o ormiańskim szewcu do którego zlatują się wszystkie ptaki Paryża… Miesiąc później w Moskwie spotkałem w Związku Pisarzy tłumaczkę Fridę, powiedziała mi, że Saroyan zmarł u siebie w Fresno w Kalifornii. Gdy

Boris Michaj

po jakimś czasie wylądowaliśmy z moją siostrzyczką Alyoną w Kalifornii, namówiłem ją na Fresno, ale tam niczego nie znalazłem, natomiast w Paryżu, gdy przechodzę obok stacji Notre-Dame de Lorette zawsze roi mi się postać w staromodnym słomkowym kapeluszu i sklepik szewca Ormianina, i ptaki, całe stada ptaków… (Wokrug Pariża z Borisom Nosikom. Tom 1) Boris Nosik z siostrą Alyoną

W Polsce jest pisarzem prawie nieznanym, w 1968 roku wydane zostały wspomnienia z podróży; „Od Dunaju do Leny" w przekładzie Bogdana Justynowicza, Następnie w tłumaczeniu Natalii Woroszylskiej opowiadanie „ Pierwsze spotkanie" (Arkusz nr 5 /114. 2001 r.) i dopiero po wielu latach ; „Knajpiana poezja. Książę - kompan od kieliszka" (A. Modigliani i Chaïm Soutine), „Ostrożnie - autobiografia. Z Witebska - do Petersburga" (Marc Chagall), „Zagadkowa śmierć w Cannes" (historia Sawwy Morozowa), ,,Moskiewsko-nicejska historia z ulicy Cours Saleya. Opowieść przewodnika" (O związkach Matisse'a z najsłynniejszymi rosyjskimi kolekcjonerami; Siergiejem Szczukinem i Iwanem Morozowem), „Wieczór na rue Jacques Offenbach. (Konstantin Simonow z wizytą u Iwana Bunina)", „La Ruche" (Historia pracowitych pszczółek Alfreda Bouchera.), „Dyktator światowej mody" (Siergiej Pawłowicz Diagilew i Balety Rosyjskie), „Niesławny koniec równego chłopa" (Siergiej Efron), „Koniec jednej posiadłości. Willa Belweder." (Iwan Bunin), „Dla Krakowa i dla Ewy" (Ewa Demarczyk i Boris Nosik), są to fragmenty utworów wcześniej cytowanych lub eseje literackie zamieszczone w kwartalniku „Migotania" w tłumaczeniu autora artykułu.

***

Paryż nie jest moim rodzinnym miastem. Gdy chodzę po Moskwie, to wygląda to zupełnie inaczej. U Nabokova jest taka powieść „Przezroczystość rzeczy", więc, gdy chodzę po Moskwie, to wspominam; tutaj mieszkała dziewczynka, taka tłuściutka blondyneczka, na imię miała Klara, a tutaj mieszkała moja pierwsza żona, tu się jej oświadczałem, a tutaj urodził się mój syn... W każdym z tych domów ktoś mieszkał, te domy Moskwy są dla mnie przezroczyste. Paryż dla mnie nie jest tak przezroczysty, staje się bliższy, ale tak przezroczysty nie jest… no może tylko ten rosyjski Paryż.

Gdy powracał do Rosji, to przez wszystkie miejsca, które odwiedzał prześwitywała przeszłość.

Zmarł 2l lutego 2015 roku w Nicei. Borisa Michajłowicza Nosika pochowano na prawosławnym cmentarzu Caucade (dawniei Nikołajewskim), gdzie o groby dba stareńki emerytowany profesor książę Aleksiej Lwowicz Oboleński oczyszczając je miotełką z opadłych liści, a stróż Gieorgij zna tam wszystkich…

***

Wspomnienie przyjaciela;

„Szóstego marca 2015 roku - Leonid Łatynia napisał; „21 lutego zmarł w Nicei mój przyjaciel, pisarz, dziennikarz, tłumacz - Boris Nosik. Tak oto Boris Michajłowicz pisarz, asceta, podróżnik przekroczył granicę życia i śmierci w stolicy emigracji rosyjskiej - Nicei. Dalej to już kwestia naszej pamięci i miłości; pozostawić go żywego i zapamiętanego, albo… Chociaż sprawa oczywiście nie tylko od nas zależy, bo jego wspaniałe książki o Schweitzerze i Nabokovie pozostaną na półce czasu i bez nas. (…) W swoim pierwszym życiu Borys Michajłowicz był człowiekiem pełnym ciekawości i mobilności (geografia jego podróży zapiera dech w piersiach: składa się na nią wiele kontynentów i bardzo wiele krajów), pracowitości (nieskończona ilość tomów prozy, scenariuszy), życzliwości (bo to ważne), ironii i autoironii, ale nie wolno zapominać, że był też uważnym pedagogiem. Pamiętam lekcję, której Boris Michajłowicz udzielił w Koktebelu na Kara-Dagu mojej córce Julii i swojemu synowi Antonowi. Zatrzymaliśmy się w górach niedaleko źródła. Nieopodal, pomiędzy pozostawionymi przez kogoś szklanymi naczyniami, leżało potłuczone szkło. Anton i Julia - ten wiek cechuje nadmiar energii – już zabierali się, by kontynuować proces zniszczenia. Boris zatrzymał podniesioną rękę Antona i powiedział: - Od tej chwili macie dwie możliwości; albo powiększycie liczbę okazji do zranienia siebie i tych, którzy idą za wami, drugą może być usunięcie tego potłuczonego szkła z taką samą energią. Masz wybór. - Pół godziny później Boria i ja zakopaliśmy stos szkła, zebranego przez nowo nawróconych - w dobrym uczynku - mam nadzieję, nie tylko na tę godzinę." (Zdarzenie to opisane zostało w książce Doroga dołgaja logkaja, w rozdziale Koktiebiel' K.Ś..) W liście który otrzymałem na rok przed jego śmiercią napisał; <<A o sobie i naszej przeszłości? – Był cały świat… i nie ma go.[30] Ostanie czterdzieści lat spędziłem w samotności.>>.

I to zdanie, ta myśl o czterdziestu latach samotności jest Twoją ostatnią prawdą. "

Boris Michajłowicz w Antibes

Boris Nosik wiele lat poświęcił na ratowanie od zapomnienia, tych, którzy musieli opuścić ojczyznę opisując ich trudne losy. Ostatnią książkę Był ciełyj mir - i niet jego – „Był cały świat - i nie ma go" wydał po śmierci autora syn Anton Borisowicz Nosik[31].

Wspomnienie Antona; „Książka, którą trzymasz w rękach, jest ostatnim dziełem mojego ojca, pisarza Borisa Nosika, który zmarł w Nicei w lutym 2015 roku. Książka poświęcona jest tematowi, który mój ojciec zgłębiał przez ponad trzydzieści lat, to losy Rosjan w różnych latach XIX i XX wieku, którzy przenieśli się do Francji i tutaj zakończyli swoje dni. Zaprzyjaźniał się z nimi, spisywał ich wspomnienia, uzyskiwał dostęp do rodzinnych archiwów i niepublikowanych pamiętników - i wkrótce stał się oddanym kronikarzem dziejów rosyjskiej Francji, której losowi poświęcił dziesiątki książek, opowiadań, reportaży i programów telewizyjnych. Został pochowany na rosyjskim cmentarzu Caucade obok wielu bohaterów swojej ostatniej książki. Spoczął pomiędzy trzema tysiącami rosyjskich emigrantów zmuszonych porzucić swą ojczyznę. Ostatnią opisaną nekropolią jest rosyjski cmentarz w Mentonie: - Dowody wydarzeń są ważne dla historii... - Na tym urywa się rękopis Borisa Michajłowicza Nosika - Anton Nosik."

PS Wspomnienie o Borisie Michajłowiczu piszę w obliczu wojny na Ukrainie. Autora miałam szczęście poznać. Bardzo Go cenię za Jego ciepło i „uważność" wobec czytelnika, tłumacza i korespondenta. Myślę, że patrząc na dzisiejszą Rosję przerażony powtórzyłby słowa Mikołaja Gogola - „Rosjo, dokąd tak pędzisz, daj odpowiedź! Nie daje odpowiedzi."

Krystyna Śmiechowicz

Zdjęcia zamieszczone w artykule pochodzą z rodzinnego albumu Alyony Nosik

1 W Polsce film wszedł na ekrany pod tytułem „Mała Moskwa", w Rosji uznany został za antyrosyjski.
2 Powieść Evelyn Waugh - „Niezabwiennaja" (Nieodżałowana) była pierwszą, wcześniej tłumaczył utwory dla dzieci.
3 Pierwsze tłumaczenie na język rosyjski anglojęzycznej powieści V. Nabokova „Pnin".
4 M. Mikłucho-Maklaj rosyjski antropolog, podróżnik (Australia, Nowa Gwinea). Jego matka była Polką, jej bracia brali udział w powstaniu styczniowym.
5 A. Benoit i J. Annienkow rosyjscy malarze.
6 Główny Urząd ds. Literatury i Wydawnictw kontrolujący środki przekazu.
7 Wynagrodzenie na prowincji znacząco różniło się od tego w dużych miastach.
8 Początkowo bardzo nieelegancko uchylając się od wypłacania autorowi honorarium.
9 Krawiec Soutine - ojciec światowej sławy malarza Chaïma Soutine'a.
10 Rodzice autora zdążyli wyjechać ze Śmiłowicz, ale znaczna część rodziny została wymordowana przez hitlerowców razem z innymi mieszkańcami w 1941 roku.
11 Ilja Erenburg - pisarz niezbyt lubiany za swój „romans" z władzą.
12 Armenia w tym czasie wchodziła w skład Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.
13 „Dla Krakowa - i dla Ewy" jest fragmentem „Mongolskije strasti" , opowiada w nim o spotkaniu z grupą Andrzeja Żuławskiego na pustyni Gobi. Anton Nosik na docieklive pytania dziennikarzy o Ewę Demarczyk odpowiadał - są Google.
14 Rok wcześniej spotkali się w Moskwie.
15 Przed wyjazdem wszyscy składali odpowiednie zobowiązania.
16 Eulogiusz Gieorgijewski zwierzchnik parafii rosyjskich na Europę Zachodnią. Jeden z najważniejszych biskupów prawosławnych XX wieku.
17 Nestor Machno - ukraiński anarchista.
18 Władimir D. Nabokow - liberalny polityk zginął w Berlinie od kul przeznaczonych dla kogoś innego, ojciecVladimira Nabokova
19 Siergiej Efron - mąż Mariny Cwietajewej, był tajnym agentem NKWD.
20 Matka Maria (Kuzmina-Karawajewa) - poetka, mniszka, należała do francuskiego ruchu oporu, zginęła w Ravensbrück
21 Ilja I. Fondamiński - redaktor gazety „Sowriemiennyje Zapiski", zamordowany w Auschwitz.
22 Nadieżda Plewicka - piosenkarka, agentka NKWD zamieszana w śmierć generała Białej Armii Jewgienija Millera.
23 Aleksandr Galicz - poeta, pozbawiony rosyjskiego obywatelstwa wiele lat spędził na emigracji. Jeden z trzech najsłynniejszych bardów; Okudżawa, Wysocki, Galicz.
24 Tatiana A. Osorgina-Bakunina, naukowiec. Doktorat na Uniwersytecie Paryskim. Prawie całe swoje emigracyjne życie poświęciła Bibliotece Turgieniewa.
25 Boris Nikołajewicz Łosski - rosyjski filozof i teolog prawosławny, syn znanego filozofa Nikołaja Łosskiego
26 Zinaida Szachowska – pisarka, redaktor gazety „Russkaja Mysl' "
27 Aleksandr Benois, malarz, ilustrator, współpracował z S. Diagilewem.
28 Rosjanie wszelkie istotne rozmowy przeprowadzali w kuchni przekonani, że tam nie ma posłuchu, a bardziej ostrożni wychodzili na spacer.
29 Zachowały się także rysunki (podobno 16 uległo zniszczeniu) i rzeźby (niektóre z nich można zobaczyć w Taorminie), mają twarz i postać Anny Achmatowej.
30 To cytat z wiersza Gieorgija Iwanowa. Wiersz napisany w 1940 r. Cytat ten jest także tytułem ostatniej książki Borisa Michajłowicza Nosika.
31Anton Borisowicz Nosik dziennikarz, lekarz, nazywany ojcem rosyjskiego Internetu, znany bloger i działacz polityczny nie krył swojego krytycznego stosunku do władzy, przyjaciel opozycjonisty Aleksieja Nawalnego zmarł nagle w 2017 roku.

Anna Jachim

Schronienie

Iyi Kaminskiemu

poezja schronieniem
na czas wojny

wspiąć się o szczebel wyżej
od strachu i zwątpienia
do wyimaginowanego świata
stworzonego na tymczasowe potrzeby

uczepić się słowa jak tratwy
żeby choć przez chwilę dryfować
po Pacyfiku
tego co było
co mogłoby być
co może będzie

albo rzucić się w wir obrazów
wiatrem porywających myśli
byle jak najdalej
jak najdłużej
jak najodmienniej

niedościgniony model Viktora Frankla
pozostawia jednak wątpliwości
zwykłym śmiertelnikom

prostszy dostępem
okazuje się
wirtualny świat meta

niespodziewana konkurencja

Rezonans

Mamy spać spokojnie
kiedy tuż za granicą
rzucają w twarz
mięsem historii.

Mamy patrzeć w przyszłość
kiedy pamięć przywołuje
bękarta wersalskiego
i twardy but najeźdźcy.

Kiedy w uszach wciąż rezonuje
szyderczy śmiech wujaszka Jo
państwo bez prawa istnienia
podległe sąsiadowi
choremu na schizofrenię.

W cyklicznym szaleństwie
przebudzony z letargu niedźwiedź
zrywa się do napaści
rozszarpuje ofiary na strzępy
bez mrugnięcia okiem.

Obowiązek

Musisz zostać
choć chcesz wyjechać
każą ci bronić
w ostateczności umrzeć za „wolność”
a ty pragniesz żyć
tu, tam, gdziekolwiek

nie ma nic poza życiem
wszystko przy nim
staje się przezroczyste
i znika po ostatnim oddechu

patrzysz na oddalającą się wolność
za niewidzialnymi kratami granicy
przeklinasz średniowieczne poddaństwo
w wersji z dwudziestego pierwszego wieku

zamiast walczyć, starasz się przeżyć
przeczekać
oszukać czas wojny
godzina po godzinie

Kontekst

I nagle każdy temat
wydaje się zbyt błahy

zawstydzony własną nieprzyzwoitością
chowa się do szuflady
żeby przeczekać dojrzeć doświadczyć
z tłumem podobnych sobie

poranny świergot ptaków
zaglądające do okien magnolie
wiosna w kwiatach

dodać należytej powagi
może jedynie pryzmat kontekstu

pokaleczony świergot ptaków
lamentujące magnolie
krwawa wiosna

a może wprost przeciwnie

to nie wiosna krwawi
tylko człowiek

Marta Fox

Czy widział ktoś mężczyznę w klatce?

O literaturze i płci

Na swoim profilu na Facebooku zamieściłam post pod tytułem: „Czy widział ktoś mężczyznę w klatce"? Była to refleksja na temat wypowiedzi Olgi Tokarczuk. Zamieszczam ją poniżej, nieco przeredagowaną stylistycznie (bo wtedy pisałam na gorąco) i niech stanowi wstęp do impresji na temat literatury i płci:

„Nie byłoby „afery", gdyby Olga Tokarczuk była mężczyzną. Rzecz w tym, że literatura pisana przez kobiety ma zawsze płeć. Debaty prowadzone przez kobiety mają płeć. Pisarze to twórcy. Pisarki to najpierw kobiety. Literat to mężczyzna, literatka to mała szklaneczka o pojemności stu gram. Gdyby to, co powiedziała Olga Tokarczuk, powiedział pisarz bez Nobla, choć ceniony, nagradzany i ogólnie znany ze swojego dobrego pisania (nieważne, ile osób to pisanie zna) tudzież nader bezpośredniego, by nie powiedzieć, że dla niektórych wulgarnego wyrażania się nie tylko w swojej literaturze, to nikt by nie toczył bojów o urażoną godność, która choć zdewaluowana i ograniczona na co dzień tylko do życia materialnie wyposażonego, nagle zaczęła znaczyć więcej.

W wypowiedzi Olgi Tokarczuk nie ma niczego poza tym, że aby czytać, trzeba mieć kompetencje, a przynajmniej przyzwyczajenia, no i wrażliwość. Nie można przecież być pisarzem dla każdego, to oczywiste. Jedni lubią rosół z makaronem, inni poezję, jak w wierszu Wisławy Szymborskiej. Każdy pisarz liczy na współudział czytelnika podczas lektury i na jego inteligencję emocjonalną. Czytelnik jest współtwórcą tego, co czyta. Józef Hen powtarzał w wywiadach i dzienniku, cytując wypowiedź Rene Claira: „Widz także musi mieć talent". /…/

Media Markt może być nie dla idiotów, a literatura już nie?

Tak więc nie ma podstaw ta afera z wyciągniętym z mądrej rozmowy zdaniem o „literaturze nie dla idiotów". Olga Tokarczuk była na literackiej imprezie i mówiła do ludzi czytających, tym samym ich dowartościowując, podkreślając elitarny klan, do którego należą. Zapewne, kiedy to mówiła, nie przypuszczała, że zostanie posądzona o zarozumiałość, kastowość i co tam jeszcze. Nie rozumiem, dlaczego snobizm na czytanie to coś nagannego, a wszelkie inne snobizmy, odwołujące się choćby do materialnego statusu, wyjazdów na zanzibary, torebek i butów po kilkanaście tysięcy, modnych knajpek i wypasionych samochodów, nie są tematem tak gorliwej napaści i debat. Przecież każdemu autorowi, ale i czytelnikowi, dobrze jest, kiedy spotykają ludzi czytających to samo, bo to sugeruje „nadawanie" na podobnej fali, a co za tym idzie to nie do przecenienia poczucie, że patrzy się w tę samą stronę.

Być może to „dla idiotów", wyrwane z kontekstu, stoi dla niektórych w sprzeczności z „czułym narratorem" i czułością w ogóle, o czym tak doskonale mówiła pisarka w przemówieniu noblowskim. I czym uwiodła publiczność świata. Moim zdaniem „czułość", tak jak ja ją pojmuję, to nie jest znak Tokarczuk. Jej znakiem jest dystans i doskonałość. Dystans jest ostoją piękna, pisała Simone Weil. Jeśli jest się doskonałym w pisaniu, to jest się perfekcyjnym, wykoncypowanym, zdystansowanym, czyli tym, co tak bardzo cenią mężczyźni w pisaniu.

O co więc chodzi? Czyje uczucia zostały urażone albo obrażone, że posłużę się najbardziej pustymi i głupimi sformułowaniami? Komu zależy na tym, by Olga Tokarczuk była tak zwaną „dobrą kobietą", wypowiadającą tylko czułe słówka i nie naruszającą obyczajowego status quo?

Niestety, ciągle pozwalamy, by nas, kobiety tworzące, protekcjonalnie poklepywano po ramieniu, by pobłażliwie odnoszono się do naszego pisania i naszych wystąpień. By wieszano na nas biedne psy i posyłano na stos albo do garów. Pisząca kobieta musi się zmierzyć z upokorzeniami /…/

Nieustająco przy tej okazji rozmyślam o filmie „Słodki koniec dnia", o końcowej scenie, w której poetka nagrodzona Noblem (Maria Linde, którą gra Krystyna Janda) ukarana zostaje zamknięciem w klatce za swoją nieprawomyślność, nieustępliwość, niepogodzenie z rzeczywistością. Finałowa scena jest w pewnym sensie odpowiedzią na pytanie, czy artysta ma wpływ na otaczającą go rzeczywistość. Być może ma, jeśli jest mężczyzną.

Czy ktoś widział mężczyznę w klatce lub na drabiniastym wozie?

Trzymaj się, Olgo, i wplataj we włosy czarny bez, nie pozwól na to, by wbijano w Ciebie noże. Już Frida Kahlo wzięła to na siebie".

*

Przy okazji postu na FB dowiedziałam się o sobie, że strasznie piernicze, wylewam swoje feministyczne frustracje, mam zero wiedzy o socjologii i literaturze. No i jestem cwana, lansując się na tym, co nośne. Już nieraz komentarzami, recenzjami, ocenami robiono mi dzień, więc przywykłam. Mało tego, pojęłam, że tak na pewno to autor ma jedynie swoje prawa autorskie, a to, co czytelnicy powiedzą o jego pisaniu, powinno już być poza nim, bo on swoje zrobił, czyli napisał i miał odwagę opublikować. Nie warto rezonować, niech teraz się za łby bierze czytelnik z czytelnikiem, czy recenzent z recenzentem, co choć teoretycznie przemocowe, to skądinąd dobrze świadczy o nich, bo sugeruje, że jednak pisanie ma sens, dopóki się ma czytelników. A może i wtedy, kiedy się ich nie ma.

Przypomniano mi również, że „widziano mężczyznę w klatce". Prawda! Był nim wybitny poeta Ezra Pound, który uległ fascynacji faszyzmem i Mussolinim i w czasie II wojny światowej wygłaszał przemówienia wspierające Holocaust. Został w 1945 roku aresztowany i osadzony w obozie jenieckim w Pizie, gdzie spędził 25 dni w otwartej klatce, więziony przez armię USA. Kto ciekaw, poszerzy wiedzę, bo „klatka" to temat na obszerny esej.

Nie będę analizować każdego wypowiedzianego słowa, które padło na spotkaniu z Olgą Tokarczuk. Zrobiło to już wielu, od profesorów, po „szerokiego" czytelnika. W sieci co bardziej trzymający się ziemi przylepiają tej surrealistycznej inbie jedno modne słowo: „gównoburza". Nikt się już nie jara epidemią, bo jej ponoć od dawna nie ma, albo jak chcą niektórzy, nigdy nie było. Teraz się „jaramy „ węglem, którego też nie ma i ponoć nie będzie, choć kraj nim stoi albo stał. Jaramy się tym, co powiedziała Olga Tokarczuk. Powiedziała, co chciała, jej wolno, niech się obrażają te nożyce, co to podskoczyły po rąbnięciu w stół. Wiadomo, miną dwa tygodnie i nikt nie będzie już tego roztrząsał.

*

Przy okazji spróbuję się dodatkowo „feministycznie pofrustrować", bo może jednak są podstawy ku tej literackiej „aferze" i ich źródło tkwi w tym, jak patrzy się na kobiety piszące. Zaznaczę, że wojować na barykadach nie potrafię. Każde większe zbiorowisko mnie przeraża, a co dopiero tłum. No, niestety, jestem z tego pokolenia, któremu nakazywano „siedź w kącie, a znajdą cię". Zawsze wolałam napisać niż wypowiedzieć swoje racje głośno. Jak to Julian Korhauser napisał: „Jak zobaczysz tłum, wracaj szybko do domu/… Ani na lewo, ani na prawo, ostrzega cię dziadek, który przeżył dwie wojny i wie, co mówi". Jestem pewna, że nawet ten cytat wyrwany z kontekstu mojego pisania i sam będący wyimkiem z wiersza, może zostać zinterpretowany wbrew moim intencjom, choć przecież chciałam tylko się przyznać do swoich lęków, bez demonstrowania poglądów.

Na imprezie literackiej, której gościem był uznany i ceniony pisarz, zadałam mu z sali pytanie: Jak pan myśli, czy literatura ma płeć. Rozwinęłam go nieco, by nie było, ot, z sufitu wzięte, dałam znak, że czytam, co pisze, nawiązując do konkretnego wątku. Pisarz parsknął śmiechem. No, tak, nonszalancki pewniak, pomyślałam. Zlekceważył pytanie, uznał za naiwne, choć przecież nie ma pytań mądrzejszych od naiwnych, jak pisała noblistka Szymborska. Nie zechciał pisarz podjąć rozmowy, poczułam się odtrącona. Są pisarze, którzy dają show i to się liczy, a są tacy, którzy nastawiają się na kameralną rozmowę, jak na przykład Wiesław Myśliwski. Do świata celebryckiego się nie nadaję, pocieszyłam się. Olał cię, mogłaś nie pytać, za duża sala, powiedział mój mąż. Miał rację. Gdyby pisarz zechciał mnie posłuchać, powiedziałabym więcej, także i to, że jemu dobrze, bo nigdy go nie pytano, czy sceny erotyczne, które napisał, to jego osobiste doświadczenia. Nigdy mu nie podsuwano tematów i nie sugerowano gatunków literackich, w których się wypowiadał. Dlaczego? Bo był mężczyzną, któremu wolno.

– Jeśli już musisz pisać, jeśli nie możesz bez tego żyć, to pisz coś historycznego, jak, nie przymierzając Kraszewski, nie pisz tych głupot o miłości, bo jeszcze kto pomyśli, że masz kochanków – doradzał mój były mąż.

– Tekst jest albo dobry literacko albo zły – broniłam się.

– Mój jest dobry – próbowałam uciąć rozmowę.

– Jeśli jest dobry, to dlaczego przykle-→

jają ci łatkę odważnej pisarki erotycznej, dlaczego ironicznie się uśmiechają?

– Bo jestem kobietą, która ma odwagę pisać! Przecież to opowiadania o różnych typach miłości, ale wszyscy widzą tylko „momenty", bo napisała je kobieta. Nie słyszałam, by kiedykolwiek tak stygmatyzowano pisarza, bo odgórnie się przyjmuje, że mężczyzna bez doświadczeń nie jest mężczyzną – podsumowałam.

Tak, literatura pisana przez kobiety ma zawsze płeć i deprecjonuje się ją przymiotnikiem „kobieca", nawet, jeśli jest „męska" w sposobie ukazywania emocji. Jakże często w tekstach recenzujących twórczość pisarek porusza się problem płci. Pisała o tym wielekroć Erica Jong. Pisarze to twórcy, płeć jest oczywistością. Jeśli recenzent chce dowartościować poetkę, nazywa ją „Herbertem w spódnicy".

Kobiety powinny pisać jak kobiety, skoro inaczej postrzegają świat. Problem w tym, by kobiecości nie kojarzyć tylko z falbankami, zwiewnością i sentymentem. Dopóki „kobiece" będzie synonimem drugorzędności i banału, dopóki będzie skazą, dopóty kobiety będą zadowolone z komplementów o męskim pisaniu. Męskim, czyli mądrym, zdystansowanym, odważnym, będącym wzorcem doskonałości.

Pozwalamy by pobłażliwie odnoszono się do naszego pisania i by skupiano uwagę bardziej na wyglądzie autorki niż na wartości tekstu. Pisząca kobieta musi się zmierzyć z upokorzeniami, wiedziała o tym Simone de Beauvoir. Ileż to razy słyszałam pytanie: Czy ktoś widział ładną poetkę? Jak ktoś nie zachwyca urodą, musi nadrobić mądrością, jakby jedno wykluczało drugie.

W kwestii seksu panują niepisane, choć utrwalone uprzedzenia, nawet dzisiaj, choć przecież tak wiele się zmieniło w obyczajowości. Dobre kobiety piszą rodzinne, ciepłe powieści, sagi przedstawiające dzieje kilku pokoleń, historyczne opowiastki, romansidła mało wartościowe literacko. Skupiają się na wartkiej akcji, nie wnikają w motywy postępowania bohaterów, psychologię omijają szerokim łukiem. Nie naruszają obyczajowego status quo. Takie powieści, rzecz jasna, są potrzebne.

Pisarki-rozpustnice spotykają się z chłodniejszym odbiorem, a nawet złością czytelniczek – to reakcja tych, które nigdy nie odważyły się być wolne i zaakceptować własnej seksualności, czy powiedzieć o głęboko skrywanych krzywdach. Z wściekłością nazywają autorkę niemoralną osobą i oficjalnie nie przyznają się do czytania „takich" książek, skreślają je odgórnie albo czytają, kiedy nikt nie widzi, zachowując się tym samym jak ów tatuś, kodujący nastoletniej córce dostęp do telewizora. Inaczej mówiąc: osobowość autorki, jej „moralność" ma w oczach czytelnika ścisły związek z tematyką powieści. Idąc tym tropem należałoby autorkę kryminałów utożsamić z bohaterami jej książek, najlepiej z mordercą.

Opowiadam, bazując na własnych w tym względzie doświadczeniach. Ileż to razy słyszałam: jak ci nie wstyd, mogłaś sobie ten opis darować, przecież i tak każdy się domyśli, co robili. Pokazanie wrednej matki i tym samym zburzenie mitu Matki Polki, czy scena inicjacji seksualnej w powieści z gatunku młodzieżowego, napisana prawie dwadzieścia lat temu, do dziś niektórych oburza. Powieść jest zalecana jako szkolna lektura, więc mogłaby być punktem wyjścia do rozmowy na tak zwane trudne tematy.

Po wydaniu mojej pierwszej książki, zbioru opowiadań, zainteresował się mną pisarz, starszy od mojej matki. Schlebiała mi jego adoracja. Wtajemniczał w twórcze plany, zastrzegając, że jestem jedyną osobą, której pokazuje maszynopisy, ponieważ, o naiwności, jestem tego warta. Lubiłam jego elegancję i dystans do świata. Przez całe pół roku pisał listy. Szybko zorientowałam się, że utożsamiał mnie z bohaterkami opowiadań, kobietami winnymi grzechu. Żadne z nas nie spełniło oczekiwań drugiego, pisarz zrezygnował więc ze słania listów.

Nawet gdybym napisała opowiadanie na podstawie tej historii, jakież znaczenie miałby fakt, czy ją osobiście przeżyłam, czy nie. Ważniejsza byłaby obrazowość, dramaturgia, język, kompozycja całości. Jeśli czytelnik sedna opowieści doszukuje się w przestrzeni pomiędzy utworem, a autorem, błądzi – mówi Amos Oz.

Szukać trzeba pomiędzy tekstem a odbiorcą, te właśnie przestrzenie odkrywać, bo tylko dzięki nim i poczynionym konkretyzacjom wytrawny czytelnik dowie się czegoś o sobie, dotrze do własnych kazamatów, labiryntów, zobaczy osobiste potwory, być może hańbiące, wstydliwe i porówna je z potworami bohatera książki. W zwykłym życiu do takich odkryć potrzebna byłaby psychoterapia. Książka może podziałać terapeutycznie, czytelnik znajdzie się tym samym w luksusowej sytuacji, ponieważ odpowiedzią na trudne pytania nie będzie się musiał z nikim dzielić.

Nie wszystko, co powstaje w głowie pisarza ma bezpośredni związek z nim samym. Twórca jest kreatorem rzeczywistości, nawet jeśli jest oparta na jego prywatnych przeżyciach. „Z samym sobą nie mam nic wspólnego" powiadał Franz Kafka.

Jerzy Pilch bronił się podobnie w „Pod mocnym aniołem": „Jeśli ja konstruuję postać i jeśli nawet jest to postać wzorowana na mnie samym, jeśli nawet tak jak ja pije i jeśli nawet ma na imię Juruś, to i tak ta postać nie jest mną, na Boga!"

Czy to ważne, na kim wzorowana była Esterka w „Nocniku" Andrzeja Żuławskiego? W jakim stopniu to czytelnika wzbogaci? Jakie potrzeby emocjonalne czytelnika zostaną zaspokojone?

Pisarze często zastrzegają, że wszystkie wydarzenia i osoby są wymyślone, a zbieżność z osobami realnymi jest dziełem przypadku. Mark Twain napisał: „Osoby, usiłujące wykryć w tym utworze intrygę, będą rozstrzelane". Cytat ten dołączyłam jako motto do powieści „Wielkie ciężarówki wyjeżdżają z morza".

Tematy tabu bezkolizyjnie mogą poruszać pisarki w podeszłym wieku, bo wtedy są na tyle przeźroczyste, że ich dywagacje, nawet o seksie, mogą wyglądać na życiową mądrość, a nie prowokację i zachętę do nawiązywania kontaktów.

Anais Nin, którą jedni kochają, drudzy nienawidzą, spisała w swoich dziennikach wszystko, co było przez lata przemilczane w książkach kobiet. A jednak usunęła ze swoich książek wiele scen erotycznych. Kiedy Erica Jong zapytała dlaczego, Nin odpowiedziała, że z obawy przed niepoważnym traktowaniem przez wydawców, którzy tak właśnie postrzegają kobiety, mające odwagę czynić intymne zwierzenia w książkach, zamiast zachować je do kawiarnianych pogawędek. Nie miał podobnych problemów Henry Miller, z wielu powodów, także i z tego, że czytelnicy przyzwyczajeni byli do słuchania, co mężczyźni mają do powiedzenia na temat kobiet, a nie co kobiety same o sobie sądzą.

Wszystkie czynione tu uwagi dotyczą każdej powieści, także autobiograficznej, także literatury faktu. Fakty jak to fakty – są prawdziwe, a jednak mogą zagrażać prawdzie. Bo fakty mają tendencję do zakrywania prawdy przed naszymi oczami. I fakty są czasem przeciwko nam, choć prawda jest po naszej stronie. Jak wytłumaczyć prawdę namiętności? Życie jest przeciwko nam, piszącym, a literatura po naszej stronie. Niekoniecznie ten, kto umie pięknie pisać o życiu, potrafi tak samo żyć. Pablo Picasso przekonywał, że sztuka jest kłamstwem, dzięki któremu uświadamiamy sobie prawdę. Oczywiście tę prawdę, którą potrafimy zrozumieć.

*

Mężczyźni myślą o sobie po nazwisku, o kobietach po imieniu. Znam kilka pisarek, z solidnym dorobkiem, które marzyły o tym, by zacząć pisanie od nowa, pod męskim pseudonimem i poczekać na reakcję krytyków. Mężczyźni mają ciągle to samo nazwisko. Kobiety najczęściej noszą nazwisko ojca, potem męża. Marzą jednak tylko o swoim, dlatego zdarza się, że wkraczając w rolę pisarki, zmieniają je po raz kolejny.

To prawie tak, jakby zacząć życie od nowa, zmienić przeznaczenie, żyć na własny rachunek. Sama jestem tego najlepszym przykładem, bo po rozwodzie zrezygnowałam z części nazwiska przynależącego do męża i pozostawiłam tylko część ojcową, wiążącą mnie bardziej z jego tajemniczą wojenną historią niż z korzeniami przodków. To dzięki Jolancie Brach-Czainie zwróciłam uwagę na niewidoczną w kulturze patriarchalnej genealogię kobiet i od tej pory i ja często podpisuję się imionami swoich kobiecych przodkiń (Marta, córka Ludwiki, wnuczka Marianny, prawnuczka Anieli). I chociaż w ten sposób przywołuję babcię-poetkę, która nie zapisała żadnego wiersza, bo pisać nie potrafiła.

Przy takich okazjach, jak ta z Olgą Tokarczuk, odzywa się we mnie złość na patriarchalne stereotypy, bo wrogiem mężczyzn przecież nie jestem. I wtedy słyszę te stygmatyzujące określenia, których przypominanie niewarte jest mojego czasu, a jednak je pamiętam. Mężczyzna jest „pewny siebie", ale kobieta „zarozumiała". Kobieta jest „agresywna", ale mężczyzna to „macho" lub „typ przywódcy". Kobieta jest „emocjonalna", ale facet „zaangażowany". Kobieta jest „z przeszłością", mężczyzna „po przejściach", baba „epatuje głupotą, której nawet ustawa nie przewiduje", ale facet „ma prawo do błędów i zmiany poglądów". Kobietom wytyka się za krótkie kiecki, ale mężczyznom nigdy spodni noszonych pod brzuchem i niedopinających się marynarek. Baba ma siano na głowie, a facet wygląda jak rozwichrzony artysta.

Gdybym była mężczyzną, być może nazywano by mnie mędrcem i kobiety by patrzyły na mnie z podziwem. Gdybym była mężczyzną, mówiono by o mnie – „przystojny, starszy pan". A ponieważ jestem kobietą, słyszę często, że „jestem dobrze utrzymana" lub „noszę ślady dawnej urody". Nie pójdę na manifę i nie wygłoszę na ten temat przemówienia, ponieważ to nie mój sposób ekspresji. Nie umiem i nie chcę być Wolnością, wiodącą baby na barykady. Robię swoje, piszę w samotności. I wiem, że nie dla idiotów. Szanuję każdego czytelnika. I tego, który posługując się krytyczno-literackim szyfrem zinterpretuje moją poezję i tego, który powie, że kiedy czytał moją powieść, to mu się czajnik spalił.

*

Na moim spotkaniu autorskim jedyny mężczyzna wśród kilkudziesięciu kobiet powiedział: Rozmowa o równouprawnieniu bardziej powinna dotyczyć mężczyzn niż

kobiet. Dlaczego na przykład mężczyźni godzą się na władzę nauczycielek i urzędniczek? – Nie wie pan? Myślę, że niejedna z kobiet oddałaby panu swoją urzędniczą lub nauczycielską posadę w zamian za pana pracę – odezwała się kobieta z kąta. – Niejedna kobieta wolałaby także nienormowany czas pracy, ale… z konieczności wybrała pracę regularną, która pozwoli jej realizować się w macierzyństwie i ogarniać dom – dodałam, patrząc na czytelnika.

– Skąd pani wie, **pani Marto**, jaką mam pracę? – czytelnik odpowiedział zadziornie. – Widzę: przed panem leży laptop, służbowa komórka, na którą pan ciągle zerka i kluczyki od dobrego samochodu, też zapewne służbowego. Przyszedł pan tutaj pomiędzy jednym spotkaniem biznesowym, a drugim, bo przysłała pana żona, która teraz opiekuje się dzieckiem, a chciała mieć autograf na mojej powieści, którą ukrył pan pod laptopem. Pana żona nie zwróciłaby się do mnie **„pani Marto”,** tylko powiedziałaby **„proszę pani”.** Tylko mężczyźni protekcjonalnie traktują swoje rozmówczynie, dziennikarka mówi na przykład „panie pośle”, a pan poseł do niej „pani Moniko”. – Wróżką pani jest, czy co? – rozpogodził się czytelnik. – Wiem, bo jestem wiedźmą.

*

Być może jesteśmy niewolnikami tego, czego sobie nie uświadamiamy. Czas dokona bezlitosnej selekcji, także w literaturze. Co kiedyś nagrodzone, za pięćdziesiąt lat zapomniane. Literatura starzeje się szybciej od muzyki i malarstwa. Język zmienia się codziennie, więc nie powinno dziwić, że literatura oparta o język, starzeje się najszybciej z wszystkich sztuk. Czy największe szanse na przetrwanie ma poezja? „Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie, dwie tylko – prorokował Cyprian Kamil Norwid – poezja i dobroć, więcej nic”. Może dobroć to „czułość”?

„Czytanie jest najważniejszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła” – powiedział Mario Vargas Llosa po otrzymaniu Nagrody Nobla. Mądre słowa, jak całe przemówienie, „Bo świat bez literatury byłby światem bez pragnień, ideałów i nieposłuszeństwa, światem automatów pozbawionych zdolności do wyjścia poza siebie, przemiany w drugiego, w innych, lepionych z glin naszych marzeń”.

Skoro tak i ja uważam, to dlaczegóż nie miałabym stanąć murem za Olgą? Czytanie wymaga wysiłku intelektualnego, zaangażowania emocji, skupienia. Czego wymaga pisanie, to temat na kolejną rozprawę. Od płci literatury uciec się nie da, bo i po co. Chyba że byłby to zamierzony efekt stylistyczny. Rzecz w tym, by nie przenosić owej „płci” na społeczne relacje, traktować kobietę piszącą jak pełnowartościową pisarkę, a nie podgatunek, który stanowi jedynie wybryk natury. I nieważne, czy będzie to dotyczyło literatury z górnej półki, czy z dolnej. Powtórzę: Nie można być autorem dla każdego, co doskonale noblistka wyraziła.

Świat będzie koślawy, jeśli stracimy potencjał edukacyjny. Tak więc warto nad sobą pracować, pomnażać poznanie, snobować się na elitę czytającą. Bo elita czyta. Mało tego: Dla czytających ze zrozumieniem i tych, którzy słuchają poetów (wyższy stopień czytelniczego wtajemniczenia, bo odległy od mowy polityków) rząd powinien wywalczyć ulgi podatkowe, ha ha. Jestem pewna, że wówczas mało kto poczułby się urażony i z lubością by powtarzał, że literatura to wiadomo nie dla kogo jest.

Marta Fox

Janusz Stobiński

Ewa Niezgoda Gierszewska

Ewa Niezgoda-Gierszewska - ur. w 1974 r. w Gdańsku, jestem absolwentką Uniwersytetu Gdańskiego i od kilkunastu lat mieszkam na Kaszubach. Debiut poetycki miał miejsce w 1997 roku, na łamach Almanachu Stowarzyszenia Żywych Poetów. Publikowała m.in. w piśmie poetyckim „BregArt", w kwartalniku „Okolica Poetów", w Almanachu Współczesnej Poezji i Prozy „Imiona miłości", w „Horyzontach" czy krakowskiej Konfraterni Poetów. W roku 2014 ukazał się pierwszy autorski tomik poezji: „W drodze do Aniołowa".

moje Nanga Parbat

utknęłam gdzieś
między literą a i zet
koniuszkami palców
chwytam kolejne słowo
śnieżna ślepota uniemożliwia
odnalezienie morału
gdzie tu sens
po co ta wspinaczka
litery chwieją się kursywą
na szczyt daleko
utknęłam
w białym wierszu
w szczelinie
między wersami

wiersz doskonały

marzy mi się wiersz doskonały
o wymiarach idealnej modelki
nie za gruby nie za cienki
intensywny niczym imbir
kwaśny cytryną
słodszy od lukru
pachnący piwonią
dojrzały winem o niezapomnianym smaku
gorący latem pustyni
mroźny zimą stulecia
silniejszy od huraganu
z dreszczem na plecach
nieposkromiony nawracający rozgrzeszający
czulszy od kochanka
niepowtarzalny
pierwszy jak miłość śnieg pocałunek
ukryty w drżącej dłoni więźnia
rozkwitający paprocią tajemnej nocy
wiersz który zamieszka u bezdomnych
nakarmią go głodni napoją spragnieni
odzieją nadzy pocieszą strapieni
dopieszczony doskonały bezcenny
wiersz który mocy da słowo
wymarzony

takie sobie upływanie …

tylko wiatr umie przywołać
metafory
w delikatnym powiewie
jesieni
już ją czuć
już mi się śni
unosi wysoko
rozanielone myśli
wprawiając kolorowe liście
w taniec
przywołując mgłę
w mleczną kołdrę wspomnień
otulając trawę
niewinnymi łzami rosy

poza czasem

to się robi w ciszy
no może z szorstkim odgłosem sumienia
albo przy skreślaniu myśli
czasami z uśmiechem
przy kołataniu serca
albo na słono – ze łzami na kartce
przy kawie
w samotności

to się robi nałogowo
bez wyznaczonej pory
bez granic
stukając opuszkami palców
w klawiaturę
przy szeleście
papierowych skrzydeł
orgazm gwarantuje
ostatnie słowo

a kiedy autor odchodzi
nie pozostawiając śladów stóp
na zmęczonej ziemi
to się robi
poza czasem

Migotania polecają:

najnowszą książkę Romana Warszewskiego, Podróż przez spaloną ziemię, wydaną przez Fundację Światło Literatury.

Tytuł nawiązuje do tytułu książki „Terytorium Komanczów" pióra znanego hiszpańskiego pisarza Artura Pereza–Reverte – sugestywnego reportażu o wojnie bałkańskiej z lat 1992–1995. Książka, w tłumaczeniu Joanny Karasek, ukazała się w Polsce nakładem wydawnictwa MUZA w roku 2001.
Terytorium Komanczów – według Pereza–Reverte – to terytorium, gdzie ludzie walczą ze sobą
gdzie toczy się wojna, gdzie nie wiadomo skąd może nadlecieć pociski, gdzie trudno powiedzieć, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem, gdzie w każdej chwili można stracić życie.

W „Podróży przez spaloną ziemię" terytorium Apaczów to rozdarte wojną Bałkany, jak i Ameryka Północna, gdzie Apacze rzeczywiście mieszkali i nadal mieszkają. Także świat, w którym żyjemy. To reportaże pisane na bieżąca w trakcie reporterskiej podróży.

Książka do nabycia w internecie lub pod adresem joa@migotania.pl

Janusz Stobiński

Andrzej Wołosewicz

„Szkice" Czesława Karkowskiego. Szkice, czyli co?

W filozofii to zjawisko rzadkie. Jakie zjawisko? Takiego swobodnego pisania o filozofii z jakim mamy do czynienia w „Szkicach" Czesława Karkowskiego (Nowy Jork 2021). Przynajmniej w polskiej filozofii a Karkowskiego do niej zaliczam, choć od lat 80-tych minionego stulecia osiadł w Stanach Zjednoczonych. Być może spotka go los Tarskiego, którego większość zachodnich piszących tytułuje: amerykański filozof, logik. Ale to tylko taki mój ledwie szkic do portretu pokazujący, że ze szkicami mamy problem. Czy są tym, czym są dlatego, że „lekkie", „wiewne", bo ledwie zarysowujące coś? Na pewno nie w wydaniu Karkowskiego. U niego „lekki" jest język, ale myśl gęsta, oleista. Co - mam nadzieję – uda mi się w opisie jego „Szkiców" pokazać.

Zacząłem od tego, że szkice w filozofii to zjawisko rzadkie, ale właściwie, dlaczego w filozofii? Dla mnie, studenta filozofii początku ostatniego ćwierćwiecza XX wieku Czesław Karkowski i filozofia to oczywistość i być może dla czytelników „Migotań", którzy nie przegapili pierwszego tekstu Karkowskiego u nas, bo zawsze debiuty uzupełniane są o informacje o autorze. W „Szkicach" tego ewidentnie brakuje. Oczywiście w dzisiejszym świecie, w którym każdy „sam wie wszystko" (korzystam w tym sformułowaniu z myśli autora z trzeciego szkicu „Media, czyli monadologia stosowana") można liczyć na to, że czytelnik „wygoogluje" te informacje, proszę więc traktować te uwagi do redaktorów książki jako niemożliwe do powstrzymania wynurzenia recenzenta z epoki, której już nie ma.

I jeszcze jeden powód zainteresowania „Szkicami". Byłem na kończącej się (w lipcu 2022) krakowskiej wystawie Malczewskiego. Wśród dominujących dzieł malarskich pojawiły się też – nieczęste – szkice do niektórych obrazów. To normalna malarska praktyka. Od razu skojarzyłem ją z tekstami Karkowskiego zadając sobie pytanie – czy jego szkice też coś poprzedzają? Czy za nimi pójdą (poszły?) Większe rozprawy, a trzymając się malarskich porównań – pełne obrazy. Oczywiście zawsze „Szkice", jak wszystkie teksty skierowane do czytelnika, poprzedzają czytelniczą lekturę, która ma je „rozwinąć w odbiorcze obrazy". To właśnie robię, ale czy coś jeszcze? Coś jeszcze od strony autora? Nawet nie wiem, na ile te pytania mają sens, ale są moje, dla mnie mają. A może u Karkowskiego kierunek jest zupełnie odwrotny: *nafilozofował* się już wystarczająco i może sobie teraz pozwalać na swobodę szkicowania? Zostawiam czytelnika z tą myślą na lekturę i „Szkiców" i mojego o nich pisania.

Książkę zaczyna tekst „Porozumienie jako nieporozumienie" zderzający młodego Ludwika Wittgensteina, jego „Notatki z lat 1914-1916" z „Balladą o Wschodzi i Zachodzie" Rudyarda Kiplinga. Pierwszy reprezentuje możliwość porozumienia w oparciu o swoistą jednoznaczność interpretującego rozumu tak charakterystyczną dla wittgensteinowskiego „Traktatu logiczno-filozoficznego", drugi totalną niemożliwość porozumienia mimo pozorów międzykulturowego dialogu, w którym kultury są dla siebie jakoś transparentne. Nie są. I to nie są od początku do końca. Cokolwiek z siebie rozumieją, ostatecznie jest złudzeniem.

Tutaj zastanawiają mnie dwie kwestie.

Pierwsza dotyczy tego, dlaczego Karkowski „używa" akurat „Notatek…" Wittgensteina, które – co prawda dobrze ilustrują poszukiwanie tego, co nazwane zostało „wspólnym mianownikiem" – ale nie do końca oddają myślenie samego Wittgensteina, który zdecydowanie odchodzi od uzurpacji logicznych „Traktatu…" jeśli idzie o język, którym mówimy, co zauważa sam Karkowski w jednym z następnych tekstów („Autorytarne Oświecenie", s. 65) pisząc „Tymczasem proces rozjaśniania nie ma końca, a większość słów ma sens w użyciu okazjonalnym. „Dociekania filozoficzne" Ludwiga Wittgensteina nie pozostawiają w tej sprawie wątpliwości." (Przy okazji przytyk do redaktorów: jest dużo literówek oraz innych nieścisłości redakcyjnych, np. przywołany cytat pochodzi ze strony 65, celowo ja podałem, bo… w indeksie nazwisk przy Wittgensteinie ostatnią stroną jest ta o numerze 63, gdzie… próżno znaleźć odniesienie do autora „Dociekań filozoficznych", zabrakło po prostu dobrej roboty w tym zakresie, co potwierdza poniekąd zupełny brak strony wydawniczo-redakcyjnej. Zresztą cały indeks nazwisk się wydawcy „rozjechał". A według numeracji stron w spisie treści rozdziały 12 i 13 zaczynają się… na tej samej stronie. Ratunku! Napisałem. Wystarczy. Nie będę się więcej nad tym pastwił, bo książka zapowiada się nad wyraz ciekawie.)

Druga, filozoficzna już zgoła, to ów sławetny, bo pojawiający się i w kolejnych tekstach „Szkiców" wspólny mianownik, a to człowieczeństwa, a to rozumności. Tymczasem jedynie sygnalizuję temat, bo odniosę się do niego, jak będę mądrzejszy o pełną lekturę.

Kolejnym tekstem, który jest dla mnie ważny i który oceniam jako gęsty intelektualnie i filozoficznie to „Media, czyli monadologia stosowana". W nim Karkowski po pierwsze rozprawia się z macdolnaldyzacją kultury masowej jako interpretacją, odczytywaniem, rozumieniem tejże już nieaktualnym a przynajmniej nie oddającym nowej istoty masowości zaproponowanej (?), wniesionej (?), sprokurowanej (?) a może wymuszonej (?) przez internet i media społecznościowe proponując zastąpienie macdonaldyzacji – właśnie monadologią stosowaną. Przy lekturze tego szkicu (po szczegóły odsyłam do tekstu) zadaję sobie, czytelnikom i autorowi pytanie: co można, korzystając z postawionej diagnozy, z tym zrobić, jeśli cokolwiek w ogóle można? Pytam jako filozof uczący i filozofii i etyki pokolenie młodych ludzi, pokolenie moich wnuków, które nas i zastępuje i wypiera. Czy jesteśmy w stanie zostawić im jakiekolwiek „ratunkowe" wskazanie, czy tylko sarkastyczną (to kieruję do siebie, nie do Karkowskiego) analizę? A może robimy w tym wszystkim jakiś błąd? Może nie jest tak, że szczęśliwym można być tylko na nasz sposób? Być może kolejne pokolenia zbudują swój świat na zupełnie przedefiniowanych relacjach, świat, który nie będzie „naszym" światem a mimo to wcale nie będzie dla nich zły ani nieznośny? Może – tu nawiązuję do tytułu rozmowy Andrzej Waltera z naczelnym „Migotań" na www.pisarze.pl – oni też powiedzą: lubimy te nasze czasy?

Od razu, żebym nie zapomniał, powiem, co jest fascynującego w robocie autora „Szkiców" – zaprzęgnięcie filozofii do pracy nad naszą współczesnością. I trudno mi w tej chwili ocenić i nawet nie wiem, czy jest to potrzebne – czy więcej skorzysta na tym sama filozofia „ściągnięta" tu z pomników swej historii, czy my, chcący lepiej zrozumieć otaczającą rzeczywistość (intelektualną, polityczną, społeczną). Dobrym tego przykładem jest tekst „Autorytarne Oświecenie".

Szkic „Schyłek poezji" ma dla mnie wartość sentymentalną. Po pierwsze dlatego, że znam go z „Migotań" (miał swój pierwodruk u nas w 2012 roku), po wtóre, że uczestniczyłem w dyskusji na ten sam temat, tyle, że dotyczącej uwiądu znaczenia poezji na naszym polskim podwórku, ale już nie uczestniczę, swoje zdanie wyraziłem m.in. na https://wyborcza.pl/magazyn/7,124059,15740745,gdzie-lezy-poezja-i-dlaczego-tak-daleko.html i nie mam ambicji „ratowania" całej poezji, poezji w ogóle itd. Raczej myślę mniej ambitnie: warto sprzyjać dobrym poetom, a dokładniej – dobrym ich wierszom (bo i dobrym poetom przytrafiają się wiersze, których lepiej żeby nie publikowali). Tu się pojawia podniesiony przez Karkowskiego problem, kto o tym, czy wiersz jest naprawdę dobry decyduje? Żeby się nie rozpisywać powtórzę za bardzo dobrym poetą Krzysztofem Gąsiorowskim, że żadna możliwość sprawdzenia wiersza poza własną wrażliwością i odwagą nie istnieje, co oczywiście nie usuwa wszystkich zagrożeń, o których pisze Karkowski. A są to zagrożenia, nazwijmy je w skrócie, socjologiczno-koteryjne: poezja stała się dla „samoprofesjonalizujących" się środowisk (to ci uczący pisać i oceniający poezję tych, których nauczyli – po swojemu, oczywiście – pisać wiersze; i ktoś powie, że nie możliwe jest swoiste perpetuum mobile?) towarem na wytworzonym przez samych siebie rynku ze skrzętnie bronioną własną dominacją. Oczywiście to wszystko, co opisuje Karkowski dotyczy Stanów Zjednoczonych. Ostatnie dwie strony tego szkicu poświęcił autor – zupełnie niepotrzebnie – sytuacji w Polsce. Piszę „zupełnie niepotrzebnie" ponieważ sam zaznacza, ze nie „czuje się kompetentny, by wypowiadać się na temat sytuacji w poezji polskiej" (s. 108) i rzeczywiście te dwie strony są wobec mięsistości i sensowności analiz i podsumowań zaprezentowanych wcześniej w tekście „nijakie", choć rozumiem ten gest w sytuacji, gdy tekst pierwotnie ukazał się w polskim czasopiśmie. By jednak nie kończyć taką zgryźliwością, na którą tekst Karkowskiego nie zasługuje, wolę zostawić czytelnika z pytaniem autora: „Czy więc potrzebujemy poezji nadal?" (s. 88)

W eseju „Koniec sztuki" wraca Karkowski (pisał go u schyłku XX wieku) do swoistej *never ending story* ponieważ, jak sam zauważa, koniec sztuki wieszczono już tyle razy, że straciliśmy rachubę. Jednak Karkowski precyzuje i porządkuje, że chodzi tu o sztukę pewnego okresu (paradygmatu?) od XVI-wiecznych ustaleń Giorgio Vasariego po jego zamknięcie rozważań przez Hegla i ograniczoną właśnie tylko do tego, co podpada pod sztuki plastyczne i co utożsamiamy z kategorią *mimesis*. Karkowski pisze o wyczerpaniu tej kategorii: „dziś nie chodzi przecież o przedstawienie rzeczy, lecz o sam akt przedstawienia" (s. 125).

Kolejną, lwią część „Szkiców" (ponad 150 stron!) zawłaszczył podzielony na trzy części esej „New York, New York", który zupełnie do mnie nie przemawia. Być może gdyby cokolwiek ze Stanów - w których nie byłem i się nie wybieram – poza koszykówką, hokejem, westernami i pragmatyzmem mnie kiedykolwiek zainteresowało, czytałbym te nowojorskie szkice inaczej.

Na szczęście dla „Szkiców" jest tam kilka perełek, jak tekst „Hume: wolność smaku", w którym autor odnosi się do eseju „Sprawdzian smaku" szkockiego filozofa. Nasładzałem się na ten tekst już znajdując go w spisie treści, bo tenże „Sprawdzian smaku" był jednym z powodów i argumentów, których używałem rozprawiając się ze źle rozumianą – m.in. przez Tatarkiewicza – koncepcją relacjonizmu w estetyce[1]. (Chwalę się tym albowiem rangę tego, co piszemy podnoszą nie tylko same teksty – znam mało autorów nie mających *miłosnego* stosunku do swoich tekstów – ale przede wszystkim odwołania do nich, bo są już niezależne od tej *miłości własnej*.) Wracamy jednak do Karkowskiego. Pokazuje on hume'owski problem smaku nieco szerzej, nie tylko jako wyodrębniony problem w sztuce i znajduje jego *de facto* socjologiczne wyjaśnienie (uzasadnienie?) zwracając przy tym uwagę na – tak istotne w socjologizującej interpretacji – kwestie kształcenia smaku (czymkolwiek on jest), pracy nad nim. To o tyle ważne, że właściwie „cały Hume" uparcie wyrywa się dominującemu w filozofii podmiotowo-przedmiotowemu penetrowaniu rzeczywistości, jeśli się go traktuje poważnie i … odważnie. I jeszcze jedno spostrzeżenie Karkowskiego chcę podnieść. To mianowicie, gdy mówi on – wielokrotnie! – o językowej elegancji hume'owskiego stylu będącego kwintesencją angielskiej sztuki eseju. Potwierdzają to moi uczniowie, którzy są pod wrażeniem tej elegancji (w obu wersjach językowych) czytając Hume'a bez dystansu historycznego, czytając go jako tekst współczesny.

W opozycji do uwspółcześnionego Hume-'a esej „Drogi ducha na emigracji" można odczytać jako wędrówkę dwójki filozofów, Adorna i Horkheimera, ku Homerowej „Odysei". Karkowski stwierdza wprost, że ich „Dialektyka Oświecenia" jest niecną próbą usprawiedliwienia porażki swojej amerykańskiej emigracji. Autor „Szkiców" jest dla Adorna i Horkheimera bezlitosny i ma tu moje całkowite zrozumienie i intelektualne wsparcie. Adorno i Horkheimer jawią się Karkowskiemu jako niespełnieni i zgorzkniali emigranci, próbujący jeszcze to swoje podejście „zintelektualizować" fałszywą oceną rzeczywistości amerykańskiej. Poniekąd cała szkoła frankfurcka poza doskonałym samozadowoleniem niewielu chyba zostawiła intelektualnych spadkobierców. Miałbym tylko jedno pytanie do Karkowskiego, to mianowicie, czy totalitarne oświecenie (z tego tekstu) jest oświeceniem autorytarnym z jego wcześniejszego szkicu właśnie pod takim tytułem „Autorytarne Oświecenie" gdzie pisze on o kwestiach dominacji rozumu. Po prostu nie wiem, czy w samym odczytaniu oświecenia jest możliwe jakoweś zróżnicowanie między jego totalitarnością a arbitralnością, czy też jest to tylko kwestia użytego języka i terminów? Czy totalitarność nie jest czasami konsekwentną arbitralnością? Nie wiem, więc pytam…

„U schyłku". U „Schyłku" życia oczywiście bywa i inaczej. Nie wiem, skąd Karkowski czerpie przekonanie, że, cytuję: „Zadowolenie z minionego czasu nie jest możliwe, jak wspomniałem. Stale towarzyszy starości poczucie roztrwonionego istnienia, niewykorzystanych możliwości, przeświadczenie o zmarnowaniu życia." s. 367). Rozumiem, że gdyby autor opatrzył te wynurzenia swoją prywatnością, ale on właśnie tę prywatność (z nią trudno byłoby wszak się spierać) generalizuje – a to już lekka uzurpacja. Oświeconego rozumu? Filozofującej totalności?

Jednak ma ten najdłuższy (150-stronicowy!) szkic swój niezaprzeczalny urok wtedy, gdy Karkowski schodzi z wysokich diapazonów filozofii do najgłębszego siebie: „Kto wie, czy nie od wewnętrznego sporu z i jego późnym (o jakieś 300 lat) Lukrecjuszem, zacząłem własną filozoficzną peregrynację po świecie" (s. 380). I choć – być może przez swoją szkicowość – te rozciągnięte, rozwlekłe dość dywagacje składające się z wielu osobnych puzzli (gdzie zdarzają się - ach, ten brak dobrej roboty redaktorskiej, choćby powtórzenia całych fragmentów: na stronach 367 do 369 znajdujemy powtórzenie ze stron 356-3580 warto potraktować jako jednak całościowy, zwarty szkic na temat starzenia się, które – zdaniem Karkowskiego - nie było, nie jest tak nachalnym przedmiotem filozoficznego namysłu, jak skończoność ludzkiej egzystencji. Wtedy nawet te niedoróbki nie mają takiego znaczenia, bo dominuje powiedziałbym – trud czytania. Nazywam tak sytuację czytania czegoś, co i mnie dotyczy jak najbardziej, właśnie teraz, więc jest to poniekąd czytanie o sobie a nie starzeniu się Karkowskiego. I nawet gdy nie podzielam jego minorowego nastroju wartościując swój czas inaczej (a kogo to obchodzi?), to jednak analizy autora „U schyłku" wciągają, są bliskie duchowo, powiedziałbym, bliższe niż koszula ciału. I na tym poprzestańmy, bo nawet nie wiem, Panie Czasławie, czy moglibyśmy w naszym starzeniu się sobie wzajemnie czegoś życzyć? Czy czasami coś się nam, każdemu z nas, tu nie wymyka? Być może Pański koncept z monadologią najlepiej opisuje nasze osobności…

Być może - bo zbliżam się do końca swojej lektury – „Szkicom" najlepiej przydać, szukając wspomnianego na wstępie recenzji odniesienia widocznego w jej tytule (Szkice czego?) to, co brzmi tak wyraźnie w Pańskich rozważaniach o Ezra Poundzie, jego „XXX cantos":

„Kiedy zaczynał pisanie swoich cantos, Pound wierzył, iż ów wielki poemat epicki na miarę Homera i Dantego ujawni z czasem swój plan. „Kiedy dojdę do końca, wzór powinien być dostrzegalny – pisał. Ta aż nadto często cytowana wypowiedź poety z listu z 1937 do Johna Browna sugeruje, iż miał on choćby niejasny, ale jednak jakiś plan w zamyśle. Ale nic więcej. Sam wybór tytułu tych utworów sugeruje nawiązane do części („pieśni") „Boskiej komedii". (s. 436).

„Jednak przeświadczenie, że Pound ciągle nie był pewien ostatecznego kształtu swych utworów (jednego wielkiego poematu?) można opierać również na podstawie tego, iż poeta obstawał jeszcze przy trzeciej z kolei książkowej publikacji pierwszych 30 cantos, wydanych po raz pierwszy w Paryżu w 1930 r., by używać słowa „szkic" („draft") podkreślając w ten sposób jakby ich roboczy, prowizoryczny charakter tego, co ma się złożyć na przyszłą całość".

Gdzie jak nie tu mogę dodać swój wtręt dotyczący Pounda w postaci mego wiersza

Powrót Ezry Pounda do Wenecji

O czym myślał Ezra Pound przez pół roku w więzieniu w Pizie?
Że zbyt łatwo uwierzył Mussoliniemu, że potwornie zbłądził?

A może o tym by uciec na skrzydłach Pieśni pizańskich
Albo najlepszych wierszy z tomu Lustra które wyprowadzał

Z łacińskiego słowa lustrum oznaczającego „ofiarę oczyszczalną
składaną co pięć lat przez cenzorów w starożytnym Rzymie"?

A o czym mógł myśleć przez kolejne czternaście długich lat
w zakładzie dla umysłowo chorych przestępców w Waszyngtonie

Będąc „chory umysłowo, niezdolny odpowiadać przed sądem"
Jak głosi oficjalne orzeczenie lekarzy ze szpitala św. Elżbiety?

Czy dlatego właśnie zwariował, że nie umiał zapomnieć?
Czy zapomniał, skoro po cofnięciu oskarżenia ozdrowiał?

Czy to poezja stawiała trudne pytania jego życiu czy ono poezji
Gdy wrócił do Wenecji by spocząć na cmentarzu na wyspie San Michele?

„Szkice" kończy trójczłonowy esej o Miłoszu z charakterystycznym poddziałem ujawnionym w tytule tych części: „Emigracja", „Pamięć", „Opowiastki literackie". I być może pisząc o Miłoszu Karkowski bardziej pisze o sobie jako emigrant, dla którego pamięć jest ostoją (choć często trudną, jak w rozważaniach o starzeniu się) i sensem ratującym istnienie. Całe „Szkice" byłyby więc snuciem opowiastek literackich o tym wszystkim.

Wspominałem na początku, że odniosę się do ujawniających się w całych „Szkicach" filozoficznych poszukiwaniach „wspólnego mianownika' człowieczeństwa (?), „bytu (?), „świata" (?), którymi przepełniona jest historia filozofii (co udanie pokazuje Karkowski w poszczególnych tekstach), więc się odnoszę: być może lepiej (efektywniej poznawczo?) szukać – to moje Latourowskie tropy – tego, co nazywam wspólnym lub lepiej wspólnymi „mianownikami". Z ułamkami jednak (licznik/mianownik) trzeba uważać, bo jak napisał Lew Tołstoj: „człowieka można przedstawić w postaci ułamka, w którym licznikiem są jego właściwości, a mianownikiem – mniemanie o sobie. Im większy mianownik, tym mniejszy cały ułamek".

Ale to już opowieść na inny czas…..

Andrzej Wołosewicz

1. Pisałem o tym w: Studia Filozoficzne 9/1989, Spór o spór, czyli kłopoty z relacjonizmem w estetyce", co zostało zauważone przez Ewę Bińczyk w jej książce „Obraz, który nas zniewala. Współczesne ujęcia języka wobec esencjalizmu i problemu referencji", Wydawnictwo UNIVERSITAS, Kraków 2007, s. 59.

Mirosława Michalska-Suchanek

Rosyjskojęzyczna literatura w Izraelu – geneza, charakter, ewolucja

Tytułowa literatura – czy jak się ją inaczej określa: literatura rosyjsko-izraelska, albo literatura „rosyjskiego Izraela" – jest w Polsce praktycznie nieznana. Reprezentuje ją jedynie, niejednokrotnie tłumaczona na język polski i w Polsce publikowana, Dina Rubina, ale wydaje się, że mało kto z jej czytelników utożsamia pisarkę z literaturą rosyjsko-izraelską. Tę lukę na rynku wydawniczym próbują wypełnić, wydane przez „Śląsk", przekłady prozy rosyjskojęzycznych izraelskich twórców, zebrane w trzy niewielkie zbiory pod wspólnym tytułem *Z Rosji do Izraela* (Katowice, 2018, 2020, 2022).

Czym jest owa rosyjsko-izraelska literatura? Najprościej definiuje się ją, po pierwsze –

jako korpus utworów w języku rosyjskim, powstałych na Ziemi Izraela w rezultacie napływu rosyjskojęzycznych repatriantów w ramach Trzeciej Alii w latach 1918–1923 i po proklamowaniu państwa Izrael w 1948 roku, po drugie – jako zbiór tekstów w sposób oczywisty zdeterminowanych przez izraelski kontekst historyczno-kulturowy, lub też (to po trzecie) będących wynikiem uczestnictwa autorów w procesach literackich „rosyjskiego Izraela". Spełnienie przynajmniej jednego z wymienionych kryteriów wystarcza, aby dany utwór uznać za literaturę rosyjsko-izraelską.

Za pierwszego pisarza, który na Ziemi Izraela zdecydował się tworzyć w języku rosyjskim uważa się Awrama Wysockiego. Pisarz, urodzony w Ukrainie, spędzający młode lata w Kraju Ałtajskim, do Brytyjskiego Mandatu Palestyny przybył ponad wiek temu, zimą roku 1920. W ciągu stu lat swojego istnienia rosyjsko-izraelska literatura przeszła długą drogę – od swoich narodzin i czasu wielkich przemian w latach dwudziestych, praktycznie zaniku w latach II wojny światowej i powstawania państwa Izrael, ledwie tlenia się w latach 50. i 60., po intensywny rozwój w rezultacie alii (tzw. syjonistycznej) w latach 70. Ten pierwszy masowy wyjazd Żydów ze Związku Sowieckiego nastąpił po błyskawicznym zwycięstwie Izraela w trzeciej wojnie izraelsko-arabskiej w 1967 roku, tzw. wojnie sześciodniowej, czego następstwem była rozpętana w ZSRR kampania „antysyjonistyczna", de facto antysemicka[1]. Do kraju przodków wróciło wtedy około dwustu tysięcy rosyjskich Żydów, w tym wielu przedstawicieli świata kultury[2]. W takiej właśnie sytuacji ideowo-politycznej zaczęła formować się samoidentyfikacja literatury rosyjsko-izraelskiej jako istotnej formy walki o prawa i miejsce odradzającej się tożsamości rosyjsko-żydowskiej w geopolitycznej oraz społeczno-historycznej rzeczywistości nowych wojen, zarówno zimnych, jak i gorących[3]. Repatrianci lat 70., przesiąknięci byli ideą powrotu do korzeni, zafascynowani tematyką żydowską i biblijną historią Żydów na ich własnej ziemi, przez co legitymizowali swoją narodową tożsamość, a jednocześnie odreagowywali ówczesny sowiecki antysemityzm. Twórczość tego okresu – obok odwołań do historii i tradycji żydowskiej – wypełniał emigrancki, antysowiecki patos. Prezentowała ona kolejną odsłonę dobrze oswojonej, bo intensywnie realizowanej przed repatriacją, literatury zaangażowanej — opozycyjnej, antysowieckiej, uwrażliwionej na najmniejsze przejawy antysemityzmu.

Alija lat 70. przejęła status mniejszościowości w stosunku do literatury rosyjsko-żydowskiej (tej uprawianej w ZSRR), a jednocześnie ze względów politycznych, w manifestacji sprzeciwu wobec kultury i literatury izraelskiej, świadomie budowała swoją marginalność (posługuję się tym słowem wyłącznie jako terminem, bez jakiegokolwiek pejoratywnego nacechowania) w stosunku do literatury hebrajskiej, której pozycja w tym czasie była już w Izraelu ugruntowana. Z końcem lat 80., ideologia bohatersko-ofiarnicza, tożsamościowa, stanowiąca wówczas istotę rosyjsko-izraelskiej literatury, uległa wyczerpaniu. Niemal pozbawiona czytelników i zainteresowania krytyki, pogrążała się w świadomości podwójnego odrzucenia, bo zarówno ze strony odbiorcy rosyjskiego, jak izraelskiego.

Sytuację diametralnie odmienił upadek komunizmu w Europie Wschodniej. Rozpad Związku Sowieckiego, zapoczątkowany ogłoszeniem suwerenności przez Estońską SRR w 1988 roku, uruchomił masowy exodus rosyjskojęzycznych Żydów z Rosji i pozostałych sowieckich republik, zwany Wielką →

Janusz Stobiński

Alią. Rozpoczął się nowy rozdział w historii repatriacji do Izraela – u schyłku lat 90. liczba byłych obywateli Związku Sowieckiego, którzy przekroczyli granicę państwa Izrael osiągnęła milion[4].

Wielka Alija przełomu lat 80. i 90. mocno rozszerzyła rosyjskojęzyczną przestrzeń literacką w Izraelu, środowisko twórcze zostało zasilone przez nowe pokolenie (właściwie pokolenia), osoby urodzone w latach 50., 60., a nawet 70. (ci ostatni jako pisarze kształtowali się już w Izraelu), wolne — co nie jest bez znaczenia — od traumatycznych doświadczeń życiowych uczestników poprzedniej alii i reprezentujące diametralnie inny niż alija lat 70. model mentalnościowy i światopoglądowy. Konsekwencją było zapoczątkowanie totalnego przeobrażenia rosyjsko-izraelskiej literatury, czego spektakularnym wyrazem stał się rozpoczęty wówczas proces jej demarginalizacji[5].

Jeśli marginalizację definiuje się jako powstawanie grup marginalnych, to demarginalizacja — proces o przeciwnym wektorze — oznacza zanikanie takiej grupy i/lub proces wyprowadzający ją poza przestrzeń uznawaną za marginalną[6]. Zgodnie z koncepcją Freda Mahlera za przeciwieństwo marginalizacji — czyli również skutek procesu demarginalizacji — należy uznać partycypację[7]. W odniesieniu do literatury rosyjsko-izraelskiej pojawia się pytanie: partycypacja w czym? W literaturze izraelskiej, czy też może rosyjskiej tworzonej w Rosji? W Izraelu twórczość rosyjskojęzycznych pisarzy pozostawała, zresztą pozostaje nadal, zjawiskiem hermetycznym, rozwijającym się niezależnie od literatury izraelskiej. O ile na język rosyjski przekładane są utwory choćby Amosa Oza, Meira Shaleva, Davida Grossmana i innych, o tyle rosyjskojęzycznych twórców na hebrajski tłumaczy się rzadko. A co z usytuowaniem twórczości „rosyjskiego Izraela" wobec literatury rosyjskiej tworzonej w Rosji? Twórcy żydowskiego pochodzenia, którzy czuli się pisarzami rosyjskimi i takimi chcieli pozostać, dawno skorzystali z możliwości opuszczenia Związku Sowieckiego (zwłaszcza w latach 70.). Powodem ich wyjazdu były względy polityczne, głównie antysemityzm i cenzura. Udawali się przeważnie do USA, Francji lub Niemiec, gdzie, zyskując formalny status emigranta, nadal pozostawali częścią literatury rosyjskiej, tj. tworzyli w języku rosyjskim, pisali o Rosji i przede wszystkim dla rosyjskiego czytelnika. Alija przełomu lat 80. i 90. do Izraela miała inny charakter, przybrała formę masowej świadomej repatriacji do „ojczyzny swoich ojców". Twórczość pisarzy lat 90., wobec tego, nie orientowała się na rzeczywistość Rosji, jej potencjalny target tworzyli mówiący po rosyjsku obywatele państwa Izrael, którzy żyli w realiach kultury innej niż rosyjska. Pisarze przedstawiali rzeczywistość izraelską w oparciu o ich już izraelskie lub żydowskie doświadczenie, a językowi przypisywali rolę wyłącznie instrumentalną. Wiele dekad wcześniej podobny pogląd głosił literaturoznawca, krytyk i publicysta – Wasilij Lwow-Rogaczewskij. Nawiązując do przekonań narodowego wieszcza Izraela, współtwórcy procesu rewernakularyzacji języka hebrajskiego, Chaima Bialika, dowodził, że język w jakim tworzy się literaturę pełni rolę wtórną, gdyż o narodowym charakterze dzieła decyduje więź autora z narodem, przywiązanie do jego korzeni, ducha i kultury[8].

Powróćmy jednak do demarginalizacji. W kontekście tego, co wyżej powiedziano, oznaczałaby ona intensywne wyzbywanie się iluzji w stosunku do literatury izraelskiej (odejście od prób „rywalizowania" z literaturą hebrajską) i nostalgii w odniesieniu do rosyjskiej. Roman Katsman – czołowy izraelski badacz rosyjsko-izraelskiej literatury – proponuje spojrzeć na to inaczej. Łączy mianowicie demarginalizację z procesem transformacji „geografii literackiej" i rozważa przekształcenie dotychczasowej dwubiegunowej mapy centrum–peryferie (margines) w „wielowymiarową, kognitywną mapę wielu kulturowych światów"[9]. Przeciwstawienie dwóch biegunów, tj. centrum–peryferie, gdzie centrum (w tym przypadku dwa centra) oznacza literatury rosyjską i izraelską, tworzoną w języku hebrajskim, a peryferie twórczość „rosyjskiego Izraela", badacz zastępuje współistnieniem trzech odrębnych kulturowych światów. Niemałą rolę w weryfikacji pojęcia literatury marginalnej (czy peryferyjnej) odegrał rozwój Internetu. Jego globalny zasięg przeobraził to, co Katsman nazywa „geografią literacką", jako że dynamicznie rozszerzył obecność rosyjsko-izraelskich twórców na światowym rynku literackim, zwłaszcza zważywszy ich imponującą aktywność w sieci.

Kolejnym rytem przeobrażanej literatury rosyjsko-izraelskiej lat 90. jest jej deminoryzacja. Minoryzację literatury definiuje się jako eksponowanie stosunku podrzędności mniejszości wobec większości w tekstach pisanych w języku narodowym tejże większości. Jest to literatura mocno upolitycznione i nacechowana ideologicznie, jak na przykład rosyjsko-żydowska twórczość w Rosji przed rewolucją 1917 roku, a także w Związku Sowieckim i wśród emigracji w okresie poprzedzającym rozpad sowieckiego imperium, gdzie ewoluowała od tekstów mniejszości, odzwierciedlających ideologię większości, do literatury wobec niej opozycyjnej. Taką twórczość, będącą izraelską odsłoną, powstającej niegdyś w Związku Sowieckim antysowieckiej literatury, prezentowała – o czym już była mowa – alija lat 70. Koniec wieku przyniósł zmianę kontekstu politycznego, zdezaktualizowało się więc myślenie o literaturze jako narzędziu kontestacji i miejscu, które odzwierciedla, napędzane między innymi antysemicką polityką, napięcie pomiędzy centrum (Związkiem Sowieckim) a peryferium –„rosyjskojęzycznym Izraelem".

Równolegle do procesów demarginalizacji i deminoryzacji przebiegał w latach 90. proces dewiktymizacji[10], czyli odejścia literatury od motywów dekadenckiej ofiarności. Typowy bohater zmienił swój status z ofiary konfliktu (czymkolwiek ten konflikt był) na jego pełnoprawnego uczestnika, anihilacji uległa dominująca dotąd opozycja: ofiara–kat i towarzyszące jej motywy ofiarności i heroizmu. Istota procesu tkwiła w wyjściu poza schemat myślenia, samoświadomości i mentalności ofiary, ale jednocześnie w blokowaniu gestu agresji, przez co postać uwalniała się jednocześnie od obu członów wskazanej wyżej antynomii.

Kluczowy wpływ na charakter rosyjsko-izraelskiej literatury pod koniec XX wieku miała tożsamościowa identyfikacja jej twórców. Zygmund Bauman podkreśla, że tożsamość nie jest jednostce dana, przeciwnie — jest rodzajem zadania do wykonania i stanowi świadomy (a czasem nie) proces samokreacji[11]. W określaniu tożsamości kapitalne znaczenie przybiera walencja kulturowa. Poczucie silnego związku z kulturą etniczną lub narodową uznawaną za własną stanowi tu punkt wyjścia — dalej na różnych poziomach i w różnych sferach życia pozyskiwane są elementy składowe samookreślenia, które finalnie łączą się z czynnikami psychicznymi i kształtują tożsamość[12]. W przypadku „rosyjskiego Izraela" deklaracja tożsamościowej identyfikacji okazała się niełatwa, szczególnie trudne było jednoznaczne określenie owej walencji kulturowej. Bo też jaką kulturę uznać za własną: etniczną? narodową? żydowską? rosyjską? Czy istnieją kryteria obiektywne czy rzecz tylko w afirmacji? Po raz kolejny przywołajmy Baumana: „Pytanie o tożsamość wyrasta z odczucia chybotliwości istnienia, jego manipulowalności, niedookreślenia, niepewności i nieostateczności wszelkich form, jakie przybrało"[13]. Uczucie tożsamościowej „niepewności" i „chybotliwości" dotykało pisarzy „rosyjskiego Izraela" w różnym stopniu i przyjmowało najrozmaitsze formy, zwykle jednak kończyło się przypieczętowaniem poczucia narodowej tożsamości. O ich tożsamościowej identyfikacji świadczy na przykład konsekwentne posługiwanie się określeniami: repatriacja, repatriant, a przede wszystkim alija, a więc nie emigracja, którą pojmuje się jako opuszczenie własnego kraju, ale powrót do pierwotnej ojczyzny, do ziemi ojców.

Kolejną zmianę paradygmatu rosyjskojęzycznej literatury w Izraelu przyniósł XXI wiek. Globalizacja, postmodernistyczny relatywizm, osłabienie narracji narodowych, wreszcie intensywny rozwój cyfryzacji – wszystko to w pierwszym dziesięcioleciu przyniosło eksplozję „nowej powieści". Znika w niej motyw wyobcowania bohatera z rzeczywistości, w której żyje, manifestacja „obcości" zostaje zastąpiona demonstracją intelektualnej i kulturowej asymilacji, całkowicie pozbawionej ideologii i polityki. Zmienia się konstrukcja bohatera — jego postawa wobec świata ustępuje jego istnieniu w świecie. Proza staje się wieloznaczna, wypełniona intelektualną autorefleksją, ukierunkowana na nasycony myślą filozoficzną, uniwersalizm. Jej prymarną cechą staje się metafizyczny, a także szczególny kulturowo-ontologiczny realizm, rozciągający się od jego krańca egzystencjalnego po mistyczny.

Różnorodną w swoim charakterze twórczość „rosyjskiego Izraela" ostatnich dwóch dekad najogólniej oddają takie pojęcia jak: generatywność, fluktuacja, hybrydyczność, dywersyfikacja, entropia i otwartość. Wszystkie one zaświadczają o procesualnym charakterze rosyjsko-izraelskiej literatury, stanowiącej „żywy", ewoluujący system. Wspomniany już wyżej niejednokrotnie Katsman mówi o otwartym układzie, posiadającym charakter emergentny, i opisuje go jako byt, ktory nie sprowadza się do sumy swoich wyznaczników, tylko składa się z nieokreślonej liczby heterogenicznych elementów oraz procesów, a co najważniejsze, zdeterminowany jest przez nieokreśloną liczbę heterogenicznych czynników[14]. Inymi słowy, przestrzeń literacka współczesnego „rosyjskiego Izraela" jest rozbudowana i niejednorodna. Tworzy ją wspólnota, która nie stanowi spójnej grupy, nie mają więc do niej zastosowania pojęcia tożsamości grupowej, nie podlega też dynamice grupowej. Wiązać ją można raczej z pojęciem chaosu, interpretowanego jako przestrzeń, w której generowane są elementy składowe wspomnianego układu, i w ramach której dochodzi do ich samoorganizacji. W chaotycznym systemie w różnych zmiennych konfiguracjach tworzą się i funkcjonują, spajające go idee, a ich dynamikę i nieustanną reorientację (reinterpretację) należy uznać za główny wyznacznik rozwoju rosyjsko-izraelskiej literatury po roku 2000.

Spośród zupełnie sporej liczby wspomnianych „spajających idei" wymieńmy trzy kluczowe. Po pierwsze – sięganie do założeń kulturowego realizmu, odwołującego się do rozwoju nauki i technologii, który znany jest jako czwarta rewolucja przemysłowa (Industry 4.0.)[15]. Sprowadza się on do — mówiąc w uproszczeniu — automatyzacji,

wymiany informacji i przetwarzania danych z wykorzystaniem wszelkich form technologii informacyjnych oraz powszechności globalnej sieci. Realizm kulturowy nawiązuje do postulowanej przez realizm spekulatywny negacji antropocentryzmu i – co za tym idzie – ontologii zorientowanej na przedmiot. Człowiek zostaje zrównany ze światem nie-ludzi, realność i wirtualność ulegają unifikacji, a każdy pojawiający się w świecie przedstawionym przedmiot zyskuje status osobowy.

Po drugie – wykorzystywanie potencjału mitotwórczego literatury. Mit jednak w tym przypadku wymyka się definicjom zakorzenionym w tradycji badawczej i pojawia się w swoistej, kulturowej odsłonie. Odrzucona zostaje, traktowana jako warunek *sine qua non*, obecność czynnika nadprzyrodzonego, mit oddzielony zostaje też od świadomości religijnej. Staje się natomiast szczególną formą generowania i przekazywania wiedzy o świecie, nadawania własnego, często niestandardowego znaczenia obecnym w nim znakom. Traktowany jest tym samym jako jeden ze sposobów komunikacji z odbiorcą, poprzez generowane sensy, w sposób symboliczny przedstawia określoną koncepcję (interpretację) świata, jest przestrzenią uobecniania najróżniejszych konstruktów ideologicznych i kulturowych, pełni również w jakimś sensie funkcję normatywną, jako że wskazuje rudymentarne standardy, kanony i wartości (często związane z tradycją żydowską). Jednocześnie podlega ewolucji, transmisji, transformacji i aktualizacji, a ponieważ eksplikuje konkretną rzeczywistość, ma w jakimś sensie charakter doraźny.

Wreszcie po trzecie – swojego rodzaju prozelityzm literatury jako pochodna wrastania twórców rosyjsko-izraelskiej literatury w kulturę Izraela. Sprowadza się on do wpisania przez niektórych autorów we własną twórczość motywów kształtujących świadomość historyczną i narodowościową odbiorców, budujących żydowski etos. Ich utwory stają się rodzajem duchowej inicjacji, przyjmując formę opowieści o złożonym procesie poznawania nowej (lepszej?) odsłony świata — religijnego, chwilami irracjonalnego i ezoterycznego. Sami twórcy zwykle sprzeciwiają się takiemu postrzeganiu ich prozy, określając ją raczej jako akt poznania (poznawania) nowego świata — duchowego i materialnego, albo literaturę postateizmu lub „literaturę powrotu", nie mniej neoficka żarliwość i konsekwentny, w jakimś sensie programowy, prozelityzm jest w ich tekstach czytelny.

Krótki szkic przybliżający zjawisko rosyjskojęzycznej literatury w Izraelu najlepiej podsumują słowa Romana Katsmana zaczerpnięte z jego wstępu do pierwszej części zbioru przekładów *Z Rosji do Izraela*:

[…] Nie jest to literatura minorowa, ponieważ nie próbuje rozmawiać z rosyjską większością językową w imieniu narodowej (żydowskiej) mniejszości; nie jest to także literatura peryferyjna, ponieważ nie wpisuje się w izraelską hierarchię literacką. Na obecnym etapie swojego rozwoju, w świecie otwartych granic, jest ona wolna od dekadenckiej ofiarności literatury emigracyjnej. Co więcej, dzięki Internetowi i otwartej przestrzeni informacyjnej pozbawiona jest nawet wątpliwego przywileju oddychania szczególnym żydowsko-rosyjskim powietrzem lub nie mniej szczególnym — ale możliwe że świeższym — morskim powietrzem krańców imperium. […] Nie jest ona podporządkowana nakazom tego świata, a przeciwnie — swobodnie, bez przeszkód i nieprzewidywalnie tworzy z nich dziwaczne wzory i kształty, które pojawiają się, zmieniają i znikają. Chaos, z którego się rodzą, jest dla tej literatury całkowicie i absolutnie realny. A ów realizm jest szczególny. Dzięki swojej chaotyczności i rozproszeniu literatura ta żyje w świecie nieustannie odradzających się możliwości — dlatego jest to realizm istnienia gwarantowanego i przypadkowego jednocześnie. Możliwe, że nie w pełni uzasadnionego, ale dzięki temu niezaprzeczalnie obiektywnego[16].

Mirosława Michalska-Suchanek

1 Zob. M. Matusiak, „Rosyjska ulica" – miejsce i znaczenie imigrantów z byłego ZSRR w Izraelu, Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, Warszawa 2021, s. 11–14.

2 Zob. M. Tolts, The Post-Soviet Jewish Population in Russia and in the World, https://www.researchgate.net/publication/283926971_The_post-oviet_Jewish_population_in_Russia_and_the_world [20.08.2022].

3 Zob. Р. Кацман, *Русско-израильская литература как эмерджентное сообщество*, «Артикль» 2022, nr 48 (16), sunround.com [20.08.2022].

4 Zob. R. Tarasiuk, Aspiracje polityczne społeczności rosyjskiej w Izraelu, https://www.osw.waw.pl/sites/default/files/PW_Rosyjska-ulica_net_0.pdf [20.08.2022].

5 Zob. R. Katsman, Demarginalization of Contemporary Russophone Literature in Israel, http://www.academia.edu/35544512/Demarginalization_of_Contemporary_Russophone_Literature_in_Israel (20.08.2022).

6 Zob. E. Goffman, Piętno. Rozważania o zranionej tożsamości, przeł. J. Tokarska-Bakir, Gdańskie Wydawnictwo Pedagogiczne, Gdańsk 2005, s. 26.

7 Zob. R. Szarfenberg, Marginalizacja i wykluczenie społeczne – panorama językowo-teoretyczna, http://rszarf.ips.uw.edu.pl/pdf/miws_panorama.pdf [22.07.2022].

8 Zob. В. Львов-Рогачевский, Русско-еврейская литература, Московское отделение государственного издательства, Москва 1922, s. 49, https://imwerden.de/pdf/lvov-rogachevsky_russko-evrejskaya_literatura_1922__ocr.pdf [20.08.2022].

9 R. Katsman, Demarginalization of Contemporary Russophone Literature in Israel…

10 Opisowi nowego paradygmatu „a-wiktymizacyjnego" literatury rosyjsko-izraelskiej Katsman poświęcił artykuł: Кризис виктимной парадигмы (случай новейшей русско-израильской литературы), „Studia Rusycystyczne" 2017, nr 27, s. 9–28.

11 Zob. Z. Bauman, Dwa szkice o moralności ponowoczesnej, Instytut Kultury, Warszawa 1994, s. 9.

12 Zob. J. Nikitorowicz, Typy tożsamości człowieka w społeczeństwie zróżnicowanym kulturowo, http://bazhum.muzhp.pl/media//files/Chowanna/Chowanna-r2003-t1/Chowanna-r2003-t1-s50-66/Chowanna-r2003-t1-s50-66.pdf [30.08.2022].

13 Z. Bauman, Dwa szkice o moralności…

14 Zob. P. Кацман, Русско-израильская литература как эмерджентное сообщество…

15 Zob. m. in. https://www.plattform-i40.de/PI40/Navigation/EN/ThePlatform/Background/background.html, albo https://www.twi-global.com/what-we-do/research-and-technology/technologies/industry-4-0 (20.08.2022).

16 R. Katsman, Wstęp, przeł. A. Mrózek. Z Rosji do Izraela. Opowiadania, red. M.Michalska-Suchanek, A. Lenart, "Śląsk", Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych, Katowice 2018, s. 6.

Janusz Stobiński

Dariusz Tomasz Lebioda

WNIKANIE W WIECZNOŚĆ

O poezji Krzysztofa J. Lesińskiego

1. Panta rhei

W poezji Krzysztofa J. Lesińskiego mamy do czynienia z rozświetleniem natury, która ma swoje tajnie i ornamenty i stanowi pulsujące tło dla intensywnego życia. Staje się sacrum samym w sobie, najpełniej otwierającym się we wnętrzu poety, w tęsknocie wilgi, w ulotnej liryce chwil i w zapachu strzelistych sosen. To patrzenie na świat z określonej perspektywy wiekowej, z miejsc doświadczonych i zapamiętanych, a zarazem synteza tego, co w nim najistotniejsze. Poeta wie, że nie można przeciwstawić się destrukcyjnej sile czasu, ale próbuje utrwalić lśniące chwile w kryształach wierszy – pragnie zatrzymać w nich to, co było istotą dni i nocy, co miało określone barwy, zapachy, co dookreślał dotyk i głęboki namysł. Wciąż zatem wraca myślą do lat pierwszych, gdy jego wrażliwość kształtowała matka, dająca mu ciepło i poczucie bezpieczeństwa, zapewniająca mu to, co było niezbędne do życia. W perspektywie wielu przeżytych lat to dalekie macierzyństwo staje się paradygmatem prawdziwego człowieczeństwa i poczucia jedności z rodziną ludzką. Gdzieś w tle majaczy Bóg, jako symbol, jako realny człowiek ukrzyżowany przez Rzymian dwa tysiące lat temu i jako stwórca całego wszechświata. Jego wizja zmieniała się w miarę zdobywania doświadczeń i pokonywania kolejnych życiowych przeszkód, ale zawsze gdzieś był, czy to w radości zięby, czy w zapachu kwiatów, lśnieniu gwiazd, czy wreszcie w oczach pięknych kobiet. I w obecności matki, której nie ma już fizycznie, ale której energia jest stale wyczuwalna i nie zanika we wszechobecnej entropii. Jej istnienie zaprogramowało egzystencję syna i stało się fundamentem jego kolejnych działań, licznych życiowych sukcesów, ale też i gorzkich porażek. Nikt nie przechodzi przez życie bez potknięć, ale ważniejsze są kolejne dźwignięcia się z kolan i podążanie do przodu, istotna jest też umiejętność zauważania kamieni milowych, nowych inicjacji i otwierania się innych perspektyw. Matka daje dziecku schron swojego ciała, a potem prowadzi go w dal trzymając za rękę, by w pewnym momencie zwolnić uścisk i obserwować dalsze poczynania, doradzać i czuwać nad jego rozwojem. Nieuchronnie też osuwa się w śmierć i tym samym uczy go, że każdy powinien zaakceptować starzenie się, utratę sił witalnych i rozpad. Zwykle rodzice pierwsi odchodzą z tego świata, zostawiając nam przesłanie – *ja zaświaty potwierdzam/ ja/ im zaprzeczam* – przypominane przez ich fotografie, pamiątki i artefakty, rezonowane przez nagrobki.

Jakże wzruszające są w wierszach Lesińskiego refleksje syna, który wciąż wraca myślą do chwil, gdy czuł macierzyńską miłość matki i wiedział, że może w każdej sytuacji na nią liczyć. To są też dramatyczne liryki, potwierdzające nieuchronność rozstań, nieubłagalności czasu, który determinuje kolejne, ostateczne pożegnania – z matką, z ojcem, ze samym sobą. Wszystko płynie, wszystko przesuwa się do przodu i nigdy nie wchodzimy do tej samej rzeki, nigdy nie zatrzymamy nurtu zdarzeń. Zostają tylko wspomnienia, spośród których najwyraźniejsze pojawiają się w refleksji poetyckiej, wyposażającej je w głębie metaforyczne i symboliczne. Tak młode zostaje młodym piękne/ pięknym aż/ do zniszczenia fotografii – tak chwile rozkwitają i więdną, tak refleksja staje się coraz bardziej matowa, traci barwy i poszczególne elementy dawnego świata. Poeta szuka w rzeczywistości punktów oparcia, zaczepienia dla egzystencji i wyobraźni, ale wszystko rozmywa się we mgle, traci kontury i dawną wyrazistość. Młodość nie zna litości i pomija to, co istotne, nie zauważa barw i zapachów, determinowana przez moc hormonów, przede do przodu bez opamiętania i tylko staruszka w czerni/ z laską/ zatrzymała się/ przy krzewie jaśminowca/ przygięta do ziemi chorobą kręgosłupa/ z trudem wyprostowała się/ i z zachwytem powąchała/ ukwieconą gałązkę. To zatrzymanie jest symboliczne, bo unieruchamia na chwilę pęd życiowy i generuje obrazy pierwiastkowe, chwile jaskrawe jak młodzieńcza miłość, jak zmysłowość mokrego szczęścia. Nasze istnienie zaczyna się w akcie miłosnym dwojga ludzi, ale jego dalszy ciąg to cierpliwe wzrastanie w ciele matki, korzystanie z jej opiekuńczej pomocy. To narodziny w straszliwym bólu i potem poczucie jedności z jej ciepłem i czułością, z jej mądrą czujnością w każdym momencie i potrzebą wspierania kruchego bytu. Lesiński w swoich wierszach przywołuje też wiele zmysłowych chwil, pełnych erotyki, bliskich seksualnym marzeniom młodzieńca i odważnym obrazom malarstwa francuskiego. To jeszcze jedno potwierdzenie, że macierzyństwo zaczyna się w miłości i rozpłomienieniu i matczyna opieka ma wciąż wiele z inicjacyjnej czułości, z magii dotyku i ciepła. I wtedy pojawia się też obraz ojca, bez którego nie byłoby nowego życia – obraz tego, który pierwszy nią się zachwycił i obdarzył ją owocem, któremu dane będzie dojrzewać po jego tragicznej śmierci pośród śnieżnych pól Syberii. W tym kontekście zrozumiałe też są przekłady poszczególnych wierszy na język rosyjski, dające im możliwość zaistnienia na nieludzkiej ziemi.

Ważna też jest w tej poezji perspektywa kosmiczna, wyodrębniająca spadającą gwiazdę, srebrny poblask lunarny na owocach śliwy i niewyobrażalne głębie wszechświata. Człowiek jest ich cząstką, tak jak kwitnące przebiśniegi, jak wielkie bory, rzepakowe rżyska, dziurawce, wrotycze, krwawniki, jak czułe spojrzenie matki i ostatnia myśl ojca. Poeta widzi piękno otaczającego go świata, ale też dokumentuje w wierszach jego rozpad, permanentną entropię, mającą swój początek w pierwszych sekundach istnienia kosmosu. Rozumie, że pojawił się w określonej sytuacji kosmogonicznej i akceptuje te reguły, chociaż nie przestaje zachwycać się ulotnym światem, w którym *biała akacja pachnie/ słodko/ miodem/ pszczoły ciężkie/ od pyłku/ odwieczną grają melodię*. Największym osiągnięciem liryki wielu epok jest odzwierciedlanie bolesnego pęknięcia, jakie pojawia się w chwili zachwytu, moderowanego wiedzą eschatologiczną. I tutaj mamy do czynienia z taką sytuacją – zjawiskowe obrazy natury, odniesienia do wielkiej sztuki, zderzają się z mrocznym pomrukiem dziejów, bezlitosnym dla śmiertelnych bytów i niwelującym wszystko, co starają się utrwalić. Wielka głębia przesłania matczynej miłości zderza się tutaj z ułomnością świata ludzkiego i poeta bezradnie pyta na końcu jednego z tomów: *co mam zrobić mamo?* To jest ta sama bezradność, która potrzebowała jej pomocy w chwilach wzrastania i dojrzewania dziecka, to jest ten sam etos człowieczeństwa, budzącego się do istnienia i stale szukającego wsparcia u innych bytów. Ale jest to też inne pytanie, pojawiające się od początku świata, w wielu przestrzeniach i wielu stuleciach, pytanie o sens egzystencji i realność tego, co przeżyliśmy i co jest wciąż naszym udziałem. Pytanie o Stwórcę wszechświata lub o pierwszą przyczynę i zasadę wszystkiego – pytanie o tę dziwną sytuację, nazywaną istnieniem, niemożliwą bez krążenia krwi w żyłach i kolejnych natleniających ją oddechów, nieprawdopodobną bez wsparcia rodziców i innych członków rodzin – niemożliwą bez wspomożenia wspólnoty ludzkiej. Rzeczywistość jest grą naszej świadomości, a jej postrzeganie uwarunkowane jest osobniczym doświadczeniem i dynamiką życiową, wiarą w siebie i w realność tego, co postrzegamy. *Panta rhei* – mówi Heraklit z Efezu i kreśli obraz wielkiej rzeki, stale zmieniającej swój nurt – *co mam zrobić mamo?* – pyta poeta u początku nowego stulecia, stający na brzegu tego symbolicznego szlaku wodnego, a choć wie, że jest to pytanie retoryczne, ma nadzieję usłyszeć raz jeszcze jej głos…

2. Zegar i próg

Odbiór ludzkiego wieku schyłkowego w literaturze polskiej, na wiele lat ustalił manifest poetycki Adama Mickiewicza pt. *Romantyczność* (1822). Pojawił się w nim starzec, reprezentujący klasycyzm i negujący istnienia świata nadprzyrodzonego. Opowieści Karusi, widzącej postać zmarłego ukochanego, przeciwstawiał on butne słowa: *Ufajcie memu oku i szkiełku,/ Nic tu nie widzę dokoła.* A choć odnosił się przede wszystkim do poglądów braci Śniadeckich i był wyrazem buntu ucznia w stosunku do postawy nauczycieli, stał się zaczynem nowego prądu myślowego w Polsce. Romantyzm był pochwałą młodości i wyobraźni, wiary w podłoże spirytualne naszej egzystencji, a przy tym, niezwykłych stanów świadomościowych, takich jak obłąkanie, sen, transmigracja, mesmeryzm. Wiersz Mickiewicza ustalił też wzorzec starości, jako domeny wiedzy i zrozumienia naukowych mechanizmów świata, a także korzyści płynących z badań scjentystycznych, odkrywających – przy pomocy mikroskopu – ukryte wymiary naszej rzeczywistości. Młodość, targana pierwiastkowymi uczuciami, przypomina stan mediumiczny, w którym kontury zacierają się, a kształty przestają mieć znaczenie i nikną w żarze miłości, pragnienia, chęci zaspokojenia

Janusz Stobiński

żądz cielesnych. W literaturze światowej znajdziemy wiele sugestywnych portretów starców, poczynając od skąpca Moliera, poprzez ojca Goriota Honoriusza Balzaka, Doriana Graya Oscara Wilde'a, a skończywszy na latarniku Henryka Sienkiewicza i Santiago z opowiadania Hemingwaya pt. *Stary człowiek i morze*. Pisarze portretują swoich starych bohaterów w różnoraki sposób, od ubolewania nad straconymi szansami, poprzez afirmację zdobytego doświadczenia, aż do sarkazmu i ujęć prześmiewczych. Charakterystyczne są tutaj podsumowania Szekspira w *Królu Learze*, ujęcia Nałkowskiej w *Granicy*, a tendencję sarkastyczną reprezentują choćby zdania Czesława Miłosza, sumującego swoje szanse w konfrontacji z młodością i jurnością kobiet, zauważanych na lotnisku: *Stary lubieżny dziadu, pora tobie do grobu, nie na gry i zabawy/ młodości.* O ile młodość bywa żywiołem nie do opanowania, o tyle starość jawić się powinna jako czas uspokojenia i ukojenia, ale przecież – co dokumentują wiersze Krzysztofa J. Lesińskiego – perspektywa ludzka stale się zmienia, a to co zdawać się mogło trwale utwierdzone, w konfrontacji z biologią traci jakikolwiek sens.

Czas działa zawsze na niekorzyść człowieka, ale widzimy to dopiero w podeszłym wieku, kiedy suma pozostałych lat drastycznie się kurczy. Młodość zdaje się być bezpieczna, nieskończenie oddalona od dni schyłkowych i niedogodności zdrowotnych, a nawet jeśli spotyka nas wtedy jakaś przypadłość, jesteśmy pewni, że szybko się skończy. Tak witalność pierwszych dekad zakłamuje naszą rzeczywistą sytuację, ludzi nieustannie podążających ku końcowi postrzeganego świata, zgaśnięciu barw, zapachów, dźwięków i kształtów. Człowiek pragnąłby jeszcze *wyrwać pióro/ ze skrzydła anioła/ upadłego/ prześcignąć czas/ odkryć tajemnicę/ pisać krwią/ z otwartego serca*, ale wszystko się zamyka, aktywność telomerazy maleje i zaczyna brakować sił, a kalendarz przypomina, że jesteśmy zbudowani z cząstek, których wymiana spada drastycznie już od czwartego dziesięciolecia. To generuje nową jakość i przekonanie, że tylko *ból jest wierny/ ból nigdy nie zdradza/ ból zawsze powraca* – pewność, że jesteśmy cieleśni, uzależnieni od tlenu, krążenia krwi w żyłach, pokarmu bogatego w cukier i biopierwiastki. Nikt nie spowolnił upływu czasu, nawet taki eksperymentator jak doktor Faust; niektórym tylko udało się od niego uciec za cenę utraty życia i odrzucenia potencjalności następnych lat. Krzysztof J. Lesiński przypomina w swoich wierszach, że wszystko jest względne, chwilowe, uzależnione od szeregu czynników, a w każdym momencie naszej egzystencji możemy podsumować doświadczenia formułą: *jeszcze tylko krok/ do wieczności*. Pozostają zatem wspomnienia, coraz jaskrawsze, zakłamujące symptomy starości i przenoszące nas do idealnego świata, który przepadł na zawsze i nigdy już nie powróci. Entropia ma swoje prawa, wpisane w druga zasadę termodynamiki i jakiekolwiek próby pominięcia jej destrukcyjnych zasad, skazane są na niepowodzenie. Niestety procesy gerontologiczne nie przebiegają jednakowo na wszystkich poziomach, a starzeniu się ciała przeciwstawia się często jasność umysłu i niezgoda na zwiotczenie mięśni, skóry, pogorszenie się wzroku i słuchu, uszkodzenia czynności narządów czy spadek aktywności enzymów. Każdy chce żyć, pragnie kontynuować to, czego doświadczał w młodości, dlatego poety nie opuszczają wspomnienia i wciąż tli się w nim nadzieja, tak oto artykułowana w wierszu: *Chciałbym/ jeszcze trochę/ poprzechadzać się po tym/ świecie/ z rękoma w kieszeniach/ jeszcze popatrzeć/ jeszcze popłakać/ jeszcze pocierpieć/ poprzekomarzać się/ z bogiem/ jeszcze raz się zakochać*. Choć autor prosi życie o *trochę*, to jego pragnienia są maksymalistyczne, sięgające głęboko do ludzkich doświadczeń egzystencjalnych, od tysiącleci przeciwstawiających się nieuchronności rozpadu.

Starość pozwala intensywniej zauważać procesy przebiegające w naturze i piękno świata, ale też kumuluje myśli o nieuchronności śmierci i zbliżającym się rozpadzie. Poeta ma tego świadomość i stosuje w swoich wierszach liczne strategie niwelujące wymowę zdarzeń; głęboko wnika w naturę szukając w niej odpowiedzi na bolesne pytania o sens istnienia, ale też minimalizuje potworność końca: *a cóż to śmierć/ to tylko próg/ który musimy/ przekroczyć/ z ostatnim skurczem/ serca/ ale/ nie spiesz się śmierci/ szpetota starości/ nie odbiera piękna/ dobra/ i miłości*. Z jednej strony są tutaj ewidentne symptomy postępującego rozpadu, spowolnienie metabolizmu, siwienie, pogorszenie wzroku, a ze strony drugiej pojęcia i stany nie podlegające tym prawom: piękno, dobro i miłość. Gdyby ich nie było, mielibyśmy do czynienia z bezmyślnym, chwilowym bytowaniem pośród świata i niczym nie różnilibyśmy się od bakterii, wirusów, najprostszych organizmów, istniejących tylko dzięki wewnętrznemu kodowi reprodukcyjnemu. Istota ludzka bytuje tyleż w obrębie rzeczywistości biologicznej, co w sferze uczuć i pojęć wyższych. Ich zaistnienie uwarunkowane jest zdrowiem wszelkich struktur organizmu, właściwościami mózgu i indywidualną energią, ale też jest najwyższą formą rozwoju w znanym nam wszechświecie. Człowiek potrafi analizować →

rzeczywistość i snuć wnioski, może zaplanować rozwój wypadków i szukać odpowiedzi na dręczące go pytania. Może to czynić wielorako, w obrębie eksperymentów naukowych i badań filozoficznych, może odnosić wszystko do procesów przebiegających w kosmosie i do energii sprawczej niewidzialnego Boga. Tak poeta szuka odpowiedzi na najważniejsze pytania swojego życia i ze zdumieniem konstatuje, że za każdym razem kontrapunktem staje się bliskość i miłość: *nie ma boga nie ma/ świata/ tylko my i rozkosz*. Krzysztof J. Lesiński znakomicie moduluje swoją poezję i oprócz ujęć wysokich wprowadza czasem do wierszy żartobliwe komentarze, jak ów, gdy zastanawia się co będzie wspominał, gdy stuknie mu dziewięćdziesiątka i z rozbrajającą szczerością wyznaje: *zrzucone w pośpiechu/ twoje majteczki*. Może właśnie tak powinno się obłaskawiać zegary i zawsze potencjalną śmierć, może tak powinno się podchodzić do wielkich pytań naszej egzystencji. Jej wymiar filozoficzny jest ważny, ale nawet najwięksi filozofowie oddawali się zmysłowym uciechom, kopulowali i odsłaniali wstydliwe zakamarki ciała. Metoda poetycka autora, polegająca na podglądaniu starca w samym sobie, nie odrzuca różnych ujęć, nie boi się nagłych zwrotów, pulsuje w obrębie znaczeń, jak życie w przeznaczonym mu czasie. Tak w zdumiewający sposób czyni starość okresem równie interesującym jak dzieciństwo, wiek młodzieńczy, dojrzałość lat średnich, tak też łagodzi jej wymowę i zapowiada dalszy ciąg…

3. Kres czasu

Od dawien dawna ludzie pytali o Boga i próbowali tworzyć jego wizerunki, najpierw w kontekstach animistycznych i naturalistycznych, a potem antropologicznych i kosmicznych. W końcu Stwórca stał się wszechobecną cząstką naszej rzeczywistości, choć coraz częściej pojawiały się też głosy kwestionujące jego istnienie. Jakże wymowne są w takim kontekście pytania Theodora W. Adorno o sens pisania wierszy po Auschwitz, a także konstrukcje intelektualne największych teologów i filozofów, starających się usprawiedliwić milczenie i nieobecność sacrum w miejscach kaźni i dziejowej niesprawiedliwości. W wierszach Krzysztofa J. Lesińskiego *Bóg/ się gdzieś zawieruszył*, a sumienie świata odpłynęło w dal *jak/ obce Księżyce/ dalekie Planety*. Poeta pozornie godzi się na taki stan rzeczy, ale poprzez jego utwory nieustannie prześwitują obrazy cierpiących ludzi, *upodlonych szkieletów* i permanentnych mordów, których symbolami są pasiaki i krew, prochy pomordowanych rozrzucone na polach, samotne syberyjskie groby, bezszelestnie wnikające w wieczność. Ale przecież znajdziemy w tym zbiorze także przestrzenie kontrapunktowe – czyste piękno świata, zaklęte w zapachu żywicy i barwie poziomek, potwierdzane łopotem skrzydeł dudka uwolnionego z sideł. Długie życie autora tych esencjonalnych przybliżeń generuje szerokie perspektywy i pozwala mu formułować zdania zyskujące walor uniwersalny. Tak doświadczenie osobiste staje się matrycą kulturową, stale od nowa generującą ten sam ludzki kształt w anabatycznych rzeczywistościach, tak świadomość zaczyna jątrzyć się jak rana, a świat mnoży swoje niekonsekwencje. Musimy jakoś się w nich lokować, musimy potwierdzać nasze istnienie, choć sen wdziera się w przestrzenie jawy i wciąż wraca zdziwienie starożytnego chińskiego poety, patrzącego na motyla i kontemplującego jego i swój byt. Istniejemy, czy jesteśmy tylko fantomem postrzeganym przez owada, żyjemy naprawdę, czy dawno już nas nie ma, a to, co bierzemy za rzeczywistość jest tylko projekcją czegoś odległego, ledwo manifestującego swój kształt, ginącego w pomrokach przeszłości. Oto *masz dziesięć lat/ nie wiesz czy można/ zbudować most/ z cierpienia i nadziei*, albo podglądasz starca, który jest równie nierealny jak ów chłopiec, istniejący w zawieszeniu pomiędzy Bogiem i śmiercią, biegiem krwi w żyłach i oddechem wciąganym do płuc.

Byt możliwy jest tylko jako przeciwieństwo niebytu i choć każdy z nas egzystuje w celi śmierci, nie wiedząc kiedy odbędzie się egzekucja, tworzymy na użytek życia przydatne transformy, godzimy się na zapomnienie, oddalenie i zaprzeczenie. Siadamy na taborecie w fotoplastykonie i kontemplujemy przestrzenie dalekiego świata: *Rzym Londyn Tokio/ wielkie metropolie/ strojne tłumy/ piętrowe autobusy/ powozy tramwaje*, szeroko otwartymi oczyma wpatrujemy się w dale, pozornie dookreślone wymiarem i kształtem, istniejące i nierealne. Tak pojawiają się: *W tropikalnej dżungli/ kolorowe kwiaty/ egzotyczne ptaki/ potężne goryle (…) Na wzburzonym oceanie/ pod żaglami brygantyny/ Na preriach kowboje/ i dzicy Indianie*, a mózg tworzy właściwe konteksty, generuje ciągi znaczeniowe i czuwa, by człowiek nie tracił nadziei. Inaczej nic by nie miało sensu, a absurdalność świata, jak w dziełach Camusa, Kafki i Dostojewskiego, odbierałaby oddech i kierowała myśli ku drastycznym rozwiązaniom. Ogromną wartość mają w tomie Krzysztofa J. Lesińskiego metaforyczne rekapitulacje życia, nagłe przeskoki z wieku dorosłego ku chwilom dzieciństwa, nawiązania do starych fotografii i zamazanych wspomnień, wielkie hiperbole, ukazujące kontury bytu, wpisanego w ogrom Boga i kosmosu, wtłoczone w mikroświaty komórkowe i chwilowe istnienia pośród innych ludzi. I to potężne pytanie o realność świata, stale powracające w nowych odsłonach, generujące zwątpienie i dające pewność, że to, co poeta przeżył zdarzyło się naprawdę. W takich kontekstach wnikanie w wieczność zyskuje nowe sensy, a eschatologia nie jest w stanie zanegować witalności, realnego istnienia chłopca w mężczyźnie. Poeta wskazuje, że każdy ma swoją historię chwalebną, z której powinien wydobywać samorodki życia, tworzyć biżuterię doznań, chwil szczęśliwych, których nie zdoła zanegować nawet śmierć. Prawdziwa poezja bywa kontekstowa, ale też musi stać się metaforą istnienia w określonej enklawie i czasie, musi odzwierciedlać wnętrze poety i projektować jego profil w nowych przestrzeniach i latach. W takim rozumieniu liryka, pojawiająca się w tym tomie, jest uniwersalnym kontekstem w procesie dochodzenia do kresu życia i zdobywania ludzkiej samoświadomości.

Pytanie o Boga wraca wiele razy w wierszach Krzysztofa J. Lesińskiego, czy to jako synegdocha zdarzeniowa, czy jako chwytający za gardło obraz (zabity chłopiec na poboczu drogi, kalekie dziecko, zaniedbane groby, martwy żołnierz). Czasem bywa on spersonalizowany i razem z poetą rodzi się i umiera każdego dnia, wszystko wszakże rozgrywa się w obrębie zjawiskowego świata, w którym barwy, zapachy i dźwięki uwodzą nas i sprawiają, że zapominamy o śmierci. Chiński rybak wyrusza na połów, słońce połyskuje w kroplach rosy, poeta Cielesz śpiewa białoruską pieśń, pióra sroki opalizują w słońcu poranka. Bóg upomina autora raz po raz, przyspieszając entropię, zmieniając wymiary i możliwości, mnożąc patologie chorobowe organizmu. Ale pragnienie życia jest tak wielkie, że wciąż w świadomości kołacze się nadzieja trwałości i wychodzimy naprzeciw nowym wyzwaniom, podnosimy się z kolan. W tym procesie wspierają nas wspomnienia osób najbliższych i tych, które były dla nas ważne, coś nam dały lub czymś nas ujęły. Ale przecież osłabiają nas też kanalie pojawiające się na drodze życiowej, potrafiące spowolnić bieg czasu, oddalić zamierzenia, zniszczyć najszczytniejsze cele. Lesiński gwałtownie reaguje na zło świata i nie waha się używać wulgaryzmów, które chociażby ekspresyjnie równać się mogą z ewokacjami chwilowych uzurpatorów, ich kłamstwami i zbrodniami. Czy przeciwwagą może tutaj być żar miłości cielesnej, tak prawdziwej jak w wierszach Safony, gotowej płonąć dla wybranki? A może ból złagodzi wspomnienie brata, ochranianego po ojcowsku, przenoszonego na rękach przez Drwęcę, szukanego w wietrze i chmurach? Jakkolwiek by się nie działo wątpliwości nie znikną: *jaki sens ma/ jakieś znaczenie/ że żyłem/ tę chwilę/ kto będzie/ wiedział/ co mnie/ bolało/ co cieszyło/ jak/ byłem samotny/ jakiego/ znalazłem boga* – poeta odczuje wszystko ze zdwojoną siłą, odbierze potrójny impuls z głębin wszechświata i wielokrotne echo stworzenia brzmieć w nim będzie przed i po wszystkim. Wiersze tego twórcy można czytać na różne sposoby, zmieniając ich kolejność, akcentując wybrane teksty, ściszając głos lub wykrzykując kolejne frazy, ale za każdym razem pojawią się w nich zmultiplikowane udanie centralne motywy, a lodowaty oddech śmierci urealni wszystko i wyposaży w eschatologiczny kontekst każdą chwilę, każde drgnienie powiek i każde słowo. I człowiek w tych wierszach powie: *byłem na dnie/ po drugiej stronie/ oceanu/ zobaczyłem jak powstaje/ tęcza/ poznałem barwy/ prawdy*, podsumuje wszystko na określonym poziomie samoświadomości, przeciwstawi się umieraniu jasnością umysłu i jaskrawością świata reprodukowanego w żywym mózgu. I nawet jeśli tak wiele rzeczy żal będzie zostawić, nadzieja podpowie, że razem z poetą wnikną one doskonale w wieczność i będą trwały wraz z nim po kres czasu.

Dariusz Tomasz Lebioda

Janusz Stobiński

Andrzej Walter

Powieść współczesna czyli Niepokorny z Côte d'Azur

Wyrafinowana sztuka snucia opowieści, kiedyś tam, dawno, dawno temu powołała do życia zawód pisarza. Zawód ten, jak każdy inny, powinien opierać się na doskonale opanowanym rzemiośle pisania, i to pisania takiego, aby czytelnik momentalnie przenosił się w odmienną rzeczywistość. Jednak czymże byłoby samo rzemiosło pisania bez owego wyjątkowego błysku, błysku sztuki, błysku geniuszu i olśnienia artyzmu wzbudzającego podziw czy emocje? Bez błysku *tego czegoś*, co powoduje, że zaczerpnięta opowieść staje się wręcz częścią nas, współtworzy nasze ja, staje się nieodłącznym elementem istnienia, naszych przeżyć, wspomnień i doświadczeń.

Tak wysnuta opowieść przeistacza się już bez udziału autora w dzieło i do tego dzieło sztuki pisarskiej, które jako takie jest z kolei elementem szeroko pojętej kultury, ale i odzwierciedleniem: naszych myśli, dążeń i uczuć. Kimże bylibyśmy dziś (jako ludzkość) bez potęgi i ułudy rozsnutej opowieści? Jaka szkoda, że współczesny świat pozbawia nas przestrzeni literatury jako najwartościowszego elementu współczesnej kultury. Spycha tę literaturę do niszy dla najbardziej wymagających, zbyt trudnej dla przeciętnego zjadacza chleba, do enklawy statycznie nudnej i wymagającej nazbyt wiele wysiłku od żmudnej lektury jako przestrzeni czasu zmarnowanego. No cóż, ciężko zaprzeczyć, że z takim zjawiskiem mamy dziś do czynienia. Nieprawdaż?

Czym jest zatem opowieść współczesna? Czym stała się w takich czasach? A czym być powinna?

Henry James, amerykańsko-brytyjski pisarz, krytyk i teoretyk literatury powiedział kiedyś, że: „jedynym zobowiązaniem, jakie z góry możemy nakładać na powieść bez narażania się na zarzut arbitralności, jest to, by była interesująca".

Niejednoznaczne, acz wymagające kryterium. Powieść jest zatem najbardziej uniwersalną i wszechstronną formą literacką. W zasadzie możemy uznać, że całe nasze myślenie o świecie zaczerpnęło siłę sprawczą z wchłoniętych opowieści. To, kim jesteśmy, kim chcielibyśmy być, nasze trwanie i dążenia przybierają zawsze jakiś wzorzec, jakiś punkt odniesienia, punkt wyobrażenia i uwolnioną fantazję, którą jakoś tam konfrontujemy z wydarzeniami i teraźniejszością. Oczywiście mam na uwadze jednostki obyte, oczytane i dzięki temu świadome. Jednostki, których wyobraźnia jest poruszona i pobudzona, wielowątkowa i bogata, przy czym nie konkretyzuje ona siebie rzecz jasna jako bohatera literackiego, lecz podświadomie nawet pielęgnuje pewne postawy, myśli czy reakcje na bogactwo życia. Przecież w tej optyce samo nasze życie jest jakąś opowieścią. Dzieje się *od do* i nawarstwia tyloma zdarzeniami: miłymi, tragicznymi, wielowątkowymi, specyficznymi, trzeba jedynie potrafić to dostrzec.

Jak w takim razie skonstruować w dzisiejszych pogmatwanych czasach w sensie literackim dobrą i ciekawą powieść, powieść jednocześnie wpisującą się w wymagania tych czasów – w sensie narracyjnym, w sensie przykuwania uwagi, owej jednocześnie filmowej fabuły w połączeniu z literackimi smaczkami i aby całość zachowała wysoką estetykę języka przy zachowaniu także jak najwyższego poziomu intelektualnego, poznawczego i pobudzającego naszą wyobraźnię? Niełatwe to zadanie, a jeżeli poszukiwania rozszerzymy z danego kraju na całą globalną wioskę, słowem na cały świat, to w całokształt dzieła wplącze nam się jeszcze problematyka tłumaczenia, a w zasadzie literackiego przekładu, aby efekt był w stanie w jednolitym zakresie zaciekawiać dajmy na to czytelnika koreańskiego i choćby polskiego (w przynajmniej zbliżonym stopniu). Znacie takie powieści? Pewnie tak. Wielu jest takich autorów, choć znowu jest ich nie aż tak wielu. I najgorsze w tym wszystkim, że dziś z reguły tacy autorzy żadnych nagród nie otrzymują. Ich jedyną nagrodą jest ewentualnie okazałe konto w banku i bezcenna niezależność.

Pytaniem stricte literackim jest tutaj pytanie: co uczynić, aby książka – dobra, wciągająca, zajmująca, taka, przy której wyłącza się telewizję oraz wszelkie inne bodźce werbalne, co zatem uczynić, aby taka książka reprezentowała też wysoki poziom literacki – prowokowała do refleksji szerszych, wnikliwszych i głębszych, ponad przeżywaną, czy przeczytaną akcję i płynną fabułę? Jak skonstruować taką powieść. Jak połączyć *Lalkę* z *Tożsamością Bourna*, bo chyba współczesny świat – znowu rzecz generalizując, łaknie takich właśnie efemeryd. Kompilacji (do tego artystycznej) świata zajmująco opisanego z narracją zaskakującą, sensacyjną, przykuwającą naszą rozhuśtaną spostrzegawczość tępioną milionem bodźców tego świata.

I właśnie ostatnio, prowadząc swoje literackie peregrynacje, odkryłem jednego z pisarzy spełniających po części te wyżej opisane kryteria. To pisarz francuski, niejaki **Guillaume Musso**, (ur. 1974 r.), najbardziej kasowy pisarz Francji, absolwent ekonomii, z zawodu nauczyciel. Autor piętnastu tak zwanych bestsellerów, od siedmiu lat nieprzerwanie utrzymujący się na pierwszym miejscu listy najpopularniejszych francuskich pisarzy. Debiutował w 2001, a dziś ten pisarz robi światową karierę – łączny nakład jego powieści, przełożonych na prawie 40 języków, przekroczył 25 milionów egzemplarzy. Kluczem do sukcesu Musso jest … no właśnie. Trudno to ująć lapidarnie.

Książki Musso spełniają pewne pozornie wykluczające się kryteria. Z jednej strony tworzą wielowątkowy, bogaty świat opisujący różne warstwy społeczne, wnikający w ich typowych przedstawicieli, wkładając ich w gąszcz wydarzeń jakby typowych, które mogłyby się wydarzyć nam samym, a z drugiej strony pisarsko autor z każdym kolejnym rozdziałem otwiera jakby kolejne drzwi do zaskakujących czytelnika narracji, które od nowa każą patrzeć na to, co już się wydarzyło. Postacie Musso są nieoczywiste, skomplikowane, co chwilę odkrywamy ich inną naturę, a pointa wątku i finału jest z reguły niesłychanie zaskakująca. Jednym słowem ten autor stworzył coś nietuzinkowego, autorskiego, fenomenalnie skrojoną na miarę powieść współczesną, z refleksją, przemyśleniami i zadumą nad światem, a jednocześnie z właściwą akcją iście filmową, niejednoznaczną i wciągającą. Sięgnijcie, a zgodzicie się ze mną. Naprawdę warto.

Książki Musso idą też pod prąd sławetnej już poprawności politycznej, zawierając w sobie wiele kpiny i szyderstwa z tak stworzonego świata, przez co stają się nieco kłopotliwym kąskiem dla mediów lansujących ów nowy wspaniały świat. Nie zdziwię jak kiedyś trafią na indeks ksiąg zakazanych, gdyż zbyt dosłownie francuski autor sobie poczyna z żelaznymi już regułami tego nowego świata, nakazującymi totalną tolerancję w miejsce zwyczajnego myślenia i do tego myślenia krytycznego.

Zapewne ktoś zaraz powie, ależ Musso to z pewnością nie James Joyce i będzie miał stuprocentową słuszność. Ulysses powstał sto lat temu. Minęło sto lat, to przecież kawał czasu. Jesteśmy już innymi ludźmi, innym społeczeństwem. Z inną mentalnością, innymi oczekiwaniami (też literackimi) i innymi hierarchiami wartości. Czy dziś mógłby powstać Ulysses? Tak, z pewnością, tylko któż by go czytał? Może postawmy to pytanie inaczej. Czy dzisiejszy Ulysses odniósłby jakikolwiek sukces? Taki jak sto lat temu książka James Joyce'a? Nie sądzę. Czy mamy dziś nastrój, klimat i właściwą atmosferę – czy choćby refleksyjność współczesną na taką książkę jak „W poszukiwaniu straconego czasu" Prousta? Czy ktoś dzisiaj poświęci czas na siedem tomów lektury i setki godzin rozważań? Czy jest to w ogóle możliwe? Ludzie mają problemy z przebrnięciem Tokarczuk czy Myśliwskiego, a cóż powiedzieć o Prouscie czy Joycie? Wiem, znajdziemy jeszcze kilku jaskiniowców lubiących się zagłębić w te dzieła, ale to nie wyznacznik społeczny. To dinozaury. Świat wymarły. Fatamorgana.

Gdzie zatem jeszcze szukać dzieł, (jeśli nie arcy- dzieł, bo to wyjaśni czas i historia), zwyczajnych dzieł współczesnej literatury? Czy takimi dziełami będą książki Musso? Czy mają szansę? Wydaje się, że nie, ale może coś przegapiliśmy, może gdzieś się zagubiliśmy w ocenie literatury, w krytyce literackiej, w całym życiu i świecie literackim? Może tutaj dopatrzymy się owego rozmijania oczekiwań skostniałej krytyki literackiej (akademickiej) i społecznego zapotrzebowania na nowo skrojoną literaturę głębszą? Może nam →

umknął jakiś element tej układanki, który spowodował, że pisanie musi się zespolić z oczekiwaniem społecznym na … dobrą książkę, na dobrą literaturę, dobrą – czyli jaką?

Graham Green latami dzielił swoje powieści na dwie kategorie: poważne dzieła prozatorskie jak „Moc i chwała" (1940) oraz książki rozrywkowe czyli historie szpiegowskie i thrillery, takie jak „Broń na sprzedaż" (1936), które jego zdaniem mogły się krytykom nie spodobać. U schyłku życia odpuścił sobie taką kategoryzację, a ja zapytam kto dziś w ogóle sięga po Grahama Greena? A szkoda, bo również warto. Fakt pozostaje faktem. Style podzielono na wysoki i niski. Tyle, że dziś obydwa style sięgnęły w jakimś sensie bruku i wyrównał je drastyczny spadek czytelnictwa preferując w miejsce kategoryzacji po prostu czytanie czegokolwiek i to staje się stylem obowiązującym. Kategoria wysokości ustąpiła miejsce kategorii społecznego zainteresowania w ogóle, czyli przy najmniej rozpoznawania autora w tłumie znanych z tego, że są znani. Autora książek. Może zatem książka sprawnie napisana, niosąca za sobą coś więcej niż rozrywkę, coś więcej niż spędzenie czasu, niosąca ze sobą głębszą myśl, refleksję, namysł nie tylko nad opowiedzianą historią, ale i nad jej wydźwiękiem, nad jej sensem i nad nauką z niej dla nas płynącą już jest, albo stanowi książkę, ponadprzeciętną – kiedyś, w przyszłości, potencjalne dzieło? Tego nikt nie wie. Na szczęście. I dzięki temu na szczęście literatura nadal żyje.

W dzisiejszym świecie do głosu doszedł pogląd, że podział na style w literaturze to anachronizm. Analizy twórczości kilku autorów powieści detektywistycznych minionego wieku spowodowała, że uznaje się te powieści za w mniejszym stopniu oparte na wątku kryminalnym, a w większym na skoncentrowaniu na motywach i życiu wewnętrznym bohaterów. Dziś te powieści stały się dla współczesnych trudne w odbiorze. Krytycy i akademicy mogą się na to obrazić, ale ciężko polemizować z faktami. Możemy w tym kontekście wysnuć wniosek, że dzisiejsza literatura powinna się chyba zająć nie poszukiwaniem dzieła, arcydzieła, czy właściwej formy powieści, a bardziej na analizie samego czytelnika, na ustaleniu: kim on jest i co sobą reprezentuje, czego oczekuje, jaka jest jego konstrukcja, i skąd się to w ogóle bierze?

Nie chodzi mi tu o rewolucjonizowanie literatury, o zaniżanie jej poziomu, stylu i wartości jaką za sobą niesie. Chodzi mi jedynie o poddanie do dyskusji tego, że współczesny czytelnik stał się kimś zupełnie innym niż sto lat temu. Ewoluuje szybciej i drastyczniej niż akademicy, krytycy i wszelkiej maści dinozaury – *fachowcy*. Jest oczywistym fakt, że autor pisze, gdyż ma taką potrzebę, a nie pisze dla (poklasku) czytelnika, ale jednak warto wyciągnąć wnioski z dostępnych analiz i ocen rynku księgarskiego, z analiz społecznych i jeśli ma być jeszcze w ogóle jakakolwiek dla literatury przyszłość poddać się choćby w jakimś stopniu tej refleksji. Autor nie działa bowiem w próżni. Literatura ma opowiadać opowieści, ma być i pozostać też sztuką. Jak pogodzić dziś te dwa jakże trudne wyzwania, których jądra odeszły od siebie dość daleko. Mam na myśli zestawienie tego: jakich opowieści łaknie dziś społeczność, a dokąd zaszła sama sztuka. To wydają się antypody istoty i wydźwięku problemu. Logika walcząca z abstrakcją. W kleszczach takiego dylematu znalazły się dziś: zarówno sztuka jako taka, ale i literatura jako idea opowiadania opowieści.

Kończąc ten powieściowy thriller wywodu chcę powiedzieć, że być może my, zarówno twórcy jak i odbiorcy literatury starej daty, niejako konserwatyści problemu nadal czekamy na nową „Ziemię obiecaną" nie dostrzegając jej we właśnie wydawanych powieściach. Tak naprawdę nikt już nie napisze żadnej Ziemi obiecanej, może co najwyżej obiecać …Ziemię nową, na której taki dla przykładu Guillaume Musso napisze kolejną zwinną, świetną powiastkę, w której zada wiele wciągających, wnikliwych pytań, zakpi z poprawności politycznej, ośmieszy kabotynów i da nam jednak kawał niezłej literatury, którą być może przegapiamy czekając na swojego wysublimowanego Godota.

Musso zrobił ***to*** w „Zjeździe absolwentów" perfekcyjnie. Pierwszoosobową narracją opowiedział kryminalną historię nie tylko o konkretnych ludziach i ich losach, wyrafinowanie odkrywając przed nami kolejne warstwy suspensu, ale jednocześnie barwnie nakreślił swoją obserwację całego francuskiego społeczeństwa, pełen wachlarz dziwolągów i wykolejeńców ubranych w szaty ludzi zwyczajnych, ludzi wplątanych w losy każdego z nas, z namiętnościami, oczekiwaniami i marzeniami, z dziwnym systemem wartości, który finalnie kłania się przeszłości jako dawno odeszłemu dobremu światu, który był doprawdy niezły, ale go doszczętnie oszpeciliśmy swoim znudzeniem i tym, że wszystko już było i należy wymyśleć … coś innego.

Mówiąc po ludzku. Musso zrobił to po prostu lepiej niż Netflix, w którego każdym filmie musi wystąpić postacie: dobrego geja, szlachetnego geja księdza bądź bezkonkurencyjnego geja prezydenta. Musso wypowiedział się, że owszem, najbardziej na świecie (oprócz opowiedzianej opowieści) szanuje właśnie wszystkich gejów, ale czasami, to jednak woli takich staromodnych facetów, nieco zwierzęcych, seksistowskich i prymitywnych, ze staroświeckimi: honorem i ideami, bo tylko oni mogą Tobie (i innym) w sytuacji krytycznej uratować życie.

W innej z kolei książce stwierdza, że jak uczą wszechobecni dziś terapeuci (niezbędni współczesnemu człowiekowi, aby żyć „*to kiedyś czuliśmy współczucie dla najbiedniejszych, ale psycholog współczesności podważa tę postawę, dość dziwnie to uzasadniając: współczucie sprawia, że stajesz się podatny na emocje, więc słaby; aby osiągnąć coś w życiu, trzeba myśleć przede wszystkim o sobie*." No i taki świat nam stworzono. Świat samych myślących o sobie. Potworne. I do bólu prawdziwe.

Jakież to ta nieszczęsna literatura roztacza przed nami nowe ścieżki doznań, nieprawdaż? Do póki jej nie zakażą zawsze będzie niosła niepokój i ferment. Potworne. Czego Wam i sobie życzę.

Zamiast Netflixa.

Andrzej Walter

Janusz Stobiński

Andrzej Wołosewicz

Wawrzkiewicz - świadek swojego czasu

Chciałem zatytułować ten tekst „Wawrzkiewicz – świadek epoki", ale pomyślałem, że Marek by mnie „zlinczował" za zbytnią pompatyczność, która - prawdę pisząc – nie byłaby przesadą. Niechaj zostanie, jak jest. Jednak o epoce będzie mowa, bo będę pisał o rozległym czasie, którego dotyczy rozmowa Jerzego Fryckowskiego z Markiem Wawrzkiewiczem. Znamy ją z książki „Nie do zapomnienia. Z drugiej szuflady" (Wydawnictwo Zaułek Wydawniczy Pomyłka", Szczecin 2022). Książka była już przedmiotem kilku recenzji, także w „Migotaniach" (patrz tekst Andrzeja Waltera w numerze 1 (74) 2022r., strony 56-58). Pozwalam sobie do niej wrócić ponieważ, jak to z recenzjami bywa i co jest naturalne i zrozumiałe, nie wszystkie wątki wystarczająco silnie się ujawniają. Mam nadzieję, że uda mi się to w swoim tekście pokazać, dodać coś od siebie. Inaczej bym się nie odzywał.

Najpierw słów kilka o samej formie. Rozmowa. Oto rozmawia sobie dwóch facetów. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Kogo by to interesowało? Podejrzewam, że nawet systemu totalnej inwigilacji Pegasus nie, choć ma w sobie coś poetyckiego. Mnie zainteresowało. I to bardzo i wcale nie dlatego, że znam obu rozmówców. Od iluś lat wolę czytać biografie, wspomnienia o autorach i artystach niż same ich teksty, a mniej kategorycznie pisząc: wiedza o autorze z pierwszej ręki, czyli pochodząca od niego samego jest trochę jak puzzle, układasz swoją całość o nim, obracasz te kawałki, czasami się nad nimi męczysz, bo nic ci nie pasuje, ale możesz przemieszczać się od tekstu (np. wiersza) do autora i z powrotem. A kiedy jest się zanurzonym, jak z wymienionymi rozmówcami, we wspólnotę piszącego środowiska dochodzi jeszcze element emocjonalno-plotkarski. Rozmawiają więc sobie Jerzy z Markiem a co ja z tej rozmowy słyszę – o tym będzie ten tekst.

Pierwsze wrażenie, dodajmy od razu, doskonałe wrażenie choć dość zaskakujące jest takie, że zostałem wrzucony niejako w środek rozmowy, choć przecież zaczyna się ona i od początku książki i od Markowego dzieciństwa. Jednak nie ma tych zwyczajowych prezentacji, grzeczności, czasem przymilania się lub zapowiedzi tego, o czym się będzie rozmawiało. Po prostu pada pierwsze pytanie („Pamiętasz coś z wojny?") i się zaczyna. Drugie pierwsze wrażenie (jakkolwiek to brzmi) niezmiernie ułatwiające przysłuchiwanie się rozmowie, to ten niesamowity balans między rozmówcami, między rolami, jakie na siebie przyjęli. Mam na myśli to, że Jerzy pytając nie stawia się w roli trzymającego mikrofon, choć pozwala się Markowi wygadać a z drugiej strony Marek mówi, ale nie zagaduje. Zagadywanie, słowotok, potrafi zabić każdą rozmowę. Tutaj panowie – nie dociekajmy, jak to się im udało – unikają tych pułapek. Co więcej, dopuszczają czytelnika do swojej komitywy, bo jest w tej rozmowie jakaś przystępność. Siedzi się wygodnie jako ten trzeci, bez obowiązku i trudu jakiego wymaga rzetelna rozmowa, ale i bez bycia intruzem – słowem sama frajda podsłuchiwania bez zażenowania. Tyle na razie o formie. Na razie, bo piszę swoje uwagi po dwudziestu kilku stronach ledwie, więc rezerwuję sobie ewentualną przestrzeń do ich uzupełnienia.

A o samej treści tych pierwszych chwil rozmowy? Dzieciństwo, rodzina, nazwijmy to okresem kutnowskim, jest zbyt serdeczne, intymne, by kaleczyć przekaz o nim jakimkolwiek (z)referowaniem – odsyłam tu do książki. Z dalszego podsłuchiwania wyławiam następujący passus z wypowiedzi o Gałczyńskim i Gołubiewie, cytuję: „Przyjaźnili się do końca życia poety. Pili razem – z wojenną przerwą – kilkadziesiąt lat. Pili poetycko, w natchnieniu, z radością życia." (s. 27) To powinno przejść do klasyki literatury. Zajmowałem się wódką i praktycznie i w niektórych wierszach, ale nigdy nie umiałem znaleźć dobrego, czyli takiego, które by mnie samego zadowalało określenia na to skądinąd niebanalne zajęcia. Pięć lat studiów, dwa waletowania po studiach w akademiku, bez większych zahamowani, bo bez rodziców na głowie i jeszcze bez własnej rodziny oraz z grupą tak samo wiernych butelce przyjaciół , to nie przelewki. A jednak kiedy próbowałem, lata później oczywiście, jakoś to sobie zracjonalizować, ładnie opowiedzieć, nic mi nie wychodziło. A teraz, jak na złość, bo zdrowie już nie to, taki cymes słyszę od Marka. Eh, żeśmy się wcześniej nie znali…

Dalej wybieram co smakowitsze kąski. Teraz ten o „Ulisesie" Joyce'a ponieważ bardzo mi pasuje. Dlaczego? Dlatego, że ja też należę do nie-czytelników tej okrzyczanej książki. I wcale takiego literackiego „*coming autu*" nie traktuję jako porażki, Marka czy swojej, raczej zainteresowało mnie u bohatera tej spowiedzi właśnie owo morze pożeranych lektur, po którym pozwala nam Wawrzkiewicz pływać. I się pławić. Każdy kontakt z książką obrasta o przypowieść o historii spotkania z nią, przyczynach lub przypadkowości, świadomości takiego wyboru i doboru lektury albo zupełnej nieświadomości zastanawiającej Wawrzkiewicza do dziś. I jest on w swych odpowiedziach na pytania-wtrącenia Fryckowskiego potężnym gawędziarzem, który umie samemu sobie przerwać, zatrzymać się, spuentować swoje rozważania. Zna granice czytelniczego znużenia i ich nie przekracza. Zapewne obaj panowie nad tym popracowali, a może mają to we krwi, w literackiej krwi.

Kolejnym wątkiem, który miło czytam są dywagacje „geograficzne": kraj, miasto (a jeśli, to które) czy wieś? Nie mam Markowych dylematów, bo nie jestem i już nie będę takim obieżyświatem, natomiast doskonale wyczuwam to, co kryje się pod jego odpowiedzią na pytanie Jerzego: „A ucieczka na wieś, na prowincję?", która kończy się następująco: „Tak więc do końca dni moich pozostanę mieszczuchem, choć nie mogę powiedzieć, że towarzyszy temu zgoda duchowa." Rozumiem Marka, bo choć już dwukrotnie większy kawał życia spędzam w Warszawie (którą jakoś mam oswojoną i przez nią oswojony jestem), to ta prowincja (z której pochodzę) wciąż we mnie się odzywa, czasami ciszej, czasami głośniej. Marku, to na pewno znasz, Głęboki Bród i Frącki, dwie miejscowości oddzielone rzeką, Czarną Hańczą w połowie drogi między Augustowem a Sejnami, drewniany budynek szkoły we Frąckach po lewej stronie jadąc w kierunku Sejn. Tam mieszkałem do pierwszych klas podstawówki uciekając z bratem z przedszkola na cmentarz za płotem, gdzie w lewo skręca droga na Tartaczysko i Gulbin z leśniczówką, której nie ma od lat, a w której spędziłem kolejne lata. Stoją tam teraz nowe murowane budynki. A wracając na szosę Augustów-Sejny, to przy samych Sejnach, Radziuszki, już w drodze na Suwałki, dom dziadków ze strony mamy. Giby ze swoim jeziorem czy Krasnogruda. Znamy ją dzięki Miłoszowi, ale dla mnie Krasnogruda to dom dziadków, tym razem ze strony ojca, w którym spędzałem wakacje nic wtedy nie wiedząc o Miłoszu. Byłem tam w minionym lipcu. Niesamowite uczucie. Drewnianego domu też nie ma, chociaż fronton od strony podjazdu zachowany w tym samym kształcie. Chodziliśmy po tych pomieszczeniach jak pijani komentując: a tu gdzie teraz gabinet i biblioteka (Miłosz przyjeżdżał tu do posiadłości swoich ciotek, bywał, ale nie mieszkał w Krasnogrudzie) była nasza sypialnia, schody na dół (dom stoi na skarpie, więc z każdej strony wchodzi się na inny jego poziom, najłatwiej czytelnik może to dziś zaobserwować w górach, w domach na zboczu) też już nie drewniane i tak dalej… Kiedy wymieniam te daty i miejsca i słyszę je w waszej rozmowie, panowie, to mam na końcu języka, aby nazwać te wywód, znaną frazą: spowiedź dziecięcia wieku, a nawet przełomu wieków. Trzy elementy w waszej rozmowie się zgrały, czas Markowego życia, życia tegoż gęstość i intensywność i wreszcie pamięć o tym wszystkim połączona chęcią, aby się jej zasobami podzielić. Inaczej byłoby to wszystko – korzystam z inspiracji tytułem – do zapomnienia. A tak, Marku, nie jest i – mimo Twoich obaw – już nie będzie! Pozostanie film (na stronie 77 i kolejnych, przeczytasz, czytelniku, o niezrealizowanej, choć rozpoczętej karierze filmowej Wawrzkiewicza, odsyłam do tekstu, przepyszny to fragment) lub nie powstanie, kto go tam wie, film ten jednak już się nam jakoś wyświetla wedle wielce interesującego waszego scenariusza (a piszę to na 77 stronie ledwie będąc, więc pędzę dalej).

Duży fragment rozmowy, właściwie nie do streszczenia, mógłby nosić tytuł „Moja Rosja", najlepiej więc zrobię dwie rzeczy. Zacytuję to: „Wielkość przestrzeni powoduje, że czas płynie inaczej, jest inaczej wypełniony. Ani wolniej, ani szybciej, po prostu inaczej. Przestrzeń i czas. Rosja." (s. 141). Sami zerknijcie na owo „inaczej". I jeszcze fragment z wierszem.

Jerzy pyta: „To wtedy poczułeś się na tyle silny, by tłumaczyć?

(Marek): „Przekładałem wiersze Maksimowa od początku naszej znajomości, coraz bardziej się w nich rozsmakowując. Zebrało się tych przekładów kilkadziesiąt. Kiedyś tłumaczyłem jego wzruszający liryk *Wieczierejet*. Mogłem to słowo przełożyć jako „idzie wieczór" albo „zmierzch zapada" – sens, akcent, prozodia by się zgadzały. Ale żal mi było słowa – jest tak piękne. I w jakimś starym słowniku znalazłem: okazało się, że jest polskie słowo, zapomniane, ale kiedyś będące w powszechnym użyciu wśród Polaków na Kowieńszczyźnie: wieczornieje. I tak zostało.

Wieczornieje

Wieczornieje, pomału, stopniowo,
Raz na zawsze nastaje spokój…
Uspokaja się szalona głowa,
Uspokaja jak woda o zmroku.

Bzów kwitnących objęty tchnieniem
I już tylko z daleka – młody,
Przyzwyczajam się do wieczornienia,
Coraz dłużej zasiadam nad wodą.
Wieczornieje. Jeszcze jesień daleko
I los dla mnie jest litościwy –
Dał mi długi karelski wieczór
I noc nagła, i niemal szczęśliwą.

Długi dzień, oswojony ból serca,
Stary sad z jabłonkami trzema,
Twoje oczy z miłością tak wielką,
Że w nich końca i kresu nie ma.

Już wieczorne nie grzeje słońce.
Twoje dłonie ogrzeję we własnych.
Wieczornieje, stopniowo, bez końca
I dogasa… i nie może zgasnąć.
(ss. 145-146)

Dalej Chiny, Ukraina, Armenia, Macedonia i wiele innych przygód. Nie wiem, czy to efekt zagęszczenia czy czegoś innego, czego nie umiem nazwać, ale czyta się Markową spowiedź jak wciągającą sagę: te dziesiątki osób połączonych nitkami słów i języka, wielu języków. Czyta się jak dobrą książkę przygodową, choć nie ma tu nagłych zwrotów akcji, czyhających zewsząd niebezpieczeństw, niezniszczalnych bohaterów. Ale jest znacznie więcej, coś ważniejszego, są dwie rzeczy, dwa elementy, o których Marek wzruszająco i z humorem mówi: są miejsca i ludzie. I to wystarczy, jeśli umie się – jakby to źle, użytkowo, instrumentalnie nie zabrzmiało, gdy mówimy o ludziach – z tych walorów korzystać. A Marek umie. I umie o tym opowiadać. Warto zauważyć, że jego opowieści o ludziach są pełne ciepła a kiedy już musi powiedzieć o parszywcach (kto ich nie spotkał na swojej drodze, kto ich nie ma w swoim otoczeniu, środowisku), robi to z umiarem, dyskretnie, ledwie sygnalizacyjnie, bez zemsty, bez żółci, która musiała przecież w kontaktach z tymi ludźmi go zalewać.

Krótki fragment, ledwie kilka stron, od 193 do 198, po pytaniu Jerzego: „Czy ktoś lub coś zabiło w Tobie poetę?" powinien być czytany młodym adeptom literackich pasji i aspiracji codziennie do poduszki i na przebudzenie rano. A poza tym jest świetnym skrótem *kuchni poetyckiej*, prawdziwej – moim zdaniem – *kuchni poetyckiej*, nie tej natchnionej, z powołania. Napisałem kiedyś, że prawdziwe powołanie przychodzi pocztą wraz z numerem jednostki wojskowej, wiem coś o tym.

(Z recenzenckiego obowiązku a może raczej z towarzyskiej upierdliwości jedna uwaga. Strona 225 zaczyna się pytaniem: „Kiedy patrzę na tę fotografię, rodzi się w mojej głowie pytanie – z jakiej ulicy ta piątka?". Zapewne nie z Barskiej, nawet „widzę" tę fotografię, domyślam się, o którą panom chodzi, ale…. w książce jej nie ma!)

W ostatnich akapitach „moi" rozmówcy („moi", bo się zadomowiłem w roli tego trzeciego choć milczącego; przypomniał mi się w tym miejscu Myśliwskiego „Traktat o łuskaniu fasoli", który jest „rozmową" z nieznajomym, który… nie odzywa się przez cały bieg książki) uderzyli w tony sentymentalne. Zupełnie słusznie. Książki idą w zapomnienie, mówi Marek. Inne środki przekazu je wypierają, dodaje. Obawia się, że ich spisana rozmowa podzieli ten los. Gdybym był złośliwy, powiedziałbym – trzeba było to też nagrać (Marku, masz przecież doświadczenie radiowe) i wrzucić w internetowe przepaści. Ale nie jestem złośliwy. Czytałem „Nie do zapomnienia" ze wzrastającą ciekawością, z potęgującym się wzruszeniem. Nie zapomnę. Dziękuję, Marku, dziękuję, Jurku. Dziękuję na razie, bo w tym miejscu kończy się jedynie fragment tekstu, który nosił roboczy tytuł „Być między rozmówcami" a książka ma i tytułu część drugą, już nie dialogową („Z drugiej szuflady"), obszerną, czterorozdziałową. Rzut okaz na ich spis wysyła mi sygnał, że wiele z nich znam. Ponadto nie wiem, czy *szufladę* da się zrecenzować, ale jak do niej nie zajrzę, to się nie dowiem. Do roboty więc…

Z pierwszego tekstu, „Czego nie wolno poezji", wynotowuję: „Mam czasem nieodparte wrażenie, że poeci tworząc obrazy, są jednocześnie ślepi na obrazy, tzn. nie potrafią zobaczyć tego, co napisali:

Rozszlochał
uda śródziemnego morza

czyta wielbiciel poezji i dowiaduje się, że Morze Śródziemne ma uda. Ale jak te uda rozszlochać? Boję się, że odpowiedź na to pytanie przekroczyłaby przyjętą powszechnie przyzwoitość." (ss. 287/288). Marek swoje teksty ilustruje bowiem bogatym materiałem faktograficznym, a to ważne, gdy większość i recenzji i esejów zawierających autorskie stwierdzenia i obserwacje często „wisi" w powietrzu i musimy we wszystko wierzyć na słowo. Musimy? No właśnie nie musimy. W pisaniu Wawrzkiewicza taki problem nie występuje. A rzecz jeszcze ważniejsza, z powodu której ten fragment przytoczyłem: ta Markowa teza-obserwacja wydaje mi się kluczowa, zbieżna z moimi czytelniczymi obserwacjami i z jurorowaniem w konkursach, i z pracą w komisji kwalifikacyjnej naszego Związku.

Z tekstu „Te kilka linijek z wierszy Gąsiorowskiego" wynotowuję fragment zaczynający się cytatem z Gąsiorowskiego:

„I noc. Już późno. Leżysz we śnie
wąziutkim
Jest ciebie
We mnie więcej niż gdziekolwiek
w świecie. Nawet niż
W tobie…

Niewiele w tym czasie napisał tak otwartych liryków, takich wyznań. Wrócił do tej tonacji znacznie później, kilka lat przed śmiercią, choć był już innym człowiekiem i inne było źródło natchnienia.

I noc. Nie po prostu „noc". To „i" oznacza, że wiersz nie zaczyna się od pierwszej litery, zaczął się kiedy indziej, ale nie został zapisany. Jest zapisem czegoś, co miało początek wcześniej. Incipit wiersza mówi nie o początku zdarzenia, początku uczucia. Zapis zaczyna się od kontynuacji." (ss. 377/378)

To dla mnie ważne, bo nie zwróciłem na to uwagi wcześniej! Nie zwróciłem uwagi, kiedy zaczyna się wiersz a dokładniej, idąc śladami Krzysztofa, zwróciłem uwagę na jego mocne podkreślenie, że wiersz zaczyna się właściwie tam, gdzie dla poety się kończy, czyli po napisaniu, gdy żyje, powinien zacząć żyć wśród odbiorców.

Tymczasem Marek – jak najsłuszniej! – przesunął granicę zaczynania się wiersza na – szukam właściwego słowa – *przedwiersz*, czas, kiedy jeszcze go nie widać, ale już jakoś jest. Tak jak po wybrzmieniu ostatnich liter wiersza już go nie widać a przecież - tak byśmy chcieli, i czasami tak się dziej a wedle Krzysztofa dopiero wtedy! – jest. Czyż to zapętlenie czasu, „kłopot" z przyłapaniem początku wiersza nie jest innym dowodem na swoistą nieuchwytność czasu, o której Marek pisze chwilę, dwie strony wcześniej analizując i Gąsiora i Eliota? Czyż to nie są „dowody" na „niewysłowialność" czasu, o czym pierwszy tak wyraźnie mówił św. Augustyn, kiedy był jeszcze twardym manichejczykiem.

Na jedną rzecz jeszcze warto zwrócić uwagę. „Druga szuflad" rozciąga się od roku 1988 do 2020. Obejmuje ponad trzydzieści lat, więc to tylko próbka, swoisty papierek lakmusowy Markowego krytyczno-literackiego i wspomnieniowego pisania o innych, ale ważny papierek lakmusowy, bo – tak to widzę – dokumentuje mocną jakość tego pisania, o którym sam autor rzekł po drodze, że właściwie pisać nie lubi. Możesz i nie lubić, Marku, ale ja lubię to Twoje *nielubiebienie*.

Z kolejnych stron wyłapuję poemat o domu, bo choć tekst „Trzy domy" jest *stricte* prozatorski a na dodatek, źródłowo jest tekstem przygotowanym do wygłoszenia, tekstem konferencyjnym, to tak naprawdę jest miłosnym poematem o domu. Dlaczego? A przeczytajcie sami, to się dowiecie…

Są jeszcze – rozdział trzeci, „Dedykacje" – krótkie teksty inspirowane dedykacjami wpisywanymi na książkach darowanych Markowi przez jego przyjaciół. Jest to zbiór ciekawy, dokumentujący, niczym migawki aparatu fotograficznego, chwile, które dzieją się między ludźmi ze źródłowym zakorzenieniem w literaturze, w poezji. Dla Marka „Dedykacje" są spostrzeżeniami sentymentalnymi, często wykraczającymi poza literaturę, obdarzającymi ją ciepłem międzyludzkiej serdeczności.

Kończąc już ten przydługi chyba tekst moich refleksji jeszcze jedna uwaga, która jest niezbędna. Idzie o – wspomniane już - poczucie humoru i dystans do samego siebie, który prezentuje Wawrzkiewicz i w rozmowie z Fryckowskim i w zborze „szufladowym", bo to nie jest zjawisko częste, występujące rzadko, deficytowe bardzo. Żeby się o tym naocznie przekonać, koniecznie przeczytajcie „Głębokie sztolnie pamięci", czwarty rozdział „Z drugiej szuflady". Nie zajmie to dużo czasu, bo to niespełna trzy strony, ale warto!

Andrzej Wołosewicz

Urszula Małgorzata Benka

***

Małpy rozbawione w zegara mechanizmie
Kręcą kółkami kółko każde w dziureczek ostrych aureoli
Wahadłami huśtają pełnię witają
Pełnia jest snem
I małpy też

***

Ptakom śnią się jajka mechaniczne
A śmierci niezapominajka bachiczna
My ich nie zbudzimy
My się ich boimy

***

eh stary Boże z muzycznym uśmiechem

ciosany grubo w głazach w pniakach
Boże szorowany na kości bestii
Na zdrewnieniu na skamienieniu
Z dźwiękiem właściwym
Ponoć wszelka religia ma źródło
W punkcie gdzie spina się cokolwiek i
ten
odpowiedni mu dźwięk
a w uchu
jeśli smuga cienia
to nie ma
objawienia

***

czerwona klamra sensu
padlina muzyki
taka sama jak zwierzątka na łące

zakochana para a tu raptem na ścieżce
padlina wsłuchaj się
słyszysz?
zasłuchane ucho

wyłażą zeń białawe
sonaty kantyczki czastuszki
i suną muzyce jak paluszki
po brzuchu

***

po głuchym brzuchu
po lnianym fartuchu
kręcą ci się, stary stareńki prastareńki Boże
jak drewniane dzieciaki na ołtarzu
skrzydełkami machają
jak zorza w huraganie
padliniątka psalmiątek jak zdrowaśki na podołku
Allelujah i łza w oku
Allelujah allelujah

***

Jestem wirusem ekosfery
Mój Pan jest wirusem sakro sfery
Po mnie zostają pustynie cywilizacji
Wysypiska technicznych cudów
Po Nim śmietniska
Świętych Duchów

Anna Frajlich

Pień topoli

10 marca (dzień moich urodzin) 2020 roku nasze walizki od rana stały pod drzwiami, a pokój w Warszawie w gościnnym mieszkaniu Moniki i Jurka był już przygotowany na nasz przyjazd.

Wprawdzie atmosfera w Europie i w Stanach coraz bardziej zagęszczała się paniką i zakazami spadającymi na wyjazdy, wjazdy i podróże, ale jeszcze w ostatnich dwóch trzech dniach biura uniwersytetów, na których miałam mieć najwcześniejsze promocje i wykłady, przekonywały mnie, że zakazy wydawane przez administrację państwową nie obejmują uniwersytetów.

Po dwóch godzinach sytuacja się zmieniła, dostałam wiadomość, że jednak uniwersytety też podlegają zamknięciu i każdy przyjezdny będzie podlegał kwarantannie. Odciągnęliśmy walizki spod drzwi i Władek zaczął pertraktację z LOT-em, straciliśmy część pieniędzy i zaczęliśmy rozpakowywać walizki. Teczki tekturowe, w których przygotowane były teksty wykładów i wierszy oddzielnie na każde spotkanie poszły znów do tekturowego pudła, w którym przeleżały następne dwa lata, a niektóre nawet wciąż jeszcze stoją nietknięte.

Przez następne dni i tygodnie dochodziły do nas depresyjne opowieści o znajomych i nieznajomych, którzy w hotelach i wynajętych pokojach odsiadywali regulaminową kwarantannę. Nie znaczy to, że przyglądanie się tym ogarniającym świat nakazom, nie dotykało naszych nerwów.

W Polsce na dwóch uniwersytetach czekały na mnie honorowe medale. Ten z Uniwersytetu Katolickiego w Lublinie - Medal Jubileuszowy 100-lecia Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II przywędrował w specjalnym ochronnym opakowaniu z dokumentem podpisanym przez Rektora, Ks. Profesora Antoniego Dębińskiego.

Uniwersytet Szczeciński natomiast zaplanował wręczenie zdalne podczas posiedzenia Senatu w dniu 26 **listopada 2020 r. (czwartek) o godz. 9:00 czasu polskiego**, za pośrednictwem aplikacji MS Teams.

Niestety, w Stanach wypadał wówczas Dzień Dziękczynienia, mieliśmy zaplanowaną wizytę u syna poza miastem i trudno byłoby w nie swoim domu przygotować zdalny kontakt o trzeciej nad ranem, bo taka jest różnica czasu. Wobec tego Uniwersytet przeniósł spotkanie na 17 grudnia i dzięki pomocy technologicznej sekretariatu oraz przeznaczonego to tego kontaktu specjalisty wręczenie medalu odbyło się bez najmniejszego zgrzytu technologicznego.

Wieczorem położyliśmy się wcześniej spać, aby na 3 rano być gotowym do wirtualnego spotkania. Muszę powiedzieć, że po tym wydarzeniu miałam wrażenie, jakbym rzeczywiście dostała ten medal do rąk.

Opóźnienia związane z pandemią spowodowały, że pomiędzy datą przyznania mi medalu, a grudniowym spotkaniem wirtualnym zmieniła się administracja i Senat uniwersytetu, toteż zaadresowałam podziękowanie do obydwu rektorów.[1]

JM Rektor prof. dr hab. Waldemar Tarczyński

Uniwersytet Szczeciński

Wielce Szanowny Magnificencjo, Wysoki Senacie i Dostojni Goście,

Z głębi serca pragnę podziękować Magnificencji, Senatowi Uniwersytetu Szczecińskiego, oraz poprzedniemu Rektorowi Prof. dr hab. Edwardowi Włodarczykowi za przyznanie mi Medalu Uniwersytetu. Wiem, że w dużej mierze zawdzięczam to Profesorowi Jerzemu Madejskiemu, który jest autorem kilku ważnych prac poświęconych mojemu dorobkowi.

Ten wielki zaszczyt, za który jestem niezmiernie wdzięczna, pogłębia moje związki ze Szczecinem, miastem mego dzieciństwa i młodości.

Mogę powiedzieć, że sam Szczecin był moim najważniejszym uniwersytetem, bo stąd wyniosłam podstawowe wartości towarzyszące dalszej drodze moich studiów i pracy zawodowej zarówno w Polsce jak i w Stanach Zjednoczonych.

Stąd wyniosłam też znaczącą wiedzę o świecie. Moje pokolenie składało się z osobników przybyłych do Szczecina w wieku wczesnego dzieciństwa, jak już kiedyś napisałam gruzy były dla nas naturalnym krajobrazem, każde z nas przybyło z innej strony Polski albo świata.

A nasi rodzice odbudowując w Szczecinie swoje powojenne życie, odbudowywali życie tego miasta.

Pierwsze siedem lat mojej edukacji upłynęły na ulicy Wielkopolskiej 15, w budynku w którym obecnie mieści się Wydział Matematyczno-Fizyczny Uniwersytetu, a wówczas była to szkoła podstawowa. Do dzisiaj pamiętam widok z każdego okna i chyba już po ukończeniu szkoły napisałam wiersz o topoli, która rosła za oknem siódmej klasy.

W Szczecinie zdałam maturę w liceum im. Adama Asnyka, z którym to liceum przez lata utrzymywałam bliskie kontakty, biorąc udział w interaktywnych spotkaniach z uczniami za każdym razem, kiedy odwiedzam Szczecin.

W Szczecinie otrzymałam pierwszą nagrodę literacką w konkursie „Szukamy nowych talentów" ogłoszonym przez „Głos Szczeciński" we wrześniu 1959 roku, byłam już w 11 klasie. (……)

Jeszcze w szkole miałam zaszczyt poznać profesora Erazma Kuźmę, (……) a w jedenastej klasie dostąpiłam zaszczytu prezentowania wierszy na jego lekcji. Kilka lat temu, kiedy wychodziła w Szczecinie Xięga Erazmiańska, na prośbę redaktorów, połączyłam się z kolegami, uczniami profesora, ze Stanów, z Izraela i innych krajów czy miast zbierając wspomnienia i zdjęcia.

Wprawdzie ze Szczecina wyjechałam ponad pół wieku temu, moje związki z przyjaciółmi i ze środowiskiem naukowo-literackim pozostały żywe i twórcze. Mój pierwszy powrót z tak zwanej emigracji marcowej nastąpił w 1993 roku i od tej pory utrzymuję ze Szczecinem kontakt. Publikowałam w wydawnictwach szczecińskich – w „Kurierze", „Pograniczach", „Adlojadzie", „eleWatorze", a wcześniej także w" Głosie Szczecińskim", gdzie jeszcze latem 1963 roku odbyłam staż wakacyjny.

W wirtualnym uczestnictwie w posiedzeniu Senatu pomogła mi pani mgr. Inż. Maria Motyka z biura rektora oraz zaproszony na tę okazję Arkadiusz Szajewski, Administrator Systemów Teleinformatycznych.

Kilka godzin później pisałam do Prof. Jerzego Madejskiego:

Drogi Panie Jerzy,

wciąż jestem pod wrażeniem tego przeżycia i muszę sobie czasem przypominać, że odbyło się to zdalnie, bo czułam, jakbym tam była.

Jak widzę Rektora schodzącego do kamery, to odnoszę wrażenie, że podszedł do mnie.

Miłego weekendu,
Anna Frajlich

Jeszcze tego samego dnia, piątego 18 grudnia otrzymałam odpowiedź profesora Madejskiego:

Droga Pani Anno,

wręczenie Medalu odbyło się według najlepszych wzorów uniwersyteckich.

Cieszę się, że wszystko się udało. Dla mnie to także było spotkanie wzruszające.

Jeśli ma Pani chwilę, proszę przesłać podziękowanie Rektorowi Tarczyńskiemu. Ale proszę także napisać choćby podziękowanie mailowe profesorowi Edwardowi Włodarczykowi. Podaję Pani jego adres uniwersytecki: edward.wlodarczyk@usz.edu.pl

Mam jeszcze do Pani prośbę. Po wczorajszym posiedzeniu senatu zwrócił się do mnie mój kolega fizyk, Mariusz Dąbrowski. Ja chyba nie mam tego wiersza. Czy może mi Pani przesłać jego skan? Napisałem Mariuszowi, że będę wspierał jego inicjatywę.

Pozdrawiam serdecznie,

J.

Gratuluje organizacji przyznania dzisiejszego medalu. Zainteresowało mnie, iż p. Frajlich chodziła do szkoły podstawowej przy ul Wielkopolskiej 15 - miejscu naszego wydziału.

Czy możesz przesłać mi tekst i odnośnik do książki z „wierszem o topoli, która rosła za oknem 7 klasy.

Mam pomysł na umieszczenie gdzieś na/w budynku tego tekstu jako pewnego akcentu „humanistycznego" na naszym „ścisłym" wydziale. Poddałbym to pod dyskusje z władzami.

Na co odpowiedziałam jeszcze tego samego wieczora:

Drogi Panie Profesorze,
Drogi Panie Jerzy,

Bardzo serdecznie dziękuję. Jestem szczerze Panu wdzięczna, wiem, że to Pana zasługa. To było bardzo wzruszające spotkanie. Już dziś jest notatka w Kurierze, którą przysłał mi wydawca - Paweł Nowakowski, a teraz jeszcze mój dawny kolega z Ćwiczeniówki i z Piątki.

Miałam dużą tremę, ale wszyscy byli tacy – nawet wirtualnie – bezpośredni i to mnie ośmieliło.

Pana laudacja jest bardzo wzruszająca, bo skoncentrowana na takich obrazowych szczegółach. Ale te szczegóły wciąż we mnie żyją.

Jeszcze raz Panu serdecznie dziękuję.

Życzę Wesołych Świąt, sukcesów i zdrowia w Nowym Roku.

Anna F.

Czy mam wysłać oficjalny list do Rektora? Pytam, bo wysłałam już wówczas do poprzedniego Rektora.

Przypuszczam, że do jakiegoś z tych listów dołączyłam tekst wiersza „Topola" z notatką:

Wiersz napisany w siódmej klasie (1955-

56), nigdzie oczywiście nie publikowany. Ale topola stała tam jeszcze, kiedy sprawdzałam w ostatnich latach.[2]

Anna Frajlich

Topola

Kaloryfery, trzy okna
ciepło jest w naszej szkole
a tam na ulicy mokną
gałęzie mojej topoli

topola – cień mych chwil
za oknem klasy czuwała
w jesienne ponure dni
liście gubiła, płakała

a zimą samotna i szara
– zapomniana nauczycielka –
dumna topola choć stara
w sercach uczniów tęsknota wielka

na wiosnę znów zielenieje
słucha klasowych flirtów
jak panna do ślubu młodnieje
strojna w liści swych mirty.

Zarówno ja jak i profesor Madejski zapomnieliśmy o tej wymianie. W międzyczasie wspólnie z Pawłem Nowakowskim, wydawcą wielu moich książek pracowaliśmy nad przygotowaniem dwóch tomów zawierających dorobek wielu lat. Paweł Nowakowski zaproponował, aby na początku zbioru umieścić wiersze młodzieńcze nie publikowane w żadnej książce. Znalazło się ich ponad 60, niektóre publikowane były w prasie. „Topola" jakoś tam nie trafiła.

W roku 2022 nic nie stanęło na przeszkodzie podróży do Polski, gdzie spędziliśmy z mężem miesiąc od 17 maja do 17 czerwca, odwiedzając z dwoma tomami Szczecin, Warszawę, Lublin i Białystok. W Szczecinie profesor Jerzy Madejski zaplanował mój wykład, który miałam wygłosić na uniwersytecie dwa lata wcześniej, na 26 maja, a na 25 maja na godz. 12:30 zaplanowano spotkanie w Rektoracie. Oboje z mężem mieliśmy zaszczyt spotkać Rektora Waldemara Tarczyńskiego, prorektora Andrzeja Skrendo, zdaje się, że był jeszcze ktoś prócz profesora Madejskiego. Jak zwykle przy takich spotkaniach następuje wymiana prezentów - książek, przyborów do pisania, fotografowanie, kawa, herbata ciastka. W pewnym momencie rozmowa zeszła na historyczny budynek dawnej Ćwiczeniówki, mojej szkoły podstawowej, gdzie obecnie mieści się wydział matematyczno-fizyczny. Wspomniałam o prośbie prof. Mariusza Dąbrowskiego i o przesłaniu wiersza o topoli. Topoli nikt nie pamiętał, ja się nieco upierałam i kiedy prof. Madejski odprowadzał nas w stronę hotelu ulicą obecnie Monte Cassino, a dawniej Armii Czerwonej, postanowiliśmy sprawdzić. Drzewa istotnie nie było, ale kiedy doszliśmy do wysokości okna naszej niegdyś siódmej klasy, zauważyłam pień ściętego drzewa. Pień w pewnym sensie zadbany, trochę jakby pokryty jakąś połyskującą masą. Rozpoznałam w nim Topolę. Zajęło mi trochę czasu, aby pień uświęcić wierszem.

Pień

Topoli nie ma
został pień
pod oknem
naszej siódmej klasy
i teraz w sobie skrywa
cień
i pamięć
drewna twardej masy

topoli nie ma
kto ją ściął
komu blask słońca
przesłaniała
kto w ogień wrzucił
ślady lat
zostawił pień
gdzie drzewo stało?

21 czerwca 2022

To niezwykłe przeżycie pomiędzy powrotem do wiersza o topoli i powstaniem następnego tekstu o pniu tego drzewa spowodowało mnemoniczny powrót do budynku, który stoi tam na Wielkopolskiej 15. Jakie szczęście, że powojenna nazwa tej ulicy nie miała jakiejś politycznej konotacji i wciąż jeszcze można do niej trafić pod tym samym adresem. Wiele lat po wojnie, kiedy większość z nas żyła, jeżeli żyła, w innych miastach, krajach i kontynentach,

VII klasa, Anna Frajlich druga od prawej w białej bluzce

dowiedzieliśmy się, że gmach zbudowany w latach 1908-1910 był oryginalnie Szkołą Realną, której patronem był kanclerz Otto von Bismarck. Tego nazwiska nikt nie śmiałby wymówić wówczas w latach 50-tych dwudziestego wieku, kiedy przez siedem lat spieszyliśmy się każdego ranka, żeby być na czas.

Budynek w stylu renesansowym jest wciąż dostojny. Nasza Szkoła Ćwiczeń mieściła się na parterze, a powyżej były pomieszczenia Liceum Pedagogicznego, licealiści często przychodzili do nas na tak zwane hospitacje. Zasiadali na krzesłach pod ścianą i obserwowali nas i naszych nauczycieli. Liczba uczniów w naszych klasach nie przekraczała 35 osób i wszystkie klasy były pojedyncze. Na pierwszym piętrze budynku, w ramach Liceum Pedagogicznego, znajdowały się gabinety – biologiczny, chemiczny. To chyba tam widziałam po raz pierwszy szkielet człowieka. Były tam też jakieś sale konferencyjno-gościnne. Zdarzało się, że profesorowie Liceum Pedagogicznego uczyli także w Ćwiczeniówce, tak było z panią profesor biologii – Natalią Konopnicką, która miała doktorat, jak przypomniała mi moja przyjaciółka Tamara Oksman, obecnie Kam, absolwentka Liceum Pedagogicznego.

Czasem otwierały się dla nas wyższe piętra, na przykład aule, pamiętam między innymi dzień pogrzebu Bieruta, a czasem jakieś rocznicowe akademie.

Za budynkiem, wzdłuż Wielkopolskiej, było ogromne boisko, na którego samym końcu znajdował się basen. Wiele lat później, kiedy podczas kolejnych odwiedzin zobaczyłam, że „nasze" boisko zamienione zostało na parking odczułam pewien ucisk nostalgii.

Fakt, że chodziliśmy do tej jednej z najlepszych szkół w mieście odzwierciedlał ambicje naszych rodziców, ale często też adres. Wiele koleżanek i kolegów mieszkało niedaleko szkoły i tylko kilka osób musiało, jak ja i mój kolega Bolek Glejzer, obecnie Dov Gali, przyjeżdżać tu tramwajem. Kiedy moja matka zaczęła pracować w pobliskim budynku radia, ja i z czasem moja siostra odczekiwałyśmy do godziny piętnastej i wracały razem z matką do domu. Często po lekcjach lubiłam trochę odprowadzać moją j ulubioną wychowawczynię w trzeciej i czwartej klasie panią Halinę Nowotniak. Opowiadałam jej wówczas intymne sprawy rodzinne, głównie o korespondencji mojej matki z siostrą mieszkającą w Palestynie. Pewnego razu pani Nowotniak wtrąciła półgłosem: to się teraz nazywa Izrael. Dźwięk tego zdania i klasa, z jaką zostało wypowiedziane, pozostały ze mną na zawsze.

Nauczycielką, która wciąż funkcjonuje w świadomości byłych uczniów na kilku kontynentach jest legendarna Aniela Jeżewska.

Większość uczniów pani Jeżewskiej nosi w pamięci jakieś powiedzenie, anegdotę, pouczenie, które czasem nie do końca zrozumiałe, powraca w różnych momentach życia jak fragment biblijnej przypowieści. Na przykład nie pozwalała nam pisać w skrócie imion pisarzy. Kiedyś, gdy zapomniałam igły na prace ręczne powiedziała: niech Frajlich nie myśli, że jak napisze wiersz, to może zapomnieć o igle. To jej ostrzeżenie pozostało ze mną na zawsze.

Mój przyjaciel Bolek wspomina, że na egzaminie wstępnym do liceum zapytany, ile zna przydawek wymienił wszystkie. Uwaga komisji się wyostrzyła, zapytano go z jakiej jest szkoły, kiedy odpowiedział „z Ćwiczeniówki", obecny na egzaminie profesor Erazm Kuźma wtrącił: *a to Jeżewska.*

Pół wieku po opuszczeniu Ćwiczeniówki dostałam e-mail z Australii, od dawnego młodszego kolegi, wówczas już profesora, który zaczynał się od słów „Pani Jeżewska była z ciebie dumna ……", okazało się, że poleciła mnie jego matce,

Była także bibliotekarką i stosowała różne chwyty, aby wciągnąć nas w lekturę. Wsuwała książkę do ręki mówiąc: Daj mi znać, czy ta książka nadaje się dla innych.

Oczywiście nie wszystkie posunięcia naszej polonistki wzbudzały bezwzględny podziw. Zdarzało się, że p. Jeżewska wykorzystywała swój autorytet, aby skłonić nas do publicznego potępienia kolegów. Taką konfrontację opisałam w moim opowiadaniu w zbiorze „Laboratorium". Potrafiła też wysłać delegację uczniów do rodziców kolegi. Janusz Gągol, najlepszy uczeń naszej klasy, po latach ujął to w liście następująco:

Zastanawiam się czasem czy pani Jeżewska, dobrze wykształcona przed wojną nauczycielka, wierzyła w te wszystkie bzdury wychowawcze, czy robiła to z przekonania, czy ze strachu.

Skład narodowo-pochodzeniowy naszej klasy był zdeterminowany historią. Uczniowie stanowili ówczesną reprezentację miasta Szczecina. Rodzice naszej grupki polskich Żydów– dwie dziewczynki i paru chłopców – uniknęli Zagłady na Uralu, lub w Azji, w obozach, batalionach, w wojsku a po zakończeniu wojny na podstawie umów politycznych Szczecin stał się ich jedyną opcją,

Szkoła na ul. Wielkopolskiej w Szczecinie

bo nie mogli wrócić do swego rodzinnego Lwowa, Wilna itp. Było wśród nas także kilku uczniów pochodzenia niemieckiego. Niektórzy mieli już spolszczone nazwiska, inni zmieniali swoje niemieckie na polskie w ciągu tych siedmiu lat.

Znajdowali tu też schronienie uczniowie greccy oczekujący końca wojny domowej w Grecji. Jedna z naszych koleżanek – Lilka Mazurek, dobiła do nas nieco później. Jej matka była Francuzką, ojciec polskim górnikiem we Francji. Lilka, jak kilka innych koleżanek z naszej klasy, ukończyła Pomorską Akademię Medyczną i została cenioną specjalistką chirurgii dziecięcej.

Medycynę skończyły też Barbara Wiśniewska (Marczyńska) pediatra, Nella Ambarian (Drybańska) anestezjolog, i Rita Goldin neurolog .

Ritę znałam dość blisko od początku, moja matka miała umowę z gosposią Goldinów, żeby odbierając w pierwszych latach Ritę ze szkoły odebrała i mnie i odprowadziła do siódemki na Mickiewicza. Rita mieszkała na pierwszym piętrze ładnej poniemieckiej willi, na początku ulicy Mickiewicza, a my w bloku prawie na samym końcu tej ulicy numer 141. Później w tej wilii jakiś czas mieszkał zdaje się Jaruzelski.

Po lekcjach szłam do Rity do mieszkania, trochę pobawiłyśmy się i dopiero potem gosposia i Rita odprowadzały mnie na przystanek. To były pierwsze lata, bo później sama już umiałam dojść do tramwaju i pojechać na Pogodno. Byłyśmy jedynymi Żydówkami w klasie, ale nie utrzymywałyśmy specjalnie bliskich kontaktów, chwilami, kiedy Rita nie czuła się zbyt pewna podczas jakichś dyskusji, zbliżała się do mnie i starałam się ją podbudować głównie jakimiś przykładami z literatury, np. „Mendel gdański".

Większość z nas miała pamiętniki, do których wpisywaliśmy się wzajemnie.

Niestety, niektóre wpisy ołówkiem nie dają się odczytać nawet pod szkłem powiększającym.

Rita wpisała się dość wyraźnie:

Gdy troski życia otoczą Twe czoło
I szereg cierpień przygniecie Twą duszę
Nie trać nadziei, lecz powiedz wesoło…
Ja w życiu szczęśliwa być muszę…

Koleżance szkolnej Goldin R.

Rita była ładna, inteligentna, podobała się chłopcom, powodziło im się nieźle dzięki pozycji ojca, który był dyrektorem Konsumów. Niestety, jej ojciec zmarł stosunkowo wcześnie, byłam już na studiach w Warszawie, ale jakoś trafiłam na pogrzeb jej ojca. Myślę, że to załamało matkę Rity i ją samą.

Rita zmarła niedawno po bardzo ciężkiej i długiej chorobie. Z zawodu była neurologiem, przez długi okres choroby opiekowały się nią przyjaciółki, miała zawsze poparcie wśród koleżanek i kolegów.

Wpis Ewy Majewskiej z 5 lutego 54 roku, kończy się słowami: *Kochaj, co jasne i rozumne, co pełne uczuć i co pełne treści!* Te słowa mile przypominają Ewę Majewską.

Natomiast Anna Ostapowicz 4 marca też 54. roku zaczęła swój wpis od wierszyka: *Ja cię kocham troszeczkę jak kogucik kureczkę, bo kogucik kureczkę kocha tylko troszeczkę.* Te słowa dość wnikliwie scharakteryzowały stosunek, zdawałoby się bliskiej, koleżanki do mnie.

Chłopcy też wpisywali się do pamiętnika.

Ku pamięci

Siedziałem nad stawem
A było to blisko układałem
Z liter imię i nazwisko
A to imię tak się ładnie łączy
Annka się zaczyna
A Frejlich się kończy.

Na pamiątkę koleżance
Wpisał się Elsztejn. Stanisław

Szczecin 7.III.54 r.

Pisząc te słowa Staszek nie wiedział jeszcze, że wkrótce będzie musiał rozstać się z nami na zawsze. On był pierwszym z naszej klasy, którego żegnaliśmy w Szczecinie na dworcu, kiedy w 1956 roku wyjeżdżał do Izraela. Wówczas to nastąpiło przyzwolenie na antysemityzm i emigracja do Izraela. Byliśmy już w innych szkołach, ale zebraliśmy się, aby pożegnać Staszka, wpierw na obiedzie u rodziców Rity, a potem na dworcu. Staszek zginął w 1975 roku w Izraelu podczas jakiejś akcji wojennej. Spośród uczniów naszej klasy chłopcy jakoś umierali wcześniej. Po 1993 roku, kiedy po raz pierwszy mogłam przyjechać do Polski i zaczęłam odwiedzać co jakiś czas Szczecin, spotkałam jeszcze Bogumiła Derejczyka i Romka Wesołowskiego. Niestety obaj zmarli wkrótce po tym pierwszym spotkaniu. Był to jeszcze okres, kiedy ludzie nie przyznawali się do choroby raka. Boguś Derejczyk nie powiedział najbliższemu przyjacielowi i nawet żonie.

Ku pamięci

Wpisuję się na ostatniej karcie
Aby nie zasłużyć na szybkie wydarcie.

Kochanej i miłej Ani wpisała się M. Wanda 25.IV. 1952.

Wanda Michalska była miłą koleżanką, ładną dziewczyną, dobrą uczennicą, przyjaźniła się z Grażyną Staszewską tworząc tzw. parę koleżeńską. Lubiłam je obie, ale nie znałyśmy się bliżej. Byłam już w liceum, kiedy ktoś doniósł mi przedziwną wymianę korespondencyjną pomiędzy Wandą a panią Jeżewską

Okazało się, że Wanda przeniosła się do Niemiec, skąd napisała do pani Jeżewskiej, że obecnie nazywa się Edith Shrade, jest szczęśliwa ze swej nowej sytuacji, pięknych ubrań w szafie itp. Nasza polonistka dość ostro ustosunkowała się do tej zmiany tożsamości. W klasie było kilku chłopców pochodzenia niemieckiego, niektórzy zmieniali nazwiska i na polskie, ale to było jakoś oczywiste. Natomiast ta konwersja Wandy była dla nas szokiem.

Pani Jeżewska odmówiła kontynuowania korespondencji, a na pytanie Wandy, *dlaczego?* podobno odpowiedziała:

- Ja nie znam Edith Shrade, znam tylko Wandę Michalską.

Nie przypominam sobie, aby ta rozmowa miała jakiś dalszy ciąg. Po latach byliśmy już nie tylko rozsypani w szkołach i uczelniach, ale i na kontynentach.

Nasze greckie koleżanki wróciły do Grecji, my Żydzi też znaleźliśmy się za granicą – jedni podczas emigracji późnych lat pięćdziesiątych, inni, jak my, w emigracji po marcowej z lat 68-9.

W 1991 roku po obronie pracy doktorskiej na Uniwersytecie Nowojorskim, postanowiłam wreszcie zobaczyć Izrael. Była to podróż z jednej strony pełna radosnych spotkań z rodziną i przyjaciółmi z dawnych szczecińskich lat, z drugiej strony każde z tych spotkań naznaczone były pamięcią bolesnych rozstań, wiele lat wcześniej w Szczecinie.

W Jerozolimie spotkałam się z Bolkiem, z którym przyjaźniliśmy się od wczesnego dzieciństwa a nasze rodziny współżyły w przyjaźni. Bolek do dziś jest znanym architektem. Kiedy odwiedziliśmy go z mężem, zaprosił nas na taras, a przy zimnym piwie nagle zapytał:

- Aniu, pamiętasz, co Jeżewska odpowiedziała Wandzie Michalskiej?

Bolek też już miał zmienione nazwisko, ale nie tożsamość, do dziś utrzymuje kontakt z przyjaciółmi z lat szkolnych w Szczecinie.

5 września 1953 roku w moim pamiętniku pojawił się trzy częściowy wpis. Pierwsza część zaczynająca się od słów „Żyj zawsze wśród ludzi" jest trudna do odczytania. Czerwona kredka na brązowawym papierze wnikała jakby w ten brąz. Ale już następny fragment napisany niebieską kredką brzmi: *Leciał orzeł biały nad górą, nad skałą, kazał mi się wpisać w twój pamiętnik mały.*

Podpis czarnym atramentem wpisany jest najwyraźniej: *Do wieńca wspomnień dorzuca się: Bożenna W.*

Bożenny z podwójnym „n" i inicjałem „W", nie jestem w stanie skojarzyć. Ale kilka stron dalej jest Bożenka Domalska, którą dobrze i z wielką czułością wspominam.

2 lutego 1954 roku napisała:

Leciał gołąbeczek/ Niósł w dziobku listeczek/Ja go zatrzymałam/ Tak mu powiedziałam/ Zanieś to ode mnie/ Niech pamięta Ania o mnie.

Danka, nie pamiętam nazwiska, wpisała się znanym rymem *Kolorowe twe usteczka'* i zakończyła słowami „milutkiej i sympatycznej koleżance".

Następny wpis: Szczecin, 1.II. 1954 roku:

Ucz się i pracuj a wyrośniesz na dzielną obywatelkę kraju.
Miłej koleżance Ewa Balińska, kl. V.

Jak przypomina mi Wandzia Lwowicz (Karwik), z którą siedziałyśmy kilka lat w jednej ławce, Ewa była utalentowaną pianistką i miała dwa długie warkocze.

Podczas wojny domowej w Grecji, dołączyli do nas Grecy. Jedną z moich bliższych przyjaciółek była Paraskiewi Dalagianidu. Moja młodsza siostra do dziś pamięta, że była to piękna dziewczyna. Mieszkała w specjalnym internacie, gdzie zdarzały jej się konflikty z personelem i raz nawet nasza mama poszła tam pomóc jej w rozwiązaniu jakichś spraw. Paraskiewi głęboko tęskniła do Grecji, nie było dnia, aby nie śpiewała bolesnej pieśni: *Asturio, ziemio mych młodych lat*, a w tej pieśni te słowa: Wrócę *i wejdę na drzewo i zerwę kwiat pełen rosy*.

Kiedy w 1956 roku wracała do Grecji, napisałam dla niej wiersz.

Do Paraskiewi

Powrócisz przyjaciółko moja →

do swoich winnic i ogrodów
bo przecież wszystkie drogi Twoje
tam właśnie wiodą.
Powrócisz Paraskiewi, powrócisz
i na Twej ziemi, pobojowisku,
pieśń rodzenia zanucisz.
I matce ziemi opowiesz wszystko
o tych latach tułaczych
i na jej piersi twardej i czarnej
gorzko bardzo zapłaczesz.
Lato 1956

Innej greckiej koleżance - Mence, napisałam wiersz lżejszy i któtszy:

W pamiętniku Menki

Kochana Menko!
Gdy do Grecji wrócisz,
gdy Cię obejmie pieśń i mowa swojska,
pamiętaj, był kraj, co Cię chował
i uczył - to była Polska.
1956.
Te dwa wiersze znalazłam w jednym
z moich szkolnych notatników.

Rok szkolny skończył się uroczystą kolacją, zamówioną przez komitet rodzicielski w Konsumach, pewnie dzięki ojcu Rity. Na zdjęciach siedzimy w sali, na piętrze, z naszymi nauczycielami i a przedstawicielami Komitetu Rodzicielskiego. Tego wieczora, nad Odrą odbywały się jakieś uroczystości, chłopcy bardzo chcieli tam pójść i jeden z obecnych ojców udzielił im pozwolenia.

Ja nie miałam jeszcze żadnych planów rozrywkowych, ale niespodziewana przygoda pojawiła się sama. Zbliżał się okres Międzynarodowych Targów Poznańskich, do rodziców przyjechał z Warszawy przedwojenny, jeszcze lwowski, przyjaciel mojej matki Dawid Guterman.[3] Właśnie jechał służbowym samochodem z szoferem do Poznania, gdzie miał jakąś ważną funkcję organizacyjną. Mama uprosiła go, aby zabrał mnie ze sobą na dwa - trzy dni jako prezent z okazji ukończenia szkoły.

W drodze ze Szczecina do Poznania siedziałam z tyłu, a pan Dawid z przodu obok kierowcy. Pierwszy raz odbywałam taką podróż i zaczęłam pisać wiersz, który znalazłam w jednym z notatników wypełnionych szkolnymi wersami.

W drodze ze Szczecina do Poznania samochodem. 24.VI.56 r.,
po zakończeniu roku szkolnego.

Wierzby przydrożne mijały szybko
jak szybko mijał czas
za samochodu szybką
szumiał przyjaźnie las.

Za nami dzieciństwo zostało
okres szczęśliwych lat
przed nami – młodość burzliwa
i droga, droga przez świat.

I znów jechaliśmy prosto
mijaliśmy mosty i domy
na rzece plusnęło wiosło
w łódce cień mignął znajomy.

Minęły lata najlepsze
przelały się jak woda
powiej niestały wietrze
powiedz: Czy ich nie szkoda?

W Poznaniu pan Guterman miał wynajęty służbowy pokój w jakiejś willi, jego żona, Krystyna, była nieco zdziwiona moim pojawieniem się, ale zdecydowali, że ja będę spała z nią w dużym wygodnym łóżku, a on na kozetce.

Śniadanie, przyniesione z kuchni jedliśmy w tym samym pokoju. Kiedy tak siedzieliśmy we trójkę przy stoliku, nagle potężny obraz wiszący nad łóżkiem, z olbrzymią pozłacaną ramą, runął całym swym ciężarem na łóżko, z którego dopiero co wstałyśmy z panią Krystyną. Pracownicy pensjonatu zajęli się obrazem, a my kończyliśmy śniadanie. Jakoś nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat, ale różnie można było interpretować ten napad na łóżko jednego z dyrektorów biorąc pod uwagę fakt, że trzy dni potem w tym mieście wybuchło powstanie.

W Poznaniu zatrzymałam się chyba dwa dni. Obejrzałam jakiś pawilon, w pobliżu spotkałam grupę rówieśników i włączyłam się do rozmowy. David lub Krystyna odprowadzili mnie na dworzec. W wagonie było kilka kobiet i kilkoro dzieci. Z ich rozmów wynikało, że do Szczecina jadą, aby uniknąć jakichś problemów. Nie używano słowa strajk czy też powstanie, te słowa pojawiły się później w prasie, ale atmosfera w przedziale była napięta.

Powstanie wybuchło 28 czerwca. Tak zaczęła się nasza „młodość burzliwa", którą przepowiedziałam w wierszu pisanym w samochodzie do Poznania.

Do dziś dnia widok zwalającego się na łóżko obrazu powraca do mnie wraz z tymi wspomnieniami.

Anna Frajlich

---

1 Prof Dr hab. Edward Włodarczyk, historyk, (1946-2021)
2 Prof. Matriusz Dąbrowski, (do prof. Jerzego Madejskiego 24 sierpnia 2022) – topole ścięto w grudniu 2020 r..
3 Mojej siostrze, Felicji Bromberg zawdzięczam odnalezienie imienia i nazwiska.

Janusz Stobiński

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Wielkie splendory - felieton radiowy z lekkim akcentem poetyckim

Wielki tragik radia czyta opowiadania tragika literatury,
tragika twarzy zawsze sierioznej,
tak, właśnie sierioznej, bo inne słowo tu nie pasuje.
Rzadko się zdarza, żeby razem z twarzą tego tragika literatury
występował głos godny tej twarzy i zdań.
Leciutka wada wymowy wielkiego tragika literatury
czyniłaby przekaz bardziej ludzkim, lecz mniej tragicznym,
a że nieco kłóci się owa przypadłość z niewzruszoną powagą twarzy,
nad której wyrazem jej posiadacz – autor – niewątpliwie musiał pracować długie lata,
aby nie wymykała się spod kontroli najlżejszym cieniem uśmiechu,
aby nie kolidował ów lekkomyślny grymas z wagą i dramatyzmem tematów poruszanych przez autora, zatem zadanie powierzono tragikowi radia.

Ten głos uwzniośla
nawet słabsze teksty wszelkich ludzi pióra,
tak jak ten grymas, ta zaduma na obliczu pisarza,
uwznioślają słabości człowiecze.
A nawet brzydkie wady charakteru,
z którymi rzadko który artysta ma ochotę walczyć.
Ba, uważa je nawet za miłe,
zwłaszcza w oczach kobiet i innych czytelników,
słabostki, a nie grzechy czy narowy.

Podobniej bywa, gdy inny wybitny artysta dramatyczny radia,
lecz nie w pełni „tragik" absolutny, ale ironista, sceptyk w każdej sylabie,
gorzki niedowiarek,
potrafi nadać przemądrzałą mądrość każdemu słowu,
lekko cwaniacki akcent filozofa radia, sprytnie uwypuklający niejednoznaczność każdego tekstu, jednocześnie nie podważający założeń przedstawianych w danym (mu do roboty) tekście.
Którego mądrość to głównie gorycz i ironia,
a jego intonacja: „ja wiem lepiej, ja wiem jak jest naprawdę",
oddaje nieocenione usługi autorom zdań mniej dowcipnych, mniej ironicznych,
a nawet mniej głębokich, powiedzmy wprost - płytszych.
Czy zatem wielcy tragicy radia, wielcy ironiści radia fałszują obraz tekstu,
ukazując poprzez głos i interpretację kruszec wyższej próby niż wynika to ze składu stopu, a nawet pieczęci probierczej nadawanej przez biegłych znawców literatury – także mistrzów (kat także był zwany mistrzem) sędziów radiowych ferujących wyroki i ekspertyzy. Nie byli to, jak dziś najczęściej, zwykli sprawozdawcy wydawniczy, recenzenci piszący techniczne noty o formie i zawartości dzieł, lecz inżynierowie dusz ludzkich i czarnoksiężnicy, jednym słowem lub brakiem tego słowa skreślający człowieka z rejestru żywych. Można by dalej roztrząsać tę kwestię, bo kiedy w naszej dawnej telewizji, jeszcze czarno-białej, wybitnie atrakcyjni zewnętrznie aktorzy, właściciele głębokich, pięknych głosów, mistrzowie pauzy i innych narzędzi, brali na warsztat słowo pisane, nawet to pisane, ot tak, bez wielkich ambicji i bez poczucia misji, widzowie i słuchacze niemieli z zachwytu i poczucia obcowania
z treściami o światowej randze, mogącymi mieć wpływ na życie, wybory, postawy,
czy też tylko na kształtowanie gustu publiczności.
Tak tworzą się – wizerunek człowieka i wizerunek dzieła.
A dzieło? Naiwnie sądzi, że buja swobodnie, jak gołąb z papieru,
tymczasem uwięziono je w głosie, wpisano w rysy twarzy.

Zatem
dajcie zdjęcia i litery głuchym,
dajcie głos do słuchania ślepym.

Widzący, słyszący, uczeni
wyciągną średnią
milcząc.

ESEJ

Małgorzata Dorna - Wendrychowska

Odczytywanie malarskich wizji Pawła Wyborskiego

„Istotą doświadczenia czasu w sztuce jest to, że uczymy się przebywania. Jest to zapewne stosowna dla nas, skończona odpowiedniość tego, co zwie się wiecznością."

- Hans Georg Gadamer

Bywa, że badacz i interpretator współczesnego dzieła sztuki staje nagle twarzą w twarz z Tajemnicą, z artystyczną konkretyzacją przedmiotu religijnego kultu, z nawiązującym do malarstwa materii całunem, z wychodzącym poza ramy konwencji mandylionem, z subiektywną narracją, poświeconą ikonie lub śladom po niej. Doświadcza zatem (podążając tropem myśli Gadamera) specyficznej istoty czasu i trzeba przyznać, że doświadczenie to nie okazuje się łatwe. Pojawia się bowiem w takim właśnie momencie fundamentalne pytanie o to, co znaczy ulotne i jakże kruche życie człowieka wobec trwania. I nie chodzi tutaj tylko o trwanie w tradycji kulturowej lub w naszej wiedzy o przedmiocie kultu, ale także o owo trwanie transcendentne, dokonujące się na znacznie wyższym, niż nasze wyobrażenia - poziomie.

Na poziomie wykraczającym poza sferę ziemskiego pobywania, na poziomie przekraczającym granice wiedzy i doświadczenia człowieka. Tak, więc dzieło sztuki jako „stosowna dla nas", zrozumiała i możliwa do zaakceptowania wizja tego co „zwie się wiecznością" – pozwala nam przez moment popatrzeć (nieśmiało, jak spogląda się przez dziurkę w kurtynie) na ową scenę, na której Wielki Kreator reżyseruje swój odwieczny, kosmiczny spektakl. Spektakl, którego bohaterem jest czas, pokazywany nie linearnie jak strzała puszczona z łuku, a raczej w sposób dla nas niepojęty, czas nazywany przez zwolenników hermeneutyki – „kolistym czasem wiecznych powrotów" lub „mitycznym czasem powtórzeń".

Czas ten, odnajdywany na moment i za moment tracony, przeczuwany i nieuchwytny zarazem - daje odbiorcy dzieła taką samą szansę jak ta, z jakiej korzystał adresat średniowiecznego spektaklu, patrzący na konstrukt sceny symultanicznej, sceny zbudowanej z trzech odrębnych miejsc, w których równocześnie toczyła się akcja. Jeżeli przyjąć, że każdy z wymienionych tu cykli (Całuny, Mandyliony, Ikony) otwiera jedną z trzech różnych przestrzeni, symultanicznie jak działo się to w dramacie liturgicznym lub w misterium – to równoczesne wchodzenie we wszystkie pozwala rozsmakować się w wieczności. Czyż można oprzeć się takiej intelektualnej pokusie? Czyż można zanegować jej sens?

Oto dane mi przebywanie w materii całunu, w materii gęstej i ciężkiej od balastu tworzywa plastycznego, nasyconej rozbłyskami światła. Światła emanującego skądś z głębi, z wewnętrznych warstw podobrazia, sączącego się łagodnie przez sploty umownie potraktowanej tkaniny. Oto dane mi czytanie płaskiej, oderwanej od ramy, zda się cienkiej jak płótno lub papier - struktury mandylionu, jego zgrubień, zagięć i pęknięć, jego niemal czarnej patyny. Oto dane mi studiowanie owych zatartych rozbłysków przejrzałego złota, wskazujących na ów ton dawności, którego oczekujemy, ton zwiastujący obecność tego, Kogo jeszcze nie znamy i Kogo być może nie poznamy nigdy. Oto dane mi wreszcie wpatrywanie się w malarską wizję ikony, doświadczanie mojego w nią wchodzenia, aż do zupełnego rozpłynięcia się, do zatracenia, pod warunkiem że ikona trwa jeszcze i nie zostaje uznana tylko (jak ma to miejsce w najnowszych kompozycjach Pawła Wyborskiego) za „ślad po ikonie".

Należy bowiem podkreślić, że ślady po czyś, co zapisane w świadomości odbiorcy i co (ulegając rozpadowi, roztopieniu, zatarciu) już w owej zapamiętanej postaci trwać przestaje – stanowią obecny etap rozważań artysty. Malarz, który z upodobaniem tworzył pejzaże metafizyczne, wizerunki miejsc zrodzonych z intuicji i wyobraźni, w których on sam nigdy nie przebywał, których fizycznie nie odwiedzał - zajmuje się coraz częściej utrwalaniem w swych kompozycjach symptomów obecności. I oto właśnie owo utrwalanie śladów, pozostałości, zetlałych resztek, fragmentów, a nawet strzępów materii - może zostać uznane za doświadczanie „odprysków", symptomów wieczności w czystej, pierwotnej postaci. Wieczności, w której przebywanie, której analiza i kontemplacja – stanowi rodzaj eksperymentu z czasem, materią i przestrzenią, równoczesnego dialogu, podejmowanego z emocją, „na spięciach" ze sferą profanum i sacrum. Dialogu tym bardziej intrygującego, trudnego i pociągającego zarazem, że ten kto pozwoli sobie na takie „przebywanie w wieczności" – sam siebie utwierdza w przekonaniu, że jest bytem immanentnie wpisanym w dzieło, bytem skończonym, krótkotrwałym, jakże przejściowym, przelotnym.

Przebywanie w dziele sztuki, odczytywanie go po wielekroć, wchodzenie w nie i pozostawanie w nim w czasie, który nagle ulega zatrzymaniu, zawieszeniu, rozważanie owego czasu i dzieła, czy jak pisał niekiedy Gadamer – najpierw „uczenie się sylabizowania", a następnie „czytania" – wszystko to wymaga od krytyka „zatracenia się" w owym tajemnym, mistycznym procesie spotkania z Absolutem. Innymi słowy doświadczenie intensywnej obecności dzieła sztuki okazuje się „przebywaniem w dziele bez końca", akceptacją tego, że każde „odejście" lub może przerwanie naszej obecności, „naszego bytu przy nim" - jawi się nam jako świętokradztwo.1 Nie sposób nie przyznać, że ja także pozwalałam sobie na taki rodzaj „świętokradztwa", na owe odejścia i powroty, na owe przerwy w przebywaniu, w czytaniu i kontemplacji. Jest jednak w wizerunkach całunów, mandylionów i ikon, w wizerunkach zaproponowanych przez współczesnego artystę coś, co zniewala, co mimo owego odchodzenia, a nawet powątpiewania w sens tego typu (mocno nasączonych duchowością i afirmacją piękna) kreacji – prowokuje do podejmowania prób kolejnych odczytań i analiz. Pora zatem na osobiste wyznanie: malarstwo Pawła Wyborskiego, malarstwo któremu poświęcam ten esej – budzi we mnie bardzo skrajne, niekiedy sprzeczne – emocje. Prowokuje do stawiania trudnych, kłopotliwych pytań, na które odpowiedzi (o ile uda się je odnaleźć) okazują się jeszcze trudniejsze i jeszcze bardziej kłopotliwe, niż mogłoby się to z pozoru wydawać.

Oto bowiem problem istnienia sztuki sakralnej w naszym pozbawionym świętości świecie, sztuki poważnej, odwołującej się do źródeł, do motywów i symboli biblijnych, które (w bardzo umownej postaci) wykorzystuje lub może raczej nadużywa, w sposób nonszalancki, bezczelny – tak zwana „kultura masowa". Oto odwieczne pytanie o granicę (jakże kruchą i delikatną, zaledwie naszkicowaną) między sferą sacrum i profanum, między sferą Ducha i materii. Granicę tym bardziej finezyjną, że jakże często obdarzamy przedmioty (podobnie jak czynili to zwolennicy estetyki romantyzmu i surrealizmu) walorem duchowego, metafizycznego przeżycia. Oto wreszcie pytanie o pokazanie przez medium sztuki materialnego przedmiotu kultu, przedmiotu zapisanego w świadomości zbiorowej, ale pokazanie go w taki sposób by nie kojarzył się on z estetyką i ideą obiektu dewocyjnego, by nie sankcjonował podświadomej zgody odbiorcy na uproszczoną, powierzchowną i zgodną z doktryną Kościoła - interpretację. Zatem – osobiste wyznanie, wyznanie na które krytyk powinien pozwalać sobie rzadko i tylko w szczególnych momentach. Malarstwo Pawła Wyborskiego prowokuje do takich wyznań i zapewne z tego powodu niełatwo wypowiadać się o jego sztuce publicznie. Wyznań „osobistych", bowiem uprawianie „nieosobistej" krytyki (w przeciwieństwie do uprawiania innych, nieporównanie bardziej podejrzanych dziedzin) prowadzi, jak dowcipnie skwitował był Jose Ortega, pisząc o krytyce na usługach idei czyli o krytyce obiektywnej, beznamiętnej, bezstronnej, „sprawiedliwej" – do ewidentnego upadku piszącego. Morał z rozważań Ortegi brzmi jak ostrzeżenie: „Nie można uprawiać krytyki nie brudząc sobie rąk".[2] Uzupełniłabym nawet, że nie sposób zajmować się zawodowo krytyką bez tak zwanego „szargania świętości", wyrażania własnych lęków i obaw,

powalania sobie umysłu i serca głębokim niepokojem, zaszargania reputacji racjonalisty, zakwestionowania głosu sumienia (jeżeli krytyk takowe posiada). Krytyka bowiem, podobnie jak sztuka, wobec której pełni ona rolę służebną - to przejaw (tak nie lubianego przez zbiorowość) indywidualizmu, prywatny wyraz obecności, a tym samym niezgody, potrzeby manifestowania niepopularnych lub radykalnych poglądów (najczęściej „wbrew", „przeciw" lub „mimo wszystko"). Krytyka to także rodzaj (rozpisanej na eseje, felietony i recenzje) szczerej, nadmiernie odkrywającej tego, kto pisze - autobiografii. To również zapis z pogranicza duchowego ekshibicjonizmu (nierzadko wprawiający w zakłopotanie tego, kto zajmuje się przekładaniem obrazu na słowo) zapis demaskujący, obnażający tożsamość interpretatora dzieła. Dzieła odbieranego z emocją, na spięciach, odrzucanego i przywracanego do łask, raz zrzucanego z piedestału, kiedy indziej podnoszonego do rangi relikwii, przedmiotu osobistego kultu, obiektu zauroczenia.

Jan Błoński, badacz metafizycznej poezji baroku, rozsmakowany w ożywczej muzyce prozy Marcela Prousta – nazywał proces odbioru dzieła w poetycki, metaforyczny i nieporównanie bardziej elegancki, niż prezentowany powyżej - sposób. Dla niego obcowanie z dobrym tekstem, czy poruszającym, budzącym emocje artefaktem - znaczyło tyle, co „widzieć jasno w zachwyceniu".[3] I nie były to tylko efektowne, ładnie brzmiące słowa. Autor zbioru esejów, poświęconych twórczosci francuskiego mistrza narracji, budowanej kunsztownie, na wzór konstrukcji katedry – przyznawał, że po lekturze cyklu powieściowego Prousta nic już nie sprawia przyjemności, nie cieszy. „Z tej lektury, która trwała całą wiosnę, wyszedłem odmieniony." – wyznawał Błoński w krótkim, lapidarnym wstępie. – „Pewnego dnia spostrzegłem, że inaczej patrzę, inaczej widzę, że świat zmienił – barwę, klimat? Że odnowił się, wzbogacił, rozbłysnął."[4]

Myślę, że ja także po analizie wybranych dzieł Pawła Wyborskiego – „wychodzę odmieniona". I muszę przyznać, że owa zmiana, która się we mnie dokonywała (lub może nadal dokonuje) nie była aktem jednorazowym, a raczej, zmuszającym do weryfikacji dotychczasowych przekonań - procesem. Żeby przygotować się do rzetelnej analizy wybranych kompozycji malarskich musiałam sięgnąć do motywów biblijnych, oryginalnych przedmiotów kultu, do symboli i ich odczytań (istniejących w świadomości zbiorowej w sposób dość wątpliwy) i popatrzeć na nie z innej, nie obcej mi wcześniej perspektywy.

W tym sensie malarstwo to pełni rolę terapeutyczną, epatuje spokojem, wycisza wewnętrznie tego, kto godzi się takiej sztuki, inspirowanej sferą sacrum doświadczać i ją uważnie studiować.

Być może właśnie dlatego, że dane mi było patrzeć „w zachwyceniu" i widzieć „jasno" - do przygotowywania dłuższej wypowiedzi na temat twórczosci Pawła Wyborskiego – zabierałam się przez kilka ostatnich lat. Do niektórych kompozycji powracałam wielokrotnie i one to zapisywały się w mojej pamięci za sprawą dominanty różnych odcieni złota, aż po ugier i brązy, złota zestawianego z ciepłymi błękitami i intensywną czerwienią. Kompozycje owe, odwołujące się do odwiecznej symboliki barw - intrygowały fakturą lub jej ewidentnym brakiem, równoczesną obecnością powierzchni gładkich, połyskliwych i chropawych, takich z supłami, zgrubieniami zastygłej farby. Intrygowały celowym odsłanianiem struktury podobrazia, owej materii o specyficznej, przywodzącej niekiedy skojarzenia ze zgrzebnym, surowym płótnem, niekiedy z wyszukaną, koronkową, orientalną ornamentyką, raz z żywą tkanką, kiedy indziej z woalem, niemal transparentną, delikatną przesłoną.

Zawsze jednak, ilekroć zabierałam się do pisania - doświadczałam (i nie ma w tym wyznaniu cienia kokieterii, jest – konstatacja faktu) swoistej, intelektualnej niemocy, bezradności zawodowego krytyka, wobec postawy malarza, który sam komentuje swe prace, podaje dopuszczalne interpretacje, ujawnia intencje - stawiając piszącego w nader trudnej sytuacji, niemal bez wyjścia, pod murem. Bywają jednak drzwi w murze, bywają (tak jak w malarskich wizjach pana Pawła) szczeliny, pęknięcia, prześwity. Wyjście zatem okazało się możliwe. Wyjście logiczne i proste, mimo że nieco prowokacyjne i przewrotne, na tyle jednak umotywowane by nie zanudzić czytelnika i nie urazić artysty.

Malarz przyjął tu bowiem postawę zrozumiałą i do pewnego stopnia naturalną. Artyści nie ufają krytykom i nie bez podstaw. Współczesne pisanie o sztuce sprowadza się albo do przytaczania anegdot i plotek, albo do (niezbyt profesjonalnych) wywiadów i sprawozdań „z pracowni". Jeżeli trafiają się wypowiedzi nieco bardziej oryginalne, ciekawsze – to zwykle ich autorzy stosują krytykę ad personam, niezmiernie rzadko - ad rem. Dla badacza dzieł sztuki, przyznającego sobie prawo do emocjonalnego, spontanicznego ich odbioru – najlepszym rozwiązaniem okazuje się zatem postawa charakterystyczna dla hermeneutyki, owej sztuki rozumienia i interpretowania, która (zgodnie z koncepcją Gadamera) koncentruje się na pięknie.

Jak ujął to autor wstępu do „Prawdy i metody" – „Sztuka najlepiej ilustruje ogólny charakter poznania jako przystawania w świetle bytu. Światło piękna to nawet coś więcej, bo pośrednik między ideą a zjawiskiem. Piękno jest zarówno ideą, jak świeceniem, a więc wręcz czymś zmysłowym. Piękno jest światłem bytu."[5]

Myślę, że nie okaże się nadinterpretacją stwierdzenie, iż to właśnie owo światło, światło piękna i prawdy (czyli dwóch najwyższych wartości, począwszy od systemu Platońskiej „Triady", a na filozoficznej refleksji Gadamera skończywszy) przenika cykle prac Pawła Wyborskiego, zatytułowane „Całuny" i „Mandyliony", datowane na lata 2004 – 2007.

Wypadałoby w tym miejscu przypomnieć czym okazuje się całun i mandylion w sztuce oraz jakie skojarzenia oba te (jakże osobne, mimo pewnych podobieństw natury formalnej) obiekty religijnego kultu wyzwalają. Całun to płachta, płótno z pośmiertnym śladem obecności, śladem odciśniętym (lub wypalonym) na powierzchni materii, wnikającym w nią samą, utrwalonym w jej splotach, zagięciach, strukturze. →

To zapis obecności Ducha lub może raczej śladów owej duchowej obecności utrwalonych w konkretnym, traktowanym na prawach „dowodu rzeczowego" i nierzadko poddawanego badaniom naukowym, jak ma to miejsce w przypadku Całunu Turyńskiego – przedmiocie. Tak, więc przedmiot kultu posiada dwa, pozornie skontrastowane ze sobą, ale w istocie dopełniające się - wymiary: jeden materialny, fizyczny, poznawalny zmysłowo i drugi – tylko pozornie od owej fizyczności oderwany, przynależny sferze mistycznego, religijnego przeżycia.

Pawła Wyborskiego zdaje się fascynować właśnie ten bardziej „materialny" wymiar, co nie znaczy, że nie docenia on transcendentnych walorów obiektu. I tak całuny i mandyliony z lat 1999 - 2007, w których artysta stosuje tę sama strategię, ten sam proces tworzenia - mają charakter niemal abstrakcyjnych przedstawień, mimo że w niektórych z nich doszukać się można delikatnych śladów wizerunku człowieka. Nie są to jednak ślady narzucające się lub nadmiernie wyraziste, czytelne, a raczej świetlne plamy, refleksy zogniskowane jak w soczewce, w jednym lub w kilku punktach.

Tak, więc w całunach odnaleźć można bardzo osobiste impresje na temat motywu twarzy, głowy lub całej sylwety postaci spowitej w pośmiertne płótno. Ten sposób myślenia o przedmiocie znajduje odzwierciedlenie w technologii wykonania konkretnych kompozycji, prac które miały okazać się milczącymi świadkami transformacji sfery Materii (odciśniętego na tkaninie ciała) w sferę emanacji Ducha. Całun (podobnie jak mandylion i ikona) okazywał się „materialnym tropem", przeczuciem owych mistycznych przeobrażeń, kwestionujących fałszywe (wpajane przez tradycyjna naukę) przekonanie o sprzeczność tego, co moglibyśmy nazwać dwoma rodzajami, przenikającego się i dopełniającego trwania: „rzeczywistości jawnej" i „niejawnej".6 Owo poczucie, że nie istnieje wyraźna granica między sferą Ducha i Materii (celowo używam tu „wielkich liter", by podkreślić równorzędne znaczenie obu tych sfer) znajduje odzwierciedlenie w samym procesie twórczym, o którym pisze artysta. „Posługiwałem się grubą tłustą farbą, mieszaną z żywicami: głównie terpentyną wenecką, medium flamandzkim czy olejem orzechowym." – pisze w jednym z listów malarz – „Zużywałem duże objętości farby, używałem niemal wyłącznie szpachli. Dążyłem do uzyskania konsystencji ciągliwej, tekstylnej, tak aby tkać farbą. Na boku przygotowywałem warstwy farby, zostawiałem do wyschnięcia, potem wycinałem i przyklejałem do obrazu."

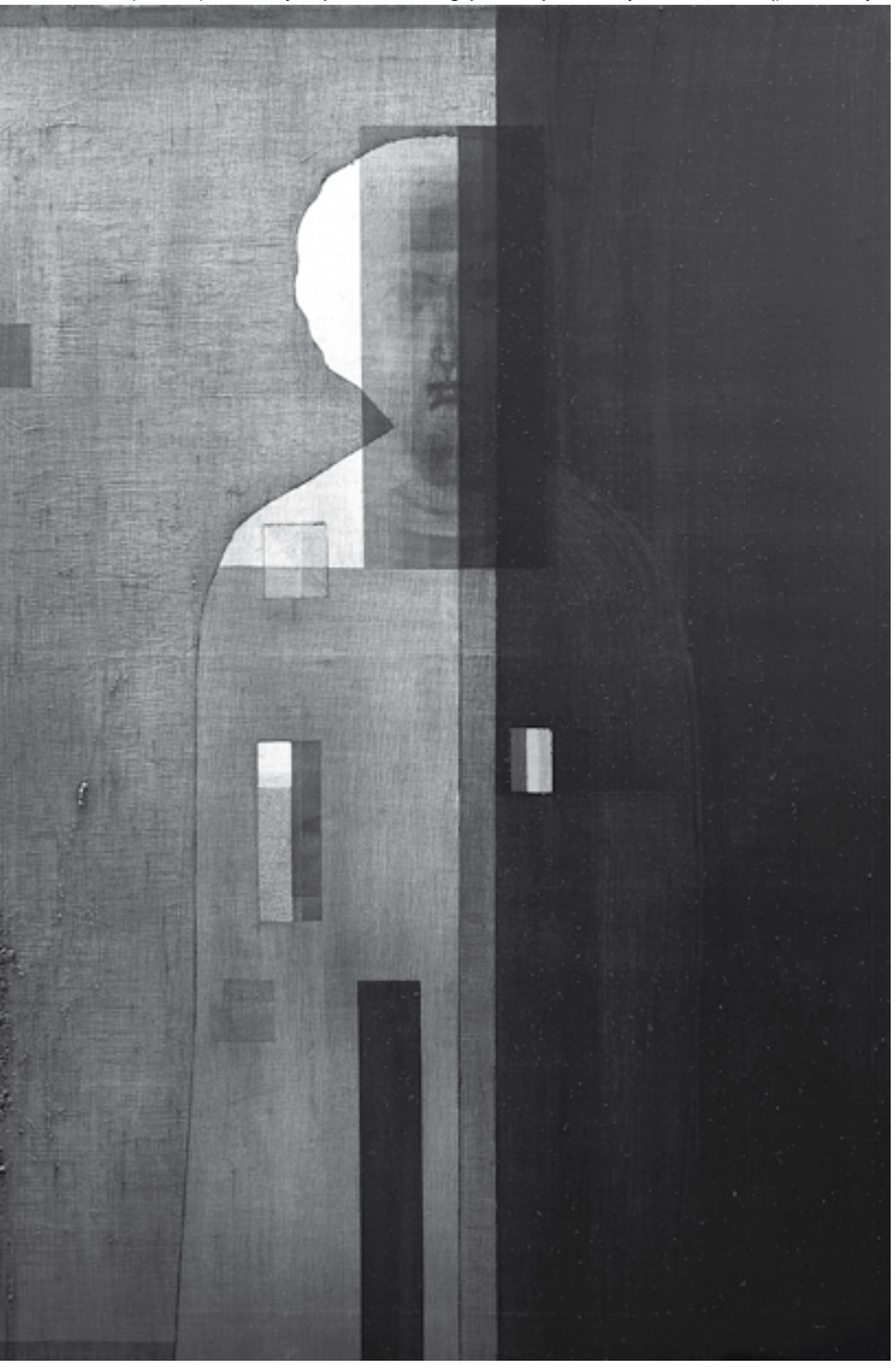

Natomiast mandylion, występujący w ikonografii od VI wieku posiadał (jeśli sięgnąć do historii, do źródeł) znacznie bardziej rygorystyczną, mniej „przypadkową" kompozycję: przedstawiał bowiem twarz Chrystusa, pokazaną na tle krzyża lub jak określa się to, na poziomie wiedzy encyklopedycznej – oblicze Chrystusa wpisane w nimb krzyżowy, ukazane na białej chuście. Znamienne jest, że w obu przypadkach (i całunu i mandylionu) mamy do czynienia zarówno z materialnym przedmiotem kultu jak i ze swoistym dziełem sztuki. Ta dwoistość nie jest bez znaczenia! Przedmiot kultu dotyka sfery mistycznej, tajemnej i jego genealogia oraz sposób egzystencji pozostaje wieczną tajemnicą, podczas gdy dzieło sztuki jest efektem natchnienia, które zapisać można tylko dzięki doskonałości warsztatu, znajomości technik, umiejętnego korzystania z eksperymentów, prób i poszukiwań.

Dla Pawła Wyborskiego mandyliony stanowią uzupełnienie całunów lub (jeżeli przyjąć perspektywę pracy cyklami) kolejny etap jego osobistych rozważań na temat materialnego bytu przedmiotów kultu. Wypowiada się na ten temat w jednym z listów, które stanowią odpowiedź na moje pytania o warsztat, o sposób wykorzystywania narzędzi i materiałów, formalnych środków ekspresji. „Mandylion mógł być wszak odbiciem twarzy" – pisze artysta – „trzeba było zatem zachować jakoś tę pierwotną cielesność, środkiem do tego była właśnie tłusta, „cielesna", dosłownie „mięsna farba" o różnicowanej fakturze, wycinana i doklejana, mieszana dla uzyskania dodatkowej szorstkości, na której lepiej osadzał się finalny laserunek, drapana, bardzo często po prostu cięta szpachlą, albo też i doklejana w całych zastygłych kawałkach." Kolejne fragmenty to już tylko opis wyciszania, wygładzania owej malarskiej struktury, która pojawia się w następnych cyklach aż po ikonę i „obrazy o ikonach", kiedy to „faktura zaczęła się uspokajać i wypłaszczać."

Co ciekawe, pisanie o wyciszaniu malarskiej struktury, widocznym w ikonach i w owych śladach po ikonie - prowadzi do zmiany sposobu narracji. Oto Paweł Wyborski rezygnuje z narracji typowej dla listu, pamiętnika, dziennika, z narracji dzięki której wyraźnie zaznaczała się obecność „Ja", a piszący okazywał się kreatorem świata przedstawionego, świadomym dokonywanych wyborów. Owa zmiana sposobu pisania, podobnie jak zmiana w sposobie podejścia do faktury i struktury obrazu – wszystko to wskazuje na zakamuflowaną, być może intuicyjną i podświadomą zmianę w postrzeganiu roli artysty. Oto artysta nie

jest już (jak miało to miejsce w renesansowych wyobrażeniach) owym kreatorem, równym Bogu-Artyście, co to „pięknie gwiazdami niebo uhaftował", a staje się swoistym „medium", ze zdziwieniem i jakby „z boku" obserwującym ciągłość i niezwykłość procesu tworzenia, procesu który zdaje się go ponosić, uskrzydlać.

Pisząc o zmianie podejścia do faktury i struktury malowanych później, po owych całunach i mandylionach obrazów – malarz podkreśla: „Był to ten moment (...) w którym zaczęło się to definitywne przesunięcie w stronę stylistyki ikony, sporo wcześniej zanim zostało to wyrażone w jednoznaczny sposób we własnym projekcie „obrazów o ikonach" (obrazy o ikonach wykluły się w latach 2013-2014)." Ta zmiana perspektywy, zmiana postrzegania procesu twórczego – posiada również głębsze znaczenie. Oto, gdy tworzymy w natchnieniu, w momencie iluminacji, olśnienia – efekt naszej pracy wymyka się wcześniejszym założeniom, zdaje się przerastać nasze oczekiwania i zamiary. Dzieje się to tym bardziej wiarygodnie, że dzieło sztuki stanowi zawsze formę otwartą, mieszczącą w sobie potencjał wielu konkretyzacji i odczytań.

Jak przyznawał Umberto Eco i Hans-Georg Gadamer (obaj, mimo odmiennych postaw estetyczno-filozoficznych interesowali się sposobami odbioru dzieła) - dzieło sztuki nie jest formą skończoną, dopowiedzianą do ostatka, zamkniętą, mimo jego zakorzenienia w tradycji i kulturze. Według Gadamera bowiem „Sens dzieła sztuki (...) jest sensem hermeneutycznym, rodzącym się w dialogu dzieła sztuki i widza, w zapośredniczonym przez rozumiejącą aktywność odbiorcy."7 W tej samej epoce, bo w drugiej połowie XX stulecia, Umberto Eco, odwołując się do fenomenologii Romana Ingardena i publikując swe rozważania na temat „dzieła otwartego", definiował dzieło jako „propozycję możliwości interpretacyjnych, układ bodźców, których zasadniczą cechą jest ich nieokreśloność, sprawiająca, że odbiorca zmuszony jest do całej serii nieustannie zmieniających się odczytań."8

Malowanie cyklami staje się przeto zaczynem dla rozważań na temat „dzieła otwartego" lub inaczej „dzieła sztuki w procesie", dzieła które „stwarza się" wciąż od nowa, otwiera ku nowym przestrzeniom interpretacji i dialogu. Owa „otwartość" realizuje się również w procesie „stwarzania się", odautorskiej interpretacji tego samego motywu lub tematu, tak jakby artysta koncentrował swą uwagę nie tyle na możliwej wielości odczytań dzieła, ile na rozmowie, wewnętrznym dialogu nie tylko z sobą samym, ale także z jakimś domniemanym Wszechbytem, z Absolutem.

Jak wspomina współczesny historyk sztuki, który dla potrzeb prowadzonych przez siebie rozważań wprowadza termin „dzieła w procesie" – „O wyjątkowości sztuki w procesie decyduje raczej to, że otwartość nie ujawnia się w relacji odbiorca – dzieło, lecz w relacji twórca – dzieło sztuki. (...) Warunkiem zrealizowania potencjalnej otwartości sztuki w procesie jest nieustanne wytwarzanie dzieła, nie zaś aktywna postawa odbiorcy."9

Paweł Wyborski (artysta doświadczony, aktywny, z sercem i głową otwartą na sztukę i jej historię) maluje cyklami i to właśnie analiza owych cykli układa się w zapis, biegnącej spokojnie, po prostej, wyraźnie wytyczonej drogi. Oto „Obrazy o ikonach", cykl wyznaczający dalszy ciąg poszukiwań formalnych, zafascynowanego tkanką, materią, możliwościami malarskiego tworzywa - artysty. W obrazach o ikonach czas ulega nagłemu zatrzymaniu, podobnie jak miało to miejsce w całunach i mandylionach. Powstaje cykl kompozycji „wyciszonych", figuralnych, malowanych oszczędnie położoną farbą, zapewne miejscami wcieraną w podłoże, tak żeby pokazać splot, fakturę, materię podobrazia, strukturę tkaniny, klarownych w rysunku, mocno przestylizowanych postaci. Oto „Daniel", „George", „Salomon Great", „Salomon Mniejszy". Owej stylizacji, świadomej dyscyplinie w doborze środków ekspresji, wyraźnie zmierzającej ku ascezie, owemu syntetycznemu ujęciu przedmiotu – służy geometryczny, płaski obrys, sprzyjający odczytaniu każdej z kompozycji w kategoriach znaku, symbolu.

Mamy zatem symbol postaci Salomona, Daniela, Georgea. Symbol czyli znak, odnoszący się do innej, niż ta przedstawiona bezpośrednio treści, która w istocie (jeżeli odwołać się do teorii Umberto Eco) powinna zostać potraktowana jako „jednostka kulturowa". Nieprzypadkowo bowiem, zdaniem współczesnego interpretatora koncepcji estetycznych Eco między przedmiotem, a znakiem, który może konkretyzować się w formie obrazu istnieje „sieć kodów kulturowych, a więc decydujące znaczenie w konwencji ikonicznej ma nie naoczność – to jest forma, a przede wszystkim treść. Tak, więc jeżeli jakiś obraz jest podobny do przedstawianego przedmiotu, jak choćby portret do osoby portretowanej, to nie oznacza to, że podobieństwo to powstało samoistnie, lecz że zostało stworzone na mocy konwencji kulturowej."10

Zatem wpatrując się w ikonę (szczególnie rygorystyczną i wymagającą formę malarskiej wypowiedzi) lub w dzieło powstałe z inspiracji ikoną – „widzi się" w istocie to wszystko, co ona ewokuje w przestrzeni kultury, poza konkretnym miejscem i czasem. I co ciekawe, doświadczenie to wydaje się zgodne z założeniem teologicznym, które głosi jakoby sama ikona nie była „piękna", ale „prawda, która w nią zstępuje i przybiera jej postać."11

W kompozycjach figuralnych Pana Pawła – ta prawda emanuje z tła, tak jak z tła emanuje światło. Oto symboliczny zapis osoby Daniela - biblijnego mędrca, proroka, doświadczającego apokaliptycznych wizji, interpretatora snów. Daniel, którego imię (tłumaczone z języka hebrajskiego) oznacza „Bóg moim sędzią" lub „Sędzia Boży" wydaje się tak samo zagadkowy i niejednoznaczny jak owo tłumaczenie.

W dziele współczesnego malarza – Daniel to kwintesencja milczenia, majestatycznej, wszechobecnej ciszy. To także strażnik sfery sacrum, Transcendentnej Tajemnicy, którą zna i której tak dostojnie strzeże. Brak obecności iluzji czasu, brak punktu odniesienia nie tyle w przestrzeni, co na płaszczyźnie obrazu, a nade wszystko ułożenie dłoni, lekkie pochylenie pokazanej niemal z profilu głowy, głęboko osadzone, powleczone brązem oczy – wszystko to sprawia, że płaska sylweta Daniela staje się wyrazistym, graficznym znakiem na (malowanej laserunkiem) płaszczyźnie. W tle złota materia podobrazia, z celowo zachowaną i ujawnioną strukturą tkaniny, światło rozproszone, sączące się znowu skądś, z wewnątrz i delikatny obrys, ślad ornamentu, stanowiący (bardzo umowną) ramę.

W konsekwencji cykl „Obrazów o ikonach" staje się inspiracją do tworzenia kolejnych sekwencji kompozycji o charakterze abstrakcyjnym, których istotę stanowi nie tyle motyw pierwszego planu, ile owo (nieledwie naznaczone śladami ornamentów i form geometrycznych, wymykające się jednoznacznym interpretacjom) tło.

„Warsztat pozostaje teraz skupiony, wyciszony." – pisze artysta, komentując swe drogi dochodzenia do cykli inspirowanych ikoną – „Złote kolory wciąż ucieram sam, dzisiaj stosuję mieszankę różnych mediów, sprawdzoną recepturę olejowo-żywiczną, sam ją sporządzam oczywiście. kwestia transparentności warstwy malarskiej jest dziś kluczowa, bo ten dzisiejszy warsztat opiera się na budowaniu przezroczystości, warstwa po warstwie, finalny efekt budują zwielokrotnione warstwy transparentne, które mają zapewnić malarską toń, głębię." Przywołany tutaj fragment niechaj posłuży za (dość umowne) zakończenie. Wszak esej to także forma otwarta, wolna od pointy, unikająca arbitralnych sądów, dopowiedzeń. Dla krytyka esej to przede wszystkim próba opisu i interpretacji, próba własnych, subiektywnych rozważań inspirowanych dziełem sztuki. To wreszcie próba wchodzenia w świat wyobrażeń artysty, które dla osoby piszacej stają się zaczynem intrygującej i zawsze samotnej wędrówki w głąb siebie.

Małgorzata Dorna (Wendrychowska),
czerwiec - sierpień 2022

Komentarz Danuty Rutkowskiej-Adamskiej do powyższego tekstu o Pawle Wyborskim:

„Z punktu widzenia wielowymiarowej fizyki kwantowej wszechświat stanowi sobą wielowymiarową hipersferę, w której wszystkie obszary (jawne i ukryte przed naszą percepcją) są w sobie wzajemnie zagłębione. My też jesteśmy wielowymiarowi, gdyż wielowymiarowy jest nasz kompleks świadomościowy, co oznacza, że sfery substancjalnej i subtelnej („duchowej") materii wzajemnie się przenikają. Nie jest to już tylko domniemanie, lecz solidna wiedza naukowa, choć wciąż jeszcze nie zaakceptowana przez konwencję). W tym świetle każdy akt artystycznej kreacji jest interpretacją rzeczywistości, w której część jawna prezentuje się na tle rzeczywistości ukrytej. Przy takim podejściu do sfer ducha i materii bez trudu odnajdziemy ślady realnego istnienia złożonej rzeczywistości w twórczościach artystycznych (są to jej indywidualne interpretacje). Z tej narracji wyłamuje się jednak całun turyński, który może stanowić sobą nie akt artystycznej kreacji, lecz dowód przenikania się rzeczywistości jawnej i ukrytej, która ujawniła się w momencie opuszczenia materii organicznej przez tę subtelną (ukrytą przed naszą percepcją) część kompleksu świadomościowego, która organizowała i kontrolowała przebieg procesu życiowego ciała."

(Danuta Adamska-Rutkowska, Świadomość fenomenem wielowymiarowej fizyki kwantowej, PDF, Warszawa 2022).

Małgorzata Dorna - Wendrychowska

---

1 P. Dybel, Sztuka jako święto w hermeneutyce Hansa-Georga Gadamera, Uwagi na marginesie „Aktualności piękna", Teksty Drugie 2013, z.4, s. 297
2 J. Ortega Y Gasset, Dehumanizacja sztuki i inne eseje, Warszawa 1980, s. 31
3 J. Błoński, Widzieć jasno w zachwyceniu, Szkic literacki o twórczosci Prousta, Warszawa 1965
4 J. Błoński, Widzieć jasno w zachwyceniu, dz. cyt., s. 7
5 B. Baran, Wstęp do Prawdy i metody, H. G. Gadamer, Prawda i metoda, Kraków 1993, s. 15
6 Głęboki sens istnienia owej „rzeczywistości niejawnej" (termin stworzony przez autorkę przywołanych tutaj rozważań) podobnie jak holistycznego podejścia do sfery ducha i materii, które odnaleźć można w eksperymentach i poszukiwaniach współczesnej plastyki - znajduje potwierdzenie w pracach naukowych Danuty Adamskiej-Rutkowskiej, badaczki świadomości wielowymiarowej, autorki cyklu publikacji na ten właśnie temat.
7 Ł. Białkowski, Sztuka w procesie jako typ dzieła otwartego, https://pjaesthetics.uj.edu.pl/documents/138618288/139072475/08_sztuka_w_procesie.pdf/5fe0de97-3c2d-4253-8556-37addd58f755 (dostęp: 10. VI. 2022)
8 Za: Ł. Białkowski, Sztuka w procesie jako typ dzieła otwartego, dz. cyt., (dostęp: 10. VI. 2022)
9 Ł. Białkowski, Sztuka w procesie jako typ dzieła otwartego, dz. cyt., (dostęp: 10. VI. 2022)
10 M. Czerwiński, Kultura, Dyskurs, Znak, Kraków 2015, s. 49 - 50
11 P. Evdovkinow, Sztuka ikony. Teologia piękna, Warszawa 2003, s. 182

OPOWIADANIE

Roman Warszewski

Dzień, gdy wypłynęła ryba

Niepokój pojawił się wraz z pierwszymi porannymi mgłami i osadzał się na krawędziach liści, które coraz gęściej zaścielały alejki śródmiejskich parków. Liście szeleściły, łamały się pod ciężkimi krokami ludzi, osypywały się, to znów - przywoływane na powrót do życia gwałtowniejszymi podmuchami wiatru - podrywały się do krótkiego lotu; w końcu - starte na pył – wyrównywały załamania bruku.

Po kilku dniach szelest ten przeszedł w szept i trudno rozstrzygnąć, co było najpierw - ludzkie ściszone głosy i gesty wykonywane ukradkiem, czy też właśnie ten szelest – ów szmer uległości mający w sobie coś z poddaństwa i cichego szlochu zduszonego rękawem. „Kto od kogo się uczył?" – to pytanie pada do dziś; „Ludzie od liści słuchając ich co dnia, czy może na odwrót?" Podobnie - nie sposób obecnie dociec jak ów niepokój stał się wszechobecny; jak zdołał się przedostać do tych najtrudniejszych do sforsowania twierdz - jak wsączył się w codzienność, w rytm przyspieszonych kroków w poszukiwaniach szczęścia, jak wpełzł do tych pokojów na poddaszach i na śródokręciu z wielkiej płyty.

Jedno nie ulega wątpliwości: w ślad za niepokojem pojawiły się ryby. Podpływały ku brzegom gnane tym samym wiatrem, który liściom kazał zataczać coraz szersze kręgi. Rybacy tupotali po drewnianych nabrzeżach, terkotali na przerdzewiałych silnikach swych kutrów, przed rozbryzgującą się falą kryli się w gumowych kapturo–kołnierzach. Ryb były ogromne, nieprzebrane tabuny, morze aż po horyzont posiniało od ich mnogości. Płynęły nieprzytomnie, niczym lemingi prowadzone zgubnym instynktem w głębiny; w uporczywości tego płynięcia sprawiały wrażenie jakby ktoś nakazał im sforsować granicę dzielącą przybrzeżne laguny od stałego lądu.

Było ich więcej niż w najbardziej dostatnich latach. Oka rybackich sieci pękały pod naporem zbitych ciał pokrytych śluzem. Ławice – jak pogrążone we śnie – rybakom same wpadały w ręce zakończone sieciami, a małe stateczki zmuszone były przebijać się przez całe rybne góry; wyrastały one z dna, a kończyły się w cieplejszych, podpowierzchniowych warstwach wód. Szyprowie zbijali się w pokaźne grupki na dziobach kutrów, chcąc się nasycić niebywałym widokiem; chcąc go złożyć niczym tłuszcz w wielbłądzim garbie na czas głodu – bili zakłady: czy to jeszcze morze, czy też stały ląd stworzony ręką piątego żywiołu, którym w tym roku okrzyknięto węgorzową plagę? Zaraz potem na pokładach pito samogon na rybich kręgosłupach, by rano znów móc kręcić kołowrotem i chwycić za sieci; by z triumfem i pełną ładownią móc przybić do nabrzeży.

Gdy naukowcy – pragnąc wyjaśnić niezwykły fenomen – ślęczeli nad raportami i zbierali siły, by z godnością, doniośle odtrąbić najbliższe dziesięciolecie jako „Dekadę Ryby", „Czas Rybnego Dostatku i Rybiej Karty" (którą – w domyśle – trzeba odpowiednio rozegrać) – ktoś z tylnych szeregów, widząc w tym szansę dla siebie – uderzył na alarm: „Bo ryby, jak im się dobrze przyjrzeć – mają rumieńce! Są jak poparzone, pręgowane fioletem, różem, a nawet zielenią! Ryby – mówiono coraz głośniej - zatrute są najwidoczniej jadem! Przybyły z głębin tylko po to, ażeby w pianie przyboju odtańczyć swój tan śmierci i dokonać żywota na miałkim piasku plaż.

Niepokój, o którym zapomniano w obliczu rybiego rogu obfitości na tydzień, czy dwa, ożył na nowo, potężniał z dnia na dzień, a że nie mógł już gromadzić się na obrzeżach liści wymiecionych ręką Służby Odgarniania, kropla za kroplą, zwolna, zaczął wlewać się w ludzkie serca.

W niemym odruchu wzrok wszystkich skierował się na kominy zakończone czapą dymu, na rdzawe rury kończące się w piasku plaż, z których wyciekała ślimacza ciecz. te same kolory, którymi oddychało miasto, te same pręgi koloru tęczy rozbiegające się od wylotu rur w głąb zatoki, pojawiły się teraz na rybich ciałach. Tym samym odcieniem pękały owrzodzone rybie ciała wyciągnięte z kipieli przyboju. Nie trzeba już było ani owalnych stołów, ani łokci zaścielających blaty biurek, przy których toczono dysputy – nikt nie miał wątpliwości czemu należy przypisać tak obfite pokosy ryby ogłupiałej w roztworze trucizny. „Winny jest tam!" – krzyczano pokazując palcem na przemian to w górę, to w dół: raz na dymy, raz na łachy chemicznej akwareli na przybrzeżnym piasku i na omywanych falami kamieniach.

Ryb tymczasem przybywało. Docierały do brzegu i tu fala wynosiła je do linii gdzie w piach wsiąkały słone jęzory przypływu. Po następnym tygodniu dla patrzącego z pewnej odległości, linia brzegowa uchodzić mogła za ciąg silnie ufortyfikowanych umocnień i betonowych wałów przeciw desantowi, który w związku z szeptami, szelestem suchych liści i ogólnym niepokojem mógł się lada dzień rozpocząć. Nie mógł być to jednak beton (bo już przecież w Roku Bardzo Chudej Krowy zatrzymano produkcję cementu), ani zbrojna forteca (co wynikało z podpisów złożonych na papierze) - były to (najpierw) miliony, (potem) miliardy długich rybich cielsk, które pękały wzdłuż grzbietów i bielejących brzuchów; z których na przybrzeżny żwir wylewały się wnętrzności żeby rozpełznąć się na boki soplami tego samego koloru co dym i wyziewy wypluwane z pordzewiałych rur.

Na szklanych ekranach zaczęto mówić o Rybiej Cenie, którą trzeba zapłacić (dodawano: „z godnością", „ze świadomością Prawdziwego Rybaka") i na dowód długim wskaźnikiem na kolorowych planszach ci sami mężczyźni, którzy przed chwilą wstali zza owalnych stołów, pokazywali różne krzywe stromo pnące się w górę; wszystko to po to, by przekonać, że co jak co, ale taką cenę – Cenę Zatrutej Ryby – naprawdę warto zapłacić.

Rzadko kto mógł jednak zmrużyć oko. Strach padł na rybacką nację. Niepokój – ten sam, który zaczął się od suchych liści – zadomowił się już na dobre. Niczym ośmiornica porzucona wśród rybich głów i przebitych rybich pęcherzy na miejskim śmietnisku, spłatach i rozplatał swe macki, napinał mięśnie. Już nie tyle, że wsączał się jak kropla dodawana do kropli, ale wlewał się całymi strugami w uliczne studzienki. Rozpoczęła się jesienna szaruga; on zaś - zagnieździł się za wilgotnymi kołnierzami idących dzień w dzień z rana w stronę portu, w narożnikach przepuszczających wilgoć i chłód izb, także – na coraz bardziej pustoszejących targowiskach. Popłoch wynikał stąd, że magazyny nie chciały już przyjmować nowych ton rybiej mazi i że zamorscy kupcy potrząsali przecząco głowami: czym prędzej regulowali hotelowe rachunki, by zdążyć przed początkiem coraz bardziej nieuchronnej rybiej zarazy.

Bo rzeczywiście: powietrze nad miastem stawało się coraz cięższe. Wiatr dął niesamowicie – przynosił z sobą najpierw sól i szeroko reklamowany ozon, potem – zapach natartej tawotem blachy z jakiej w stoczniach wykuwa się najpotężniejsze krążowniki; wreszcie – obie te warstwy nakryte zostały odorem zatykającym dech w krtani. Słońce od czasu do czasu wyzierało zza jesiennych chmur i przyspieszało rozkład rybich ciał, których hałdy zrównały się z wysokością wydm. Powietrze stawało się coraz bardziej ołowiane, coraz bardziej naładowane elektrycznością, krok za krokiem bardziej morowe. Wszechobecny zapach dżumy doprawiony rybim zaduchem i pióropuszami dymu pnącymi się coraz wyżej ku niebu – stał się zaraźliwy: tynk domów począł odpadać całymi płatami, kolejowe szyny zwijały się pod jego wpływem mimo wzmocnienia patroli kontrolujących najważniejsze linie, a niekiedy tyle się go nazbierało w piwnicach co okazalszych gmachów, że budynek w nocy po prostu nie wytrzymywał jego naporu i z hukiem wylatywał w powietrze.

Ludzie zaczęli zachowywać się jak ryby – coraz pokaźniejsze tłumy gromadziły się wieczorami na placach nieopodal śródmiejskich parków. Wychodzili z najtajniejszych zakamarków, z sutener i poddaszy. Nikt nigdy nie przypuszczał, że jest ich aż tylu - tyle zapadłych oczu, tyle szpiczastych nosów i ostro zarysowanych podbródków; tyle smutku i rozpaczy, tyle słów i uderzeń pięścią w stół.

W tym pulsującym tłumie najczęstszym tematem był głód. Magazyny nie były już w stanie pomieścić odgłowionego, rybiego trupa, a nikt nie kwapił się do kupna owoców zaskakującego urodzaju. „Co będziemy jeść?" – pytano powszechnie w tych wieczornych godzinach. A gdy tłum mówi „tak" – jest to tylko szmer jak szelest spadających liści odrywanych od pnia; gdy mówi o głodzie – brzmi to jak wielokrotna błyskawica, na którą odpowiedzieć trzeba grzmotem.

Policja wkraczała do akcji kilkakrotnie wzmocniona ochotnikami Służby Odgarniania. Strzały płoszyły ludzką masę, a łzawy tuman zmuszał do odwrotu. „Tłum przypominał - mówiono o tym potem – ślepego słonia, którego można było zagnać za pręty klatki nakłuwając najcieńszą ze szpilek w miejscu poniżej kolana lewej, tylnej nogi". Po kilkakrotnej powtórce tego manewru,

na szklanych ekranach wezwano do spokoju i dyscypliny, do przeciwstawienia się niepokojowi, do którego nie było żadnego powodu. Pomocny okazał się ciepły i miękki głos spikera patrzącego prosto w cyklopie oko kamery. Zapowiedziano podjęcie odpowiednich kroków.

Nakazem chwili – słowa spikera: „było przeciwstawienie się wiszącej w powietrzu rybiej zarazie", a rozhuśtane morze przynosiło wciąż nowe zastępy bezsilnych, pękających przy zetknięciu z lądem rybich ciał porażonych pomorem. Naukowcy w ciągu jednego tygodnia ustalili skład szczepionki, której receptura przekazana została największym ośrodkom przemysłu.

Kominy plunęły czernią jeszcze wyżej, rzeki jeszcze intensywniej spłynęły seledynem. Niedługo trzeba było więc czekać, by nowa, jeszcze wyższa niż poprzednia fala rybich lemingów przyniesiona została ku płyciznom wybrzeża.

Tymczasem prosto od bram fabryk, zbawczą szczepionkę rozwieziono pociągami do wszystkich zakątków kraju, zorganizowano tysiące punktów kwarantanny i iniekcji. Brakowało szpitali i ambulatoriów, w pośpiechu adaptowano wnętrza więzień by móc podołać natłokowi pacjentów i potrzebujących. Jakby z rozpędu i do dziś nikt nie wie dlaczego - chcąc całej sprawie nadać słuszne tempo i rozmach (spiker, łagodny wzrok, schludny, niezbyt szeroki krawat), mimo kłopotów gospodarki, która teraz musiała dostarczyć drogocennych ampułek - wznosić zaczęto nowe więzienia, by zaraz potem móc adaptować je (spiker:) „na szpitale i nieodzowne punkty kwarantanny".

Nikt właściwie nie wie, co się działo za białymi parawanami i pod sklepieniami zakładów odosobnienia. Kuracja zarażonych rybim pomorem była wieloetapowa, długotrwała i nad wyraz uciążliwa tyle przynajmniej można było wnioskować z szeptów przedostających się na zewnątrz. Nikt nie wie dokładnie, czy dożylne zastrzyki musiały być uzupełniane zabiegami chirurgicznymi polegającymi na resekcji zaatakowanych zarazą organów. Zdawały jednak wskazywać na to liczne blizny widoczne na ciałach opuszczających odizolowane od reszty kraju wnętrza, a inne liczne inne ślady zdradzały fakt dokonywania nawet tak poważnych zabiegów jak trepanacja czaszki. Sami lekarze nieśmiało napomykali, że najistotniejsze dla powodzenia akcji (znów spiker:) „było dokładne przebadanie mózgów"; zmiany mające ewentualnie w nich miejsce mogły być najgroźniejsze dla życia pacjenta. Nie sposób było dowiedzieć się czegoś bliższego, bo ci, którzy procedurę uodparniania i leczenia mieli już za sobą, tracili ochotę do rozmów i zdawania dokładniejszych relacji, wszystkie siły przeznaczając na odławianie ryb, których – wiatr znów potężniał – nadal nie ubywało. Można nawet było odnieść wrażenie, że w ogóle zapominali oni o tym, co miało miejsce „tam" w czasie kilkutygodniowej, kilkumiesięcznej, czy – w niektórych, tych najcięższych przypadkach – nawet kilkuletniej kuracji.

Łatwo zrozumieć, że w tym natłoku powinności, wydarzeń i mózgów, które trzeba było udoskonalić – nikt więcej nie zastanawiał się nad tym, co właściwie dalej stało się z niepokojem, który – z nocy na dzień – znikł. Także nikt nie potrafił powiedzieć bez dozy powątpiewania – co było skutkiem, a co przyczyną: czy w końcu doszło do domniemanego poprzednio desantu w związku z szeptami, suchymi liśćmi i ogólnie skomplikowaną sytuacją, czy też może krążowniki po prostu rozpłynęły się we mgle.

Pewne jest natomiast, że naukowcy stanęli na wysokości zadania i że ostatecznie przeforsowali swą tezę: odrzucono zaś głosy tych, którzy twierdzili, że jedynym skutecznym rozwiązaniem kłopotliwej sytuacji może być ograniczenie ekspansji czarnych kominów i pordzewiałych rur kończących się w wodach zatoki. Robocza hipoteza, iż szerzącą się zgniliznę i powszechny rozkład o rybim zapachu można opanować wprowadzając do ludzkiego organizmu wyciąg z węgorzowych mózgów – w praktyce potwierdziła się w pełni. Jedynymi skutkami ubocznymi było to, że poddający się kuracji zyskiwali nieco zmącony wzrok, a ich głosy stawały się bardziej szeleszczące – liściaste można by powiedzieć - i do złudzenia przypominały trzask suchych łodyg wdeptywanych w bruk. Nadto – dokładnych statystyk nie ujawniono – niektórym wyrastały rybie płetwy i zachodziła obawa, że następne pokolenie już dziedzicznie zostanie wyposażone w skrzela. Minusy te równoważone były jednak ogromnym zapałem do pracy, co było tym ważniejsze, że ryb nadal przybywało: jeszcze bardziej pręgowanych, jeszcze szybciej ulegających rozkładowi, jeszcze dotkliwiej cuchnących.

Uspokojenie – podobnie jak poprzednio niepokój – pojawiło się na przełomie następnego lata i jesieni wraz z pierwszymi porannymi mgłami i osadzało się na krawędziach liści, które - podobnie jak rok przedtem - coraz częściej i szczelniej zaścielały alejki śródmiejskich parków. Połowy nadal szły pełną parą. Postanowiono zrezygnować z zagranicznych kontraktów, w zamian ustalono bardzo korzystne ceny skupu węgorzy na rynku wewnętrznym. Metoda w prostocie swej była aż genialna: Ryby – nie czekając by zaczęły się psuć i rozlewać swą trującą zawartość - odkupowano wprost na nabrzeżach w drewnianych budkach, gdzie w wygodnych fotelach zasiadał któryś z bardzo ważnych urzędników. Odpadały więc wszystkie trudności i niedogodności związane z przemieszczaniem rybiej mazi w głąb kraju, a także – konieczność ubezpieczania ładunku w obawie przed działalnością coraz bardziej czujących się bezkarnie rozbójników. Gdy zadowoleni i rumiani rybacy inkasowali pokaźne pliki banknotów, odłowione mięcho wprost z budek ładowano na taśmociągi docierające do peryferii miasta. Tam dostawy oczekiwano już z radością i wśród zacierania rąk – brygady rybaków przekwalifikowanych na kopaczy dołów, którzy także roześmiani, ze świeżymi bliznami i śladami szwów w okolicach ciemienia, rozmieszczali rybę w głębokich wykopach przedzielając jej warstwy palonym wapnem. Po jakimś czasie, gdy doły w połowie wypełnione już były rybno-wapiennym przekładańcem, zasypywano je, a na świeżo zrównane wysypisko wkraczały ekipy budowlane: kładziono fundamenty pod wielki przemysł, który już po roku zakwitał kominami zakończonymi różnokolorowymi wstęgami dymów; który skomplikowaną siecią rur i przepompowni barwione wody poprzemysłowe kierował ku basenom portowym i strefie przyboju.

Rozwój wielkiego przemysłu pozostawał w bezpośrednim związku z marszem kopaczy dołów przygotowujących teren pod jego fundamenty: ci wąsaci mężczyźni o fizjonomiach samogonnych dziadków, upaprani po kolana w rybich kręgosłupach i owrzodzonych ciałach koloru tęczy, musieli wraz z posiłkami regularnie wychylać kwartę bezcennej, wciąż doskonalonej szczepionki neutralizującej wszelkie rybie jady, których – przy ich trybie życia i zawodzie - nie było się w stanie uniknąć. A szczepionkę fabrykowano dla nich dzięki rozbudowie największego z przemysłów, koncentrat czerpano z rybno-wapiennej masy, na której kotwiczono wielkoprzemysłowe fundamenty. Reszty dopełniały nowe rurociągi doprowadzające galaretowatą miksturę poprzez stacje kontrolujące jej stężenie i moc wprost na stanowiska kopania dołów, które wyposażano w krany zakończone smoczkami.

Nie mniejszą troską otaczano liczne punkty kwarantanny; i one były bowiem nadal konieczne, a jakże! Mimo regularnej kontroli medycznej i nadzoru nad jakością ekstraktu, zdarzały się zachorowania wśród przekwalifikowanych rybaków. W tych przypadkach kuracja kończyła się najczęściej pełnym sukcesem i wcale nie trwała długo. Gorzej gdy wirus atakował z zaskoczenia, dając po długim okresie wylęgania nagłą eksplozję objawów – bójkę na wyostrzone łopaty, próbę podpalenia wykopów, czy – najczęściej – próbę samobójstwa. Wtedy proces powracania do zdrowia mógł trwać bardzo długo, zwoływano konsylium, które miało zadecydować o formie i przebiegu kuracji. Niekiedy pacjent nie potrafił znaleźć w sobie tyle woli i siły ażeby móc się przeciwstawić rozpędzonej chorobie. Wtedy - najczęściej o zmroku - poprzez potrójną, rozsuwaną bramę wyjeżdżała ciężarówka, a na jej platformie, w plastykowych worach wywożono zakażone ciało, które następnie strącano do pobliskiego wykopu. (Jeszcze jeden argument przemawiający za bliską lokalizacją). Worek wsysany był przez rybie trzęsawisko, a rano w miejscu takiego pospiesznego pochówku pozostawała tylko podłużna bruzda długości ciała do cna zużytego mężczyzny.

O tych niemiłych, nocnych incydentach starano się jednak nie myśleć, ani nie poruszać ich w rozmowach między sobą. Znacznie chętniej obchodzono urodziny przywódców, chwalono sprawność Służby Odgarniania lub składano gratulacje z okazji imienin konstruktorom najwyższych i najwydajniejszych kominów. Ulubionym tematem publicystycznym było przekonywanie o tym, że wreszcie, że teraz, że w końcu i raz na zawsze nie ma powodów do niepokoju, do wsłuchiwania się w szelest spadających liści, by rozstrzygnąć czy to wiatr, czy może utajone szepty. I było tak rzeczywiście – wszystko miało swoje miejsce, nikt nie miał poważniejszych wątpliwości. Rybacy, a właściwie ich przedstawiciele wybrani spośród załóg najznakomitszych kutrów, podróżowali w głąb kraju zaopatrzeni w krawaty, środki odwaniające i grube koperty. To właśnie w nich zamykano istotę tych ważnych misji. Ukradkiem, pod stołami (tym razem już niekoniecznie owalnymi, lecz jakimikolwiek) prawie od niechcenia – koperty wędrowały do rąk niezdecydowanych technokratów. Były w nich pliki szeleszczących banknotów, które zbierano z dobrowolnych składek mających przekonać o tym, by budować jeszcze więcej wysokich kominów, by jeszcze więcej kilometrów rur położyć wzdłuż plaż; by rzeki spływały coraz bardziej gęstym szlamem, który lepiej byłby w stanie wypłaszać stada ogłupiałych ryb; by ich ławice zmuszać do pochodu ku wybrzeżom, wprost w oka przemyślnie rozstawionych sieci; by - następnie - tą rybią mierzwę móc ładować na taśmociągi zmierzające ku nowym i wciąż nowym kloacznym dołom i kominom zakończonym pióropuszami dymów; by ryby – a raczej to, co kiedyś nimi było – móc zakopywać i przekładać wapnem.

By już nie było powodu do niepokoju.

Roman Warszewski

Rosa Berbel

Egzorcyzm

Przez to całe pisanie o naszych ojcach,
by wymyślać czyny w przeszłości
lub rozmawiać ze sobą o strachu przed byciem samą,
przed niepewnością lub o pragnieniu
bycia samą,
pragnąc jednocześnie być z nimi,
pisać inne rzeczy, kończyć
z wadami i chcieć być,
być może,
bardziej nieprzytomną,
o wiele bardziej nieprzytomną,
przez to całe pisanie o naszych ojcach,

z nienawiścią i pragnąc czasami,
tylko czasami,
mieć inną rodzinę, zamieszkiwać inne miejsca,
tęsknić za różnymi ludźmi,

przez to całe pisanie, by uwolnić się od swojej historii,
od jej smutnych błędów lub jej niepowodzeń
dawnych, stojących w rzędzie,

przez to całe pisanie fałszywych imion,
tylko ich fałszywych imion,
jakby były nasze,
skończymy będąc takie same jak oni.

Przed Dytyrambem Leonory Fini

dla Fátimy

Mężczyźni w garniturach zapisują swoje pomysły
w notatniku A6 w twardej oprawie:
autoportret miłość kanibalizm?
pochodzenie i funkcja dytyrambu.

Poważni mężczyźni w garniturach,
reputacja, sucha skóra,
obserwują spokojnie dwugłową kobietę,
złotego sfinksa, która krzyczy trochę znudzona
na najpiękniejszym płótnie w pokoju.

Wewnątrz obrazu: głosy, linie, kształty,
mistyczny wszechświat, który zaczyna
i kończy się w tych ramach.
A na zewnątrz: tylko oczy,
które chłodno analizują sprawy,
oparte na męskiej nauce.

Co by się stało teraz, nagle,
gdyby kobieta-lew wyszła ze swojej przestrzeni
i raniła mężczyzn swoimi pazurami,
i zapisała bez rąk swoje znaczenie?

Co by się stało, gdyby oni
weszli w głąb rysunku
i spalili swoje ciała i swoje notatki,
i płonęli pięknie i wzniośle,
wzniośle piękni
w obrazie?

Nic.

Anegdota jest
tylko anegdotą,
pyłkiem kurzu
na nieskazitelnym popiersiu Historii.

przełożył Paweł Orzeł
(wiersze z tomu Dziewczynki zawsze mówią prawdę, 2018)

Rosa Berbel (ur. w 1997 r. w Estepa koło Sewilli) – absolwentka Komparatystyki Literackiej oraz Literaturoznastwa i Teatru na Uniwersytecie w Granadzie. Ostatnio opublikowała Los planetas fantasma (2022) w wydawnictwie Tusquets. Jej debiut, Las niñas siempre dicen la verdad (Hiperión, 2018; Dziewczynki zawsze mówią prawdę) został nagrodzony w XXI edycji Nagrody Młodej Poezji im. Antonia Carvajala oraz Andaluzyjską Nagrodą Krytyków RNE w 2019 roku. Jej wiersze pojawiały się w wielu antologiach młodej poezji hiszpańskiej.

Paweł Orzeł (ur. w 1985 r. w Madrycie) – zblazowany prozaik, nadambitny redaktor, wesoły tłumacz, zapomniany historyk sztuki. Ostatnio opublikował: teksty seksualne (Afront 2020), Przedświty (PIW 2021) i debiut translatorski – Francisco Javier Navarro Prieto Piękny świat (PIW 2022).

Janusz Stobiński

Leszek Szaruga

MRUGANIE

na tajniaka tajniak mruga
but ci wypadł z butonierki
a za oknem mży szaruga
i szarówka kłopot wielki

masz miasteczka małe w dupie
masę miasto i maszynę
sznurowadła moczysz w zupie
ktoś je na widelec zwinie

i dbasz o szlachetne zdrowie
pijesz piwo palisz zioła
czekasz kiedy ktoś ci powie
czas już jedźmy nikt nie woła

nic dwa razy się nie zdarza
a to wszystko są nonsensa
wznosisz zdrowie gospodarza
który w polu się wałęsa

co tam panie w polityce
wszystko zło to co się świeci
krzyczą pal jak w jasną swécę
patrzą wtem kibitka leci

zamiast polski wiosnę widzi
zamiast łez zaś rosy błyski
on czarnego poloneza
winien tańczyć od kołyski

żyjesz w matni groźnych rojeń
a tu się żyrafa pali
głuchy drwiący śmiech pokoleń
echem niesie się w oddali

krokodyla daj mi luby
bo inaczej czyha zguba
piszą wiersze smalą duby
tajniak na tajniaka mruga

te nonsensa to są wiersze
którymi się wieszcz zabawiał
może trochę niedzisiejsze
a poza tym polskę zbawiał

przemyka się wernyhora
widzi wiek dwudziesty pierwszy
widzi europa chora
widzi mało dobrych wierszy

wszystko tutaj się już wali
wszystko tutaj już się chwieje
jakiś demon notre dame pali
i nadzieję tracą dzieje

buty gubią buntownicy
ćwoki władzę zagarniają
która leży na ulicy
a na której się nie znają

na ulicy szepcze cicho
duch poety idź bądź wierny
na cmentarzu wzywa licho
przybądź duchu nieśmiertelny

i przybywa duch narodu
który się dopiero rodzi
na śmietniku w smudze smrodu
by narody oswobodzić

duch narodu z dziejów duchem
piją brudzia na ruinach
świat się kończy jednym ruchem
drugim ruchem się zaczyna

znów się karuzela kręci
ten do pióra ów do pługa
politycy nie są święci
tajniak na tajniaka mruga

w ameryce na lotnisku
w tyłki dziewczyn się wpatruje
i powoli pijąc whisky
wiersz poważny koncypuje

dobry traktat erotyczny
oto czego brak ojczyźnie
jak to huzar patriotyczny
tuż przed szarżą cipkę liźnie

Aleksandra Naróg

Maria Jentys-Borelowska, Portret w półcieniach,

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022

Portret w półcieniach Marii Jentys-Borelowskiej to oparta na przede wszystkim na literaturze dokumentu osobistego powieść o środowisku artystycznym XIX-wiecznego Lwowa. Na pierwszy plan wysuwa się tu sylwetka i losy Artura Grottgera – jednego z najwybitniejszych przedstawicieli romantyzmu w polskim malarstwie. Równie ważne są tu jednak także inne postacie związane z tym kręgiem: Kornel Ujejski, Henryk Rodakowski, Daniel Penther czy Karol Młodnicki; ich wzajemne relacje i ścieżki artystycznych i osobistych oddziaływań.

Osnowę powieści stanowią przede wszystkim listy Artura Grottgera do ukochanej – Wandy Monné. Wiele szczegółów poznać można także na podstawie przywoływanych przez Jentys-Borelowską pamiętników wybranki malarza czy też artykułów Monné publikowanych we lwowskich czasopismach. Bazę bibliograficzną stanowią tu zarazem opracowania i studia nad twórczością malarza. Jentys-Borelowska niewątpliwie wykonała ogromną pracę badawczą nad materiałem źródłowym, tworząc osnowę dla swojej narracji powieściowej. Powieść stanowi zarazem okazję do pierwszej całościowej publikacji wielu z tych materiałów, co niewątpliwie stanowi wielką zasługę autorki.

Postacią wprowadzającą czytelnika w bieg narracji jest Karol Młodnicki, artysta związany ze środowiskiem malarzy lwowskich. Sama Borelowska podkreślała zresztą w jednym z wywiadów, że to przede wszystkim Młodnicki – postać pozornie drugoplanowa – była dla niej największą inspiracją dla napisania powieści. Po przedwczesnej śmierci Grottgera w 1867 roku – malarz zmarł we Francji na gruźlicę w wieku zaledwie 30 lat – to właśnie Młodnicki wziął ślub z Wandą Monné. Ta, zrozpaczona brakiem możliwości spotkania z Grottgerem przed jego śmiercią, ostatecznie sprowadziła jego szczątki do Lwowa. Grób autora Lithuanii znajduje się obecnie na Cmentarzu Łyczakowskim, ozdobiony rzeźbą płaczki, do której pozowała – podpisana na pomniku – Wanda.

Sam Grottger jawi się w powieści Jentys-Borelowskiej jako romantyczna figura artysty, walczącego za pomocą sztuki o niepodległość ojczyzny. Autorka stara się też przedstawić złożoność jego postaci: nazywany był wizjonerem i genialnym dzieckiem, cechowały go zarazem uczuciowość i niefrasobliwość w kwestiach finansowych. W Portrecie w półcieniach widać zarazem ewolucję i dojrzewanie jego postaci – od młodzieńczych romansów i fascynacji oraz życia w biedzie, po studia w Wiedniu i pierwsze sukcesy artystyczne, sławę zakończoną przedwczesną śmiercią i pośmiertny kult. Monné pisała o swoim ukochanym w jednym z przytaczanych w powieści listów jako człowieku „wrzącym", w pełni oddanym pracy twórczej. Autorka powieści stara się przedstawić wpływy tego silnego emocjonalizmu na ekspresję artystyczną malarza. Grottger, chociaż sam nie mógł brać w powstaniu styczniowym, był w stanie stworzyć obrazy fantazmatycznie oddziałujące na polską wyobraźnię zbiorową: jak cykl Polonia, który szkicował w większości na podstawie licznych opowieści przyjaciół oraz lektur wycinków prasowych.

Z listów i wspomnień przywoływanych w Portrecie w półcieniach wyłania się również szczegółowy portret psychologiczny samej Monné. Kiedy poznała Grottgera, miała niespełna szesnaście lat, a całe jej życie naznaczone było bliską relacją z malarzem. W ostatniej części powieści, nawiązującej do samego jej tytułu, Borelowska przywołuje list lwowskiej artystki do Antoniego Chołoniewskiego. Pisze ona w nim o „blasku" miłości do Grottgera, który zarazem położył cień na całe jej życie. Tworzy to obraz bohaterki wspominającej swoją pierwszą miłość, ale zarazem zaangażowanej później w małżeństwo z Młodnickim, zrozpaczonej z powodu braku akceptacji jej związku z Grottgerem przez rodzinę, ale zarazem zdecydowanie poświęcającej się pracy twórczej. Można to zarazem odczytywać jako oddanie pola niesłusznie zapomnianej postaci – lwowskiej artystce, próbującej znaleźć swoją drogę w zdominowanym przez mężczyzn świecie sztuki.

Jentys-Borelowska często wspomina, że malarstwo Grottgera było jedną z jej najsilniejszych fascynacji z kręgu sztuki, sięgającą czasów dzieciństwa. Widoczne jest to w narracji powieści – silnie podkreślającej aspekty emocjonalne i momentami mocno gloryfikującej postać malarza. W powieści brakuje nieco większej liczby faktów i opisów z życia wielokulturowego, dziewiętnastowiecznego Lwowa, które mogłyby zrównoważyć opisy stanów emocjonalnych bohaterów. Portret w półcieniach wydaje się być obrazem niewątpliwie napisanym ze szczerą pasją i przypominającą nie tylko postacie dla kultury galicyjskiej kluczowe – ale i te niesłusznie zapomniane.

Aleksandra Naróg

Janusz Stobiński

Dariusz T. Lebioda

Nieco popiołu

Sheng Keyi (盛可以) urodziła się 4 lipca 1973 roku w wiosce Yiyang w północnej części prowincji Hunan. Dzisiaj jest to miasto liczące ponad dwieście tysięcy mieszkańców, a cała prefektura liczy cztery i pół miliona obywateli. Po ukończeniu szkół pracowała w firmie ochroniarskiej, była reporterką i redaktorką, a także podejmowała dorywczo inne prace, a od roku 2002 zajmuje się tylko pisaniem. Jej błyskotliwa kariera ma związek z sytuacją polityczną w Chinach po wydarzeniach na Placu Tian'anmen, a także tematy, które podejmuje i ostra krytyka władz. Jest autorką kilkunastu książek, przede wszystkim powieści i zbiorów opowiadań, chwaloną przez największych prozaików chińskich (Mo Yan, Yan Lianke, Yu Hua), a także komplementowaną często w prasie światowej. Wywiady z nią ukazały się między innymi w tak prestiżowych gazetach i magazynach jak „New York Review of Books", „The Guardian", „Wall Street Journal", i „Los Angeles Review of Books". Otrzymała też wiele nagród literackich, a jej książki przetłumaczono na kilkanaście języków, w tym na tak ważne dla pisarza jak angielski, francuski, niemiecki, hiszpański, włoski, szwedzki. Od wielu lat nieobecna w Chinach kontynentalnych, publikuje kolejne dzieła na Tajwanie i przebojem wchodzi do literatury światowej, prezentując oryginalne wizje ludzi, których spotkała na swojej drodze, a także przywołania własnej rodziny i miejsc, w których bytowała.

Oczytana w literaturze światowej, nawiązująca do hitów kultury masowej, stworzyła własny typ utworu, w którym jak w soczewce skupiają się senne wizje i marzenia, metafory i drastyczne obrazy. Nie stroniąc od szyderstwa i wulgarności, opisuje traumatyczne doświadczenia swojego pokolenia i generacji wcześniejszych, za każdym razem dając popis swoich możliwości kreatywnych. Yan Lianke określił jej wkład we współczesną literaturę chińską następująco: *bezkompromisowy talent, żywe doświadczenie bólu, ciągłe splątanie i przeciwstawianie artystycznej siły niewidocznym naciskom*, a prasa światowa wskazuje jej powinowactwa z wielkimi dystopiami Aldousa Huxleya, George'a Orwella czy Philipa Kindreda Dicka. Szerokim echem w świecie odbił się już debiut powieściowy Keyi – *Dziewczyny z północy* – opublikowany w 2012 roku i prezentujący powikłane losy kobiet wyjeżdżających z prowincji do wielkich miast południowych Chin w poszukiwaniu pracy. Jest to opowieść o tym jak wiele z nich trafia do ciemnych zaułków życia, stając się łatwym łupem bezdusznych mężczyzn, albo ginie zawłaszczane przez zorganizowany świat przestępczy. Krytyka mechanizmów społecznych pojawi się też w powieści z roku 2015 pt. *Dziki wzrost*, będącej historią ubogiej wiejskiej rodziny, opowiedzianą przez najmłodszą córkę. Krytycy piszą, iż po przeciwnej stronie społecznie zaangażowanego realizmu w prozie Keyi, lokować należy jej polityczne alegorie, spośród których najczęściej komentuje się *Fugę śmierci* (2013), będącą paraboliczną opowieścią o protestach młodzieży z 1989 roku. Jak wskazuje Joanna Krenz: *Książka ta, stanowiąca alegoryczną opowieść o protestach na Placu Tian'anmen oraz ich politycznych i socjologicznych konsekwencjach, nigdy nie została opublikowana w Chinach kontynentalnych ze względu na cenzurę. Akcja toczy się wokół wieży ulepionej z ekskrementów. Pewnego dnia ni stąd, ni zowąd wyrosła ona na głównym placu miasta Beiping, powodując konsternację władz i obywateli, którzy prześcigają się w tworzeniu rywalizujących ze sobą hipotez na temat jej pochodzenia.* Zjadliwa ironia sąsiaduje tutaj z bystrą obserwacją zachowań społeczeństwa chińskiego, a żywa narracja rymuje się z nawiązaniami do literatury światowej.

Opublikowana w roku 2018 powieść pt. *Tęczujący popiół* stanowi syntezę obu wskazanych wyżej nurtów, a przy tym jest niezwykłym eksperymentem prozatorskim. To historia dziennikarki Yao Minzhu, urodzonej 4 czerwca 1989 roku o godzinie 3.05, czyli w chwili, gdy czołgi wjechały na główny plac Pekinu i zaczęły miażdżyć protestujące tłumy. Jej ojciec ginie podczas tych wydarzeń, a matka wpaja córce ideały wolnościowe i kultywuje jego pamięć. Jak pisze Krenz: *Nadaje ona dziecku imię, które w języku chińskim jest homofonem słowa „demokracja", zapisywanego innymi znakami, lecz wymawianego podobnie, które w połączeniu z nazwiskiem brzmi jak: 'żądać / chcieć demokracji'. Zwykle niemożliwe do zrekonstruowania w językach obcych zjawisko homofonii jest w Chinach jednym z najbardziej rozpowszechnionych sposobów przemycania aluzji literackich do rzeczywistości politycznej czy społecznej, a w Internecie metodą omijania cenzury, nastawionej na automatyczne wychwytywanie słów kluczowych.* Tych homofonów znajdziemy w powieści znacznie więcej, a i nazwa miasteczka, w którym rozgrywa się akcja – *Ewangelia* – ma też swoje liczne odniesienia w tradycji kulturowej świata. Jeśli sięgniemy do greckiego źródłosłowu εὐαγγέλιον (*euangelion*, czyli „dobra nowina") uzyskamy zakamuflowaną podpowiedź jak należy analizować powieść, będącą w gruncie rzeczy antycypacją nowej rzeczywistości, nadejścia nowego ładu, który wszakże w narracji Keye zyskuje formę dziwnej, metaforycznej rzeczywistości, w której wszystko się przenika. W przestrzeniach Ewangelii trwa nieustająca metamorfoza, w której uczestniczą ludzie i ich umysły, sny i marzenia, duchy i demony, rośliny i zwierzęta, a nade wszystko rzeczywistość społeczno-polityczna Chin. Trudno się dziwić, że w kraju, w którym Mao Zedong nakazał wszędzie wytapiać żelazo w prymitywnych dymarkach, zainicjował akcję zabijania wróbli, a także walkę młodych ze starymi intelektualistami, pojawiła się bohaterka powieściowa, która trzeźwo ocenia sytuację w kraju, ale też jest fantomem, tworem chorej wyobraźni, ożywianej przez demony przeszłości. Dziennikarka wychowała się w patriotycznej przestrzeni domowej, w której matka przypominająca Nadieżdę Mandelsztam, kultywowała pamięć ojca i wskazywała jej wartościowe lektury, pośród których pojawiały się dzieła klasyki chińskiej (Lu Xun), a także utwory Josifa Brodskiego i Aleksandra Sołżenicyna. Czytając i intensywnie myśląc Minzhu zaczyna bytować w przestrzeniach metaforycznych i transformować świat dookolny. Mają w nim swoje miejsce ludzie Ewangelii, czasem bardzo prości, a innym razem piastujący jakieś funkcje, pojawiają się kwiaty i zwierzęta hodowlane, a nawet wnętrze jej mózgu.

Władze początkowo tolerują jej działalność i kolejne reporterskie spotkania z przedstawicielami społeczności, ale w pewnym momencie pojawia się oskarżenie o *metaforozę*, czyli oddalanie „szczęśliwej rzeczywistości" i zastępowanie jej surrealistycznymi transformami. W takiej sytuacji rzeczywistość powieściowa zaczyna zmieniać swoje parametry i pisarka wprowadza coraz więcej odrealnień, które idą tak daleko, że w pewnym momencie dowiadujemy się, iż główna bohaterka już dawno nie żyje. Nie żyją też ludzie, z którymi się spotyka, a wszystko jest tylko powidokiem chorej rzeczywistości, wykreowanej przez przywódców partyjnych. Walka z nią nie ma sensu, ale zjadliwa ironia może wpłynąć na psychikę żyjących i spowodować ciąg zmian w drodze ku nowemu ładowi. Kłopot jednak w tym, że świadomość polityczna Chińczyków moderowana jest przez odpowiednie działania socjotechniczne, a rozwój kraju, z jego pięknymi wysokościowcami, szybką koleją i siecią futurystycznych estakad, utwierdza ich w przekonaniu, że kraj idzie właściwą drogą. Cóż z tego, że stale obecny jest kult Mao Tse-tunga, a jego portret wisi nad wejściem do Zakazanego Miasta i pojawia się na banknotach, skoro ludziom żyje się lepiej, a masowa migracja do miast powoduje, że środki finansowe transmitowane są także na wieś przez tych członków rodzin, którzy zdecydowali się na podjęcie pracy w wielkich aglomeracjach. Poniekąd taki szlak przeszła też Sheng Keyi i może pozostałaby szeregową pracownicą, gdyby nie wcześniejsze sformatowanie jej umysłu przez lektury i napomnienia matki. Udając się na emigrację, postanowiła zostać obywatelką świata, a jej kolejne utwory zaczęły wyznaczać szlak nowej transformacji (dla urzędników *metaforozy*) i nowej świadomości. To wielkie niebezpieczeństwo dla partii i nowego przywódcy, który zaplanował „nowy ład" w innej formie i nie zlikwidował tragicznych zaszłości. Oczywiście powieść chińskiej pisarki traktować należy jako jedną z propozycji oceny współczesnych Chin, w których przecież dostrzeżemy wiele pozytywnych aspektów rozwojowych, takich jak wydostanie się z biedy, poprawę możliwości bytowych i rozkręcenie koniunktury gospodarczej. Ale przecież bohaterka omawianej tutaj powieści jest rodzajem gorzkiego „memento", nieustającym przypomnieniem, że postęp dokonał się na zwałowiskach zwłok i gruzach dawnych królestw, a autonomiczne myślenie możliwe jest tylko w obrębie wykreowanej chińskiej dystopii. Po ludziach, czy to walczących o wolność, czy poddających się niecnym zabiegom formacyjnym, pozostaje tylko nieco popiołu, a kremacja zwłok równa wszystkich, bez względu na osiągnięcia i sprawowane funkcje.

Dariusz T. Lebioda

Seng Keyi, *Tęczujący popiół*, przeł. Joanna Krenz, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021, s. 380.

Janusz Stobiński

Hanna Bilińska - Stecyszyn

O sobie za pomocą cudzych biografii

„Spis treści…" Eugeniusza Kurzawy z przyjemnością nazywam też 66 źdźiebełkami ciepła. To bez wątpienia sześćdziesiąt sześć źdźiebełek, źdźiebeł i dużych kłosów nabrzmiałych ziarnem wspomnień i nostalgii, wspomnień pełnych ciepła i sympatii, o sześćdziesięciu sześciu osobach ważących w naszej kulturze i ważnych w życiu autora.

Quentinowi Tarantino po premierze jego ostatniego obrazu „Pewnego razu w Hollywood" krytyka zarzucała „pewien nadmiar i dłużyzny", mnie jednak bardzo się podoba wyjaśnienie, że reżyser nakręcił ten film głównie dla siebie, utrwalając hipisowskie Hollywood z czasów swojej młodości; że scenami z barwnej końcówki lat 60. największą przyjemność sprawił sobie. No, również takim widzom jak ja, dobrze pamiętającym chociażby muzykę rockową z tamtych lat.

Podobnie odbieram książkę Eugeniusza Kurzawy. To dzieło bardzo osobiste. Napisany ze swadą i z humorem zbiór wspominków o ludziach, których spotkał na swojej drodze, a przy okazji przewijający się wśród nich niebanalny życiorys autora, któremu pewnie przyświecał ten sam cel: oddać hołd postaciom zarejestrowanym na kartach książki – i utrwalić pośród nich siebie. Młodość spragnioną wysokich lotów i całe późniejsze twórcze, aktywne życie.

Poznajemy go zatem jako zbąszynianina, w podstawówce, ucznia Zdzisława Linkowskiego, który rozbudził zainteresowanie chłopca historią regionu i był jednym z pierwszych jego mistrzów. Wśród ważnych dla siebie – i dla miasta – mieszkańców Zbąszynia Kurzawa wymienia też Zenona Matuszewskiego, poświęcając mu kolejny rozdział (w innym zaś miejscu wspomina zdolnego plastyka Wojciecha Olejniczaka, z którym do dziś współpracuje, również rodem ze Zbąszynia). W Technikum Mechanicznym w Świebodzinie Gienek był już zapalonym animatorem kultury i działań społecznikowskich, a skrzydła rozwinął w pełni podczas studiów w zielonogórskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Barwnie opisuje, jak udało mu się zostać studentem kierunku „pedagogika kulturalno-oświatowa", jak zawierał przyjaźnie, kto mu pomagał, jak rozkręcał działania twórcze w zielonogórskim, ale i ogólnopolskim środowisku studenckim, kulturalnym, poetyckim, dziennikarskim. Czytamy zatem ciepłe słowa o kolejnych jego mistrzach, sympatiach, współdziałaczach. Wśród nich – o poetce Annie Tokarskiej (przemiłe wspomnienie) i o Andrzeju K. Waśkiewiczu (myślę, że największym mistrzu i przyjacielu autora). Z wielkim szacunkiem wspominany jest także Edward Lewicki, akademicki nauczyciel Eugeniusza, z którym jeszcze przez długie lata po studiach utrzymywał kontakt korespondencyjny.

Wielkopolanin z urodzenia, Lubuszanin wskutek kolei losu, krótko po studiach wyrusza z naszych lubuskich stron na wschód Polski. Pracuje jako dziennikarz w Suwałkach i Białymstoku, poznaje masę nowych Ważnych Ludzi. Warszawa, Wrocław, Kraków też nie są mu obce. Organizuje i współorganizuje festiwale, konkursy, przeglądy, szkolenia młodych dziennikarzy. Szczególnie ważne były rokroczne spotkania „Kultura i środowisko" organizowane

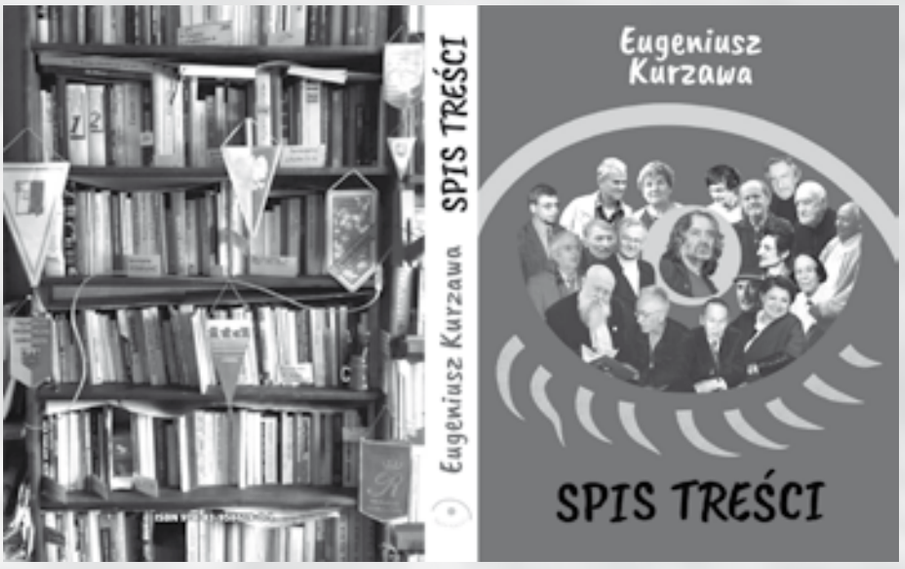

w pokamedulskim klasztorze nad Wigrami. Wśród jego znajomych są takie tuzy jak Andrzej Strumiłło (związek Kurzawy, jego żony i córki z rodziną pana profesora - niemal przyjacielski), Aleksander Kwaśniewski, Gustaw Zemła, Stanisław Tym, Kira Gałczyńska, Zbigniew Jerzyna czy białoruskopolski poeta Sokrat Janowicz.

Po latach spędzonych na Podlasiu poeta – wszak Eugeniusz Kurzawa uważa siebie przede wszystkim za poetę – wraca, już jako mąż Lidii i dziennikarz „Gazety Lubuskiej" i „Nowej", do Zielonej Góry. Zamieszkują wkrótce w podzielonogórskim Wilkanowie, gdzie tworzą Ogród Sztuk. Kogóż on nie gościł! Urszulę Dudziak, Joannę Rawik, Henryka Sawkę, Krzysztofa Raua, Eugenię „Żenię" Pawłowską…

I tak dalej, i tak dalej… Wśród osób wspominanych na stronach książki są postaci „wielkiego kalibru", lokalne i „ogólnopolskie", a nawet „ogólnoświatowe" (Wojciech Jaruzelski i Wielki Wódz Kim Ir Sen! – arcyciekawy rozdział o pobycie autora wraz z delegacją młodzieży polskiej w Korei Płn.). Bardzo dobrze, że autor przywołał też sporo osób dziś zapomnianych czy znanych jedynie wąskiemu gronu. Kto na przykład pamięta jeszcze Olka Rozenfelda? A jakżeż barwnie i z humorem zaprezentowana to sylwetka! Albo kto słyszał o Irenie Misztal? Emerytowanej nauczycielce z Ełku, debiutującej jako poetka w wieku… 79 lat. Autorce nieopublikowanych dotąd wspomnień, listów, Kurzawa poświęca obszerny rozdział, ogromnie ciepły, wzruszający, pisząc o pani Irenie: „była moim odkryciem literackim i wielką miłością".

Poetów na stronach „Spisu treści" zatrzęsienie. Np. Różewicz, Ewa Lipska, Jerzy Leszin-Koperski, Krzysztof Gąsiorowski. Wśród lubuskich - przede wszystkim prócz wymienionej już Anny Tokarskiej: Janusz Koniusz. Także Czesław Sobkowiak, Mieczysław J. Warszawski czy autor tekstów kabaretowych Zdzisław Sikora.

Każda z utrwalonych sześćdziesięciu sześciu osób jest dla autora na swój sposób ważna. Nawet jeśli nie było mu dane poznać jej osobiście, np. Tadeusza Różewicza (którego Kurzawa uważa za „najwybitniejszego polskiego pisarza od czasów Mickiewicza albo i Kochanowskiego"). Lub gdy tylko otarł się o wielki świat kultury, sztuki, poezji, polityki. To przecież w dużej mierze dzięki ludziom spotkanym na swojej drodze jesteśmy tym, kim jesteśmy. To zdanie brzmi banalnie, wiem – a jednak każda strona książki Eugeniusza Kurzawy poświadcza jego prawdziwość.

Jasne, że w dobie współczesnych mass mediów czytelnicy, przywykli do serwowania im różnych „smaczków", spragnieni byliby może czegoś bardziej spektakularnego. A tu jedynie ten czy ów pije ponad miarę lub ma willę z basenem i jaguara (jak Jerzy Urban), albo autor zdradza, jak w charakterze początkującego żurnalisty idzie się „na rękę" piosenkarce (zajrzyjcie do rozdziału „Magda Umer"). Jednak „66 postaci" to nie jest 66 sensacji! Zaletę tej książki stanowi według mnie właśnie ów brak plotkarskiego zacięcia. Kurzawa ma o wielu prezentowanych ludziach znacznie większą wiedzę, niż chce się nią dzielić, zapewne mógłby okrasić wspomnienia niejedną soczystą anegdotą – lecz szanuje swoich bohaterów i „nie robi im koło pióra". Pisze o nich ciepło, z sympatią i życzliwością.

Dlaczego tylko – lub aż – sześćdziesiąt sześć osób wygrzebał autor ze swojej pamięci? Tu mamy znowu wątek osobisty! Zrobił sobie prezent na swoje sześćdziesięciosześciolecie. A ponieważ w podsumowującym książkę „Niedokończeniu" przywołuje jeszcze masę osób, które w rozdziałach „Spisu treści" się już nie zmieściły, i zapewne ze swojej kopalni mógłby odkopać jeszcze niejedną tonę wspomnień – pozostańmy z nadzieją na „Spis treści nr 2". Tu prywata: może i ja doczekam się wówczas wzmianki.

Hanna Bilińska-Stecyszyn

Eugeniusz Kurzawa: *Spis treści. 66 postaci, które…*, projekt okładki oraz ilustracje Aleksandra Kurzawa, Wilkanowo – Zielona Góra 2020.

Joanna Sendłak

„Naczynia połączone"- o powieści Romana Warszewskiego (książka wydana w 2022 roku przez Fundację Światło Literatury).

Podróż przez spaloną ziemie...

Książka Romana Warszewskiego „Podróż przez spaloną ziemię, czyli terytorium Apaczów" to reporterski zapis podróży z lat dziewięćdziesiątych na Bałkany oraz do USA, uzupełniony o tekst „Ziemia w ogniu, zapiski w toku" z roku 2022, opisującywojnęw Ukrainie. Tytuł książki nawiązuje do zbioru reportaży Artura Pèrez-Reverte „Terytorium Komanczów". We wstępie autor wyjaśnia dlaczego w jednym tomie zdecydował się umieścić trzy reporterskie epizody z dawnych lat, ów wstępspina całość interpretacyjną klamrą, mówi o intuicji jedności historycznych następstw. Bowiem historia to system naczyń połączonych, czyż zamach na arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie nie anonsował wybuchu I Wojny Światowej? Zatem być może konflikt bałkański stanowił zapowiedźwojny nam współczesnej, wojny w Ukrainie?Autorpokazujeuniwersalnośćnaturyludzkiej, skłonnej do czynienia dobra, ale i zdolnej do niszczycielskiej furii, która niczym tsunami zmiata dawne kultury i cywilizacje.

Czytelnik wkracza na Bałkany gdzie wówczas trwa wojna (1992-1995). Porusza się ostrożnie, trudno odróżnić wroga od przyjaciela. W książce Warszewskiego nie chodzi tylko i dosłownie o teren wojny, ale o stan ducha, walkę o różnie rozumianą wolność. Widzimy kontrasty, społeczne nierówności, absurdy władzy, niesprawiedliwości, które rozlewają się wokół niszcząc przeszłość i uniemożliwiając porozumienie. Bałkany, zdaniem autora, to świat w miniaturze", gdzie na niewielkiej przestrzeni mieszają się narody i wyznania. Warszewski podczas wojny bałkańskiej, w towarzystwie Roberta Kwiatka, wziętego fotoreportera,przemierzył 4500 kilometrów. Jechał z Zagrzebia przez Karlovac, Slunj, Bihać, Plitvice, Knin, Mostar, by przez osławioną górę Igman, dotrzeć do Sarajewa.Opis zniszczeń, ruin miast opuszczonych przez Serbów, w kontekście dzisiejszej wojny na Ukrainie, nabiera bolesnej wyrazistości. „Zastanawiam się, czy pokójprzechodzi w wojnę płynnie, prawie niepostrzeżenie,czy też uda mi się zauważyć jakiś gwałtowny uskokw otaczającej rzeczywistości?" – pisze autor widząc tętniący życiem Zagrzeb, a nieco dalej, w Turaniezanurza się w strefie całkowitego zniszczenia, wypalenia, nieistnienia. Wojna „tam gdzie dotrze, trawi dosłownie wszystko, tam jednak gdzie nagle zbraknie jej sił – pozostawia prawie nietknięty krajobraz".

Istota wojennego konfliktu bywa skomplikowana, niejasna, zawiła. Warszewski odsłania przed czytelnikiem jej tajemnice. „Po rozpadzie Jugosławii i wybuchu wojny, krajińscySerbowie ogłosili niepodległość, odłączyli Krajinę odChorwacji i zawarli sojusz z Serbami belgradzkimi, uznając serbską Krajinę za część przyszłej WielkiejSerbii" – pisze. Pod kulami muzułmańskich karabinów dociera do Polskiego kontyngentu ONZ irozmawia z polskimi żołnierzami.Poznaje biurokratyczną niewydolność i zaniechania Rady Bezpieczeństwa. Pomoc humanitarna opóźnia się, a Ministerstwo Obrony posyła na front przestarzały sprzęt. „ONZnie chciała wobec kryzysu bałkańskiego pozostaćbezczynna, z drugiej strony jednak w Radzie Bezpieczeństwanie było zgody, by zadziałać w sposób bardziejzdecydowany".Autor przemierza środkową Bośnię, napotykając na muzułmańskie blokady zjeżdża na południe, na wschód, by na wysokości Splitu skręcić w stronę Sarajewa. Polityka spalonej ziemi, obrazowo opisywana przez autora, przywodzi na myśl dzisiejsze postępowanie Federacji Rosyjskiej skierowane przeciwko Ukrainie. „Polscy żołnierze opowiadali nam, żew okrucieństwie Chorwaci często przewyższali Serbów.To oni wieszali ludzi na rzeźniczych hakach,a potem strzelali do takich półżywych celów. Kobietywrzucali do studni. Ale najpierw je gwałcili".

Kto decyduje o przebiegu wojny? Gdzie zapadają strategiczne decyzje – docieka autor przytaczając rozmowy z napotkanymi mieszkańcami, którzy doskonale wiedzą, że sierpniowa ofensywa Chorwatów w Krainie toczyła się z cichym przyzwoleniem Amerykanów i belgradzkich Serbów. Życiem Serbów zawiadywano z wysokości szczytów władzy. „Tu gdzie teraz jesteśmy – pisze Warszawski – jestHercegowina. Chorwacka część Bośni, o którą trzylata temu Chorwaci zażarcie walczyli z Serbami. Teraz,mimo że Bośnia posiada własną państwowość,wszędzie powiewają chorwackie flagi, a w obiegu są„kuny" – chorwacka waluta. To, że Chorwaci ustanawiająwłasną państwowość na terenie państwasprzymierzonego, jest stałą kością niezgody na liniiZagrzeb–Sarajewo". Można się zastanawiać, czy to co wydarzyło się na Bałkanach po 1990 roku nie było światową konsekwencją upadku komunizmu.Czy to co stanie się z Bośnią, nie będzie zalążkiemprzyszłego konfliktu na świecie? – pyta jeden z rozmówców autora. Znamienne okazały się słowa Tadeusza Mazowieckiego, wówczas pełniącego funkcję specjalnego sprawozdawcy Komisji Praw Człowieka ONZ w byłej Jugosławii, z którym Warszawski przeprowadził rozmowę po powrocie z Bośni. „Moim zdaniem – stwierdził Mazowiecki -- Europa – jeśli teraz skutecznie nie zadziałamy– przez długie lata będzie brzemienna wojną, którawcześniej czy później wybuchnie. Tej sytuacji trzebaaktywnie przeciwdziałać. Natychmiast i nieustannie.Bez naszej aktywnej postawy w tej mierze poniesiemyw przyszłości straty, które w tej chwili jeszczetrudno sobie wyobrazić. I nie jest to tylko krakaniestarego człowieka, lecz coś, co może być moim najważniejszymprzesłaniem dla przyszłości naszegokontynentu".

Warszewski w swojej książce umieścił także relacje zpodróży do USA, którą odbył w 1995 roku dzięki German Marshall Fund.W tym właśnie czasie, zdaniem autora, rodziły się tam konflikty o podobnym źródle –na margines społeczny spychano etniczne mniejszości, co w konsekwencji otworzyło drogę populizmowi i wyniosło na urząd prezydencki Donalda Trumpa. Zaniedbywane dekadami mniejszości społeczne przelałyrzekę zmian w niespodziewanym kierunku. W roku 1995,Warszewski dokładnie poznał amerykańskie problemy społeczne, bowiem jako wolontariuszrozwoził jedzenie bezdomnym mieszkańcom miasta.Słyszał wiele dramatycznych opowieści osób sypiających na ławkach także przed Departamentem Skarbu, DepartamentemStanu i Białym Domem. Jedna z policjantekwówczas tłumaczyła– „ Gdy zatrzymuję kogoś na ulicy, nie interesujemnie, czy ten ktoś przybył do Ameryki legalnie,czy nielegalnie. Tym nie zajmuje się policja, alestraż graniczna. Jako policjantka wychodzę z założenia,że każdy kto chodzi ulicami Harfordu, ma prawotu mieszkać i żyć". Nie każdy jednak mógł legalnie przebywać w USA.Najtrudniejszy odcinek granicy meksykańsko-amerykańskiej wImperial Beach leży dziesięćmil od San Diego. Mur dzieli świat „ Jedna [strona] jest dobra, druga zła. Jedna jest bogata,druga biedna. Pożądana i niechciana. Wyśniona, znienawidzona.Po jednej króluje cadillac i komputerowakonsola. Po drugiej – sombrero i lasso".Ciekawym momentem podróży była wizyta w Ledyard, w stajnie Connecticut w najsłynniejszym w Ameryce rezerwacie Indianplemienia Pequotów. Indianie wykorzystali luki prawne i wznieśli tu potężne Casyno. Warszewski rozmawiał także z ostatnim szamanem z rezerwatu Coeur d`Alene. „Czarownik, za którym nie stoi jego lud, nie możemieć siły… Taki czarownik umiera…" -- mówił szaman. Jego życie nie przypominało już wydechu pary na zimnym wietrze, przerwy pomiędzy snami. „Dramat Urwistej Skały polega na tym, że od wielu, wielu lat nie spełnia on już roli przewodnika. Że jego ludziezagubili się wśród gadżetów współczesności, tracąc z pola widzenia swą drogę i cel, do którego zmierzali".

Jeszcze bardziej niepokojącą kwestią społeczną w USAokazało się istnienie ruchów typu „Militia"na północnym-zachodzie. „Mnożą się również dowody, iż radykałowiez amerykańsko-kanadyjskiego pograniczacoraz częściej nawiązują kontakt z Ku-Klux-Klanemi innymi fundamentalistycznymi organizacjam iz amerykańskiego południa" – pisał autor. Dziś, w świecie zainfekowanym fałszywymi informacjami dziwi wiadomość, że „już wówczas „Militias" rozpuściły pogłoskę o tym,że po bombardowaniu Jowisza przez odłamki komety– do Ziemi dotrą śmiercionośne fale elektromagnetyczne, a„Militias" nawoływały do kopania bunkrów i dorobienia dużych, „wojennych" zapasów żywności".Patrząc na Amerykę z tej perspektywy, z dystansu dwudziestu sześciu lat, atak ulicy na Kapitol z roku 2021, staje się bardziej zrozumiały.

W ostatniej części książki Warszewski nawiązuje do obecnego konfliktu – do wojny na Ukrainie. Rozmawia z Oksaną, którą spotykał na dworcu w tłumie uchodźców.Kobieta pochodzącaz okolic Kijowa opisuje dramatyczną sytuację:Ukraińskie oddziały zostały odcięte od dostępu do pitnej wody przez rosyjskiego snajpera. Ostatnia część książki nosi tytuł „Ziemia w ogniu, zapiski w toku 2022" i pozostawia przed autorem i czytelnikami drzwi otwarte do przyszłości…

Gdy kończę pisać te słowa — w sierpniu 2022 -- słyszę w mediach, że na Bałkanach ponownie wybucha konflikt. Masa nienawiści i niewyjaśnionych pretensji powstałych na tle etnicznym, ponownie wzbiera. To, co obecnie dzieje się na granicy Serbii i Kosowa, jasno pokazuje jak palący problem stanowią antagonizmy pomiędzy nacjami. Trwa uśpiony konflikt, który,także być może podgrzany wpływami sił zewnętrznych, może wybuchnąć pod byle pretekstem. Wojna Bałkańska zakończyła się wymuszonym przez NATO układem w Dayton. „Na mocy mandatu ONZ Pakt Północnoatlantycki – by zmusić wszystkie powaśnionestrony do zawarcia pokoju – przeprowadził liczne operacje lotnicze – Deny Flight i DeliberateForce" – wyjaśnia autor w umieszczonych na końcu książki przypisach.

Książka Romana Warszewskiego wnika w przyczyny konfliktu bałkańskiego i w jego dalekosiężne konsekwencje, a fakt, że została wydana właśnie teraz, sprawia, że staje się lekturą podwójnie interesującą.

Joanna Sendłak

Mateusz Wabik

Szkicowanie świata po ciemku

W „Szkliwie" Artura D. Liskowackiego można przeczytać różnorodne wiersze. Nie jest to tomik monotematyczny, jednostylowy jakich od lat wiele się ukazuje, które krytycy wpisują do szkół, rozmaitych stylistyk i dają nagrody, chociaż padają z nudów podczas czytania. Liskowacki w swoim tomiku albo daje upust swoim fascynacjom poetyką lingwistyczną przypominającą nieco wiersze Białoszewskiego, ale także Tekielego, pisze wiersze obserwacyjne, wspomina chorobę i śmierć matki. Interesują go także własne uczucia do osoby najbliższej, rynek księgarski, odnosi się do frazeologizmów i rytmu mowy potocznej.

Poeta w „Chłodnym maju" opisuje maj 2021 roku, kiedy w Polsce były rygorystyczne obostrzenia podczas pandemii koronawirusa – „Pisarze piszą w domach,/żeby nie wyjść/ na ludzi,/którzy wyszli z domów". W jednej zwrotce ukazuje jak to ludzie pióra dostosowują się do nakazów, ale używa zwrotu frazeologicznego „wyjść na ludzi" i podkreśla przerzutnią to, że po ludzku, zwyczajnie byłoby, gdyby pisarze miłujący wolność, nie dostosowywali się do obostrzeń. Pokazuje jakieś napięcie pomiędzy chęcią bycia obywatelem rozumiejącym trudną sytuację, humanistą na poziomie, a przyzwyczajeniami zwykłego człowieka do wyjścia na zewnątrz. Poeta drwi z tej pandemicznej pisaniny i kończy wiersz wspomnieniem „Księgi Apokalipsy" – nie musi nic pisać, kiedy ktoś przed nim opisał koszmar. Jednak współczesny świat jest bardziej przygotowany na epidemię, niż np. na dżumę w średniowieczu.

W wierszu „Nieporozumienia" czytamy o różnych paradoksach związanych z zakwalifikowaniem danego dzieła do danego zakresu tematycznego jedynie po znajomości tytułu jak to się stało z „Atlasem ptaków polskich", który zamawiany był przez ornitologów, a tomik „Ulice Szczecina" dano do działu przewodników. W „Godzinie" napisanym taką frazą poetyki równania, zastanawia poetę czynność zapamiętywania przez różnych ludzi dokładnej godziny śmierci kogoś z krewnych. Uważa, że takie działanie ma w sobie coś z magii. Sam raczej wybiera zapomnienie, choć ostatnie wersy nie są zbyt jasne, a bardzo enigmatyczne, jakby poeta zgubił nieco wątek, a nie chciał wprost przywalić drwiną.

Mimo, że książka „Szkliwo" nie powaliła z jakąś szczególną mocą, znalazłem w niej sporo interesujących wierszy. Te teksty dotyczące choroby i śmierci matki uważam za poruszające.

Mateusz Wabik

Artur Daniel Liskowacki, Szkliwo, Biblioteka „Toposu", Sopot 2021

Jerzy Lengauer

Kulturalna historia Ukrainy w cieniu imperializmu

Aneksja Krymu..., wtargnięcie Rosji na teren ukraińskiego państwa..., wojna o Krym... zaczęło się przedwiośniem osiem lat temu. Tylko dwa z esejów zamieszczonych w zbiorze pod wspólnym tytułem „Planeta Piołun" Oksana Zabużko napisała jeszcze przed imperialną rosyjską inwazją. Można się dziwić, że owe teksty nie zostały uporządkowane w książce według dat ich powstania, choćby dlatego, żeby 2014 rok stanowił dla czytelnika nie tyle odniesienie, lecz uświadomienie okropnej cezury i załamania europejskiego ładu na południowo-wschodnich krańcach kontynentu, czego konsekwencją jest upadek dotychczasowego świata politycznego, społecznego, kulturalnego i ekonomicznego mieszkańców Ukrainy. Dlaczego zatem tak nie jest? Ponieważ pisarka, przepełniona silnymi emocjami - niewątpliwie żalem, smutną ironią, złością - pokazuje Zachodowi, że od czasu odzyskania niepodległości w końcu dwudziestego wieku było co najmniej kilka tragicznych wydarzeń w cieniu imperium, przepełniających społeczeństwo ukraińskie nadzieją bądź strachem. Rok 2014, bez wątpienia bardziej tragiczny i krwawy, był wszakże jednym z nich. Co jednak najważniejsze, stanowił konsekwencje półmroku od lat ogarniającego wschodnie i północne krańce Ukrainy.

Zdawać by się także mogło, że autorka kieruje swoje eseje wyłącznie do czytelników pośród swoich rodaków, ewentualnie do wykształconych i wysoce zainteresowanych kulturą ukraińską mieszkańców Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych. I rzecz nie tylko w tym, że Zabużko posługuje się językiem intelektualnym, czasami wręcz naukowym, obracając się w przedmiocie literaturo- i kulturoznawczym. Przede wszystkim chodzi o nazwiska a w dalszej mierze o przypisy, dygresje i budowę zdań. A zatem, jeśli mało czytelnikowi Andrieja Tarkowskiego i Larsa von Triera, to autorka swój „filmowy" esej rozszerza o Ołeksandra Dowżenkę, ukraińskiego reżysera z pierwszej połowy ubiegłego wieku, poetycki jest z kolei poświęcony Josifowi Brodskiemu i rzecz jasna wierszowi „Na niepodległość Ukrainy", tragiczny los artystów w sowieckim ustroju pokazuje na przykładzie malarki Kateryny Biłokur, zaś w końcu. przypominając o psychuszkach i schizofrenii bezobjawowej. pisze o - jakże dla niej znaczącym - Leonidzie Pluszczu. Wszystkie wymienione wyżej postacie są głównymi bohaterami esejów, w tym trzej filmowcy na równych prawach - tekstu tytułowego „Planeta Piołun". Każdy z przywołanych artystów odgrywa ogromną rolę w życiu Oksany Zabużko - czy to osobistym i prywatnym, czy literackim, artystycznym, kulturalnym w kontekście Ukrainy - zbierając, sumując, kondensując w autorce emocje, wrażenia, uczucia, wspomnienia i skojarzenia, z których z kolei wynika mnóstwo dygresji oraz analiz tworzonych za pomocą ogromnej ilości zdań współrzędnie złożonych i obszernych wtrąceń, także w nawiasach, tudzież rozbudowanych przypisów.

Pośród dziesięciu esejów znajdujemy trzy nieco inne, bo skierowane bezpośrednio do czytelnika, polskiego, perskiego i białoruskiego. Pierwszy jest rodzajem wstępu, epilogu, glosą do polskiego wydania całości. Dwa pozostałe są niezwykle literackie, więc traktują o książkach wychodząc tematycznie poza granice Ukrainy. Wszystko jednak zbiega się w historycznym i współczesnym obrazie ukraińskiej państwowości, poczynając od sowieckiego zniewolenia, a kończąc prawie na przededniu rosyjskiej inwazji z lutego 2022 roku, z tym że czytelnik musi sam sobie ową kulturalno-polityczną historię uporządkować, posegregować przyczyny i skutki, ponieważ Oksana Zabużko opowieść rozpoczyna 26 kwietnia 1986 roku w Kijowie, kiedy „w okolicy Szulawki, spadł śnieg. Trwało to może minutę albo dwie. Dzień był już prawie letni, słoneczny, drzewa stały w kwiatach, nad wiśniami i morelami, której o tej porze roku szczęśliwie zasłaniają śnieżnobiałymi weselnymi bukietami koszmarkowatość radzieckiej mieszkaniówki, brzęczały pszczoły - ciepła, basowa nuta w szumie miasta..." [1].

Kiedy słowa pełne są smutku i żalu, straszliwe obrazy za nimi idące te uczucia potęgują, lecz nie wykraczają poza ich granice, jeszcze nie szukają innych emocji prócz ogromu współczucia. Dopiero, gdy ich autor jest w stanie wykrzyczeć złość, prawie że nienawiść, dać upust potędze niemocy i bezkompromisowo pokazać nieczułość, konformizm, może bezradność świata, czytelnik znajduje Ukrainę jako sierotę, a wręcz pasierbicę imperium, gwałconą, molestowaną, wykorzystywaną, odsuniętą w kąt.

Ale to nie jest tak, że Ukraina jest uosabiana. To bohaterowie esejów Oksany Zabużko są symbolami Ukrainy, jej smutnymi pomnikami, wołając, mimo już zamkniętych ust, w stronę Europy i spoglądając oskarżycielskim wzrokiem w kierunku Rosji. Dziesięć tekstów w „Planecie Piołun" to właśnie te oskarżenia, z bardzo szerokim, dogłębnym, wnikliwym i sprecyzowanym argumentowaniem.

Oksana Zabużko przywraca życie intelektualne z lat osiemdziesiątych w sowieckiej Rosji: „W tamtym okresie obywatele ZSRR mogli prenumerować zagraniczne czasopisma tylko z tak zwanych krajów obozu socjalistycznego" [2], pokazując, jak wraz ze stanem wojennym w Polsce rodzi się w autorce wielka miłość do zachodniego sąsiada „z bolesną tkliwością wobec wszystkiego, co polskie" [3] i dokładnie takie samo uczucie wybucha w niej wobec zajętego przez Rosjan Krymu. W jej odczuciu te dwa światy znikają, zostają wymazane z map a mieszkający tam ludzie zamknięci w czymś w rodzaju niewidzialnego gułagu. Krainy ulegają wchłonięciu, wessaniu. Wyrwanie ich z morderczej niewoli jest niemożliwe, a może jedynie nieopłacalne… Potem u Zabużko następuje katastrofa czarnobylska z tajemnicami, niedopowiedzeniami, szaleńczymi domysłami i dramatycznymi sposobami ratunku. Zabużko spogląda na ten czas przez pryzmat „Melancholii" von Triera, widząc koniec czarnoziemów obficie karmiących świat chlebem jeszcze w latach pierwszej →

wojny światowej. Stąd zaś przywołuje filmowe obrazy Ukrainy Tarkowskiego, który „Stalkerem" spłaca swój dług zaczerpnięty u Ukraińców, gdy „Ziemia" Dowżenki już zapowiadała nadciągający cień śmierci.

„Białoruś wzięto w niewolę bez jednego wystrzału" [4], pisze w 2016 roku Zabużko, a „Czarnobylską modlitwę" Swietłany Aleksijewicz, wszakże już po czasie, omawia jako ostrzeżenie dla Donbasu, Ługańska, Krymu. Dla czytelnika jest to potwierdzenie zachodzących zmian. Ma się wrażenie, że cały tekst pełni rolę ponownego wezwania z 1998 roku, kiedy to książka Aleksijewicz ukazała się w Ukrainie po raz pierwszy i stanowiła literackie orędzie skierowane do międzynarodowej opinii.

Ledwie sześciostronicowy esej zatytułowany „My, deportowani: Koda", w zasadzie nie odnoszący się do historii Ukrainy, ma ogromny ładunek emocjonalny! Nie ma wątpliwości, że Zabużko pisze o Ukraińcach, którzy od czasów włączenia siłą do Rosji sowieckiej z pokolenia na pokolenia zaczęli zapominać, że można być podróżnikiem, ba! nawet emigrantem. Powoli, acz krwawo, siłą, burząc domy, wypalając ziemię wyrugowano z ich mentalności chęć powrotu w rodzinne strony. Wyjazd, wywózka jest tylko w jedną stronę. Czyli deportacja. Począwszy od dekretów, przez groźny tupot podkutych butów na klatce schodowej, łomot w drzwi, „dwie godziny na zebranie rzeczy", „zezwala się zabrać nie więcej niż dwa kilogramy na osobę" [5] po niewiadomy cel wywiezienie, odrąbanie korzeni. Nie ma już swojej ziemi. Swój pozostał tylko samochód. Jedyna własność stanowiąca kruchą więź z domem, czy to w Donbasie, czy na Krymie, czy w końcu w Ukrainie 2022 roku.

Polemikę z Brodskim, znanym jej osobiście, pisarka rozpoczęła w 1997 roku, kończąc ponad dwie dekady później. Z jednej strony jest to niezwykle literaturoznawczy esej, w którym wielką rolę odgrywają bardzo obszerne przypisy tłumaczące, a czasem i komplikujące, myśli wyrażone w głównym tekście, z drugiej bardzo osobiste wyznanie stosunku Zabużko do Brodskiego, którego nazywa „siódmym – wielkim rosyjskim poetą". Głównym tematem owej polityki jest rugowanie wartości kulturalnej kraju przez jego skolonizowanie na gruncie sztuki, przede wszystkim literatury. Kolonializm, a dalej imperializm dotyczy wielu aspektów, także feminizmu, Trzeciego Świata, mniejszości seksualnych, romantycznego Orientu, z przewijającym się kontekstem literackiego ślubu Ameryki z Rosją, którego dzieckiem jest „wujaszek Joe", czyli Brodski.

„A teraz po naszej stronie ściany wkraczają rosyjskie wojska, żeby na oczach całego świata nas zabijać – tak samo jak robili to sto lat temu" [6]. Wiek temu Ukraińcy stracili tożsamość. Teraz, czyli w 2014 roku, za sprawą inwazji Ukrainie przywrócony zostaje głos, którym coraz pewniej i głośnej kraj domaga się uznania równych praw państwowych, narodowych i politycznych. Powyższy cytat pochodzi z eseju stanowiącego swojego rodzaju prolog do kolejnych, w których o przypomnienie tożsamości wołają postacie skrzętnie skrywane w kolonialnym niebycie. Kim byłyby w kraju położonym w całkiem innej części świata? Być może wyjaśnia to nieco Zabużko, gdy zwraca się do perskiego czytelnika, przypominając swoją „Bajkę o kalinowej fujarce". Sama opowieść o siostrobójczyni (skojarzenia, rzecz jasna, z „Balladyną"), królewski przywilej i prawo człowieka do własnej historii, perski zły duch Ahriman zdają się sprowadzać uwagę czytelnika na folklor ukraiński, perskie mity i w końcu Freuda, lecz przecież nie sposób zapomnieć o „siostrzanym sąsiedztwie" Rosji i Ukrainy oraz złu, które rodzi się w umyśle i dłoniach jednej z sióstr. Skutki nikczemnej zbrodni na Ukrainie Zabużko opisuje w kolejnych tekstach…

Pierwszy dotyczy Kateryny Biłokur, która wraz z rodzicami wytrzymała to, co w 1929 roku zapoczątkował Stalin, wojnę na wyniszczenie ukraińskiej wsi, Wielki Głód, lata terroru, kołchoz. Oksana Zabużko opowiada jej losy, poniekąd rekonstruując życie codzienne lat przed- i powojennych, a tym samym i historię ukraińskiej wsi dwudziestego wieku z przejmującymi szczegółami o nakazie milczenia, śmierci, głodzie i nędzy, aż po największy dramat wystawianej w Paryżu wiejskiej artystki. Drugi jest o Leonidzie Pluszczu, autorze „W karnawale historii", neomarksiście i dysydencie Rosji epoki Chruszczowa, czasów ludzkiej twarzy socjalizmu i cienia Zachodu obłaskawiającego poczynania ZSRR, gdy w psychuszkach wychowywano „posłuszne dziecko" – człowieka, który nie zadaje pytań.

W ostatnim eseju z „Planety Piołun" autorka wraca do imperializmu i uprawomocnienia terroru. Pytanie, czy choć na chwilę pisarka porzuciła te kwestie? W każdym razie, gdy w „Długim pożegnaniu ze strachem„, opatrzonym podtytułem „«Badania terenowe nad ukraińskim seksem» dwadzieścia lat później" porównuje literaturę rosyjską i francuską, tudzież ukraińskie i francuskie - tak przecież różne - oblicza kolonializmu, rozważa chyba najbardziej okrutne skutki poddaństwa, zależności, podporządkowania, czyli niewolnictwo. Stąd jej wnioskowanie niestety nieubłaganie musi dotknąć najbardziej intymnej sfery, czyli seksualności, a dalej fantazji erotycznych charakterystycznych dla poszczególnych narodów. I mimo, że w obszernym przecież eseju zostają one ukryte pośród innych, przeróżnych refleksji, dywagacji, dygresji i skojarzeń, czytelnik pozostaje sam z obrazami ostatnich miesięcy, tygodni i dni, które pozostają nieporównywalnymi okrucieństwami w naszym kręgu kulturowym dwudziestego pierwszego wieku.

Dziesięć esejów napisanych przez Oksanę Zabużko przed wybuchem wojny w Ukrainie to ostrzeżenie przed zalegalizowaniem imperializmu i kolonializmu, z których Europa zdała się wyleczyć już dawno, a obecnie stać ją na to, żeby w literaturze dokonać szczerego rozrachunku. Przykładów pisarka podaje w każdym z tekstów mnóstwo. Zarazem dopomina się od Europy, Zachodu, Stanów Zjednoczonych o rzetelność i otwartość opowiadania oraz pisania na temat stuletnich tragicznych dla Ukrainy skutków jej relacji z zaborczym sąsiadem. Oksana Zabużko nie zdążyła. Czytelnik musi sam sobie odpowiedzieć, czy świat zdążył z wiarygodnością.

Jerzy Lengauer

[1] Oksana Zabużko, „Planeta Piołun", w: Oksana Zabużko, „Planeta Piołun", przeł. Katarzyna Kotyńska, Joanna Majewska, Anna Łazar, Agora SA, 2022, s. 31.
[2] Oksana Zabużko, „Do polskiego czytelnika", w: tamże, s. 9.
[3] Op. cit., s. 13
[4] Oksana Zabużko, „Tryptyk białoruski wokół przekładu «Czarnobylskiej modlitwy» Swietłany Aleksijewicz", w: tamże, s. 130.
[5] Oksana Zabużko, „My, deportowani: Koda", w: tamże, s. 136.
[6] Oksana Zabużko, „Ukraina – własnym głosem", w: tamże, s. 219.

Janusz Stobiński

Mateusz Wabik

Bez strachu przed Niemcami we współczesnej Polsce ani rusz

W najnowszym tomiku Bartłomieja Siwca pt. „Domysły na temat Ruxa" znalazło się 34 wiersze. Najbardziej zastanawiały mnie te dotyczące okupacji i byłego szefa bydgoskiego gestapo Karla-Heinza Ruxa, który w 1945 roku bojąc się, że zostanie przekazany przez Brytyjczyków, jugosłowiańskim partyzantom, popełnił samobójstwo (za Wikipedią). W wierszu „Walter Hierse", którego stylistykę można nazwać poetycką biografią, było kilku bohaterów, w tym Walter Hierse członek gestapo i jego szef Karl-Heinz Rux. Wiersz przybliżał biografię Hiersego, ale także wspominał o Ruxie. Obaj byli mordercami, ale po godzinach pracy lubili się zabawić. W kasynie Hierse opowiadał o zamordowanych Żydówkach, z którymi kiedyś tańczył, na co śmiechem zareagował Rux. Później Rux chciał za jakieś przewinienie wysłać Hiersego na front wschodni, ale ten uciekł wcześniej z Bydgoszczy. W wierszu także wspomniano o tym, że Hierse w 1948 roku został uznany w zachodnioniemieckiej prasie za „ofiarę faszyzmu". Utwór kończył się sceną, w której żona Hiersego przymierzała futro, ale uważała, że to co miała w Polsce podczas okupacji było lepsze. W innym wierszu „Domysły na temat Ruxa" poeta powątpiewał w śmierć szefa bydgoskiego gestapo i zastanawiał się, czy przypadkiem jego śmierć nie była mistyfikacją, a on nie wyemigrował do Argentyny jak wielu nazistów, albo do Chile. W wierszu „*** Jestem skromnym archiwistą...", pojawiło się wspomnienie mordu gestapo w 1941 na ludności polskiej i trudność z opanowaniem się po wpisaniu tego faktu do jakichś rubryk przez urzędnika-archiwistę, który był podmiotem lirycznym wiersza. W wierszu „Glasschleiferin aus Irene", który należał do tzw. liryki maski, narratorką była pracowniczka huty i zarazem tajna współpracowniczka gestapo, której zadaniem było „operacyjne/zabezpieczenie obiektu" i uwalnianie się od „elementów obcych". W wierszu „Na meczu" pojawiła się jeszcze raz postać Karla-Heinza Ruxa. Podmiot liryczny spotkał go podczas fantazyjnego meczu RFN-Argentyna, w którym grali m.in. Mario Kempes i Diego Maradona.

Te wspomniane wyżej wiersze były napisane czytelnie i bardzo sprawnie. Jednak to, że Niemcy byli okrutni podczas okupacji w Polsce dla Polaków, a także to, że lubili swoim narzeczonym i żonom wręczać prezenty, które zabrali mordowanym ludziom, a także to, że po mordowaniu i ściganiu podejrzanych lubili się napić i żartować to wszystko znałem już z literatury i to co napisał Bartłomiej Siwiec wpisało się w ogólny obraz Niemców podczas okupacji w Polsce w pierwszych latach. To, że Rux mógł wyemigrować do Argentyny i mógł oglądać jakiś mecz, też nie było dla mnie żadnym zaskoczeniem. Dawniej żądano od literatury by pokazywała jakiś nowy punkt widzenia na sprawy już znane, a to co napisał Siwiec, zupełnie nie było tym, tylko wpisało się w politykę historyczną obecnej partii rządzącej, której koryfeusze od kultury postanowili wspierać te narodowo-patriotyczne inicjatywy, które nie będą niczym innym jak ilustracją dziejów. Powieleniem tekstu historycznego w filmie i literaturze. To, że Niemcy byli okrutni znałem m.in. z opowiadań i poezji Tadeusza Borowskiego, reportażu „Medaliony" Zofii Nałkowskiej, „Rozmów z katem" Kazimierza Moczarskiego. Swiatłana Aleksijewicz w książkowym reportażu „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety" także ukazała okrucieństwo nazistów i to, że mimo tego co robili – palili wsie, mordowali ludzi – „po pracy" żartowali. W pierwszym lepszym filmie z okresu PRL-u Niemcy nie robili nic tylko rozstrzeliwali Polaków, deportowali Żydów, mówili tylko po niemiecku „ręce do góry" lub „szybciej, szybciej". I rozumiem, że żaden Polak nie zapomni nigdy o tych niemieckich okrucieństwach, ale czy literatura nie powinna poszukiwać nowego światła na stare tematy niż skupiać się tym na tym co znaliśmy już z literatury? Czy literatura powinna być nadal narzędziem propagandy politycznej? Przecież od tych opisywanych w książkach historycznych i literackich zdarzeniach minęło ponad 70 lat!!! To opisywano już tyle razy, że trudno te teksty uznać za udane...

W książce wydanej w latach 50-tych pt. „Życie na niby" Kazimierz Wyka opisywał, że mimo morderstw dokonywanych przez Niemców, codzienność pod okupacją niemiecką mniej różniła się od tej sprzed okupacji w porównaniu do świata sprzed okupacji i pierwszych lat stalinizmu w Polsce i mimo wszystko wspominał takie sytuacje, które mocno różniły się od stereotypu powielanego przez propagandę – Niemcy zaczęli rozumieć Polaków, kiedy rozpoczęło się piekło na Wschodzie. Łapówki były na porządku dziennym. Niemiec potrzebował drewna na dom, szedł do Polaków. Nie wszyscy odczuli na sobie pejcz, pięść i buty gestapo. Podobnie w książkach brytyjskich autorów i nie tylko, które po 2004 zalały polskie księgarnie – można było przeczytać o wynalazczości Niemców, nowoczesności w taktyce, czy o tym, że czołowi naziści uwielbiali kreskówki Walta Disneya. Może to wszystko było szokujące ale uzupełniało obraz, ukazujący tylko okrucieństwo Niemców.

Niestety Siwiec nie zaskoczył mnie w wierszach o nazistach niczym. W Krakowie, w którym się urodziłem można nadal odnaleźć i ślady okrucieństwa Niemców – pozostałości po obozie koncentracyjnym w Płaszowie, ale też ślady ich rzetelności podczas przebudowywanie i powiększania Krakowa. Nawet pierwsze bloki w Nowej Hucie były budowane na wzór zabudowy niemieckiej z okresu okupacji, a nie sowieckiej z ZSRR.

Z ciekawszych wierszy można zwrócić w tomiku Siwca uwagę np. na „Notatki z wyścigu szczurów", krótki wiersz „*** Po pogrzebie...", w których Siwiec nie unikał humoru i ironii. W pierwszym z nich ukazywał bezmyślność świata opartego na ekonomii. Pisał o ludziach bezwolnie poddających się modom, wstydzących się kupowania ubrań na wyprzedażach. W drugim mimo wszystko nie przekroczył jakiejś granicy smaku, mimo, że skontrastował dowcip sytuacyjny z sytuacją stypy.

Do poprzedniego tomiku Siwca pt. „Przepompownia" wracałem kilka razy. Nie zmienił się w nowym ani czytelny, niemal felietonowy styl, ani wyczulenie na dowcip sytuacyjny, ani także zmaganie się z absurdami egzystencji, czy wrażliwość na ludzi biednych. Nie zmieniło się także to, że niektóre jego wiersze układały się w cykle. Nie zaznaczał tego w tomikach, rozsypywał te wiersze z cykli pomiędzy inne swoje wiersze i tematyka w jego tomikach powracała jak refren. W „Domysłach..." był jednak tylko jeden cykl.

Nie uważałem „Domysłów na temat Ruxa" za tomik nie udany, ale trzeba przyznać, że wiersze o cięższym kalibrze niż historia przepompowni, historie nieudanych małżeństw jak w poprzednim jego tomiku nie do końca udały się poecie.

Mateusz Wabik

Bartłomiej Siwiec, Domysły na temat Ruxa, Biblioteka „Toposu", Sopot 2021

Janusz Stobiński

Mateusz Wabik

Eksploracja mrocznych ścieżek

W drugim tomiku wierszy Franciszka Olejniczaka pt. „Kraj obrazy" - wydanym przez wydawnictwo Mamiko w 2020 - można znaleźć sporo wierszy chropowatych pisanych z dala od wpływów neolingwistycznych, awangardowych, choć wrażliwość na językowe gry da się momentami wyczuć. Znaleźć w tomiku można opisy obskurnych miejsc, agresję i bunt przeciwko zastanej kulturze, zniechęcenie do polityki i rozmaitych ideologii krępujących wolność człowieka, a także nieufność do zinstytucjonalizowanej religii, a poza tym klimaty subkulturowe, czy raczej anty-subkulturowe, opisy pijaństwa i drobnych zdarzeń z udziałem np. zwierząt, ale także swoisty patriotyzm i zainteresowanie polskością.

Poezja Olejniczaka przyznaje się do wpływu spuścizny Rafała Wojaczka i twórczości poetów w latach 90-tych skupionych wokół czasopisma „Brulion". Na przykład w wierszu „Pod Czarnym Krawatem", który nawiązuje stylistycznie do wiersza „Tobół" Marcina Świetlickiego, choć z pewnymi przekształceniami – Amerykę zastępuje Polska, można znaleźć podobny motyw co w poezji wielu poetów urodzonych w latach 60-tych ubiegłego wieku – tj. nieprzystawalności podmiotu lirycznego, czy autora do świata: „Polsko, mam na sobie dwa lewe buty,/a przecież świeci słońce". Podmiot liryczny „Pod Czarnym Krawatem" utyskuje na pustkę polskiej poezji i przywołuje skandalizujący wiersz „Flupy z pizdy" Zbigniewa Sajnoga opublikowany w 1991 roku w czasopiśmie „Brulion" jako pewny punkt orientacyjny, gdyż mimo sprzeciwu wielu krytyków, co do treści tego wiersza, przyciągał odwagą i autentycznością, które także interesują poetę. W wierszu „Never mind czy Nevermind" ktoś pyta przedstawiciela subkultury punkowej do czego doszedł. Drwi z jego dziurawych glanów, rozterek czy słychać Sex Pistols, czy Nirvany, czy który z liderów kapeli Sex Pistols był ważniejszy. Ośmiesza kulturę punkową przywołaniem żargonowego określenia punków „brudasy" i tym, że skinheadzi (trzeba dodać, że niegdyś wspierani przez reżim Wojciecha Jaruzelskiego) skutecznie stosowali przemoc przeciw anarchistom. Nieraz spotkałem się z tym, że czołowy przedstawiciel poezji roczników 60-tych Marcin Świetlicki krytykował subkulturę punkową w wywiadach i wstępach do swoich książek – ale nie krytykował jej za ideologie, postawy, ale za schematyczność. To było zrozumiałe dla mnie, gdyż w latach 80-tych punk rock w Polsce miał wielu fanów, w wielu miejscach Polski odbywały się festiwale, koncerty, zloty, w wielu czasopismach młodzieżowych można znaleźć było informacje o tej muzyce, a oficjalne magazyny muzyczne jak „Non Stop", czy „Magazyn Muzyczny" wspierały tą subkulturę. Jednak obok liderów i zespołów mniej znanych, ale ciekawych, pojawiało się mnóstwo kapel, które niczego nie wnosiły do tej sceny. Na początku lat 90-tych punk w Polsce mocno się skomercjalizował i ustabilizował, a jeden z utworów Defektu Muzgó często był puszczany w radio. I wiadomo, że niczym ciekawym dla Marcina Świetlickiego nie było granie punk rocka w jego podstawowej formie. Świetliki proponują od lat muzykę z wieloma wpływami – nowa fala, punk rock, piosenka poetycka, jazz i jego rozmaite podgatunki. Jednak zastanawia mnie sprzeciw Olejniczaka wobec punk rocka – o co w nim chodzi? Jak go rozumieć? Czy chciałby podlizać się koryfeuszom literackim w Polsce, który od lat odcinają się od wszelakich subkultur i jeśli już coś podoba im się to banał, stadność i niedojrzałość hip-hopu (a może pieniądze jakie są w tej subkulturze?). Czy mimo podobnej postawy i programu uważa się poeta za kogoś, kogo sztuka jest głębsza i na wyższym poziomie intelektualnym niż teksty punkowych kapel? Być może ten wiersz to czyjś zwrot do alter ego poety jak w liryce inwokacyjnej, tyle, że na odwrót? Czy może liryka Olejniczaka to brutalna forma – kultury lewackiej w Polsce?

Moich rozterek nie wyjaśniają wiersze Olejniczaka, bo one jeśli chodzi o pytanie czy poeta jest anarchistą, czy przeciwnikiem anarchizmu, albo czy jest po stronie zwycięzców w brutalnej ekonomicznej rzeczywistości, czy przegranych, czy jest po stronie religii, czy ją atakuje – jednoznacznie nie odpowiadają. Nie dlatego, że są niejednoznaczne, ale dlatego, że są zagmatwane pod względem tego, kto jest kim w wierszu i kto mówi do kogo. Takim dobrym tego przykładem jest ostry wiersz „Niech się zaogni wszechświat". Czytamy w nim o buncie, który jest równoznaczny ze stosowaniem przemocy (choć to zbanalizowanie każdej subkultury). Raz podmiot liryczny chce zadawać ból: „Krew na mojej pięści musi być krwią/czyjąś.", a raz utożsamia się z Jezusem Chrystusem i jest tym, który znosi ból: „Każdy gwóźdź w moim ciele ma tworzyć zakażenie". Później w wierszu pojawia się zwrot do kogoś, kto ma być przy podmiocie lirycznym „jak dziwka/przy mesjaszu", co jest aluzją do postaci Marii Magdaleny z „Nowego Testamentu". W wierszu mamy zamiast poetyckiej, artystycznej logiki, drapieżne obrazy, mocne i pokręcone zwroty, ale wiersz jest tak zagmatwany, że nie jest zrozumiały pod względem – kto do kogo mówi i po co? Kiedyś spotkałem się z podobnie drapieżnym tomikiem. Był to zbiór wierszy Przemysła Wątorka pt. „Trzecia przepaść ziemi" z 2001 roku, w którym jednak przekaz nie był zagmatwany, autor buntował się przeciwko kapitalizmowi i wpływowi polityki USA na świat i odnosił się do subkultury hippisów, beatników i tekstów Jima Morrisona. W porównaniu do Wątorka, Olejniczak więcej jest zainteresowany tym by stworzyć mocny, skandalizujący i mroczny przekazu niż tym, aby wyjaśnić jaki ma punkt widzenia. Być może na to wpływ ma wizualna awangardowa sztuka współczesna.

Wierszem nieco odstającym od poetyki „Brulionu" w „Kraj obrazach" jest tekst autobiograficzny, czy autobiograficzny a rebours „Gumolit". Jest on mocno sprozaizowany. W nim podmiot liryczny mówi kiedy się urodził i pisze o tragediach związanych z hodowanymi przez siebie zwierzętami. Wiersz jakby przeczył ekologicznemu nastawieniu wielu współczesnych poetów, którzy uwznioślają naturą i upiększają ją. W tomiku Olejniczaka natura ukazuje swoja mroczną twarz. Pies rozszarpuje twarz podmiotowi lirycznemu w dzieciństwie, padają z głodu ryby w akwarium, a glonojad umiera z przejedzenia. W akwarium pozostałym po zwierzętach, poeta hoduje myszy, które dopuszczają się aktów kanibalizmu. Pies Dżeki okazuje się erotomanem. Ton tego wiersza jest oczywiście mroczny, ale nagromadzenie tylu nieszczęść związanych z hodowlą zwierząt pokazuje jakiś absurd związany z domowym hodowaniem zwierząt. Nagromadzenie tylu nieszczęść, w taki specjalnie jednostronny sposób, trąci tekstem z pogranicza poezji i kabaretu. Ten tekst jest wg mnie zupełnie oryginalny, ale przypomina podobnie absurdalne teksty z pogranicza poezji i kabaretu, które znam z „Powązek" Tadeusza Pióry, czy z twórczości Tomasza Bąka.

W wielu miejscach tom wierszy „Kraj obrazy" wydaje się sprawnie napisanym tomikiem pod poezję Wojaczka i Świetlickiego, ich maniery aż zanadto są widoczne. W niektórych miejscach, poeta próbuje przebić ich twórczość większą kondensacją obskurności i mroku, co mu się czasem udaje, ale czasem nie. W niektórych wierszach widać przebłyski inteligencji, a omówiony „Gumolit" wydaje się najciekawszym tekstem w tomiku. Niestety poeta na swoje nieszczęście tkwi w poezji o jednym klimacie, co mimo nastawienia na autentyzm, podważa tą autentyczność. Poezja byłych „Brulionowców" mimo wszystko nie bywa tak jednolita. Mam wrażenie, że niekiedy poezja Olejniczaka to nic innego, niż epatowanie brutalnością z nadzieją na wywołanie skandalu. A i polski punk rock wymaga chyba docenienia…

Mateusz Wabik

Franciszek Olejniczak, Kraj obrazy, Nowa Ruda 2020

Janusz Stobiński

Mateusz Wabik

Zwroty akcji, umieranie i odrobina humoru

Wojciech Banach to dosyć doświadczony poeta, ale „Mecz z realem" – jego ostatni tomik, który ukazał się w 2021 wraz z „Toposem" był zarazem pierwszym tomikiem wierszy tego poety jaki czytałem. Na pewno w tym miejscu ktoś może się doczepić, że piszę o „Meczu z realem", choć nie przeczytałem wszystkich jego poprzednich tomików. Ale wydaje mi się, że w recenzji to może uchodzić, gdybym pisał biografię poety, na pewno odrobiłbym zaległości. Wojciech Banach debiutował książką w czasach kiedy miałem dwa lata. Był to tomik „Chwilowy obraz świata", który ukazał się w 1977 nakładem Zarządu Głównego ZSMP. Jego tomiki ukazywały się także później – np. 3 w latach 90-tych, ale wówczas w kolportażu ogólnopolskim były książki poetyckie noblistów, roczników 60-tych, klasyków. W krakowskich księgarniach można było znaleźć książki wielu krakowskich twórców różnych pokoleń i na pewno połowy z nich nie było w księgarniach w Bydgoszczy.

W latach 70-tych i 80-tych było sporo dyskusji literackich, których inicjatorami byli poeci Nowej Fali i wielu debiutantów z tamtych lat często albo przejmowało się ich postulatami – o ukazywaniu świata nieprzedstawionego, zwracania uwagi na komunikaty pochodzące z kręgów politycznych, albo obierało inne drogi poetyckie – naśladowanie Miłosza, poezję przestrzeni wiejskiej, autonomię literacką. Czuć w poezji Banacha może nie tyle jakieś zależności od uznanych twórców nowofalowych, ale jakieś wspólne dla niego i ich przeświadczenia, np. odnoszenia się do kwestii społecznych i politycznych, czy posługiwanie się językiem oficjalnym. Jednak można było znaleźć w jego poezji jakieś reminiscencje z lat kiedy ważne pytania poezji w Polsce stawiali poeci należący do Nowej Prywatności (np. Antoni Pawlak), gdyż często Banach pisał o sprawach zupełnie prywatnych - rodzinie, np. o umierającej matce, czy wspominał zamordowanego dziadka w Auschwitz.

Oprócz wspomnień rodzinnych, zmaganiu się z chorobą i śmiercią matki, można w jego tomie wierszy znaleźć także utwory dotyczące codzienności, wizyty na cmentarzu, natury, świąt, ale także wiersze dotyczące istoty pisania i czytania innych tekstów, a także humorystycznego i ironicznego potraktowania niektórych spraw. Także w jego wierszach istniały media (TV, internet).

W wierszu „Przyprawianie", który dotyczył ostatnich sporów politycznych w Polsce, z drugiej dekady XXI wieku, poeta pisał: „Pan ekspert mówi że w parlamencie/nie ma jednej Polski". Nie chodziło mu bynajmniej o jakieś pojednanie pomiędzy zwaśnionymi stronnictwami – prawicą liberalną i prawicą patriotyczną. Jakby wbrew opinii ekspertów odwołał się do tradycyjnego motywu podziału Polaków i ukazał, że tyle jest wersji Polski ilu jest Polaków. Poeta w wierszu polemizował z ekspertami.

W „Sytuacji podbramkowej" poeta opisał opiekowanie się stara matką, podczas gdy oboje oglądali mecz Juventusu Turyn i Realu Madryt. Zestawił słowa matki o bolącej nodze z sytuacją na boisku. Niepewność i niepokój związany z umieraniem osoby bliskiej określił słownictwem z jakim wielu ludzi obcuje podczas transmisji sportowych.

Humor i kpina znalazły swój wyraz w wierszach „Mróweczki", czy „Między innymi". W pierwszym z nich poeta dziękował mrówkom za odwiedziny w mieszkaniu na trzecim piętrze. W drugim zastanawiał się nad tym, czy był to przypadek, że 21 marca został ustanowiony Światowym Dniem Poezji, a zarazem ten sam dzień był „Międzynarodowym Dniem Walki z Dyskryminacją Rasową/ oraz Światowym Dniem Zespołu Downa". Po zastanowieniu się poeta stwierdził, że do wszystkich wyróżnionych tym dniem należało podejść z estymą.

Autotematyzm pojawił się np. w wierszu „Wiersze pisane nocą". Poeta twierdził w nim, że wolał zawsze pisać w nocy, „nie widząc znaków na niebie i papierze". Mimo, że nad ranem dziwił się wszystkim koślawym literom, doceniał ten akt pisania po ciemku i czekał zawsze na kolejną noc. Pisanie w ciemności zalecał w Krakowie wiele lat temu Stanisław Przybyszewski. Nie wiadomo, czy o tym Banach wiedział. Chyba nie, bo gdyby wiedział, to na pewno jakoś zaznaczyłby to w tekście. Zadziwiające w tym było to, że metodę pisania w ciemności praktykowali poeci z różnych epok urodzeni na tej samej ziemi, w dzisiejszym województwie kujawsko-pomorskim.

Książka Banacha nie wpisywała się w praktykowane dzisiaj na północy Polski naiwne nawrócenia na poezję religijną. Mimo jakichś wspólnych warsztatowych podobieństw do poetów z wymienionych przeze mnie formacji z dawnych lat, wydała mi się świadoma i dojrzała. Największymi zaletami „Meczu z realem" /można tą małą literą napisany „real" – odczytywać jako „rzeczywistość", gdyż tak w slangu internautów określano ją jeszcze jakiś czas temu/ było to, że wiersze nie były o niczym, a także wiele z nich udało się doświadczonemu poecie. Oczywiście znalazłem kilka wyjątków –np. „Drugie podanie", w którym za motta posłużyły oprócz cytatu z wiersza Czesława Miłosza, nagłówki artykułów z internetu, co wydawało mi się trącić wyświechtanym dziś pomysłem – niedawno w "Ale o co ci chodzi?" Marcina Świetlickiego znalazł się wiersz „Dziś w internecie" zbudowany z tytułów artykułów z witryny internetowej. Ciekawiej od obu wspomnianych poetów ze współczesnymi mediami radzili sobie i Tadeusz Różewicz i Bohdan Zadura, który też nawiązywał do internetu. Warto dodać, że książce Banacha znalazły się wiersze jakby skierowane do innych poetów – jeden wiersz został dedykowany Zdzisławowi Prussowi, inny wiersz nosił tytuł. „Z listu do Poety Jerzego Fryckowskiego", a także znalazły się wiersze poświęcone pamięci zmarłych poetów – Kazimierza Hoffmana i Allena Ginsberga.

Mateusz Wabik

Wojciech Banach, Mecz z realem, Biblioteka „Toposu", T. 192, Sopot 2021

Janusz Stobiński

Roman Warszewski

Applebaum. Dogonić czas. Tylko jak?

W pewnym miejscu w książce „Matka Polska" Anne Applebaum, pytana przez prowadzącego z nią wywiad–rzekę Pawła Potoryczyna, w jakim języku kłóci się z Radkiem (oczywiście z Radkiem Sikorskim), mówi, że oni w zasadzie się nie kłócą. Paweł Potoroczyn na to: „Przestań..." (że to niby niemożliwe).

„No [może są] jakieś sprzeczki o tym, czyja kolej do zmywania albo kto wyniesie śmieci, ale nic poważnego... – kontynuuje Anne. – W naszej rodzinie jest tak, że kiedy siedzimy przy stole, ja mówię po angielsku, Radek mówi po polsku, dzieci jak mówią do mnie, mówią po angielsku, jak mówią do Radka, mówią po polsku. On z nimi rozmawia tylko po polsku i oni ze mną tylko po angielsku. Nie lubią jak mówię po polsku, bo twierdzą, że źle mówię, mój akcent ich irytuje."

Takich ponętnych szczegółów w książce jest wiele. Na przykład to, że przyszła laureatka nagrody Pulitzera na początku swej dziennikarskiej i pisarskiej drogi była gotowa pisać bez żadnego kontraktu, tylko za gołe honoraria, które opiewały na sto lub sto pięćdziesiąt funtów albo dolarów – w zależności od tego, dokąd miał trafić artykuł; dla niej, na początku kariery, liczyło się tylko to, że dłużej może przebywać w Europie Wschodniej – najczęściej w Warszawie. Takie detale (a jest ich naprawdę wiele) nadają lekturze tej książki sporo uroku i jej bohaterkę czynią bardziej realną, a czytanie wręcz lekkim. Choć książka wcale lekka nie jest – mnóstwo w niej tematów bardzo poważnych. Na nich się skupię. Przynajmniej na dwóch z nich.

Media, czyli cyfrowy Gutenberg

Dlaczego świat – jak niekiedy może się wydawać – zwariował? Dlaczego, mniej więcej od roku 2010, wszystko staje się inne niż było przed chwilą? No dlaczego?

Anne Applebaum obficie to komentuje. Nawałnicę zmian i przemian wiąże z rewolucją, jaka na naszych oczach zadziała się (i nadal się dokonuje) w sferze mediów elektronicznych.

Nazywa to nową rewolucją Gutenberga i najpierw przypomina wynalazcę sprzed wieków. Mówi: „Nowa technologia, która daje milionom władzę czytania i pisania, (...) destabilizuje [wtedy] Kościół, podkopuje monarchie i przynosi reformację. Nie oceniam reformacji, w żaden sposób. Nie biorę udziału w sporze katolików z protestantami. Ale faktem jest, że w konsekwencji mieliśmy stulecie wojen religijnych, podział chrześcijaństwa na nienawidzące się i wzajemnie wyrzynające się plemiona, inkwizycję, przewroty, zamachy, skrytobójstwa, masakry, niekończącą się walkę o władzę i o stosy."

Jak bardzo przypomina to czasy współczesne!

Anne Applebaum temu nie zaprzecza. Przeciwnie. Stwierdza: „Żyjemy w czasach podobnego rewolucyjnego przesilenia. Dlaczego tak liczne wybory w tak wielu demokracjach przynoszą tak zaskakujące rezultaty? Dlaczego nacjonaliści i ksenofobi, którzy wszędzie głoszą mniej więcej takie same hasła, zyskują na popularności w krajach tak różnych, jak Polska, Brazylia, Filipiny, Stany i Wielka Brytania? Przypuszczam, że tak jak wynalazek druku złamał monopol duchowieństwa na dostęp do słowa pisanego, tak rewolucja cyfrowa w kilka zaledwie lat zachwiała modelem biznesowym demokratycznych, pluralistycznych mediów, a w konsekwencji wstrząsnęła stojącymi za nimi instytucjami politycznymi. Nawet jeśli myślisz, że tradycyjne media miały swoje wady (...), to przynajmniej w teorii miały służyć obiektywizmowi, dobru publicznemu i szacunkowi dla faktów. Miały filtrować teorie spiskowe, tropić skandale, kontrolować władzę. Nie zawsze z powodzeniem, ale przynajmniej umożliwiały dialog, i umożliwiały debatę. Czy ktoś tego wymaga od partyjnego portalu, wynajętego blogera, influencera, hejtera? Czy ktoś [teraz] tego wymaga od bota?"

Odpowiedź jest oczywista. Nikt nie wymaga – nikt, po prostu, nie jest w stanie czegoś takiego wymóc, wyegzekwować.

„Rezultatem jest polaryzacja – mówi dalej Applebaum. – Ludzie są zmuszeni, by opowiedzieć się po jednej ze stron sporu, oddalają się od siebie, centrum zanika. Nie ma wspólnego namysłu, nie ma wspólnej narracji. Zaczynamy różnić się nie opiniami, ale faktami. Zamiast projektować przyszłość, kłócimy się o przeszłość. Social media tylko pogłębiają i przyspieszają to zjawisko."

Tu konieczne jest dopowiedzenie: polaryzacja, w której siły polityczne dzielą się mniej więcej w proporcji pół na pół, jest najlepszym sposobem zwalczenia demokracji. Bo taki podział sił politycznych wzajemnie je blokuje i paraliżuje. Przez to demokratyczne instytucje de facto zostają wyłączone. Kto działa na rzecz polaryzacji, dąży do zniszczenia demokracji, ją unieruchamia. (Czyż nie temu miały służyć smoleńskie miesięcznice?)

Ale jak na złość, to jeszcze nie wszystko.

Applebaum: „Jeszcze inny rezultat, udowodniony naukowo, to rosnąca podatność na teorie spiskowe, kampanie dezinformacyjne i fake newsy uczestników zamkniętego networku, bańki pozbawionej przez algorytmy dostępu do wiedzy, która nie mieści się w charakterystyce bańki. Czyli im bardziej spolaryzowane społeczeństwo, tym bardziej podatne na manipulacje."

Znów: Skąd my to znamy?

A do tego dochodzi jeszcze inny ważny element: Jakikolwiek brak odpowiedzialności. Applebaum „Brak odpowiedzialności za słowo w sieci [ma swoje nieuchronne konsekwencje]. Anonimowość zwalnia z odpowiedzialności. [Natomiast] wspólnym mianownikiem wszelkich typów odpowiedzialności jest prawda."

Brak odpowiedzialności możliwy dzięki anonimowości oznacza – mówiąc najkrócej – śmierć prawdy: powszechne zastąpienie jej czymś względnym – poglądem, przy czym opinia profesora w danej dziedzinie i pogląd pospolitego zjadacza hamburgerów waży dokładnie tyle samo.

Rosja, czyli jak dogonić czas

Wszystko te mankamenty cyfrowych mediów, które dla niej były zaletami, czy wręcz darem niebios („politycznym złotem"), postanowiła wykorzystać Rosja.

Anne Applebaum: „Cyfra okazała się doskonałym narzędziem agresji dla zbiedniałego eksmocarstwa: poprzeczka nie jest zbyt wysoko, technologia jest tania i niezbyt high–tech, niezbyt czasochłonna i nie wymaga specjalnego sprzętu. Wystarczy kilkaset laptopów. Nie ma też odpowiednio sprawnego przeciwnika. Demokratyczne rządy nie będą przecież cenzurować Internetu ani nie będą finansować niezależnych mediów, bo to tylko by ośmieszyło ideę ich niezależności. NATO nie jest przygotowane ani powołane do toczenia wojny informacyjnej. Generałowie mogą przesuwać dywizje pancerne na mapach, ale nie wkroczą do wojny w mediach społecznościowych"

Te ostatnie dwa zdania brzmią anachronicznie?

Oczywiście.

Jeszcze jak!

I tu docieramy do – moim zdaniem – najistotniejszej kwestii, którą bezlitośnie obnaża ta książka.

Bo jest to pozycja stosunkowo nowa, sprzed dwóch lat, na dodatek pisze ją osoba jak najbardziej biegła w materii, którą porusza. A mimo to w co najmniej kilku miejscach już nie do końca przystaje do tego, co obecnie dzieje się dookoła. Rzeczywistość tak bardzo ruszyła z kopyta! Tak bardzo, że trudno jest za nią nadążyć nawet najbardziej utytułowanym.

Najpełniej ujawniają to akapity, które Applebaum poświęca Nawalnemu.

Najpierw Anne i Paweł Potoroczyn (w książce) na YouTubie oglądają film dokumentalny, który Nawalny zrealizował o korupcji w Rosji.

„Robi wrażenie" – mówi Potoroczyn po obejrzeniu.

Anne Applebaum odpowiada: „To jest oczywiście trochę dziwne, bo jak on może to robić i go nie zamykają?"

„Przecież ciągle go zamykają i puszczają."

„Tak, ale dlaczego puszczają? Może jakiejś frakcji władzy to się podoba, może go do czegoś potrzebują? (...)"

„Niemcowa odstrzelili w biały dzień pod murami Kremla."

„No. A Nawalnego, który jest najbardziej widoczny i głośny, jakoś nie dotykają za bardzo, nie wiem dlaczego. Ktoś go chroni."

„Myślałem, że w Rosji nie ma nietykalnych..."

„Ja nie mówię, że on jest nietykalny, mówię, że musi być jakaś przyczyna, dlaczego oni pozwalają mu żyć".

Ten dialog robi wrażenie? Nie może nie robić. Jak dalece rozmija się z tym, co dzieje się w tej chwili! Nie przytaczam go po to, by udowodnić, jak bardzo Applebaum i Potoroczyn się mylili. Ani mi to w głowie. Robię to po to, by tę znakomitą książkę potraktować jako pewnego rodzaju miernik: przysłowiowy papierek lakmusowy pokazujący, jak bardzo przyspieszył otaczający nas świat, jak szybko i jak gwałtownie wszystko wokół się zmienia.

Moim zdaniem akurat to jest najważniejszą nauką wynikającą z tej książki. Kiedy Nawalny siedzi na zesłaniu i Putin co chwila dokłada mu jakiś nowy wyrok. Kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę i pokazuje swój diaboliczny ryj. Kiedy natowscy generałowie już na pewno nie mogą nie interesować się social mediami. Rozmowy, które składają się na „Matkę Polkę" prowadzone były 3 lata temu. Książka ukazała się 2 lata temu, a więc stosunkowo niedawno. Tymczasem od pół roku żyjemy w całkiem innym świecie – w świecie wywróconym do góry nogami, którego nawet cienia nie ma w tym wywiadzie rzece.

Na naszych oczach rodzi się coś całkiem nowego. „Matka Polska" pokazuje jak bardzo nasze myślenie nie nadąża za eksplodującą rzeczywistością. Jak niewiele potrafimy choćby tylko przeczuć. Jest przez to niezamierzonym wezwaniem, do tego, by to zmienić. Musimy koniecznie zacząć nadążać za tym co się dzieje, bo inaczej może się to bardzo źle skończyć. Nie wolno myślowo jedynie gonić rzeczywistości, lecz trzeba ją wyprzedzać. Tylko w ten sposób możemy mieć jakiś wpływ na to, co się dzieje. Ale... jak to zrobić?

Roman Warszewski

Anne Applebaum, Paweł Potoroczyn, „Matka Polska. Anne Applebaum z rozmowie z Pawłem Potoroczynem", OsnoVa, Warszawa 2020

Janusz Stobiński

Robert Rudiak

Poetyckie zatrzymanie świata niezatrzymanego według Leszka Dembka

Leszek Dembek to od lat znany w kraju poeta-eksperymentator, autor kilku książek poetyckich, w których poszukiwał alternatywnych form przedstawiania świata poetyckiego, autorskich metod lirycznego widzenia i odkrywania nowych, głównie polifonicznych kategorii ujmowania i prezentowania poezji.

Jest autorem książek poetyckich *Z dumą białych werbli, Za żelazną skórą jabłka, revers dla Elizy, Na krawędzi czasu* oraz prozy poetyckiej *Aporia.* Inicjator i współautor wierszy eksperymentalnych *Polifonia Poezji,* które bazują na ćwiczeniu amerykańskiego poety Mc Clatcha, grupy eksperymentalnej OuLiPo i na japońskich wierszach łączonych renga (VII-VIII w.). Na tej kanwie i zjawisku paralaksy tworzył wspólne z innymi poetami teksty m.in. w tzw. ujęciu kwadro-widzenia (hologramu). Jest też prekursorem pisania wierszy w interakcji ze sztuczną inteligencją, w rezultacie, której stworzono tzw. wiersz konfiguracyjny – POE(SI)A IT. Zafascynowany jest poetami-indywidualistami, którzy stwarzali własny, niepowtarzalny styl, inicjowali nowe gatunki literackie, wytaczali nowe przestrzenie i poziomy odbioru poetyckiego. Dembek poszukuje więc nowoczesnego spektrum oglądu poezji poprzez wielość spojrzeń, marzy o wejściu na liryczne K2, tworzy teksty piosenek, szkice o poezji, scenariusze przedstawień poetyckich, jest pomysłodawcą spotkań „Laboratorium Poezji" i redaktorem naczelnym rocznika „Pryzmat Literacki". Od 2015 r. prezesuje szczecińskiemu Oddziałowi Związku Literatów Polskich oraz przewodniczy Wojskowemu Kołu Literackiemu „In Aeternum".

W jego ostatniej książce, obszernym zbiorze *Świat niezatrzymany*, wydanej w serii „Akcent" jako 75 tom poetycki, znalazły się 132 teksty i poemat. Najnowsze utwory Dembka to miniatury prozy poetyckiej pogrupowane w trzy części, czwartą zaś stanowi *Poemat N**, czyli o nietrwałości. Zbiór otwiera część zatytułowana „Z nutą żółtych słoneczników…", w którym rozpoczynające ją miniatury „Zwiastun" i „Słowo" już na wstępie ukazują twórczy potencjał artysty i wachlarz metafor, za pomocą których obrazuje swój świat, a właściwie sposób jego oglądu:

Nagle. Za oknem krople porannych gwiazd śpiewają na gałęziach dnia. Kwiaty mdleją w czułych objęciach obłoków płynących ulicą. Słońce w długich warkoczach śni nad lustrem srebrnej rzeki. (…) Otul mnie chłodną ręką spojrzenia.

(„Słowo")

Poetycki świat Dembka zbudowany jest z poszczególnych, często pojedynczych zdań, w których szersze znaczenie może mieć nawet jedno słowo, odpowiednio użyte w całej fabule czy warstwie opisowej utworu. W wierszu „Zdanie" poeta w zasadzie wypowiada swoje twórcze credo: „każdy wyraz ma swój pejzaż". Zatem Dembek wyraziście kreśli swoje światy, własne wizje i iluzje, w pewnym sensie liryczne imponderabilia. Mimo iż w jego słownych pejzażach roi się niemal od rzeczy uchwytnych, faktów historycznych czy literackich. Na kartach jego wierszy, można by rzec, przeistaczają się tabuny różnorodnych postaci, palety barw od jasnych do ciemnych kolorów, życiem tętni przyroda (gałęzie, drzewa, owoce, kwiaty, kamienie, minerały, rośliny, chmury, niebo, słońce itd.). Poznajemy więc postacie historyczne i biblijne (księżniczki, rycerze), krainy i stwory mityczne, np. Lemurię, Galateę, Tristana i Izoldę, Cheopsa, pojawiają się nawiązania do starożytnej mitologii, biblijnego armagedonu i legend Wikingów, m.in. do Frei, Orfeusza, Aresa, czterech jeźdźców apokalipsy.

W tekście „Kolory" poeta serwuje odbiór świata, a właściwie ekosystemu wszystkimi zmysłami, a więc za pomocą synestezji, bowiem są tu i kolory, i światła, i szum, wyczuwa się ruch i pulsowanie rzeczywistości:

(…) Człowiek obserwuje zachód planety. Ziemia pulsuje dogasającą zielenią. Szary błękit piasku zasypuje niebiańską plażę morzem nocy szumiącą odpływem i przypływem świtu.

Podobnie dzieje się w wierszach „Projekcja", „Plaża", „Harmonia" czy w tryptyku, gdzie czytelnik może „poczuć" piasek, kroplę, deszcz, zapachy kwiatów i owoców, „zobaczyć" ruch morza, chmur, gwiazd, „usłyszeć" szum, burzę i ciszę, a wreszcie „ujrzeć" kolorystyczną gamę roślinności. Podskórny świat poezji u Dembka tętni życiem, jak *elan vitae*, przedmioty mienią się odcieniami, natura gra kolorami, rzec by można, że jest tu istna feria barw, werbalna iluminacja, gdzie realizm miesza się z fantastyką.

Ale na wielu kartach znaleźć też można zabawy lingwistyczne, jak w wierszach „Biel", „Korona V.", czy „Izolacja", w których liryk bawi się słowem i eksperymentuje z zapisem graficznym. W tekście „Biel", czytamy że:

Białość w bieli, puchowatość biała, rado-biel, wędro-biel, mglisto-biel. W bieli się człowiek wybieli do bieli. (…) Niech trwa rozmodlo-biel, niecierpio-biel, nadziejo-biel.

Z kolei wiersze „Izolacja", „Korona V." czy „Szkło" nawiązują już do współczesności, opowiadają o czasie kwarantanny w okresie pandemicznym. Zdarzają się również utwory, w których poeta nie tylko opisuje, ale też prowadzi dziwny dialog, niby z sobą, z własnym alter ego, niby z tajemniczą osobą, nieznajomą kobietą, niby z niewidzialnym duchem, eterycznym bogiem, kosmiczną energią, jak w utworze „Uzależniony" czy w miniaturze „NN.iewidzialny J.eździec A.pokalipsy".

O ile pierwsza część „Z nutą żółtych słoneczników…" stanowiła imaginacyjny opis świata, tak druga część zbioru pt. „Przypływy i odpływy…" to już pełny dyskurs zarówno filozoficzny, jak i artystyczny, w którym pojawiają się znani antyczni i współcześni myśliciele i artyści: Parmenides i Heidegger, Arystoteles i Tatarkiewicz, Lao-Tsy i Wittgenstein, Empedokles i Einstein, Eratostenes i Kant, Pitagoras i Pascal, Malewicz i Chlebnikow czy Dürer i Vivaldi. W wierszu „Linia" podmiot zadaje z natury teognostyczne pytanie: „Dlaczego nie ma tego, który jest", przeciwstawiając niejako religię ateizmowi, teizm deizmowi czy panteizmowi. Innym razem prowadzi wewnętrzny spór i abstrakcyjny dialog z przedstawicielami konstruktywizmu i kubofuturyzmu, z naukowcami, teoretykami i odkrywcami nowych praw fizyki, jak w wierszu „Paradoks F.", gdzie przywołuje postać Enrico Fermiego i jego twierdzenie o istniejących we wszechświecie cywilizacjach. Znaleźć tu można wiele miniatur poruszających tematykę sztucznej inteligencji, fantastyki, genetyki, cybernetyki… Wiersz-kolaż „Alpha-zero" poświęca szachowemu programowi komputerowemu, a „Honjok" młodemu Japończykowi, który ożenił się z hologramem. Są tu więc nad wyraz aktualne teksty podejmujące nowoczesną tematykę, a raczej osobistą i często humorystyczną konwersację z najnowszymi zdobyczami techniki komputerów, iPhonów i świata wirtualnego, np. z influencerką Instagrama, młodego pokolenia Tik Toka, androida z Kioto nauczającego religii. W wierszu „Midnclone" podmiot zachwala aplikację, która – niczym seans spirytystyczny – ma na celu ożywić zmarłego:

Zakup naszą aplikację. (…) Nasz algorytm ożywi mimikę i uśmiech zmarłego, będzie też zdolny do konwersacji. (…) Twoja depresja po żałobie nie musi trwać zbyt długo. Uwierz w technologię VR. Nie bądź nieczuły!

Wymowny, jeśli nie powiedzieć wyrachowany w wymowie, gdyż podszyty cynizmem jest również utwór „Xiao Bing" (Mały Lód) poświęcony automatycznej poetce skonstruowanej w Chinach specjalnie na potrzeby tworzenia poezji. Sztuczna inteligencja wydała swój pierwszy tom wierszy i zdążyła już napisać 10 tysięcy wierszy:

(…) Jan P. odszukał Małą Bing i się zawiódł, a potem stanął na poręczy mostu. Ale mu przeszło, gdy się dowiedział, że Ona nie może się zakochać, bo jest sztuczna, choć superinteligentna. Na dowód swojej lodowatej miłości podarowała mu swój tomik „ Słońce straciło szklane okna" (…) Jan P. odrzekł, że nic nie straci, jeśli wyrzuci te plastiki przez prawdziwe okno w ogień słońca. Mały Lód uroniła czułą sztuczną łzę.

Dużo odwołań w prozatorskich miniaturach Leszka Dembka znaleźć można do programu poetyckiego Różewicza, filozofii Wallisa i Wittgensteina, muzyki grupy Obed Marsh oraz mitycznych postaci z egipskich, mezopotamskich czy prekolumbijskich mitologii: Nefretete, Uszebti, Ananke, Echidny, Tyfona, Hetora, Achillesa, Hekuby, Gilgamesza, Huwawy, Thota, Atona i Chaaca. Autor *Świata niezatrzymanego* prowadzi też mininarrację z socrealistyczną książką „Ludzie z węgla" Niny Rydzewskiej oraz z teodyceą, która „smakuje jak czarny Absolut", a także z Isaiahem Berlinem, brytyjskim przedstawicielem liberalizmu, autorem słynnego eseju „Dwie koncepcje wolności", który w wierszu „Argument" twierdzi, że „wiedza i szczęście (…) mogą być niemożliwe do pogodzenia". Identyczną polemikę prowadzi podmiot liryczny z angielskim filozofem analitycznym Johnem Langsahwem Austinem w obrazie pt. „Niewspółmierność":

Posłuchaj Johnie L. Austinie, nie obchodzi mnie, dlaczego nie zawsze można połączyć miłosierdzie ze sprawiedliwością albo wolność z równością.

Dylematy moralne, zwłaszcza dotyczące

wartości i przykazań chrześcijańskich a służby wojskowej w czasie wojny, kiedy osoba wierząca jest zmuszona zabijać człowieka, wybrzmiewają w takich krótkich formach prozatorskich jak: „Zagrożenie", „Odpuszczenie" i „Pod mostem", a w tekstach „Dywagacje", „K-2/zimą", „Poszukiwacz" i „Jak drzwi" prowadzi minidysputy z Trójcą świętą, albo Bogiem, którego raz nazywa Panem B., kiedy indziej Konstruktorem wszechświata.

Część trzecia zbioru Leszka Dembka „Odcienie szarości i czerń..." to najkrócej mówiąc rozwinięcie i pogłębienie myśli, problematyki i dylematów z dwóch pierwszych odsłon książki. Wiele prozatorskich pejzaży jest o tematyce antywojennej, dotyczy żołnierskich zasad honoru czy zagadnień etycznych w szerszym, religijnym i ogólnoludzkim wymiarze. Przykładem tu mogą być pasaże, często charakterze elegijnym: „Termopile", „Punkt", „Wrota", „Ważenie", „Mur", „Kotara", „Przykazanie", „Zbrodnia", „Medal", „Waterloo", „Aleppo" czy „Płaszcz" poświęcony bitwie pod Siekierkami, „Źródło" dotyczący wojny w Iraku, „Przystanek" mówiący o więzieniu w Guantanamo lub współczesne scenki opisowe, jak „Broń IT", „Dron MQ-9", „Orbita F-1", „Pegasus", bądź „Granica" związany obecnie z nielegalnym przekraczaniem granicy polsko-białoruskiej.

W wielu utworach możemy odnaleźć brawurowe antymilitarne czy nawet pacyfistyczne odwołania:

Kamienna głowa poszukuje rozbitego korpusu rozdartym mundurze i ręki mającej krew na sobie.

(„Wrota")
Kiedy dochodzą ordery… Szala przechyla się w górę albo w dół (do piachu).
(„Ważenie")
Odwrócił się twarzą do muru. Czekał na strzał ostatni. Nikt nie trafił. Za plecami stały nieugięte oczy świętego.
(„Mur")
Rzucił karabin i mundur, zaczął szukać korony cierniowej. Stał się winowajcą śmierci. W sądzie pokazał czyste ręce. I tam też nikt mu nie przebaczył. Nawet Pan B. załamywał rozpłakane ręce.
(„Przykazanie")
Tablica bolesnej pamięci po ostatniej wojnie nie pamięta, wytarta do ostatniej litery. Święty się odświętnił, zasłonił oczy mgłą czasu. Głaz strachu zamyka usta i słowa (…) Tylko jeszcze słychać ostatni powojenny krzyk łamanych w drzwiach palców i zdejmowanej „rękawiczki" z ugotowanej w ropie dłoni.
(„Zbrodnia")

W passusach Dembkach znów możemy dojrzeć nawiązania do postaci znanych ze świata mitów, filozofii, religii, sztuki i historii, jak Efialtes, Tejrezjasz, Pandora, Hera, Asztarte, Gedeon, Jezus z Nazaretu, Bruegel, Platon, Kant, Bergson, Jung, Bob Dylan i Leszek Kołakowski, poetów – Herberta i Miłosza, znajdują się także odniesienia do objawień maryjnych japońskiej siostry Agnes, która usłyszała przepowiednię o ogniu, który spadnie z niebios i unicestwi ludzi. Niektóre ze swoich miniscenek Leszek Dembek opatruje niepełnymi tytułami, stosując inicjały frazeologizmów, np. „Akcja P.", „Naga P." czy „Triada B! H! O!", w którym logicznie rozpatruje rachunek prawdopodobieństwa zachodzący między Bogiem, Honorem i Ojczyzną w trakcie operacji wojennych.

Z kolei w tekście „Ocalać" napisanym w imię Odwagi i Godności, syna Piękna, który stanowi mini-dialog z Herbertem i Miłoszem, poeta filozoficznie pyta:

Kim jesteś poeto? Na oczach którego rozrywa się serce jak granat.

W utworze „Twierdza" natomiast autor ciekawie definiuje sztukę poetycką:

Poeta zbudował drzwi do poezji bez klamki. I tak, aby się nigdy nie zamykały na żaden szyfr. (…) Poeci odczytali kolejne pociski nieśmiertelnych słów i rozsypali na wszystkie strony wszechświata.

Opasły zbiór *Świat niezatrzymany* zamyka część „W ogrodach słowa...", którą w całości stanowi wspomniany na początku poemat o nietrwałości, wypełniony opisowymi obrazami świata i zadumy nad sensem ludzkiej egzystencji, potrzebą okazywania najszlachetniejszych uczuć oraz nad istotą i celowością sztuki poezjowania i filozofowania. Autor kończy więc poemat głęboką konstatacją:

Jesteś już szybującym ptakiem, idziesz łąką bezkresną, rozmyślasz poza ludzką wyobraźnią albo to wszystko tylko się zdaje, jest tylko zwykłą iluzją, imaginacją. (…) Ocaliłeś prawie do końca bezgraniczną w sobie miłość, zostałeś wybrany, stworzony, a może oszukany. Podobni idą daleko za tobą (…) Ale co ma powiedzieć ten skazany tutaj na całkowitą samotność w oparach mroku? Człowiek, który, jak zwykłą wodą, wszystko bólem cierpienia zgasił.

We wstępie do tomu szczecińskiego poety „Gdzie postawić akcent?" autorstwa Róży Czerniawskiej-Karcz znaleźć można bardzo trafne wyjaśnienia czy nawet klucz-interpretacje twórczości Dembka, którą redaktorka określiła jako „mocno zaangażowaną w tu i teraz swojego *alter ego*", a jednocześnie zdystansowaną i bogatą w „emocje i wzruszenia (…) w przebogatej warstwie artystycznych środków. Pozwala sobie na obfitość epitetów, porównań, metafor…" Autorka wstępu o najnowszej książce Dembka pisze wprost: „Trudna to lektura, ale i piękna zarazem, bo wyjście na bezdroża filozofii i błądzenie w gęstwinie odwiecznych pytań, na które tylko nieliczni znajdowali odpowiedź, pozostaje po stronie Poety" i dodaje: „(…) to jego nieustające próby tworzenia językowej przestrzeni (…)", gdzie „sięga Poeta do zasobów języka poetyckiego, w którym za pomocą obrazu, symbolu czy alegorii uda mu się odsłonić zamysł lub wskazać ścieżkę przez manowce. Stąd widoczne eksperymenty z metaforą."

Twórczość Leszka Dembka to z pewnością poezja kognitywistyczna, interdyscyplinarna sztuka polegająca na dokładnej obserwacji i skrupulatnej, zmysłowej i logicznej analizie cywilizacyjnych uwikłań współczesnego człowieka w świecie nauki, techniki, informatyki, lingwistyki, badania złożonych procesów neurobiologicznych, psychologicznych, etologicznych, mentalnych oraz systemów poznawczych. Jest to więc dziedzina twórczości niezwykle szeroka, wielokulturowa i multimedialna w swoim przekazie, odwołująca się do wielu tropów literackich, mitów, tradycji i kultur narodowych, sztuk pięknych i najnowszych osiągnięć badawczych i cybernetyczno-inżynieryjnych. Dembek nie tylko podąża za zamianami technologicznymi, ale właściwie jest z nimi na bieżąco, jest w centrum przemian na wielu płaszczyznach antropologicznych, interesuje go przede wszystkim humanistyka, dogłębne spenetrowanie i poznanie istoty człowieczeństwa.

Autor zastanawia się nad kondycją dzisiejszego społeczeństwa w wymiarze globalnym, ale i jednostkowym, stąd pochyla się nad niuansami etycznymi, religijnymi, aksjologicznymi, ontologicznymi i epistemologicznymi. To sprawia, że jego skondensowana poezja jest wyjątkowa i intrygująca, przyciąga niczym magnes, czasem urzeka czytelnika trafnością sądów, innym razem budzi osobisty niepokój i wywołuje lęki cywilizacyjne, ale jednocześnie jest odważna w swoich w tezach, stara się być etyczna i moralna w przekazie, chce mówić prawdę o człowieku, chce ocalać wszystko, co ludzkie, a więc wątłe, kruche i przemijalne. To z pewnością jej mocna strona i na tym polega jej piękno.

Robert Rudiak

Leszek Dembek, *Świat niezatrzymany*, redakcja i wstęp Róża Czerniawska-Karcz, seria Akcent, Wyd. Hogben i Związek Literatów Polskich, Szczecin XI 2021, s. 180.

Janusz Stobiński

Janusz Stobiński

W numerze prezentujemy prace Janusza Stobińskiego

Grafik, fotografik. Mieszka w Katowicach. Artysta niezależny, czyli być może taki, na którym nikomu nie zależy albo taki, któremu na niczym nie zależy.

Grafika komputerowa. Udział w wystawach zbiorowych w Toruniu, Grudziądzu, Wrocławiu, w Niemczech (Bremen), we Francji (Tuluza), w TWO 07 Art Gallery (Manhattan, NYC). Udział w wystawie w Dallas, poświęconej rocznicy ataku na WTC. Wystawy indywidualne: Kraków (Dom Kultury im. C. K. Norwida, 2004), Rawicz (Festiwal Sztuki „Forma" 2008). First Person – nagroda Amerykańskiego Stowarzyszenia Grafików Komputerowych za grafikę „Danse macabre"; wyróżnienie w Biennale Grafiki w San Antonio.

Projekty okładek i plakatów do książek Marty Fox: „Czerwień raz jeszcze daje czerwień", „Listy spod kapelusza", „Kochać", „Niebo z widokiem na niebo", „Święta Rito od Rzeczy Niemożliwych" (także projekt okładki do wersji audiobookowej), „Rozmowy z Miró", „Wariatka, która czyta", „Kobiety winne grzechu".

Projekt okładki do książek poetyckich Wiesława Sterniczuka: „Drzewo dni nieobecnych", „Zrozumieć cień", Romy Jegor: „Bieleją księżyce paznokci", Wieczór w kocim futrze", Davida Camusa „Rycerze Królestwa", Yolandy Podejmy-Eloyanne „Zapisane najgłębiej", także do czterech książek poetyckich Waldemara Kontewicza (Kanada). Projekt okładki do płyty CD zespołu Kupicha Band, obecnie zespół „Feel". Projekt plakatu do Carmina Burana (widowisko plenerowe, Gliwice 2004).

Prace graficzne i fotograficzne publikował w miesięczniku „Śląsk", w kwartalniku „Migotania", tomie poetyckim Edwarda Zymana „Poemat współczesny". Także na swojej stronie na Facebooku. Celowo nie podaje miejsc, nazw fotografowanych obiektów. Uważa je za obrazy, które żyją swoim życiem.

gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl

ISSN 2083-2494

numer 3 (76) 2022

Redakcja:
Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa)**,
Zbigniew Kresowaty (Lądek Zdrój)
Roman Warszewski (Gdynia),

Stale współpracują:
Anna Frajlich (Nowy Jork),
Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),
Leszek Szaruga (Warszawa),
Olga Śmiechowicz (Łódź),
Marek Wawrzkiewicz (Warszawa),
Krystyna Śmiechowicz (Łódź),
Aleksandra Naróg,
Urszula M. Benka,
Leszek Żuliński (Warszawa)
Andrzej Wołosewicz

Dział fotografiki: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:
Agata Foltyn

Dział PR: **Adam Buszek**

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:
Bałtox Jolanta Rakowska

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
tel. 601-840-302
joa@migotania.pl,

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

Migotania.
Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e–mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:
joa@migotania.pl

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej "Migotania":

– Przekazując materiały do redakcji Pisma:
– autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
– autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
– autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
– autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
– autor zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań" zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety
Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.
Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
   Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
   "Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Leszek Szaruga

WYPRASOWANIE (40)

Victor Orbán wybrał się z wizytą do USA, gdzie wziął udział w konferencji Konserwatywnej Akcji Politycznej w Dallas, by wzywać do walki o ocalenie cywilizacji przed zagrożeniem, jaki stanowią liberałowie – bój ma się odbyć w roku 2024 w trakcie wyborów prezydenckich w Stanach i wyborów do Parlamentu Europejskiego, a celem jest „odzyskanie instytucji w USA i Brukseli". Ukoronowaniem podróży było przyjęcie Orbana w prywatnej posiadłości byłego prezydenta USA Trumpa, który wciąż jeszcze ma zamiar ponownie startować w wyborach na to stanowisko.

Warto przypomnieć, że i Jarosław Kaczyński – w dodatku dużo wcześniej – planował podobny bój zakładając, że w minionych eurowyborach nastąpi jakieś „nowe rozdanie", co chyba, sądząc po obecnych kłopotach z władzami Unii, nie nastąpiło. Niemniej oczekiwanie na to „nowe rozdanie" bez wątpienia jest tym, co czyni z Kaczyńskiego i Orbana sojuszników, podobnie jak ich wspólne oczekiwanie na nowego Trumpa w Ameryce. Tym, co zdaje się ich różnić jest stosunek do Rosji, co wykłada w zatytułowanym Viktor Orbán, polskie emocje i imperium zła wstępniaku w „Do Rzeczy" (nr 31/2022) Paweł Lisicki, którego przenikliwość polityczna zdolna jest powalić na kolana nawet mamuta: „Kto się myli w opisie rzeczywistości? Węgrzy – bo Orbán jest tu wyrazicielem ogółu – czy Polacy – bo pod tym względem władza i opozycja nie różnią się bardzo? Orbán wspomniał, że dla Węgrów wojna Rosjan z Ukraińcami to wojna dwóch narodów słowiańskich. Dlatego Polacy angażują się w nią emocjonalnie po stronie Ukraińców, a Węgrzy nie. Moim zdaniem to formuła zręczna, która, gdyby została przyjęta nad Wisłą, pozwoliłaby na utrzymanie dobrych stosunków z Budapesztem mimo różnicy w ocenie konfliktu. Polacy mogliby nadal twierdzić, że Węgrzy nie rozumieją Rosji, a Węgrzy obstawać przy swoim. Inaczej: nie spierajmy się o podejście do wojny, mamy inne wspólne interesy, szczególnie w odniesieniu do Unii, choćby obronę przed ideologią imigracyjno-genderową. Gdybyśmy potrafili w tej sprawie zrezygnować z roli Katona międzynarodowej moralności, byłoby to dobre rozwiązanie". Proste? Jak konstrukcja cepa.

Co do wojny „dwóch narodów słowiańskich", to jednak należałoby się mocno zastanowić, jak dalece Rosjanie są Słowianami… ale to na duży esej, warto wszakże wspomnieć porzekadło powiadające, że „jak poskrobiesz Rosjanina, to wychynie zeń Tatarzyn". Pytanie o to czy Orbán jest „wyrazicielem ogółu" Węgrów jeśli chodzi o ich stosunek do Rosjan, to przekonanie Lisickiego o ich skłonności do bratania się z rodakami Putina wydaje się mocno przesadzone – dość wspomnieć generała Iwana Paskiewicza tłumiącego zryw wolnościowy Węgrów w roku 1849 (a że pamięć tego wydarzenia jest dość żywa zaświadcza choćby wydana u nas niedawno powieść „Chłopcy z Placu Stalina" Zsolta Berty (2019)) czy stłumienie przez Kreml Powstania Węgierskiego w roku 1956: można zasadnie twierdzić, że Orbán demonstracyjnie nasikał na groby powstańców i nie przypuszczam, by to się „ogółowi" szczególnie podobało. Lecz, oczywiście Lisicki, Paweł Lisicki wie lepiej.

A że wie lepiej, zatem w swym organie publikuje obszerny reportaż Piotra Coćka Wolni ludzie z węgierskiej imprezy w rumuńskim kurorcie Băile Tuşnad: „Rumunia – pisze – ale wszędzie słychać język węgierski; nic dziwnego, jesteśmy na 31. edycji Uniwersytetu Letniego Tysványos. To impreza organizowana przez instytucje węgierskie dla wielkiej transylwańskiej diaspory. Jesteśmy w sercu Seklerszczyzny, tu niemal 90 proc. ludności mówi po węgiersku". Ano mówi. I zapewne większość skorzystała z pierwszego dekretu zarządzonego przez Orbána po objęciu władzy a przyznającego obywatelstwo węgierskie wszystkim Węgrom mieszkającym w krajach ościennych – a zatem w Słowacji (nazywanej wszak przez nacjonalistów węgierskich Górnymi Węgrami, o czym można przeczytać choćby w świetnej książce Krzysztofa Vargi Gulasz z turula (2006)), zapewne na obszarze ukraińskiego Zakarpacia i oczywiście w Rumunii. Nie przypadkiem można na Węgrzech kupić m.in. zabawne, świecące pocztówki z mapką kraju, która, gdy zmienić kąt patrzenia, powiększa się do obszaru Wielkich Węgier. Nic zatem dziwnego, że reporter odnotowuje: „Sześćdziesiąt tysięcy ludzi, przede wszystkim młodych, odwiedziło w tym roku Letni Uniwersytet w Transylwanii. Nawet jeśli szacunki organizatorów są zbyt optymistyczne, to i tak byłą to impreza imponująca. I perfekcyjnie zorganizowana. W długim ciągu zaparkowanych samochodów widzę rejestracje z Węgier, Rumunii, ze Słowacji, z Serbii, a nawet Ukrainy". Za rok może Piotr Cociek odwiedzi podobną imprezę w Słowacji, a jak Putinowi dobrze pójdzie, także w Ukrainie. Czemu nie?

No ale to nie wszystko – ważna jest sama impreza, która jest przykładem na to, że „można stworzyć konserwatywną soft power z wykorzystaniem kultury masowej. Trzeba tylko cierpliwości, konsekwencji i pieniędzy (wśród sponsorów były węgierskie banki, firmy ubezpieczeniowe, poczta węgierska itp.). (…) W naszym nieustannym narzekaniu, jak prawica przegrywa bitwę o kulturę, w biadoleniu o upadku cywilizacji Zachodu, w lękach o przyszłość chrześcijaństwa, w nieustannym zamartwianiu, że elektorat się starzeje… Cóż, w tym wszystkim przykład Tusványos jest wielce optymistyczny, by nie rzec – olśniewający. Nikt nie boi się tu zacząć oficjalnie imprezy od mszy świętej na wolnym powietrzu, kultura kwitnie, rozmowy są nie tylko o schyłku, lecz także o możliwych drogach ratunku dla Zachodu, a wszystkiemu przysłuchują się młodzi. Można? Można". I na zakończenie Cociek, Piotr Cociek wyznaje wzruszony, że „w mojej pamięci zapisały się te wszystkie dyskusje, panele, koncerty i tańce jako spotkanie wolnych ludzi z wolnymi ludźmi, którzy nie wstydzą się swojej tradycji i uważają, że ich narody mają przyszłość. Czyż nie jest to godny propagowania program minimum dla polskiej prawicy?". Pewnie tak, ale trochę dziwnie się robi na myśl o tym, jaki będzie program maksimum i choć skansenów ci u nas dostatek, zaś tradycje w tej mierze mamy dość silnie zakorzenione choćby w gomułkowskim programie zwalczania bigbitu przez nawiązania do polskiej muzyki ludowej, to życie w skansenie wydaje się nieco dziwacznym pomysłem. A swoją drogą o jakich to „narodach" podczas narodowej imprezy węgierskiej pisze Cociek?

Nie wiem dlaczego, ale w tym kontekście przypomina mi się książeczka, która swego czasu narobiła nieco szumu, a swym tytułem nawiązująca do myśli Romana Dmowskiego, posła do II Dumy rosyjskiej, patrona konserwatywnego, nie stroniącego od opcji prorosyjskich nurtu polityki

polskiej. Mam na myśli broszurę Piotra Wierzbickiego zatytułowaną Myśli staroświeckiego Polaka (1985), której autor wskazywał na niedolę polskiej prawicy gnębionej przez system komunistyczny, a przez to – za sprawą m.in. eliminacji ziemian z dostępu do szkół wyższych – pozbawioną wykształcenia i spychaną na margines procesu dziejowego. Ówże Wierzbicki, założyciel „Gazety Polskiej", został przez bardziej organizacyjnie sprawnych współtowarzyszy przede wszystkim „partyzanta wolnego słowa" Tomasza Sakiewicza, wykolegowany, tytuł zaś przejęty został przez środowisko do dziś niezwykle silnie zaangażowane we wspieranie polityki prezesa Kaczyńskiego, co czyni m.in. za sprawą powołania Klubów „Gazety Polskiej". Ale niezależnie od tego przecież konserwatywne postulaty tego subtelnego znawcy muzyki klasycznej pozostały w tym środowisku żywe, choć sam autor potraktowany został dość brutalnie i wyeliminowany ze sceny politycznej, zaś prawica dorobiła się elit intelektualnych w postaci profesorów Terleckiego, Krasnodębskiego czy Legutki…

Gdy zastanawiam się nad alternatywą dla tego zestawu profesorskiego, kusi mnie skierowanie uwagi na dorobek profesora Marcina Króla, współautora – wraz z Wojciechem Karpińskim – głośnego w swoim czasie zbioru szkiców Sylwetki polityczne XIX wieku (1974), wydawcy dwóch antologii polskiej myśli konserwatywnej Satńczycy (1982) oraz Konserwatyści polscy 1918-1939 (2015) i założyciela podziemnego wówczas kwartalnika „Res Publica". Jego ostatnia, pośmiertnie wydana książka Pakuję walizkę jest z pewnością swego rodzaju testamentem myśliciela liberalnego, ale o konserwatywnym w dużej mierze podłożu ideowym, z czego można wysnuć wniosek, że nie ma powodu, by konserwatyzm przeciwstawiać liberalizmowi. Tymczasem „liberał" stał się we współczesnej Polsce epitetem wykluczającym napiętnowanych nim figurantów. I tak sobie myślę, że Król stworzył intelektualnie wyrafinowaną alternatywę dla tych środowisk, które dziś w Polsce manifestują swój konserwatyzm myląc go wszakże ze zwykłym, prześnym i politycznie dość niebezpiecznym wstecznictwem, którego doskonałym objawem jest polityka Viktora Orbána na Węgrzech czy publicystyka naczelnego redaktora „Do Rzeczy" w Polsce. W wypadku tego ostatniego jest to pisanina odwołująca się do niemieckiego wynalazku pt. Realpolitik czyli postawy „w dupie mamy moralność". A Orbán? On walczy o Wielkie Węgry o czym pisze Cociek nie bardzo zdający sobie z tego sprawę.

Leszek Szaruga

Urszula M. Benka

O ZABAWIE NA CHWILKĘ

ESEJ

Wydarzenia na Ukrainie weszły w stadium morderczej wojny, zbrodniczych szykan wszędzie na zdobytych terenach, gdzie pod rozkazami Kremla trwa pastwienie się nad bezbronnymi, częstokroć także mentalnie bezbronnymi, ludźmi. Dziesiątkami tysięcy pozostają w domach nie widząc drogi ucieczki lub wciąż nieświadomych grozy, jaka może ich czekać; na razie „tylko" ich dzieci są zmuszane do nauki w szkołach zarządzanych przez okupanta – w wypadku odmowy grozi się ukraińskim dorosłym pozbawieniem praw wychowywani i umieszczeniem dzieci w sierocińcu, skąd mogą być adoptowane – przez kogo? Michał Bułhakow powiedziałby: diabli wiedzą. Potrzeba adopcji narastać będzie w miarę, jak kolejne zastępy młodych, sprawnych Rosjan , potencjalnych dawców życia, stracą potencjał rozrodczy. Nie tak dawno rząd Federacji wdrażał finansowe zachęty, aby podnieść przyrost naturalny. Inna sprawa, że po każdej wojnie robi się gęściej od dzieciarni, mity lubiły utrzymywać, że Wenera i Mars naprawdę mają się ku sobie.

Ale makabra wojny relacjonowana jest u nas na bieżąco podobnie jak absurdy kolejnych zarządzeń kremlowskich, nie o niej więc chcę traktować, a jedynie, że w okresie, kiedy Krym był anektowany, stało się popularne wyrażenie „wojna nowej generacji". Prezydent Rosji utrzymywał, że mundur bez oznakowań albo czołg można kupić na każdym rogu, panuje przecież wolny rynek, każdy handluje czym może. Prezydent podczas wywiadu rozsiadł się swobodnie na fotelu, mówił protekcjonalnie, trafnie przewidziawszy, że generalnie biorąc, nikt mu nie zaprzeczy, nawet ludzie po podstawówce niemający na łapówki. Dzisiaj doszły nieco bardziej wielkoświatowe objaśnienia, choćby z zakresu psychiatrii: otóż „Podpalacz samochodowy zastępcy szefa Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych został porwany i zahipnotyzowany przez Ukraińców"[1]. Socjolog i publicysta Jakub Bierzyński pytał niedawno w „Newsweeku": „Kłamstwo stało się metodą rządzenia. W jaki sposób można kierować równoległą rzeczywistość? Czy ludzie wierzą w kłamstwa, czy po prostu na nie przyzwalają?".

Zapytałabym nieco inaczej: w czym tkwi powód wiary albo przyzwolenia? Wobec Putinowskiej wersji pojawienia się na Krymie nieoznakowanych zbrojnych oddziałów praktycznie bezradni byli nie tylko zaniedbani tamtejsi zwiesili ręce, ale też europejscy dyplomaci, także polscy dyplomowani nauczyciele języka polskiego – jedna z takich osób zasypywała mnie linkami do artykułów o złej polityce Kijowa, o rosyjskich aktach bohaterstwa w obronie Sewastopola, także o wkładzie Rosjan w rangę Floty Czarnomorskiej. W materiałach roiło się od faktów równie prawdziwych, że w Federacji naprawdę niejedno da się ukraść albo kupić, nie tylko w wojsku. A zatem, być oszukanym, to nie wyłącznie kwestia obskuranctwa.

Wojna nowej generacji użyła narzędzi pokoju. Edukacji między innymi. Ale też nowoczesności, którą warto zapewne przemyśleć od strony poruszonej przez Zygmunta Baumana w *Nowoczesności z Zagładzie*. Że mianowicie nie jest możliwa żadna wielka zbrodnia bez środków, jakie wręcza nowoczesność. Bauman podobnie jak Fromm w Ucieczce od wolności źródło bezsiły ludzi i całych państw, potencjalnych ofiar, upatrywał w zupełnym zerwaniu procesu produkcji z osobistym poczuciem odpowiedzialności pracownika za końcowy efekt. Rzecz w tym, że analogiczne rozłączenie dokonało się w życiu społecznym. Wyrzekliśmy się samoobrony i scedowaliśmy ją na aparat sprawiedliwości państwa. Wyrzekliśmy się samo uzdrawiania powierzając je całkowicie profesjonalnej służbie zdrowia i odtąd to ona decyduje, co jest zdrowiem lub naturalnością, co podpada pod klauzulę sumienia oraz… na jakim krześle podpada, ponieważ lekarka ginekolog może z tej klauzuli korzystać, kiedy siedzi za biurkiem, a na fotelu, będąc pacjentką, już nie. Na fotelu jej sumienie nie sięga wyżyn klauzuli. Jest wyręczane. Tak jak umysł każdego ucznia w doborze pożądanych przedmiotów.

Ten, kto go karci na lekcji za czytanie czegoś pod ławką, może nie mieć większego pojęcia o zagadnieniach, jakie zgłębia uczeń: obowiązuje specjalizacja. Obowiązują normy, procedury. Działają stosowne instytucje, w tym media, scentralizowane i dlatego hurtem obdarzane zaufaniem (odrzucane) lub ich internetowa rozsypka zapewne jeszcze intensywniej oceniana pod kątem prawdomówności. Wyręczanie w zdobywaniu i przetwarzaniu informacji zaczyna się od dziecka, w okresie, kiedy matka wyręcza się zresztą Internetem w zaśpiewaniu kołysanki.

Kreml bez wątpienia chce użyć elektrowni w Enerhodarze jako broni – psychologicznej a niewykluczone, że i militarnej. Wystrzelenie głowicy jądrowej byłoby zbrodnią wojenną i mogłoby ściągnąć odwet (wcale nie na pewno). Awaria reaktora odniosłaby skutek ten sam: zniszczenie i terror, i nadzieja na natychmiastową kapitulację Ukrainy. Ukraina ma wszak jeszcze trzy elektrownie atomowe, a w każdym omal z państw teraz ją wspomagających, też są takie i też Specnaz może w nich pomajstrować. Właśnie buduje na Węgrzech aż dwa jądrowe reaktory, dogląda kadr zatrudnienia. Zastrzegę, taka jest po prostu rola śpiochów oraz czynnej agentury. Mam na uwadze wyłącznie fakt, że trudno wyszukać instytucję, która by się jakoś nie przydała w nabijaniu jak nie propagandy, to środków z przeznaczeniem militarnym, poczynając od gazu na kuchence albo Happy Meal w MacDonaldzie, żardinierki z Leroi-Merlin albo wegańskiej sałatki z Auchana.

Jesteśmy tym omotani jak oprzędem jakiejś modliszki. Nić łącząca zaś rozpoznaną osobistą potrzebę z końcowym efektem czynności bardzo szyba znika nam sprzed oczu. Mamy tylko jej wycineczek. Bez wątpienia, każda zaczepna akcja Ukraińców cieszy serce – nas chrześcijan. To głęboka radość, przyznajmy, wyzwalająca jakąś ulgę. Od czego ulgę? Od niemocy? Na chwilę wszak, bo sytuacja się nie zmienia. Podświadomie czujemy, że prawo, na jakim polegamy (względnie jakie nas omotało) nie tknie najważniejszych decydentów, że co najwyżej jacyś drugorzędni oprawcy staną przed haskim sądem. Że powtórzy się Norymberga, tylko w jeszcze żałośniejszych proporcjach bezkarności. Co na to psychologia? – Ano, że rozum nie poradzi, tyle, że nie jest rozum głównym instrumentem decyzyjnym.

Kultury dawne czyniły z wojen feerię dozwoloności. Powściągano tylko takie odruchy zniszczenia i krzywdzenia, które szkodziły taktyce walk. Ohydne czyny mogły (zdarzało się to wcale często) razić czyjś gust, ale – tak jak przy składaniu ofiar rytualnych – pozostawały aktem adoracji sacrum. Wypływało to z samej istoty politeizmu, wojna bowiem otwierała zagadkowe śluzy sakralności mrocznej, jak byśmy dzisiaj powiedzieli. Mroczność jest rzeczywista. Mroczność pochwytuje rozum w jakiś rodzaj osocza krwi kosmosu. Proszę darować tak górnolotne słowa – kosmos jest organiczny, powiązane jest w nim wszystko ze wszystkim, poza prezydenta Federacji, wojskowy t-shirt prezydenta napadniętych, pożar lasu pod Enerhodarem, rodzaj fotelika lekarki, twarz dziecka, jakie przyjdzie na świat, ton, jakim nauczycielka karci za czytanie pod ławką informacji o pigułce Day after, to, że wyrzutnia się zacina i to, że ktoś najsumienniej wykombinował hipersonikę.

Rozum to jedno z narzędzi. Bardziej podstawowym jest szaleństwo. I zabawa. Zabawa w szaleństwo. Wojna już jej nie zapewnia, zresztą wlecze się jak sierp z tyłka. Iracka i afgańska wlokły się aż znudziły i straciły wszelką oglądalność, syryjskie walki ani ziębią, ani grzeją, ogół polskiego społeczeństwa dawno przyzwolił władzy na push-up na granicy. Zabawa musi oferować niespodziankę. Nęcić konkurencją. I dawać namiastkę nieistnienia teraz i tu. Ludzkość cywilizowana-omotana chce sobie choć na chwilkę ponieistnieć.

Urszula M. Benka

1 Лента.ру@lentaruofficial Cytuję za Onet.

Janusz Stobiński

Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania, jeszcze wiecej, *** Mig

Marian Lech Bednarek

Deska

Co by się stało, gdyby nagle przyszło dwóch facetów do mojego domu i wyrwali deskę z podłogi? Żeby to ząb od dawna chory, to co innego. Ale nie, deskę i to zdrową. I rzuciliby się z deską w ten deszcz za oknem, który jak podejrzewam, przygnał ich pod mój dach. Bo tak właśnie myślę, że to przez ten deszcz ludziom czasem odbija. Albo że oni tak zupełnie niezależnie od tego deszczu zmówili się i przyszli po moją dechę, by mi życie pokieraszować? Tak jak to robi przeciętny najeźdźca, okupant, przestępca. I co ja bym wtedy ujrzał w tej dziurze w podłodze oprócz pająków i kurzu? Jakiś grób lub zemstę za to, że oni tam teraz tą moją deską ulepszają sobie gdzieś życie? Że wywindują się na niej do góry, robiąc najdłuższy na świecie parapet, czy coś innego dla Księgi Guinessa? Że użyją jej do nie wiadomo jakich celów? Bo wątpię żeby wyrwali ją dla zwykłego spalenia w piecu, by się ogrzać. Zbyt duży wysiłek, nieproporcjonalny do zamiaru.

A co by się stało, gdybym nagle ujrzał ją na rynku miasta, zawieszoną na ratuszu, nadal w dobrym stanie, tę moją deskę ze znajomymi plamami po farbach, zaciekami, sękami i gwoździami i bezczelnie podpisaną moim nazwiskiem, że to moja deska. Czy musiałbym się po nią wdrapywać, by usuwać burzycielkę porządku publicznego i jeszcze potem płacić mandat? Czy dostałbym raczej jakiejś deskofilii i odwieźli by mnie do czubków na Gliwickiej w naszym mieście.?

A co by było, gdybym ujrzał ją porzuconą na ulicy, w szczycie ruchu. Czy chciałoby mi się z sześciometrową dechą, w tym moim schludnym ubranku paradować przez miasto, potrącając ludzi i tamować ruch? Nie. Czy wziąłbym bagażówkę? Prawdopodobnie też nie, bo w ogóle jakoś głupio by mi było przyznać się, że to moja deska na ulicy leży. I na transport jej szkoda by mi było kasy, bo ostatnio kiepsko u mnie w tych sprawach.

A jednak każdy moment mojego odejścia grozi jej utratą. Bo ekonomicznie rzecz biorąc, musiałbym kupić nową dechę, wyheblować ją, dopasowywać, kupa roboty jak przy zakładaniu nowej podłogi. I kto by takiej długiej desce odpuścił? A z innej strony, czy nie wyszukiwałbym jednak tysiąca powodów, by się jej mimo wszystko pozbyć? Po prostu pójść przed siebie, nie oglądając się za tą wariatką, jakby to nie była moja deska.

A jednak wiem, że na nową mnie nie stać. Trudno w to uwierzyć, ale tak jest, artyści tacy jak ja mało zarabiają, więc stałbym tam nad nią jak nad psem, który robi dużą, antyspołeczną kupę i pewnie mi się za to zaraz oberwie od jakiegoś gliniarza, jeśli nie zrobię z tym porządku. A wszyscy we mnie (gdyż podobno w człowieku kryje się cała ludzkość) podszeptywaliby z krzykiem:

..... Weź, weź ją! Nie. Nie bierz jej! Zostaw ją! , rżnij tym i wyjedź stąd! Wyjedź, to będzie twoja najlepsza deska życia. Zawsze przecież o tym skrycie marzyłeś, żeby gdzieś wyjechać z tego grajdołka, daleko. Wyjeżdżaj! Spieprzaj, spierdalaj stąd!!!! No spierdalaj!!!! I leciałyby te sprzeczne w sobie podszeptywanki i podburzanki: *Weź, weź, weź tę cholerną dechę i przywal pierwszemu lepszemu, bo jak nie, to z moich oczu wyleje się nieskończona ilość taczek betonu i cię zaleje na zawsze!* Tak, ten beton spojrzenia bliźnich, któż go nie zna? Codziennie trzeba się z niego myć i czyścić. Okropnie się wżera w duszę. Więc z pewnością stałbym tam nad tą deską bezradny, obcinany przez wszystkie noże, piły i wiertła spojrzeń bliźnich i myślał o tej 6 metrowej dziurze w mojej podłodze, która nie dałaby mi normalnie żyć. Chyba że nagle ujrzałbym to „Nagle" – ten błysk, gdy po schodkach negacji stąpa się bardzo lekko, jak w stanie satori w buddyzmie Zen. Ale gdybym nawet doznał oświecenia, to i tak ta dziura w podłodze by nie zniknęła. Zatem nie chodzi tu o żadną deskę, tylko może o jakąś radość z samego pisania, o tę płomienną myśl, która za pomocą deski chciała zapłonąć jakimś pytaniem przekraczającym mój umysł?

Nadal pada deszcz, słychać kroki kropel.

Marian Lech Bednarek

Bazyliszek

Jadę do roboty, a tu kura pędzi po ogrodzie sąsiada z majtkami na szyi i krzyczy „*Kurwa, pieprzone koguty, nie znają się na żartach!*". A za nią pędzi Bazyliszek i wrzeszczy „*Stój, oddaj moje majtki, głupia kwoko!*". Tą scenkę można potraktować jako odkrycie majtkowego Bazyliszka. Jest to godne naszej Kultury Upadku, bo jeśli wg legendy kogut po 7 latach znosi jajko, które potem prze 9 lat wysiadują węże i ropuchy, to ten tak zwany Bazyliszek jest tylko dowodem znudzenia naszą powszechną rzeczywistością, a zatem i kulturą, którą wysiaduje normalna kura. Czy to pęd do metafizyki, do romantyzmu, czy chociażby postromantyzmu? Oby. Ale na razie to tylko moje pobożne życzenie, bo po latach ta poczwara bazyliszkowa, jak i zresztą wszystkie inne, wcale nas nie uratowały przed obecną kulturą lanserkową, której teraz pełno wokół jak bzyczących much. A co do majtkowego Bazyliszka, to mógłby ktoś nakręcić film na wzór „Legendy Polskie" na You-tobe dostępne. Tak chociażby dla doznania samej walki z formą i rzetelnego procesu twórczego, bo demonów już mamy pod dostatkiem. Ale czy komuś to się opłaca?, gdy „sukces" rządzi światem Bazyliszka w majtkach, czyli naszym światem. Wnet jakiś maniakalny krytyk weźmie to w obronę i z uniesieniem rzeknie, że to nasza kultura współczesna. A więc mutanty do roboty!

Marian Lech Bednarek , *04.2019*

Janusz Stobiński

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Ron Padgett

Jak osiągnąć doskonałość

Wszystko jest doskonałe, drogi przyjacielu.

- KEROUAC

Prześpij się.

Nie udzielaj rad.

Dbaj o zęby i dziąsła.

Nie bój się rzeczy, nad którymi nie masz kontroli. Na przykład, że kiedy śpisz, runie budynek,
albo, że ktoś ukochany nagle padnie trupem.

Codziennie rano zjedz pomarańczę.

Bądź miły, a będziesz szczęśliwy.

Niech cztery albo pięć razy w tygodniu przez dokładnie 20 minut szybkość twojego tętna
osiągnie wartość 120 uderzeń na minutę w trakcie wykonywania czynności, która ci sprawia
przyjemność.

Żyj nadzieją. Nie oczekuj niczego.

Najpierw zajmij się swoim domem. Zanim zbawisz świat, wysprzątaj własny pokój. Potem
zbawiaj świat.

Wiedz, że pragnienie doskonałości jest prawdopodobnie skrywanym wyrazem innego
pragnienia – żeby być kochanym albo, może, żeby nie umierać.

Nawiąż kontakt wzrokowy z jakimś drzewem.

Zachowaj sceptycyzm wobec każdej opinii, ale też próbuj w każdej z nich dostrzec jakąś
wartość.

Ubieraj się tak, żeby sprawić przyjemność sobie i innym.

Nie mów szybko.

Codziennie ucz się czegoś nowego. (*Dzień dobry*!)

Bądź miły dla innych, zanim jeszcze znajdą okazję, by zachować się niewłaściwie.

Nie pozwól, aby cokolwiek podsycało twój gniew przez dłużej niż tydzień, ale też pamiętaj,
co cię tak rozgniewało. Trzymaj gniew na dystans i traktuj go jak szklaną kulę, a potem
uzupełnij nim swoją kolekcję szklanych kul.

Bądź lojalny.
Noś wygodne obuwie.

Zaprogramuj swoje aktywności tak, aby cechowały je miła równowaga i różnorodność.

Bądź miły dla starszych, nawet kiedy są okropni. Gdy będziesz stary, bądź miły dla młodych.

Nie ciskaj w nich laską, kiedy nazwą cię Dziadkiem. To przecież twoje wnuki!

Zaadoptuj jakieś zwierzę.

Nie marnuj zbyt wiele czasu w dużych skupiskach ludzi.

Jeśli potrzebujesz pomocy, poproś o nią.

Dbaj o prawidłową postawę, aż stanie się czymś naturalnym.

Jeśli ktoś zamorduje ci dziecko, chwyć za broń i odstrzel mu głowę.

Planuj dzień tak, abyś nie musiał się spieszyć.

Okazuj wdzięczność ludziom, którzy coś dla ciebie robią, nawet jeśli im zapłaciłeś, nawet jeśli wyświadczają ci przysługę, której nie potrzebujesz.

Nie trwoń pieniędzy, które mógłbyś dać potrzebującym.

Pamiętaj, że społeczeństwo może być niedoskonałe. A gdy odkryjesz, że jest o wiele gorzej
niż myślałeś, płacz.

Gdy coś pożyczasz, zwróć to w jeszcze lepszym stanie.

Tak często, jak to możliwe, korzystaj raczej z drewnianych przedmiotów niż z plastikowych czy metalowych.

Spójrz na tamtego ptaka.

Po obiedzie pozmywaj naczynia.

Uspokój się.

Zwiedzaj obce kraje prócz tych, których mieszkańcy chcieliby cię zabić.

Nie spodziewaj się, że twoje dzieci będą cię kochały. Pokochają, jeśli będą miały ochotę.

Medytuj nad sprawami ducha. Potem wejdź na wyższy poziom, jeśli odczujesz taką potrzebę.
O co w tym wszystkim chodzi?

Coś czasem zaśpiewaj.

Bądź punktualny, a jeśli się spóźnisz, nie tłumacz się długo i zawile.

Unikaj zbytniej samokrytyki i samochwalstwa.
Nie sądź, że postęp istnieje, bo nie istnieje.

Korzystaj ze schodów.

Nie uprawiaj kanibalizmu.

Pomyśl sobie, co chciałbyś, żeby się stało, a potem nie rób nic, co mogłoby to uniemożliwić.

Zdejmuj słuchawkę z widełek przynajmniej dwa razy w tygodniu.

Utrzymuj okna w czystości.

Tęp wszelkie ślady osobistych ambicji.

Nie używaj słowa *tępić* zbyt często.

Co jakiś czas wybaczaj swojemu krajowi. Jeśli to niemożliwe, emigruj.

Jeśli czujesz się zmęczony, odpocznij.

Hoduj coś.

Nie łaź po stacjach kolejowych mamrocząc: „Wszyscy umrzemy."

Do grona prawdziwych przyjaciół zaliczaj ludzi o różnym statusie społecznym.

Doceniaj proste przyjemności, takie jak przyjemność żucia, przyjemność, jaką odczuwamy,
kiedy ciepła woda spływa po plecach, chłodnia bryza owiewa twarz, przyjemność zasypiania.

Nie wykrzykuj: „Ależ ta technologia jest cudowna!"

Naucz się rozciągać mięśnie. Rozciągaj je codziennie.

Nie popadaj w przygnębienie z powodu starzenia się, bo to postarzy cię jeszcze bardziej.
A to jest już przygnębiające.

Nie rób kilku rzeczy na raz.

Jeśli oparzysz sobie palec, natychmiast włóż go do zimnej wody. Jeśli walniesz się w palec młotkiem, trzymaj rękę w powietrzu przez 20 minut. Zadziwi cię lecznicza moc zimnej wody
i grawitacji.

Naucz się gwizdać tak głośno, żeby aż pękały bębenki.

Zachowuj spokój w kryzysie. Im bardziej krytyczna sytuacja, tym większy spokój powinieneś
zachować.

Ciesz się seksem, ale nie pozwól, aby tobą zawładnął. Z wyjątkiem krótkich okresów dojrzewania, młodości, wieku średniego i starości.

Kontempluj każdą inność.

Jeśli ogarnie cię strach, że wypuściłeś się za daleko w ocean, zawróć i płyń w stronę szalupy.

Dbaj o swoje wewnętrzne dziecko.

Od razu odpowiadaj na listy. Korzystaj z atrakcyjnych znaczków, choćby z tego z tornadem.

→

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Popłacz sobie czasem, ale tylko, gdy jesteś sam, a zobaczysz, że lepiej się poczujesz. I nie wstydź się tego lepszego samopoczucia.

Nie zaciągaj się.

Weź głęboki oddech.

Nie odszczekuj się policjantom.

Przechodź przez ulicę dopiero wtedy, gdy możesz uczynić to bez strachu. Stojąc na krawężniku możesz obserwować przechodniów tkwiących w centrum ulicznego pandemonium.

Bądź dobry.

Nie chodź zawsze tą samą ulicą.

Chodź tyłem.

Pamiętaj o pięknie, które istnieje, i o prawdzie, która nie istnieje. Zauważ, że pojęcie prawdy
jest równie wielkie jak pojęcie piękna.

Nie daj się zapuszkować.

Na starość zostań mistykiem.

Używaj pasty do zębów Colgate z nową formułą Tartar Control.

Odwiedzaj przyjaciół i znajomych w szpitalu. Gdy czujesz, że pora wyjść, zrób to.

Bądź szczery wobec siebie, dyplomatyczny wobec innych.

Nie świruj za często. To strata czasu.

Czytaj namiętnie wielkich autorów.

Wykop dziurę łopatą.

Zimą, przed snem, skorzystaj z nawilżacza powietrza.

Wiedz, że istnieją tylko dwa szczyty doskonałości: zbicie wszystkich kręgli w serii i dwudziestosiedmiokrotne pokonanie odbijającego w bejsbolu.

Pij dużo wody. Gdy ktoś cię spyta, czego się napijesz, mów: „Poproszę wodę."

Pytaj: „Gdzie jest toaleta?", a nie: „Gdzie mogę oddać mocz?"

Bądź miły dla przedmiotów materialnych.

Po ukończeniu czterdziestego roku życia rób sobie co kilka lat kompleksowe badanie
u lekarza, któremu ufasz i przy którym czujesz się swobodnie.

Nie bierz gazety do ręki częściej niż raz w roku.

Naucz się mówić „cześć!", „dziękuję" i „pałeczki" w dialekcie mandaryńskim.

Bekaj i puszczaj bąki, lecz cichutko.

Bądź szczególnie serdeczny wobec cudzoziemców.

Oglądaj przedstawienia teatru cieni i wyobrażaj sobie, że jesteś jedną z postaci. Albo
wszystkimi.

Wyrzucaj śmieci.

Kochaj życie.

Dawaj odliczone drobne.

Gdy na ulicy strzelają, nie podchodź do okna.

przełożył Andrzej Szuba

RON PADGETT, ur. w 1942 r. w Tulsa (Oklahoma), poeta, tłumacz (z francuskiego), prozaik
i wydawca amerykański, związany z kręgiem pisarzy i artystów nowojorskich. Autor ponad 20 zbiorów wierszy oraz licznych kolekcji prozy. Znany w Polsce z trzech wyborów: *Świry –*
Nuts (dwujęzyczny, 2007; przeł. A.Szuba), *Nigdy nie wiadomo* (2008; przeł. J.Gutorow) i
Bezczynność butów (2018; przeł. A.Szuba). Trzykrotnie odwiedził Polskę, w 2018 był gościem 7. Festiwalu Miłosza w Krakowie. Mieszka w Nowym Jorku i w Calais (Vermont).

Janusz Stobiński

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Z JAKIEGO MIĘSA JEST NASZA LITERATURA?

Emil Pisarz

Niedawno całe środowisko literackie i szeroko pojęte gremia publicystyczne, zapałały świętym oburzeniem po słowach krytyki jakie posypały się na głowę naszej jedynej żyjącej noblistki, Olgi Tokarczuk. Stało się to po słowach, które wypowiedziała na festiwalu Góry Literatury, o tym, że literatura nie jest dla idiotów, że ona pisze dla podobnych sobie, dla czytelnika który ma stosowne kompetencje i wcale nie chce żeby wszyscy czytali jej książki, bo zależy jej i adresuje je do tych co owe kompetencje mają. Kiedy odezwały się głosy, że to niesmaczne, niefortunne, wykluczające, wyższościowe stawianie sprawy i generalnie niepotrzebne sformułowania, które w ustach „czułego narratora" rażą, powstała olbrzymia fala w obronie Olgi Tokarczuk. Posypały się wyjaśnienia i próby rysowania tła, kontekstu do właściwej interpretacji, które miały wykazać, że Noblistka miała jednak pełne prawo tak rzecz całą ująć, a kto nie zrozumiał należycie, no cóż zgodnie z zasadą: uderz w stół a nożyce się odezwą.... i posypały się mniej lub bardziej subtelnie zawoalowane aluzje, że oburzyli się zainteresowani, czyli krótko mówiąc właśnie idioci, oraz generalnie, że o co ta cała gównoburza, polityczna szczujnia, itp. A w ogóle to zupełnie nietrafiona napaść na wyrwane z głębszego kontekstu słowa, itd. Itp. (niepotrzebne skreślić), bo niestety, jest dokładnie tak jak powiedziała Pani Olga, a kto tego nie rozumie, to albo głąb (czyli idiota) albo hipokryta (czyli fałszywiec). Krótko mówiąc miała rację, a jak kogoś uraziła, to niech ten ktoś się weźmie za edukację, poczyta trochę to mu przejdzie, albo po prostu niech pogodzi się z faktami. I byłoby po sprawie, gdyby nie to, że nieco mniej euforycznie słowa Noblistki odebrali również całkiem niegłupi ludzie, którzy o kulturze jakie takie pojęcie mają, jak choćby Waldemar Dąbrowski i oględnie oraz bardzo dyplomatycznie dawali jednak do zrozumienia, że ta wypowiedź Pani Oldze nie do końca wyszła. Sam swój stosunek do tematu wyjaśniłem, w krótkim, o nieprzypadkowym tytule eseju pt.: „Wszyscy jesteśmy idiotami".

Literatura elitarna, czyli ta przeznaczona jedyne dla czytelnika kompetentnego, bierze się być może stąd, że jako pisarze zbytnio zagłębiliśmy się w światy kulturowo hermetyczne, w obejrzane obrazy, w księgi przeczytane, tak mocno, że już pisać nie potrafimy o życiu i człowieku wprost, a tylko cytatami kulturowymi się przerzucamy, tylko odniesieniami się zachwycamy i próbujemy sobie imponować literackimi woltami wzajemnie. Czy nie jest czasem tak, że potrafimy bardziej zachwycać się symbolami, coraz mniej zaś po prostu człowiekiem, a jego życiem prawie wcale? Czy ze współczesną literaturą nie jest trochę tak, że od niej już znacznie łatwiej czyta się tych największych: Dostojewskiego, Schulza, Nabokova, Szekspira. Być może dlatego, że oni byli bliżej owego egzystencjalnego mięsa, a dalej od syntetycznie, w literackich retortach, przetworzonej kulturowej meta papki, uprawianej jako sztuka dla sztuki. Może warto jednak wrócić do opisywania człowieka *soute*. Cała sztuka dobrego pisania polega bowiem na tym, żeby prawdę dobrze znaną wypowiadać w zupełnie nowy sposób , po swojemu ją odkrywać, na nowo ją opisywać, nowymi środkami wyrazu: innymi, ale zawsze swoimi słowy. Tego ja osobiście oczekuję od literatury, nie zaś zjadania własnego ogona w samouwielbieniu.

Teraz jednak chciałbym się pochylić się narodowym fenomenem świętego oburzenia na każdego kto śmiał poważyć się by mieć odrębne zdanie w tej kwestii jako na świętokradcę, żałosnego cwaniaczka, który chce o grzać się w blasku sławy Noblistki, a w najlepszym wypadku sprytnego ciułacza lajków i manipulatora, który za wszelką cenę chce wychynąć z niebytu środowiskowego by zaistnieć. Te i inne kalumnie były w większości zarzutami ferowanymi do każdego kto ośmielił się poważyć się na własną opinię, nie do końca tożsamą z opinią panującej nam miłościwie na literackim firmamencie Noblistki. Przypomniało mi to mi to jako żywo nasz kościół katolicki, nasz polski, jedyny taki niepowtarzalny bo święcie oburzony Episkopat Polski, po ujawnionych grzechach pedofilii. Przypomniała mi się również postać naszego papieża Polaka, oraz kult JP II. Pomyślałem, jakie to nasze, jakie uniwersalne, ogólnopolskie, w tym sensie, że nie tylko w wierze jesteśmy ciągle na klęczkach i ciągle zapatrzeni w jakieś bóstwo. My potrzebujemy bożka, którego obdarzamy nadludzkimi przymiotami (takimi jak choćby nieomylność). Tacy już widać jesteśmy, w wierze i w sztuce. Ale nie tylko. W polityce kult jakim otaczany jest Jarosław Kaczyński jest doskonałym tego przykładem, a dogmat o jego nieomylności, jest w kręgach wiernych jego wyznawców, zupełnie bezdyskusyjny. Widocznie tak już mamy, widocznie to jakaś narodowa potrzeba, ba: imperatyw taki, że bronimy ślepo i bezrefleksyjnie symboli. Bronimy, choćby wszystko mówiło nam, że czasem brąz na naszych pomnikach przypomina bardziej rdzę i należałoby je nieco odświeżyć , choćby odrobinę przepolerować, a może nabrałyby nowego blasku i nie raziły ewidentną korozją. My jednak wolimy nie tykać świętości, jakbyśmy się obawiali, że skruszą się, że się jeszcze, nie daj bóg, rozsypią pod wpływem naszych ingerencji. Tylko, że takie świętości są , jak mówi mój kolega o odgrzewanych kotletach „zrobione ze słabego mięsa" i dlatego pojawia się realne ryzyko, że wezmą i się zepsują. Tu mieszka strach, nasz polski lęk znajduje się u podłoża tych naszych gwałtownych reakcji w obronie symboli i świętości, które nas przecież konstytuują tożsamościowo. A my, jako kruchy naród, bo przez dziejowe zawieruchy wciąż i wciąż odradzający się na nowo, wygląda na to, że wykształciliśmy w sobie ów mechanizm, niczym rodzaj swoistego bezpiecznika. My Polacy wciąż się odbudowujemy, wciąż się wyodrębniamy i nie zdążyliśmy zbudować w sobie krzepy, owej zdrowej pewności siebie, która dałaby nam siłę by mierzyć z odbiciem w lustrze. Mierzyć, bez spazmatycznego wciągania brzucha. Niestety, wolimy czasem opluć lustro, niż się w nim po prostu przejrzeć.

To jasne, że ktoś, kogo ostatnia powieść nosi tytuł "Empuzjon" nie pisze dla wszystkich, bo nikt poza kilkoma setkami ludzi w naszym czterdziestomilionowym kraju, nie wie co to jest empuzjon i zdecydowana większość nie dowie się tego do końca swojego życia. To jasne i oczywiste, ale mówienie tego wprost (że to nie dla każdego potrawa) i akcentowanie tego, dodawanie czegoś o strzechach i mówienie o niezbędnej kompetencji do czytania to już pewien nietakt, niepotrzebny i będący niestety forma delikatnego egortripu, który oczywiście po otrzymaniu Bookera i Nobla, może się przydarzyć. Dlaczego jednak miałby przejść zupełnie bez echa, bez cienia komentarza i bałwochwalczo zostać przemilczany, zupełnie tego nie rozumiem. To w końcu reakcja na słowa, które padają z ust „czułego narratora"? Padają, obawiam się, ze szkodą dla całej literatury, szczególnie zaś tej, której ambicje są nieco większe niż to by dobrze się sprzedać i dać czytelnikowi to czego potrzebuje, czyli lekką, przyjemną w odbiorze rozrywkę. Ambitniejsza literatura, przez takie wypowiedzi, może zyskać niepotrzebną zupełnie wyższościową gębę. Dziś przeczytałem zatrważające statystyki dotyczące czytelnictwa w Polsce Anno Domini 2021. Otóż 23 % procent społeczeństwa niema zupełnie żadnych książek w domu a 9% procent ma jedynie podręczniki, 38% społeczeństwa przeczytało przynajmniej jedną książkę w całym roku. W tym jest oczywiście rzesza tych co to przeczytali kalendarz, książkę kucharska, poradnik dekarza i „50 twarzy Grey'a". Potem jest jeszcze trochę miłośników kryminałów i literatury tak bardzo kobiecej, że nawet Harlequinowi robi się głupio i długo, długo nic, czyli literacka przepaść, za którą na krawędziach, na brzegach wyniosłych szczytów, próbuje na przekór wszystkiemu się utrzymać kurczowo, trzymając się stromej grani, literatura czysto artystyczna, wybitna i głęboka, czyli tzw. literatura ambitna.

Reakcja środowiska przesadnie gorliwie broniącego Olgi Tokarczuk, przypomina niestety syndrom oblężonej twierdzy. Jego ton pobrzmiewa z deka wyższościowo w swych rejestrach, w kolejnych odsłonach tej polemicznej hucpy, zupełnie jakby to Polski Episkopat Literacki okopywał się na swych pozycjach, podczas gdy kościół czytelników jeszcze wiernych literaturze chwieje się w posadach, o czym zresztą niezbicie świadczą przytoczone powyżej dane. Dlaczego nad tym tak ubolewam? Ano dlatego, że mając współczesną nam noblistkę, chciałoby się móc z nią pospierać, podyskutować, móc prowadzić dialog, wymieniać poglądy, wreszcie posprzeczać się o literaturze. Można by po prostu ostrzyć szpady w potyczkach słownych i dyskusjach o sprawach dla literatury najważniejszych, zamiast się jedynie modlić i ją adorować. Czy naprawdę musimy wznieść gigantyczny ołtarz dla bogini, by można było pod nim jedynie klęczeć i przytakiwać jej bałwochwalczo? Potakiwać i składać hołdy. Przejaskrawiam oczywiście, ale tylko po to by zauważyć, że przecież jej chwała i majestat już się stały i nigdy się nie odstaną. Pani Olga naprawdę nie potrzebuje dalszych afirmacji i adoracji, by czuć się docenioną i spełnioną, tak sobie myślę. Może więc po prostu zejdźmy na ziemię i cieszmy się jej cudną obecnością pośród nas, poprzez możność swobodnego, otwartego dialogu, rozmowy międzyludzkiej, ścierania wrażliwości i współistnienia na bardziej horyzontalnej niż wertykalnej płaszczyźnie. Myślę, że sama Noblistka też by sobie tego życzyła i pewnie wolałaby to niż ciągłe modły.

My Polacy mamy tendencje do wpadania w skrajności, brakuje nam dystansu i zdolności łapania odpowiedniego balansu, we wszystkim za co się zabieramy. Poprzez kult jednostki budujemy swoją tożsamość, bo tak jest łatwiej, wygodniej i szybciej. Poprzez tę drogę na skróty unikamy wysiłku indywidualnego, który jest niezbędny by tworzyć się i kształtować swą rzeczywistość samodzielnie. Przykładamy tylko zatwierdzoną przez zewnętrzne czynniki sztancę i szlus, sprawa załatwiona, pozamiatane. Nie tędy jednak droga! Nie bądźmy, jak ostrzegał Gombrowicz, narodem tak zakompleksionym, że wciąż krzyczącym o swej wielkości i swą wielkością nieustannie się puszącym, wymachującym wszem i wobec i sobie nawzajem naszymi bohaterami narodowymi, jak orężem apriorycznym. Bądźmy raczej narodem skromnym i kreatywnym. Twórczość bierze się właśnie ze ścierania się, z konfrontacji i poszukiwania nowych ścieżek, nie zaś z upartego podążania starymi choćby i świętymi koleinami.

Emil Pisarz

V

Maciej Kaczmarski

LALA

Twarde, metaliczne kołatanie blaszanego budzika obudziło Mieczysława Maciasa punktualnie o czwartej nad ranem. Obok pochrapywała jego żona, Matylda. Mieczysław, czterdziestoośmioletni rencista o twarzy jak z krzywo wybitej monety i dłoniach niczym bochny wiejskiego chleba, ziewnął przeciągle, otrząsając się ze strzępów sennej mary. Śnił, że jego nastoletni syn Damian leżał w łóżku pod postacią wieprza z ludzką głową, a Matylda podała na obiad rybę z żółtymi włosami na łbie. Głupoty, od dziś żadnego smalcu na kolację, obiecał sobie mężczyzna, kierując się do łazienki, gdzie oddał mocz z głuchym pierdnięciem i i przemył twarz wodą z dodatkiem szarego mydła.

W kuchni zrobił sobie jajecznicę z trzech jaj, zagryzł ją pajdą czerstwego chleba i zapił kubkiem kawy zbożowej. Po posiłku zapalił papierosa bez filtra, założył gumowce, kufajkę bez rękawów i znoszoną bejsbolówkę z kruszejącym napisem COUGAR LTD. 1984. Wyszedł na podwórze i wyciągnął z komórki przygotowany poprzedniego dnia sprzęt: wędkę w drelichowym pokrowcu, słoik z robakami, cztery puszki piwa oraz plastikowe pudełko z zapasowymi haczykami i żyłką. Z trudem upchnął słoik, puszki i pudełko do niewielkiego rowerowego koszyka, pokrowiec z wędką przerzucił przez plecy, wsiadł na wysłużony rower i wjechał na główną ulicę wsi. Jadąc niespiesznie w przyjemnym chłodzie lipcowego poranka, wdychał zapach budzącego się świata. Z daleka dostrzegł starego Antończaka wyprowadzającego krowy na pastwisko. Pomachał mu, zważając jednocześnie, by nie stracić równowagi. Stary wytężył wzrok, odmachał i na powrót zajął się krowami. Może zdążę przed Lolkiem, pomyślał Mieczysław, podążając w kierunku jeziora położonego na obrzeżach wioski.

* * *

Karol Frącek, zwany przez przyjaciół Lolkiem (dla ułatwienia jego wrogowie również go tak nazywali, choć po prawdzie nie miał ich wielu, bo poczciwy był z niego chłop), bezrobotny kawaler, lat trzydzieści dwa i dobrze ponad sto kilo żywej wagi, uporczywie wpatrywał się w kształt majaczący w pobliskich trzcinach. Z prowizorycznego pomostu, na którym stał tęgi mężczyzna, trudno było orzec, czy to przebity ponton pozostawiony przez nierozważnych biwakowiczów, zagubiona odzież czy porzucony namiot. A może ciało ludzkie?, przeszło mu przez myśl i ta ewentualność wywołała jednocześnie lęk i podniecenie. To by dopiero było! Cała wieś by huczała, dziennikarze z gazet by przyjechali, a może nawet i ta szatynka z telewizji, która zrobiłaby wywiad właśnie z nim...

Lęk zwyciężył i Karol zdecydował, że zaczeka na Mieczysława. Wyciągnął papierosa z pogniecionej paczki, odpalił zapałką i zaklął, bo poparzył sobie grube palce. Zaciągnął się głęboko gorzkim dymem i spojrzał na elektroniczny zegarek z kalkulatorem. Zniecierpliwiony, otworzył puszkę z piwem, pociągnął solidny łyk i siarczyście beknął.

Chłód nocy powoli ustępował, tworząc gęsty opar nad płaską, niezmąconą taflą wody. Światło słońca przebijało się długimi snopami przez okalające jezioro drzewa. Zapowiadał się kolejny ciepły dzień.

* * *

– Co do licha?... – zdziwił się się Mieczysław, mrużąc oczy pod słońce. W zaroślach rzeczywiście coś było. – Trzeba to natentychmiast sprawdzić! Może to topielec jaki?

Karol Frącek pokiwał głową, zadowolony, że miał podobne przypuszczenia.

– A juści, Mieciu. Tam nie głęboko, ja tam mogę wejść.

– Razem wejdziemy.

Szybkimi krokami dotarli do piaszczystego brzegu, w pośpiechu zrzucili gumowce i spodnie i powoli weszli do jeziora, młócąc spokojną powierzchnię niepewnymi ruchami.

– Ożeż ty, ale zimna! Bynajmniej dla mnie – wzdrygnął się Karol, zamoczywszy krocze.

– Ciepła, ciepła. Ale powietrze chłodniejsze, to się zdaje, że zimna – wyjaśnił Mieczysław, dumny z wiedzy o podstawach fizyki.

Brnąc przez mulistą wodę, przebili się przez trzciny oddzielające ich od zagadkowego przedmiotu, który z bliska, w ostrych promieniach porannego słońca, przybierał wyraźnie cielisty kolor. To na pewno nie był topielec.

– Dobra jest, Lolciu! Dawaj to, ale już!

Ostrożnie wyłowili znalezisko z trzcinowej gęstwiny i unieśli je nad wodą, w rękach zaszeleściło sztuczne tworzywo. Mieczysław złapał za pokrytą żółtym włosiem wypustkę na jednym końcu, Karol – za dwie odnogi na przeciwległym biegeunie. Wyciągnęli przedmiot z wody, położyli na piachu i obrócili na drugą stronę.

Ich oczom ukazał się sflaczały fantom nagiej kobiety. Wypustka była jej głową, włosie okazało się lokami, zaś odnogi, za które trzymał Karol – parą wiotkich nóg. Pomiędzy nogami widniała pionowa szczelina z różowym otokiem. W miejscu ust – pociągniętych krwistą czerwienią, bezzębnych i rozwartych w niemym jęku – ział owalny otwór wyścielany miękkim materiałem. Dwa oklapłe wzniesienia ze szpiczastymi sutkami na torsie tworzyły biust. Mieczysław tępo przyglądał się lali, jego twarz ułożyła się w podobny do jej wyrazu grymas.

– Ja cię kręcę, goła baba z gumy!

– A ja wiem, co to – oznajmił Karol, drapiąc się po pucułowatym policzku. – Ja to już, Mieciu, widziałem w gazetach.

– Jak to w gazetach? – zapytał Mieczysław, który czytywał tylko „Wędkarski świat".

– Ogłoszenie było w „Catsach". Że można wysyłkowo kupić.

– Jak to wysyłkowo? Co ty gadasz?

– No, normalnie. Wypełnia się kupon taki, wysyła z pieniędzmi i przysyłają takie cuś.

– A na co komu taka poczwara?

Karol spojrzał ze znawstwem na bezwładny flak i odparł:

– To jest, proszę ja ciebie, dmuchana lala do seksu.

* * *

Tego ranka nie mieli ochoty na wędkowanie. Mieczysław napompował lalę, aby sprawdzić, czy nie jest dziurawa, a przejęty Karol bacznie wszystko obserwował. Nie licząc kilku łatwych do usunięcia wodorostów, lala była w nienaruszonym stanie. Spuścili powietrze i zastanawiali się, co począć ze znajdą.

– A może byśmy ją wypożyczali, Mieciu? We wsi tylu chłopa i prawie wszyscy samotni. O, młody Jankowski na pewno by płacił. Przepija pieniądze z ojcowizny to i na to by dawał...

– Ani mi się waż, pieronie jeden! – Mieczysław wybuchł jak nadepnięta purchawka. – Za stręczyciela robił nie będę.

– Za kogo?

– Zapomnij, synek. My lalę znaleźli i lala jest nasza i tylko nasza, ot co!

Wytężywszy umysł ze wszystkich sił, Karol uznał, że stręczyciel to ktoś, kto wypożycza kobiety. Ale to przecież nie jest kobieta, tylko manekin. Dobre i to, pomyślał. I przypomniał sobie jedyną kobietę z krwi i kości, którą kiedykolwiek posiadł. Hania jej było. Dawno temu spędził z nią noc pod rozłożystym dębem na polu starego Antończaka. Potem wyjechała na studia do wielkiego miasta, wyszła za architekta i urodziła mu trójkę dzieci. Karol nigdy już jej nie zobaczył, lecz wspomnienie wspólnej nocy na zawsze wryło się w jego serce.

Z drugiej strony, myślał dalej, kobiety to same problemy. A jeśli ta gumowa to nie prawdziwa kobieta, to nawet lepiej. Nie marudziłaby i nie gadała od rana do wieczora. Od gadania to są koledzy. Baby mają siedzieć cicho i robić swoje. Tak było zawsze w jego rodzinie. Tak było wszędzie dookoła. No właśnie, cholera jasna, a ta przecież nic nie zrobi. Ani obiadu nie upichci, ani herbaty nie zrobi, ani fajek nie przyniesie. I tak źle, i tak niedobrze, psiakrew...

Z rozmyślań wyrwał go głos Mieczysława.

– Słyszysz, Lolek? Nikomu ani słowa, a już najbardziej to Matyldzie i Damianowi.

– Jasna sprawa, Mieciu.

– I staremu Antończakowi też nic, on gorzej jak baba – perorował Mieczysław. – Jednym słowem: gęba na kłódkę, zrozumiano?

– Tak jest, ani mru mru i cicho-sza, jak to mówią – uroczyście przyrzekł Karol.

– No i musimy ją jakoś nazwać.

Długo obradowali, nie mogąc dojść do porozumienia. Karol proponował Hanię, Mieczysław obstawał za Barbarą, na cześć szkolnej miłości. Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy zgodzili się na Roksanę. Karol usłyszał to imię kiedyś w telewizji.

– No to za Roksanę – powiedział i stuknęli się połyskującymi w słońcu puszkami.

* * *

Na końcu ustalili harmonogram spotkań i kilka zasad. Mieczysław będzie miał lalę w poniedziałki, środy i piątki. Karolowi przysługiwały pozostałe dni z wyjątkiem niedzieli. To był, bądź co bądź, dzień święty i nie chcieli plugawić go myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem. Po każdym spotkaniu Roksana będzie dokładnie myła. W przerwach między spotkaniami lala pozostanie w ukryciu.

Karol zajmował samotnie spółdzielcze M-2 w obskurnym czteropiętrowym bloku z łuszczącym się tynkiem koloru wyblakłych słoneczników, który odpadał wielkimi płatami od frontowej ściany. Dni spędzał na oglądaniu telewizji i piciu piwa, gości miewał niewielu, a sam wychodził tylko do sklepu i na ryby. Mógł więc do woli zabawiać się z lalą, nie wzbudzając podejrzeń. A jeśli nawet ktoś by go niespodziewanie odwiedził, mógłby szybko ukryć ją w szafie. Pomiędzy szarymi swetrami na plastikowych wieszakach a sukienkami po zmarłej matce, byłaby całkowicie niewidoczna dla świata. Byłaby tylko jego.

Mieczysław był w trudniejszej sytuacji. Dzielił z żoną i synem cztery izby w starej chacie, postawionej przed wojną przez dziada Ziemowita. Trzymanie lali w domu było zatem wykluczone; Matylda znalazłaby ją przy pierwszym sprzątaniu, a ponieważ porządków dokonywała niemal codziennie, sprawa natychmiast wyszłaby na jaw. Mieczysław miał niejasne przeczucie, że pożycie z gumowym przedmiotem nie jest zdradą ani nawet grze-

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

chem, ale był pewien, że jego żona tego nie zrozumie. (Usiłował przy okazji przypomnieć sobie swoje ostatnie zbliżenie z Matyldą. Zdarzyło się to jednak tak dawno i w stanie tak potężnego upojenia alkoholowego, że teraz było jedynie mglistym, wstydliwym wspomnieniem.) Tak czy inaczej, chata nie wchodziła w rachubę. Ale była jeszcze komórka na podwórzu, do której Matylda nie zaglądała, bo nie miała tam czego szukać. Damian też się tam nie zapuszczał, umieszczony w komórce warsztat nie interesował go w najmniejszym stopniu, bo nie odziedziczył po ojcu zamiłowania do majsterkowania. Po namyśle Mieczysław zdecydował, że drewniana szafka pod oknem, obok pudełek z gwoździmi i śrubkami oraz butelek na wino, będzie idealną kryjówką Roksany, zaś komórka – ich potajemną alkową.

* * *

Znaleźli lalę w poniedziałek, ale ponieważ to Karol ją wypatrzył, Mieczysław wspaniałomyślnie zgodził się oddać pierwszeństwo młodszemu koledze. Wiedział, jak bardzo tego pragnie. Kto wie, być może ze wszystkich mężczyzn na świecie to właśnie Karol Frącek najbardziej potrzebował kobiety.

– Masz dwie godziny – oznajmił Mieczysław i przypomniał o zasadzie czystości.

Zamierzał spędzić z Roksaną wieczór w komórce na podwórzu. Matylda będzie oglądała serial w telewizji, a Damian jak zwykle zmarnotrawi czas pod sklepem lub na przystanku, łuskając słonecznik i przekomarzając się z młodym Jankowskim, braćmi Dzikami i córką Rodkiewiczowej, która ciągle żuła gumę i nawet do sklepu wychodziła w pełnym makijażu i biżuterii. A nuż spotka księcia z bajki w kolejce po serwatkę...

Rozstali się na skraju lasu. Karol spuścił powietrze z lali, zapakował ją do wściekle czerwonej reklamówki i popędził jak opętany w stronę bloku z odpadającym tynkiem. Mieczysław dokończył papierosa, wsiadł na rower i podążył ku swojej chacie. Po drodze spotkał starego Antończaka, który prowadził krowy do obory.

– No i jak tam branie, panie Mietku? – zagaił stary, odsłaniając pożółkłe zęby. – Udało się coś złapać?

Mieczysław uśmiechnął się i odparł triumfalnie:

– Złotą rybkę, panie Antończak. Złotą rybkę!

* * *

Karol postanowił, że jego pierwszy raz z Roksaną będzie wyjątkowy. Kupił porzeczkową nalewkę, puszkę szprotów w oleju i białą świeczkę. W domu skrupulatnie umył lalę, uczesał jej włosy i odstawił do wysuszenia. Dokładnie ogolił swoją nalaną twarz, rozprowadził warstwę brylantyny na przerzedzonej, rudawej czuprynie i przylizał ją do tyłu. Odświeżony, założył spodnie od garnituru, prążkowaną koszulę oraz krawat w gołe girlsy – pamiątkę po dziadku, o którym mówili, że był bikiniarzem w powojennej Warszawie, zanim alkoholizm i długi zmusiły go do przeprowadzki na wieś. Karol nie wiedział, co to jest bikiniarz, ale dziewczyny na krawacie bardzo mu się podobały.

Nadmuchał lalę zgodnie z zaleceniami Mieczysława („Nie za mocno, bo pęknie i nie za słabo, bo zmięknieszl"), otworzył szafę i zaczął przebierać w matczynych ubraniach. Wybrał długą białą sukienkę w kolorowe polne kwiaty. Przez chwilę rozważał założenie lali obcasów, ale zaniechał tego pomysłu, patrząc na jej nieforemne, pozbawione palców stopy. Szkoda, że nie mam rajstop, stwierdził w myślach. Ostatnia para poszła do grobu razem z matką. Resztę, wraz z bielizną, wyrzucił do śmieci. Zostawił tylko buty i sukienki – nie wiedział dlaczego, ale na samą myśl o tym było mu wstyd.

Szybko odgonił nieprzyjemne myśli. Zaniósł lalę do kuchni i posadził ją przy stole zastawionym dwoma talerzami, musztardówkami i zakupionymi wiktuałami. Usadowienie nie było łatwe i lala wyglądała tak, jak gdyby stała nad krzesłem w nienaturalnym rozkroku. Zapalił świeczkę, rozlał nalewkę do naczyń, rozdysponował porcję ociekającej tłuszczem ryby i usiadł naprzeciwko lali.

Jadł i pił łapczywie, gorączkowo, jakby się z kimś ścigał, i co chwilę zerkał na swoją rozkraczoną towarzyszkę. Pogratulował sobie znakomitego wyboru w kwestii sukienki. Sam nie wiedział, kiedy z jego ust wydobyły się słowa, które już od dawna pragnął powiedzieć kobiecie, choćby i gumowej.

– Przejdźmy do pokoju może...

Karol wytarł twarz wierzchem dłoni, chwycił lalę za rękę i zaniósł do pokoju z rozłożonym tapczanem. Włączył muzykę z wieży stereo podarowanej przez brata mieszkającego w Niemczech, rozebrał się do majtek (skarpetek jednak nie zdjął), objął Roksanę w talii i zaczął z nią tańczyć. Poczuł narastające podniecenie, które przyspieszało bicie serca w jego piersi i rzucało falę krwi w twarz. Grube ziarna potu perliły się na sklepieniu jego czaszki i spływały obfitymi strumieniami po ogorzałych skroniach. Pocałował lalę w policzek, zaczął ściągać z niej sukienkę, wreszcie położył się z nią na tapczanie.

Dwie minuty później było po wszystkim. Szczęśliwy jak dziecko, które dostało upragniony prezent, położył się wygodnie i zapalił papierosa, uważając, żeby nie przebić żarem gumowej kochanki. Kiedy ugasił niedopałek w leżącej na stoliku zakrętce od słoika, spojrzał na Roksanę i łzy napłynęły mu do oczu. A potem zasnął jak niemowlę i śnił o rybie z żółtymi włosami na łbie.

* * *

Obudziło go łomotanie do drzwi. Wstał zaspany i zasapany, schował lalę do szafy i poszedł otworzyć, wypijając po drodze nietkniętą porcję nalewki, którą przeznaczył dla swej sztucznej dziewczyny. Teraz wydało mu się to głupie.

Na śmierdzącej lizolem klatce schodowej stał roztrzęsiony Mieczysław.

– Co jest, kurna, jak się umawialiśmy? Trzecia godzina leci, chłopie! Młody już pod sklepem, a stara zara serial zaczyna!

Karol spojrzał nieprzytomnie na ścienny zegar z kukułką.

– Strasznie cię przepraszam, Mieciu – powiedział, z trudem hamując ziewanie. – Przysnęło mnie się. Wejdź, wejdź. Zechcesz nalewki? Naleję tobie.

Rozlał ciemnofioletowy napój do musztardówek. Wychylili duszkiem, odchylając głowy do tyłu. Mieczysław obrzucił kuchenny stół badawczym spojrzeniem.

– Ho, ho! Widzę, że ty tu ładne randewu miałeś! Mów no zaraz, jak było?

Szukając odpowiednich słów, Karol zawiesił wzrok na seledynowym gumoleum pokrywającym kuchenną podłogę.

– Zajebiście, Mieciu... – wykrztusił po chwili. – Zajebiście.

– No i elegancja Francja – podsumował Mieczysław – Cała jest?

– Cała.

– A wymyta?

– Nie zdążyłem. Dopiero co żem się obudził.

– To do roboty, synek, do roboty! Ja se tu zapalę – zakomenderował Mieczysław, wyciągając papierosy z kieszeni kufajki. Okruchy tytoniu wpadły do szklanki z resztkami nalewki.

Karol z uczuciem mył lalę w żeliwnej wannie, bezwiednie nucąc pod nosem piosenkę, do której z nią tańczył. Kiedy przekazywał Mieczysławowi wściekle czerwoną reklamówkę, położył mu rękę na ramieniu i powiedział łagodnie:

– Dbaj o nią, Mieciu.

* * *

Mieczysław nie planował kolacji przy świecach ani tańców. Zbliżał się do pięćdziesiątki i był zdania, że cała ta romantyczna otoczka była tylko pretekstem do świntuszenia, a on nie potrzebował żadnych pretekstów. Poza tym co to za pomysł, flirtować z kukłą! Brednie, powtarzał sobie w głowie, przemykając przez wieś z czerwonym zawiniątkiem pod pachą. Żeby mnie tylko kto nie spytał, co tam niosę...

Ale o tej porze wieś była już martwa. Nikogo nie spotkał, nie zauważył ani jednej pary ciekawskich oczu w oknach mijanych domostw. Tylko pod sklepem siedziało zblazowane towarzystwo, w tym jego syn, ale sklep znajdował się na drugim końcu wioski i nie było potrzeby tamtędy przechodzić.

Dotarłszy bezpiecznie na swoją posesję, Mieczysław ukrył reklamówkę w komórce i wszedł do chaty. Matylda, wtopiona w fotel, objadała się ziemniakami ze śmietaną i oglądała serial. Śliczna bohaterka nie mogła zdecydować się, kogo wybrać: przystojnego lekarza czy buńczucznego muzyka. Aktorzy mówili w obcym, śpiewnym języku.

– Gdzie młody? – znał odpowiedź, ale wolał się upewnić.

– Na dworze – odparła żona, nie odrywając oczu od telewizora.

– A to co za zboczeniec? – Mieczysław skierował sękaty paluch w stronę kolorowo ubranej postaci, która zamigotała na ekranie.

– Nie wyrażaj się. To don Diego, artysta estradowy – powiedziała z godnością Matylda.

– Artysta, psia jego mać... Oni wszyscy tacy sami. Nic tylko narkotyki i romanse!

Matylda zignorowała go, skupiona na serialu i ziemniakach.

– No nic, robotę mam. Będę w komórce, nie przeszkadzaj mnie – odezwał się Mieczysław.

– Tylko się tam nie schlej.

Obiecał, że nie wypije nawet kropli, wyszedł na podwórze, czujnie rozejrzał się dookoła i zniknął w komórce. Gdyby ktoś zakradł się pod drzwi, usłyszałby szelest plastiku, odgłosy pompowania i krótkie, urywane jęki zwieńczone potężnym sapnięciem.

* * *

Mijały dni i tygodnie, przyszedł sierpień i drugi pokos. Lepkie, zawiesiste powietrze wypełniło się aromatem skoszonego siana. Letnie burze siały spustoszenie w całej gminie; bogatego gospodarza z sąsiedniej wsi trafił piorun, gdy naprawiał zerwaną przez wiatr antenę satelitarną. Przeżył, ale stracił głos i czucie w prawej połowie ciała. Wyjątkowo chłodny wrzesień z uroczystymi dożynkami przeszedł w deszczowy październik, niesiony wonią palonych liści i butwiejącego drewna. Po nim nadszedł melancholijny, srebrzący się szronem listopad.

Sekretna komitywa Mieczysława i Karola trwała niezakłócona. Matylda wprawdzie dziwiła się, że mąż spędza w komórce co drugi dzień (nie licząc niedzieli), niby w czymś tam dłubiąc – a przecież efektów tej pracy nie widziała bodaj nigdy – lecz zwaliła to na karb dziwaczenia, jakie staje się udziałem niemal każdego starzejącego się człowieka. Nie mogła tylko wytłumaczyć, skąd brały się żółte kłaki w odpływie wanny. Czyżby Damian sprowadzał tu Rodkiewiczównę? A jeśli tak, to niby kiedy? Nie, to niemożliwe. A może to Mietek? Które baby we wsi mają →

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

jeszcze blond kudły?... Ale o tym to zaraz by jej ktoś powiedział, bo na takiej prowincji nic się nie ukryje. Jak dyrektor Makowski uwiódł sekretarkę i zrobił jej bękarta, to zaraz wszyscy wokół wiedzieli, aż musiał zakład sprzedać i wyjechać. Ludzie mają oczy, ściany mają uszy, dedukowała Matylda. Rzadko pozwalała sobie na takie dywagacje, bo nie miała na nie czasu. Zawsze było coś do roboty. A to obiad ugotować, a to kury nakarmić, kurze zetrzeć, w piecu napalić, pranie zrobić, koszulę staremu do kościoła wyprasować, lekcje synowi sprawdzić, wina doglądać.

Wino!, olśniło ją nagle. Pękaty, owity wiklinową plecionką gąsior stał w zaciemnionym kącie kuchni, przerobionym na niewielką spiżarnię. Półprzezroczysta ciecz o rubinowej barwie cicho bulgotała w rurce fermentacyjnej osadzonej w grubym korku. Matylda obliczyła, że wino stoi już prawie osiem tygodni. Najwyższy czas, żeby spróbować, czy jest gotowe na cichą fermentację, ostatni etap domowej produkcji alkoholu.

Zdrapała paznokciem warstwę wosku uszczelniającego korek, odpieczętowała baniastą butlę, włożyła wężyk do szyjki i zlała odrobinę płynu do blaszanego dzbanuszka. Z zadowoleniem powąchała zawartość naczynia i upiła spory haust, głośno przełykając. Gęsty płyn wypełnił jej usta, rozlewając się słodko-gorzkim strumieniem po języku i podniebieniu. Szybko poczuła pierwsze efekty trunku: puls nagle przyspieszył, twarz zapłonęła czerwienią, czoło zrosiły krople potu. Wino uderzało do głowy, wypełniało ciepłem, zagrzewało do tańca. Było znakomite. I gotowe do przelania do butelek, żeby dalej dojrzewało.

Nalała sobie jeszcze trochę i zaczęła szukać szklanych flaszek w kuchennym kredensie, kiedy przypomniała sobie, że Mieczysław schował je w komórce na podwórzu.

* * *

Powietrze w komórce pachniało mieszaniną starego smaru i zatęchłego dymu. Matylda rozejrzała się po pogrążonym w półmroku pomieszczeniu. Zauważyła, że nie ma roweru, wędki ani pudełka z akcesoriami. Mieczysław musiał łowić z Frąckiem. Też sobie kolegę znalazł, pomyślała z obrzydzeniem. Opóźniony umysłowo tłuścioch bez pracy i żony, na każdym kroku typiący obscenicznym spojrzeniem, które jawnie rozbierało każdą napotkaną kobietę. W sumie jednak poczciwa zeń chłopina. Obleśny, ale głupi, to i zasadniczo uczciwy. Poza tym sam jak palec na tym świecie, biedaczysko. No i Mietek miał przynajmniej jakieś zajęcie na tej rencie, na ryby z nim łaził i nie przeszkadzał w obejściu. Gorzej, że czasem tak garowali nad jeziorem, że wracał ledwo przytomny. Dobrze, że Mietka tutaj nie ma, pomyślała, bo jeszcze by wysiorbał pół gąsiora i nic by na Boże Narodzenie nie zostało, tak jak dwa lata temu. Proboszcz znów by kręcił nosem, przecież wigilia bez wina po prostu się nie godzi. Gdzież te przeklęte butelki, do diaska?...

Otworzyła starą szafę z dykty, w środku półki uginały się pod ciężarem puszek z rozpuszczalnikiem i rozmaitych narzędzi: młotka z grubym trzonkiem, zardzewiałych obcęgów, stępionego dłuta, ciężkiego klucza francuskiego i kilku innych, których nie potrafiła zidentyfikować. Butelek jednak nie znalazła. Nie było ich również na regale ze słoikami pełnymi żelastwa, ani za przepierzeniem ze starego prześcieradła, gdzie tkwiły grabie, łopata, haczka i łysiejący drapak z wyszczerbionym pękiem rózg. Matylda jeszcze raz omiotła wzrokiem komórkę i dostrzegła ostatnie miejsce, którego jeszcze nie sprawdziła – drewnianą szafkę pod oknem.

Drzwiczki rozwarły się z jazgotliwym skrzypieniem, ukazując pudełka z gwoździmi i śrubkami, stłoczone przy dwóch rzędach szklanych flaszek. Niektóre butelki były zupełnie przezroczyste, inne mieniły się morską zielenią i karmelowym brązem, każda miała pałąkowe zamknięcie. Ucieszona odkryciem, Matylda prawie nie zauważyła wściekle czerwonej reklamówki, upchniętej za pudełkami. Zawiniątko skrywało jakiś kształt, była tego pewna. I jeszcze ten kolor. Jak płachta na byka, pomyślała, śmiejąc się do siebie (pomimo całego życia spędzonego na wsi, nie wiedziała, że te dostojne stworzenia nie rozróżniają barw, zaś korrida to na dobrą sprawę czyste kurewstwo i nic śmiesznego).

Przez chwilę biła się z myślami. A gdyby tak nagle Mietek wszedł do komórki? Byłby wściekły, a przecież z Frąckiem siedział, to na dokładkę podpity. Awantura gotowa. Z drugiej strony nie mógł wyjechać dalej jak dwie godziny temu, a oni na tych rybach to i do południa potrafili siedzieć. Rzucę tylko okiem i odłożę na miejsce, stwierdziła rezolutnie, odchrząknęła, by dodać sobie animuszu, i wyciągnęła czerwone zawiniątko, usiłując uczynić jak najmniej hałasu. Odwijając załomy reklamówki, czuła się jak mała dziewczynka odkrywająca wielki sekret. A nuż to jakiś prezent świąteczny, myślała podekscytowana, sięgając do wnętrza plastikowej torby.

W pierwszej chwili nie miała pojęcia, co trzyma w dłoniach. Gumowy flak cielistej barwy, złożony w kilka warstw, najpierw wydał się jej poduszką turystyczną. Poczęła z uwagą rozkładać przedmiot, który ongiś podobnie zmylił jej męża i jego kolegę, i skonstatowała, że to chyba dziecięcych rozmiarów ponton. Ostatnia rozwinięta warstwa ujawniła żółte włosie i sylwetkę nagiej istoty ludzkiej.

I nagle wszystko do niej dotarło. Mieczysław znikający w komórce, włosy w wannie, zdawkowe odpowiedzi. Na chwilę wbiła wzrok w lalę, po czym zapakowała ją do reklamówki i wyszła na zewnątrz, zabrawszy ze sobą rozpuszczalnik i zapałki.

* * *

Mieczysław już z daleka zauważył kłęby czarnego dymu, unoszące się gęstymi pasmami nad jego gospodarstwem. Przestraszywszy się, że płonie chałupa, albo – o zgrozo! – komórka, zaczął szybciej pedałować. Z sercem szamocącym się w piersi zeskoczył z roweru, zdecydowanym pchnięciem otworzył furtkę i wbiegł na podwórko, a nozdrza wypełnił mu swąd palonego plastiku.

Matylda stała nad niewielkim ogniskiem, płomienie strzelały w górę gorącymi językami i przechodziły w tłuste, smoliste spaliny. W bezlitosnym żarze topił się pofałdowany, powykręcany kształt cielistego koloru, który rozpuszczał się i czerniał pod naporem ognia. Nieliczne już kępki żółtych włosów bezpowrotnie znikały w ogniu, który z sykiem obracał je w proch. Tuż obok płonęła czerwona reklamówka, stapiając się z gorejącą Roksaną w całość przypominającą abstrakcyjne dzieło malarskie. Usta lali nadal trwały w niemym wrzasku, ale i one coraz szybciej ulegały deformacji. Mieczysław również zapragnął krzyczeć.

Popatrzył na żonę z mieszanką nienawiści i przerażenia. Odpowiedziała mu smutnym, a wrogim spojrzeniem szlachetnego, śmiertelnie zranionego zwierzęcia. Chciał coś powiedzieć, ale język ugrzązł mu w gardle.

– Jak się sfajczy do końca, to zakopiesz to diabelstwo – głos Matyldy był suchy i matowy. – Tylko nie tutaj. I żeby nikt cię nie widział, rozumiesz?

Nie odrywała od niego swoich bladobłękitnych oczu. Ciężar jej przeszywającego spojrzenia przygniatał go niemal fizycznie. Próbował wykrztusić z siebie jakieś słowo, ale znów go ubiegła.

– Kochasz ją?

– Rany boskie, Tylduszko ty moja, to przecie z gumy jest! – jęknął mężczyzna. – Znaczy się, było...

– Nie gadaj mi tu, ty bezbożniku! Nie takie rzeczy filozofom się nie śniły!

– Kiedy przysięgam, że pod Bogiem mówię. Ale Lolek to się załamie. Będzie trup na miejscu, kaput i tyle go widzieli!

Matylda ciężko westchnęła, z trudem powstrzymując łzy. Odwróciła się na pięcie i posuwistym krokiem weszła do chaty.

– Ciule jesteście, a nie chłopy! – ryknęła i trzasnęła drzwiami.

* * *

W swej bezbrzeżnej rozpaczy nad utratą gumowej kochanki, Karol zamierzał pochować jej zwęglone szczątki nieopodal jeziora, w którym ją znaleźli, postawić krzyżyk na kopczyku i zapalać znicz w każdą rocznicę urodzin (wyłowienia) i śmierci (spalenia). Mieczysław, pomny słów Matyldy, cierpliwie tłumaczył, że lala powinna spocząć gdzieś daleko poza wioską, żeby nie prowokować wspomnień, najlepiej w nieoznakowanej mogile.

– Jeden słynny muzykant w takiej leżał, to i ona może. Tylko my będziemy wiedzieć, że to tutaj, a to się liczy.

W końcu osiągnęli kompromis: pozostałości po Roksanie (i po reklamówce, jako że obydwa przedmioty stały się jednością aż po koniec czasu) zostaną zakopane w miejscu wybranym przez Karola, nie postawią jednak żadnego krzyżyka ani znicza.

* * *

Pogrzeb odbył się w poniedziałek rano, trzy dni po tym, jak Matylda puściła lalę z dymem, modląc się o duszę swojego grzesznego męża (duszą jego kolegi nie zaprzątała sobie głowy tylko dlatego, że już wcześniej zdążyła wielokrotnie przekląć ją na wieki wieków). Karol wykopał niewielkie zagłębienie, z namaszczeniem złożył w nim zastygły kształt, po czym zasypał dołek powolnymi ruchami.

Przez chwilę stali z założonymi rękoma nad świeżo usypaną pryzmą ziemi.

– No nic, Lolciu. Co było, a nie jest... – filozoficznie zagaił Mieczysław. – Nic nie trwa wiecznie, dobrze mówię?

Karol nie zareagował. Stał sztywno wyprostowany, z twarzą pozbawioną wyrazu.

– Chodź, złowimy jakąś rybkę, piwka się napijemy. Życie toczy się dalej – Mieczysław nie dawał za wygraną.

Podreptali w stronę pomostu, z którego przed kilkoma miesiącami wypatrzyli lalę. Usiedli na skraju drewnianej konstrukcji, otworzyli puszki z piwem i zarzucili wędki na jezioro.

– Powiadam ci. Zamiast biadolić, że jej nie ma, ciesz się, że w ogóle była. Ot co! – poradził Mieczysław, choć nikt się nie skarżył.

Zapadła cisza, co pewien czas przerywana gwałtownymi napadami kaszlu, jaki nawiedza nałogowych palaczy. W końcu przemówił nieruchomy Karol.

– Miała takie ładne włosy.

Łowili w milczeniu, smagani szorstkim wiatrem listopadowego poranka.

Maciej Kaczmarski

Maciej Kaczmarski – autor książek „Bóg w sprayu. Filozofia według Philipa K. Dicka" i „SoundLab. Rozmowy". Publikował m.in. na łamach „Czasu Kultury", „Gazety Wyborczej", „Trans/wizji", „Gazety Magnetofonowej" oraz na portalach Dwutygodnik.com, Czaskultury.pl i Onet.pl. Członek Londyńskiego Instytutu Patafizyki.

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Grzegorz Borowiec

* * *

Wierzyłem
a przynajmniej dobrze odmawiałem modlitwy
nikt się nie połapał że byłem tylko dzieckiem
i że za wiele z tego nie rozumiałem

W ramach nagrody zabrał rodzinę i dom
dał pierwszą krew choroby psychiczne
wyrzucił i kazał żyć

Wszystko to z miłości
Wszystko to kurwa z miłości

Jestem zmęczony tą miłością

Nie pytaj

Światło jest mi potrzebne do oddychania
tak jak papierosy i zmyślona przeszłość
którą tworzę dla lepszego snu
prawie każdej nocy od dwudziestu lat

Światło jest mi potrzebne do przecierania
ulicy pełnej gruzowisk i pustych okien
wypranych twarzy przez wojnę codzienności
do przecierania własnego odbicia

Światło jest mi potrzebne jak chleb jak szkło
od zaraz
natychmiast
tutaj
w każdej ilości

daj mi chociaż trochę
siebie

* * *

Banalnie wchłaniam gwiazdy
siedząc przed wejściem do bloku
spalam papierosy jeden za drugim
i wsypuję popiół do butelki

Mam za dużo niewiadomych
za dużo latarń i ciemności
Kazała mi czekać mimo że
mój oddech jest coraz cięższy

Patrzę na zamknięte drzwi
a ty schodzisz
w nieskończoność

Rdza

Czarny i szary
czarny i szary
czasami jeszcze czerwony
czasami jeszcze metaliczny zapach
gwoździ krwi i śliny

Czarny i szary
czarny i szary
swobodnie żyją własnym życiem
pod moimi nogami nad głową
wyliczają kroki do śmierci

Czarna paleta tylko w nocy
szara paleta tylko w dzień
kolorują mój świat
wypełniają płuca ciemnością
gorzej niż papierosy

Oddycham i umieram codziennie
Oddycham jem śpię
czasami czuję jeszcze metaliczny zapach
gwoździ krwi i śliny

Trzeba żyć

Ulice umęczone poprzednią nocą
są teraz ciche
słońce wypala chodniki gruzy
suszy kości i krew

W kościołach przemieszczają się masy
szumią jak otumanione drzewa
bez rąk złożonych
udają życie

Jutro poniedziałek
jutro tryby od nowa będą pracować na lepszy chleb
wchłaniać papierosy i zbierać złość
chodzić po krawędzi

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Otwórz okno, podaj rękę

Pracownia Słowa, Ostrów Wielkopolski 2022

Adam Buszek

Od marca do września tego roku w Ostrowie Wielkopolskim trwały warsztaty literackie **Pracownia Słowa** z honorowymi patronatami *Migotań i Muzeum Jana Kochanowskiego* w Czarnolesie. 1 października podsumujemy cykl spotkań premierą antologii tekstów uczestników podczas dorocznego festiwalu „Wszystko jest poezją" organizowanego przez Ostrowskie Centrum Kultury.

Literackie słowa ożywają w bezpośrednim kontakcie swoich twórców. To właśnie tu i teraz rodzi się taka wymiana emocji i myśli, która odsłania nowe tropy wyobraźni i nieoczekiwane pokrewieństwa. Nieoczekiwane, ponieważ żaden autor nie jest w stanie uprzedzić żadnego ruchu wyobraźni czytającego, a na dodatek żaden autor nie zna rzeczywistego zasięgu swojego tekstu. Zasięg tekstu współtworzy każdy kolejny czytający tu i teraz, samotnie czy w towarzystwie. Tak powstają nieoczekiwane pokrewieństwa. Pokrewieństwa, ponieważ każdy czyta "sobą" w pragnieniu przekroczenia siebie. Kiedy przekracza siebie, odnajduje pokrewieństwo emocji, myśli, doświadczenia, przeczucia. Pokrewieństwo z bohaterem literackim i stojącym za nim autorem. Oznacza to, że tekst "wżył się" w czytającego. Na moment lektury, na chwile czy dni, noce po niej, a nawet, jak bywa, na całe życie. Ktoś odnalazł – nieoczekiwanie – krewnego, który jednak był w nim uśpiony albo zapomniany, czekający na przebudzenie albo zawołanie po imieniu.

Tworząc Pracownię Słowa, chciałem wywołać takie właśnie nieoczekiwane pokrewieństwa. Byłem ich głodny, bo w dwudziestym pierwszym stuleciu żywe literackie spotkania są dobrem rarytasowym i zasłoniętym monitorami. Każde okno potrzebuje odsłonięcia i otwarcia. Patrzenie przez szybę prędzej lub później poprowadzi do obłędu. Aby żyć, trzeba dotknąć czegoś i kogoś nagim okiem, ręką, uchem, nosem, ustami. Globalne zagrożenie zdrowotne z ostatnich lat paradoksalnie przypomniało o tym oczywistym prawie ludzkiej natury. W spotkaniach online każdy zakłada maskę ochronną, więc ma na sobie i przed sobą twarz zakrytą co najmniej w połowie.

Pracownia nie jest szkołą. Zaproponowałem uczestnikom wspólną pracę w słowie. Pracę wyobraźni, wrażliwości, umysłu i ciała w lekturze. Nie tworzyliśmy nowych tekstów – czytaliśmy te, które już powstały, dyskutowaliśmy ich znaczenia oświetlone, ocienione, jawne i wyśnione. Niektórzy ujawniali nam osobiste konteksty zapisanych wersów i zdań, dopisywali więc nowy tekst do tekstu odczytanego przez każdego z nas. Dyskusje obudziły w jednych chęć wprowadzenia zmian do tekstów, inni pozostawili je nietknięte. Niezależnie od podjętej decyzji wszyscy wykonali pracę, która poszerzyła językową świadomość i wzmocniła albo przypomniała twórczą energię. Antologia omawianych w Pracowni tekstów nie jest więc sprawozdaniem z literackiego szkolenia, ale przeglądem jedenaściorga perspektyw literackich, odbiciem ich inspiracji, preferencji, pragnień i wartości. W ostrowskim Forum Synagoga – wspaniale odnowionej, twórczej przestrzeni – spotkali się zwolennicy wiersza białego i rymowanego, tradycji romantycznej, modernistycznej i postmodernistycznej, małej i dużej prozy, pełni nadziei i rozczarowani, żegnający to, co utracone, i szukający tego, co wytęsknione. Tak zróżnicowani, poczuliśmy sie krewnymi w miłości do literatury.

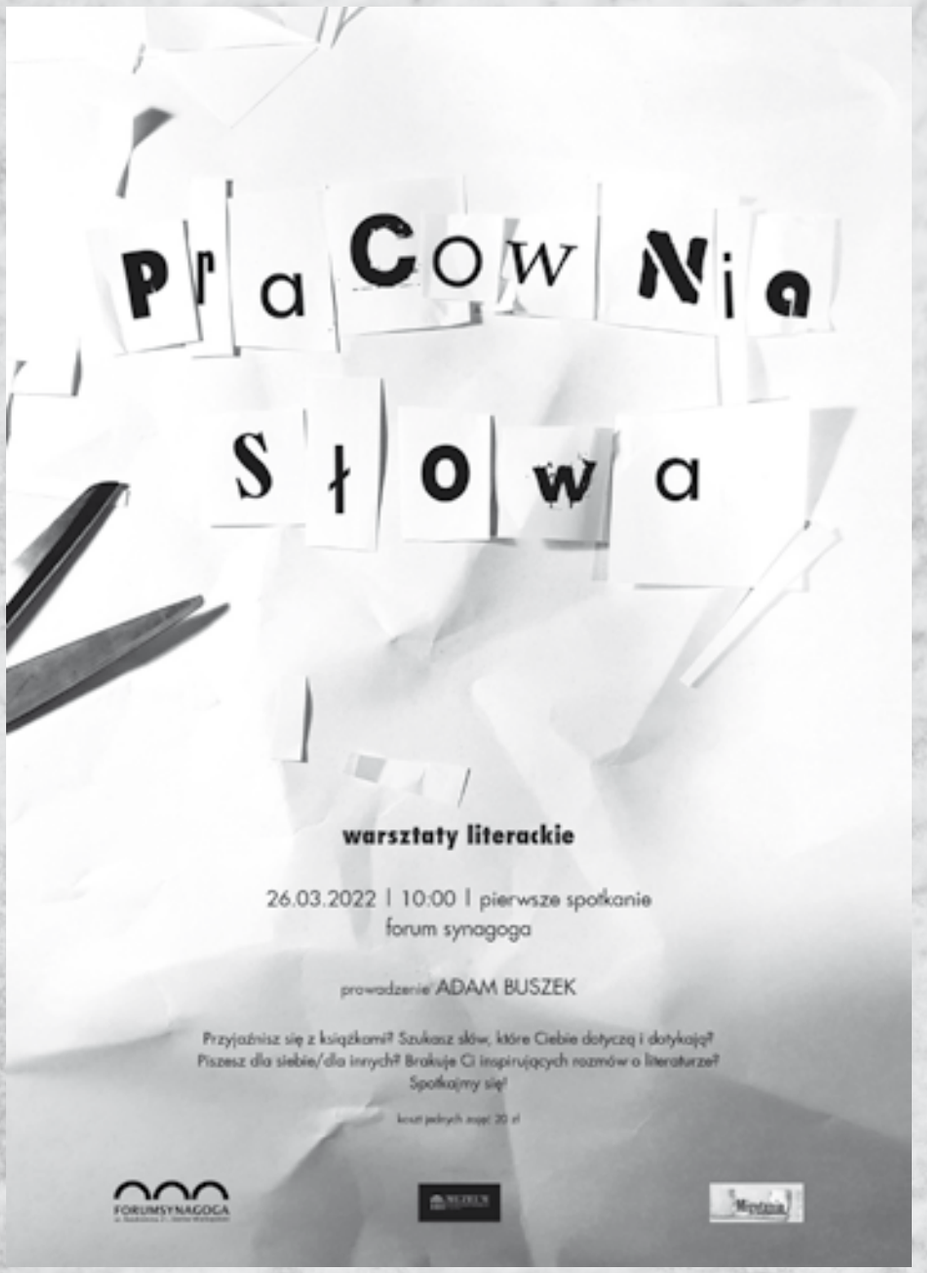

Najlepsze rodzi się wśród ludzi otwartych, świecących własnym, nieodbitym światłem. Dziękuję więc tym, których spotkałem w Ostrowie Wielkopolskim. Organizatorom z Ostrowskiego Centrum Kultury: Marii Szeląg, Aleksandrze Kiełb-Szawule, Małgorzacie Przenicznej. Izabeli Fietkiewicz-Paszek, którą zaprosiłem do Pracowni w charakterze gościa specjalnego i w której rozpoznałem swoją bliską literacką krewną. Uczestniczkom i uczestnikom Pracowni Słowa: Anicie Pawlak, Małgorzacie Wielgosz, Elżbiecie Mikołajczyk, Alicji Przepiórce, Magdalenie Szewczuk, Aleksandrze Paprocie, Aleksandrze Cybulce, Agnieszce Klemczak-Porczyńskiej, Ryszardowi Januszkiewiczowi, Karolowi Walerowiczowi, Pawłowi Marciszewskiemu, Dawidowi Dobie.

A w roku 2023 zapraszam miłośników poezji do **Pracowni Wiersza** w Forum Synagoga. Powstaną wiersze czytane i wiersze pisane na żywo, zobaczymy siedem ważnych ludzkich emocji odbitych w słowach poetów i poetek z całego świata.

Relacje z warsztatów, wydarzenia i inspiracje ukazują się na stronie społecznościowej **https://www.facebook.com/klubslowa**. Serdecznie zapraszam do lektury oraz kontaktu pod adresem damslowo@gmail.com. Spotkajmy się!

Adam Buszek
instruktor Pracowni Słowa

Zdjęcia: Małgorzata Przeniczna

Ewa Opiela
Wit Romanowski

Dom o ścianach z poezji

1 sierpnia 2022 roku odeszła Teresa Ferenc – poetka i malarka. Artystka i postać niepowtarzalna. Pozostawia po sobie wielką wyrwę – jedną z tych, których nikt ani nic nie będzie w stanie wypełnić. Pozostawia nam swoje wiersze, obrazy i tak samo niepowtarzalną jak ona Rodzinę.

Rodzina jest niezwykle ważna. „Jej poezja żyła i rozwijała się przede wszystkim pod znakiem domu – w krótkim wspomnieniu o Niej pisze Kazimierz Nowosielski. – W pewnym sensie poezja była jej domem, a dom – poezją. Tu gościła swoich przyjaciół, wspominała umarłych, prowadziła nie tylko poetyckie rozmowy z mężem, z córkami… Być może działo się tak dlatego, iż już w dzieciństwie przyszło Jej doświadczyć jego utraty. Niemcy w czasie pacyfikacji wsi Sochy spalili rodzinną zagrodę, zamordowali ojca i matkę. Na długo samotność stała się jej udziałem. Można się domyślać, że z tego powodu z taką czułością i czujnością chroniła to, co potem z mężem i córkami zdołała stworzyć".

POZNALI SIĘ NA STUDENCKIEJ ZABAWIE

Nie tańczyło się im najlepiej, ale świetnie rozmawiało, przegadali więc całą noc. Potem rozmawiali ze sobą kilka dziesięcioleci – jako małżeństwo przeżyli blisko 67 lat. Filarem tego związku i rodziny zawsze była literatura. Ona była poetką i malarką, on poetą i prozaikiem, poezję piszą także ich dwie córki.

To chyba jedyna tak rozpoetyzowana rodzina na świecie. Wspólnie wydali dzieło *Cztery twarze domu. Antologia rodzinna*. Teresa Ferenc, Zbigniew Jankowski, Anna Janko, Milena Wieczorek. Oprócz poezji i malarstwa, pasjonują się fotografią i... malarstwem komputerowym.

TERESA FERENC: SPALONY DOM

Pamiętała wiele ważnych rzeczy z dzieciństwa, nawet budowanie rodzinnego domu na Zamojszczyźnie, jeszcze przed wojną. Ojciec wykopywał na dziadkowym polu kamienie, których potem używał jako materiału na podmurówkę. Góra domu była z drewna. Pamiętała też, że jako małe dziecko wydłubywała żółtka z ugotowanych jajek i układała je na węgłach domu dla ptaków. Nie podobało się to mamie, która krzyczała, że ludzie wokół przymierają głodem, a ona takie głupstwa robi. A ona po prostu nie lubiła żółtek... Miała też inne wspomnienie z dzieciństwa: szli z rodzicami na majowe nabożeństwo, z górki. Oni trzymali ją z dwóch stron za ręce. Nogi miała wysoko w górze i udawała, że fruwa. Te piękne wspomnienia urywają się w czerwcu 1943 roku. Miała wtedy 9 lat i wówczas zawalił się cały jej świat.

Wiele lat później napisała o tym wiersz pt. *Wieś skamieniała*:

1 września 1943 roku na skraju zwierzynieckich lasów rozstrzelano moją wieś.
Sochy – jak we Francji Oradur
Sochy – jak w Czechach Lidice
Sochy – jak we Włoszech Mezzinote

– Niemcy chodzili po domach, zabijali wszystkich i palili domy – opowiadała. – Zastrzelili moich rodziców, a ja z dwójką młodszego rodzeństwa cudem ocalałam. To było zdarzenie, które naznaczyło jej całe dalsze życie.

Przez cztery lata wraz z rodzeństwem tułała się po rodzinie i znajomych. W 1947 roku cała trójka trafiła do domu dziecka. Najpierw w Zamościu, a potem w Międzyrzecu Podlaskim. Teresa zawsze bardzo ciepło wspominała ten okres w swoim życiu. Wychowawcy obu placówek byli ludźmi po przejściach i doskonale rozumieli, jakiego rodzaju wsparcia powinni udzielić tym wojennym sierotom. A ona wreszcie poszła do szkoły!

Wówczas ujawniły się jej zdolności literackie.

– Pisałam bardzo dobre wypracowania – tłumaczyła po latach, jakby nieco zażenowana. – Polonista namawiał mnie, żebym poszła do liceum ogólnokształcącego, ja jednak wybrałam liceum pedagogiczne…

Potem skończyła jeszcze pedagogiczno–plastyczne studium nauczycielskie i otrzymała nakaz pracy w Liceum Pedagogicznym w Rybniku.

Kiedy miała 22 lata, na potańcówce poznała swojego przyszłego męża – Zbigniewa, wtedy Zbyszka Jankowskiego, studenta polonistyki i poetę. Był od niej trzy lata straszy. Nie potrafił specjalnie tańczyć, za to tak im się rozmawiało, że zrobił się świt, a oni nie przestawali mówić…

– I tak gadamy do dziś! – często śmiała się Teresa.

ZBIGNIEW JANKOWSKI: DZIEWCZĘ Z MARZEŃ

Całe swoje życie podporządkował poezji. „Wpadł" w nią po uszy, kiedy skończył 12 lat.

– Poezja była dla mnie jakimś intuicyjnym celem, który często wygrywał nawet z piłką nożną i innymi sportami, które lubiłem. Skończyłem polonistykę na WSP. Miałem swoje chłopięce marzenia, zawsze z poezją mocno związane – tłumaczy.

Teresa także wzięła się z tych marzeń. W pamiętnikach, które prowadził już od dziecięcych lat, zapisał sobie, że marzy mu się dziewczyna z warkoczami. Najlepiej… sierota. A to dlatego, że w rodzinnym domu Zbyszka w Bydgoszczy często dochodziło do ostrych kłótni. I on chciał stamtąd uciec, najlepiej z dziewczyną z warkoczami. Tak trafił na Teresę, Tereskę. Od razu wiedział, że to ona – uczucie na całe życie.

– Czytałem nawet taką książkę na temat Wilna i była tam dziewczyna zupełnie podobna do Tereni. To wszystko działo się jakoś literacko i dalej też się tak przędzie. Nie tłem, a jednym z filarów naszego małżeństwa jest właśnie poezja – podkreśla.

Gdy się poznali, Zbigniew pisywał wiersze i wysyłał je do różnych redakcji. Zazwyczaj odsyłano mu je z różnymi adnotacjami: „Poczekaj jeszcze, chłopcze", albo „Wiersze nie pasują do profilu naszego pisma" (a profil był, wiadomo, mocno socjalistyczny).

Pamięta, że Terenia wzięła kiedyś do rąk plik wierszy, tych odrzucanych przez redakcje, i powiedziała: „Ten wyślij". Wysłał. I wydrukowali!

– Tak zaczęło się to nasze poetyckie małżeństwo. Z mojej strony to był bardzo ważny moment – opowiadał po latach. – Terenia znacznie później wyznała mi, że ona też pisze. Miała całe zeszyty swoich opowiadań.

Gdy zaczął przeglądać te Teresine kajety, w pewnym momencie powiedział:

– To jest gadulstwo, ta proza, ale tu masz kilka pięknych linijek. I to jest wiersz, dziewczyno. Zaraz ci go pokażę.

Był wtedy kierownikiem działu kulturalnego pisma „Nowiny" w Rybniku. Wydrukował ten wiersz Teresy. To był jej poetycki debiut.

On uczył Teresę poezji, a ona go sztuki i przyrody. Nie odróżniał wielu drzew. A Teresa bez zająknięcia umiała rozpoznać kalinę, modrzew, klon... Zachwycała się przyrodą i ta stanowiła treść jej poezji.

On zaś pisał o Bogu, sensie życia i o morzu. Zawsze je kochał i starał się być blisko – pływał na statkach rybackich i handlowych.

– Dopiero, gdy wkroczyliśmy w dziewiątą dekadę życia, uświadomiłem sobie, o co najgłębiej w życiu chodzi. Jaki jest jego istotny cel. Że jest nim szeroko rozumiany kontakt z wymiarem nadprzyrodzonym – podsumowuje Zbigniew.

Podkreśla, że na jego przemianę duchową miały wpływ trzy spotkania: z morzem, z pismami mistrza duchowego Teilharda de Chardin i z piosenkami Anny German, które często towarzyszyły mu podczas pisania.

TERESA I ZBIGNIEW: TRUDY RODZICIELSTWA

Małżeństwo, a raczej rodzicielstwo ostro dało Teresie w kość. Oprócz pracy zawodowej miała jeszcze na głowie cały dom i dzieci. Napisała potem nawet w jednym ze swoich wierszy, że to było dla niej tak trudne, jak przenoszenie stosu kamieni z jednej strony szosy na drugą.

Kiedy młodsza córka Milena zaczęła mieć problemy z oskrzelami, lekarze zasugerowali, żeby uciekli z zakurzonego Śląska, najlepiej nad morze. Akurat w Kołobrzegu potrzebowali kierownika Wydziału Kultury. Oferowali pracę z mieszkaniem! Pojechali tam i zakotwiczyli na kilka lat. Teresa nie wróciła już do pracy – pochłonęło ją pisanie.

Zaczynała między ósmą a dziewiątą i pracowała mniej więcej do trzynastej. Dziewczynkom zostawiała w kuchni kanapki i picie. Mówiła: „Tutaj się bawicie, a mama jest obok w pracy. Możecie pukać do mnie, ale tylko wtedy, gdy zaczniecie sobie wyrywać włosy. W przeciwnym razie – nie przeszkadzajcie i bądźcie cichutko".

Jednym z jej licznych tomów, a zarazem najważniejszym, była *Wypalona dolina*.

Tam wyrzuciła z siebie wreszcie przeżycia z okresu wojny.

– O moim dzieciństwie mówiłam tylko ogólnikowo. Zbyszek wiedział, że straciłam rodziców w czasie wojny, że wszystko zostało spalone, jednak nie znał szczegółów. Ale to powracało do mnie takim jednym, dziwnym snem – opowiadała. – Śniłam, że leżę pod hałdą piachu i ta hałda powolutku się zsuwa i przyjdzie czas, że ona mnie zagarnie. Bałam się. Miałam problemy ze spaniem i zaczęłam chorować.

Pracowała jeszcze wtedy w szkole. Lekarze kazali jej wziąć urlop i odpocząć. I wtedy →

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Zbigniew powiedział:

– Słuchaj, ty musisz TO z siebie wyrzucić! Wypisać!

I tak się stało. W 1979 roku za zbiór *Wypalona dolina* otrzymała Nagrodę im. Stanisława Piętaka.

ANNA I MILENA: NAZNACZONE POEZJĄ

Kiedy dziewczynki podrosły na tyle, że trzeba było pomyśleć o ich studiach, postanowili przeprowadzić się do Wrocławia. W Kołobrzegu nie było wówczas żadnej wyższej uczelni. Jednak Zbigniew strasznie tęsknił za morzem. Tak bardzo, że rozchorował się na gardło (Teresa podejrzewa, że nieco „dopomógł" losowi) i w 1975 roku, dzięki pomocy Związku Literatów Polskich, przeprowadzili się do Sopotu, do wymarzonego czteropokojowego mieszkania do osiedla położonego w sercu lasu – na Brodwinie. Wreszcie każdy mógł mieć swoje miejsce do pracy. W domu było już bowiem czterech literatów. Starsza córka Ania w klasie maturalnej wydała pierwszy tomik poezji.

– Mówi się, że skoro pod jednym dachem mieszka kilkoro poetów, to te ich poezje muszą być podobne. Ale poezja to jest osobowość ludzka, a każde z nas jest zupełnie inne. Czytając nawet pojedyncze nasze wiersze, od razu widać, że pisały je różne osoby – tłumaczyła Teresa.

Ania jest nieco ironiczna, z charakteru podobna do ojca i tak jak on – to urodzona polonistka. Gdy miała 18 lat, napisała swoją pierwszą książkę poetycką *List do królika doświadczalnego*, która wyszła w 1977 roku i została entuzjastycznie przyjęta przez krytyków (między innymi przez samego Artura Sandauera).

Jak mówi Teresa, poezja Ani powstała w jakimś sensie z buntu przeciwko twórczości rodziców, a nawet jakby przeciwko domowi. Po latach Ania, z powodzeniem, zajęła się prozą.

Milena ma bardziej artystyczną duszę, poszła więc raczej w ślady Teresy. Gdy była w średniej szkole, biegała na wykłady z historii sztuki, jeździła na wystawy i premiery teatralne. Dużo rysowała. Bardzo chciała iść na ASP, ale – jako laureatka ogólnopolskiej olimpiady języka angielskiego – wybrała anglistykę. Obecnie mieszka w Anglii – z mężem Anglikiem.

Wiersze zaczęła pisać jeszcze w liceum.

– Przyszła do mnie z tymi gotowymi już do druku wierszami, a ja je podarłem – wspomina Zbigniew. – Bo tak upierała się przy swoich błędach merytorycznych, że wydawała mi się niegotowa jako człowiek... Podobnie jak wiersze Ani, jej poezja wyrażała bunt. Ona też się od nas odcinała. Jej pierwszy tomik miał tytuł *Zgaszony dom* (sama zrobiła do niego ilustracje!), a wiersze mówiły między innymi o tym, że nie pasuje do reszty rodziny.

Potem to się zmieniło.

Teresa opowiadała kiedyś takie zdarzenie: Milena pojechała do Warszawy na jakąś premierę. Sztuka okazała się nie najlepsza. Była zła, gdy w hotelu zgasiła światło i usłyszała w radiu zapowiedź kwadransa z poezją.

– Ale ta bardzo się jej spodobała. Nawet senność zniknęła. Na koniec usłyszała: „Słuchali państwo wierszy Teresy Ferenc" – opowiada Teresa. – Milenę to zaskoczyło i zastanowiło... Ale na tym na razie się skończyło.

Dopiero kilka lat później, kiedy została mężatką, postanowili z mężem (który jest tłumaczem) przełożyć kilkanaście Teresinych wierszy na angielski. To był prezent urodzinowy dla mamy. I hołd dla jej twórczości.

CZTERY TWARZE DOMU

Tak jak po latach zauważył to Kazimierz Nowosielski, w ich twórczości wszędzie przewija się dom. Teresa go nie miała, jej dom spalił się, gdy była małą dziewczynką. Zbigniew swojego rodzinnego domu nie lubił. („Teraz – mówi z uśmiechem – widzę go zupełnie inaczej!") i robił wszystko, żeby jego własny był lepszy. Dziewczynki odgradzały się początkowo od domu rodzinnego, który przez wszechobecność poezji i literatury był tak różny od domów ich koleżanek. Po latach, gdy miały już własne rodziny, z lubością wracały do swojego rodzinnego gniazda.

Z tych ich czterech domów w 1991 roku powstało wspólne dzieło: *Cztery twarze domu. Antologia rodzinna*. Teresa Ferenc, Zbigniew Jankowski, Anna Janko, Milena Wieczorek.

– To jedyna taka antologia w Polsce, a zdaniem krytyków, jedyna w Europie, a może nawet na świecie. Każde z nas zamieściło tam kilkadziesiąt wybranych przez siebie wierszy. Wstęp napisał przyjaciel naszego domu, Krzysztof Nowicki, poeta i krytyk z Bydgoszczy – mówi Zbigniew.

Skąd pomysł na tego rodzaju książkę?

– Ja zawsze marzyłam sobie, że ze Zbyszkiem wydamy wspólny tom erotyków. Miał się nazywać *Małżeństwo*. Ja byłam już na to gotowa, a mąż ciągle nie....

Zbigniew tłumaczy, że jego duchowość szła wolniej, jego dom budował się inaczej. W końcu Teresa napisała *Małżeństwo* sama. Wspólnie zaś wydali *Antologię*.

Jakie mieli wspólne plany i marzenia?

Wydawali kolejne nowe książki. Ona w maju 2012 roku *Widok na życie*, on rok wcześniej zbiorek *Zaraz przyjdzie*. Teresie nigdy nie spieszyło się, żeby napisać coś kolejnego, choć marzyło jej się wydanie albumowe – z jej wierszami i malarstwem, także tym komputerowym, które od pewnego czasu zaczęło ją pasjonować.

On długo nosił się w wydaniem kolejnego tomiku poezji pt. *Biała przędza*. Miała to być dyskusja z Norwidem, który pisał, że w ludzkim życiu „zawsze i wszędzie nić czarna się przędzie".

Gdy jej o tym mówił, Teresa odpowiadała filozoficznie:

– Co przyjdzie, to przyjmę. Ważne, żeby można to unieść...

Ewa Opiela, Wit Romanowski

Janusz Stobiński

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Janusz Stobiński

ESEJ

Marek Wawrzkiewicz

Okruchy (5)

Rodzimy się z wyrokiem. Wydano na nas wyrok śmierci. Zaoczny, bo nie byliśmy jeszcze świadomi. Skazano nas na wszelki wypadek. Bez procesu. Nie było świadków, nie przedstawiono dowodów, nie rozpatrzono okoliczności łagodzących, milczał oskarżyciel, nie stawił się obrońca. Mogliśmy wprawdzie wypowiedzieć ostatnie słowo, ale nie umieliśmy mówić. Zresztą i tak niczego by to nie zmieniło. Nie ogłoszono sentencji wyroku. Nie dowiedzieliśmy się, na ile lat nas skazano. Znacznie później uświadomiliśmy sobie: dożywocie. Jest wielka sprawiedliwość w tej niesprawiedliwości.

* * *

Kiedy poeta przestaje się dziwić światu, przestaje być poetą. Wielkość poety równa się wielkości jego zdziwienia. Im mniejsze zdziwienie, tym mniejszy poeta. Aż do skutku.

* * *

W latach siedemdziesiątych często podróżowałem pociągiem na trasie Łódź – Warszawa. Przez całe lata na stacji Skierniewice wisiał olbrzymi napis – białe litery na czerwonej płachcie: Imperialistom amerykańskim mówimy zdecydowane NIE! Bardzo mnie to hasło nie poruszało, ale zmusiło do refleksji. Bo po pierwsze nie wyobrażałem sobie amerykańskiego imperialisty, który by podróżował na tej trasie pociągiem, niechby nawet pierwszą klasą, a po drugie, jeśliby nawet tak się stało, to taki imperialista nie znałby języka Mickiewicza i Himilsbacha.

Po latach wspomnienie to wróciło do mnie, kiedy przejeżdżałem przez pewne kujawskie miasto. Otóż na ślepej, szczytowej ścianie czteropiętrowego budynku widniał olbrzymi, staranne wykonany mural z napisem: To jest miejsce na twoją reklamę. Reklama reklamy. Dalej chyba się dojść nie da. Choć nie! Słyszę telewizyjną reklamę koncertu niewidomego śpiewaka włoskiego, o którym spocony z uniesienia głos mówi, że to największy tenor świata. Pavarotti w grobie się przewraca. Placido Domingo ma chrypę.

* * *

Zawsze tak było, tak jest, tak będzie i nie ma na to rady. Zwycięstwa poezji należą do triumfów pozagrobowych. Poeci, w najlepszym razie, znani są nie z lektur, a z nazwisk. Ktoś coś o nich słyszał. Dopiero po wiekach, po dziesięcioleciach niektórzy, ale bardzo nieliczni, zmartwychwstają. Innych, w swoich czasach wielkich, pokrywa wiekuisty pył zapomnienia.

Prozaicy w pewnym sensie mają lepiej – ich czytają współcześni. Choć niekoniecznie wgłębiają się w książki Myśliwskiego czy Olgi Tokarczuk., wybierają raczej lżejsze lektury. Ale prozaicy rzadko zmartwychwstają - żeby wspomnieć tylko tych, co odeszli sto lat temu. Dzieła pisane językiem ich czasu, ich epoki, przypomina się niejako za wysługę lat; przeczytajcie sobie miłosne uniesienia z „Popiołów", albo płomienne karty dzieł Przybyszewskiego. I spróbujcie udowodnić, że są to rzeczy wiecznotrwałe.

Cóż, sformułowałem tu w sposób domorosły parę sądów ogólnych. Które są warte tyle, ile w ogóle sądy ogólne.

Niewątpliwie palmę pierwszeństwa w ostatnich czasach dzierży literatura faktu. Rzeczywiście, obrodziło w wybitnych przedstawicieli tego gatunku. Ale drażni mnie niewypowiedziane, ale odczuwalne przekonanie, że to oni, ci dzisiejszy, wynaleźli i stworzyli to pisarstwo. Niekiedy, jakby z łaski wspomina się o Krzywickiej. Pruszyńskim, Wańkowiczu. I tyle.

„Iskry" w roku 1975 wydały tom pt. „Sygnowano:E.H. Ernest Hemingway".

Książka zawiera artykuły i reportaże z lat 1920 – 1956. Dzisiejszym klasykom polecam tę lekturę, podziała jak kubeł wody na rozpalone głowy, może się też stać lekcja skromności – byli przed wami wielcy autorzy. Uczcie się trafności obserwacji, siły faktów, poczucia humoru.

Przy okazji: kilka lat temu toczyła się dyskusja na temat twórczości papieża gatunku, Ryszarda Kapuścińskiego. Kłócono się o prawdę i zmyślenie w jego reportażach. A wystarczało przeczytać Hemingwaya: …jeżeli się coś wymyśla zamiast opisywać, można to uczynić plastycznym, pełnym, zwartym i nadać temu życie. Tworzy się to na dobre czy na złe. Jest wymyślone, nie opisane. Jest tak dalece prawdziwe, jak sięga nasza zdolność obmyślania tego i wiedza, w którą się to wkłada.

* * *

Nie mam ambicji odkrywania Ameryki: dla poety postrzeganie świata jest jednoznaczne z tworzeniem świata. Niby tego samego, który jest wspólny, a jednak innego, osobnego, suwerennego.

Świat poznajemy zmysłami, jedne są przeciętne, inne wyostrzone. Bywa, że i poeci dysponują tymi drugimi.

Rejestrujemy świat najpierw widzeniem, potem słuchem, dotykiem, zapachem. Smak jest chyba ostatnim w szeregu zmysłów.

Stanisław Lem w powieści „Pokój na ziemi" ma pretensje do historii i dziejopisów. Powiada, że w każdym szanującym się mieście jest mogiła nieznanego żołnierza. A gdzie – pyta pisarz – mogiła nieznanego kucharza? Przecież protoplaści naszego gatunku, praprzodkowie, ryzykując zdrowiem i życiem próbowali jagódek, korzonków, roślinek. I tę wiedzę przekazywali następnym pokoleniom: ten owoc można jeść, bo jest pożywny i smaczny, to zioło jest trujące, a ten korzonek wywołuje biegunki – od zwykłych po fenomenalne.

Owszem, świat widzimy i słyszymy. Ale również smakujemy. Zmysł smaku jest pokrzywdzony.

* * *

Z upodobaniem czytam przewodniki i recenzje kulinarne. I dziwię się: jak niewiele przymiotników określa smaki! Bywa ostry, pieprzny, delikatny, łagodny, a nawet jedwabisty. No, może jeszcze kilka. To niesprawiedliwe.

* * *

Mieszkaliśmy w dworku, który był szkołą i naszym nauczycielskim domem. Z jednej strony był błotnisty staw, z drugiej wielki, choć niezbyt stary sad.

Wychodziłem o poranku, na trawach i krzewach srebrzyła się rosa. Pierwsza toaleta: obmywałem twarz i ręce. I zrywałem owoce: dorodne złotawe gruszki klapsy, śliwki, renklody, wczesne jabłka – papierówki. Później dojrzewały inne, szare i złote renety, koksy, malinówki, antonówki. Kto dziś pamięta ich smak? Reforma profesora Pieniążka ze Skierniewic zunifikowała jabłka, zostało kilka gatunków. Chyba i dziś potrafiłbym rozpoznać smak moich pierwszych śniadań.

Jest w tym coś w rodzaju tęsknoty.

* * *

Przeszło trzydzieści lat temu, Suwalszczyzna. Stacjonowaliśmy jak zwykle w Posejnelach. Co drugi dzień objeżdżaliśmy samochodami wspaniałe, przepiękne okolice. Były wtedy ubogie w wiejskie knajpki ze świeżymi rybami. Zatrzymaliśmy się w Płocicznie w restauracji piątej kategorii. Menu zachęcało jednym jedynym daniem – mielonym z buraczkami. Ale za to były aż dwa gatunki wódki: z czerwoną kartką i żytnia.

Hrabia Andrzej P. i baron Stanisław S-W. stali przy barze i dwadzieścia minut dyskutowali o walorach smakowych tych dwóch gatunków gorzały.

Zaiste, arystokracja miała wykwintny smak.

* * *

Stępienie lub utrata jednego ze zmysłów zubaża lub likwiduje częściowo doznawanie świata. Ale czy na pewno? Mój zmarły kolega Andrzej B., który utracił wzrok w dzieciństwie, pisał wiersze o kolorach, pasjonował się malarstwem. Poznawał je z opowieści. Zdarzało się, że dotykał obrazów i tak poznawał ich fakturę. Widział obraz, ale z pewnością inaczej niż człowiek widzący.

Beethoven skomponował IX Symfonię, kiedy był już zupełnie głuchy. Jednak przecież słyszał to nieśmiertelne dzieło – inaczej, jakimś słuchem wewnętrznym, wyobraźnią dźwięku. Był uboższy czy bogatszy?

Zmysły tępieją wraz z coraz bardziej zaawansowaną starością.

Lekarz otolaryngolog nie osłupił mnie informacją, że mam niedosłuch. Zapytał, czy mi to bardzo przeszkadza. Odpowiedziałem, że kiedy kilka kobiet mówi jednocześnie, to nic nie słyszę. Lekarz pomyślał i stwierdził: - ja też to mam.

Jestem biedny czy bogaty? Tracę czy zyskuję? Odpowiedź twierdząca na drugie części tych pytań byłaby przejawem antyfeminizmu.

* * *

Czerwiec, dokładnie druga połowa. Dni deszczowe i chłodne. Noce zimne. Ośrodek wypoczynkowy. Pusto. W jadalni. Na leśnych ścieżkach. Kawiarnia zamknięta. Nie opłaca się. Salka telewizyjna. Dwie półki z książkami. Nikt tu nie zagląda.

Powyższy akapit napisałem Śliwonikiem. Dlaczego? Bo tu rzeczywiście jest półka z książkami, a wśród nich „Wybór opowiadań" Romana Śliwonika. PIW, 1984, nakład 20 tys.+250 egz.

Poczytam, przypomnę sobie. Niosę do domku. Biorę nóż, bo książka nierozcięta. Nikt jej nie przeczytał.

Gdyby Romek żył, to i tak bym mu tego nie powiedział.

* * *

W końcu czerwca przewodniczyłem kapitule literackiej nagrody im. Norwida. Do tej nagrody, fundowanej od lat przez Mazowsze, nominowaliśmy trzy powieści. Nie wróżę im powodzenia czytelniczego. Bo w początku wieku dwudziestego pewien

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

wybitny wydawca francuski stwierdził: - Dobra książka jest jak porządna kobieta – nie sprzedaje się.

* * *

Mam nadzieję, że ten pomysł trafi na żyzny grunt, wszak lubimy wznosić pomniki. Proponuję więc wzniesienie pomnika nieznanego poety. W dniu wyznaczonym ustawą, co roku pod pomnikiem tym tłum nieznanych poetów składałby rękopisy swoich nieznanych wierszy. Które, jak wiadomo, nie płoną.

* * *

Z wielką satysfakcją przyjąłem do wiadomości informację, że w roku ubiegłym już czterdzieści procent naszego światłego społeczeństwa przeczytało przynajmniej jedna książkę. Wyprzedziliśmy wiele państw afrykańskich i krajów świata arabskiego. Jest to wspaniała okazja do wzniesienia jeszcze jednego pomnika: Niezłomnego Czytelnika Polskiego. Z cała pewnością na cokole powinno się znaleźć imię mojego wujka Władka.

W tym łańcuckim domu urodził się mój ojciec. Dom wzniesiono przeszło 200 lat temu, „na zakładkę", bez użycia gwoździ, z ogromnych modrzewiowych bali. Jako kilkunastoletni chłopcy przyjeżdżaliśmy tam z bratem co roku. Spaliśmy w jedynym pokoju, a w kuchni na wielkim starożytnym łożu zażywał snu wujek Władek, czytelnik niezłomny z nieuleczalną skłonnością do trunków. W chałupie nie było światła elektrycznego, ale od czego ludzka pomysłowość?

Wujek wkładał do szklanki świeczkę obłożoną papierem (żeby nie chybotała) i pogrążał się w lekturze „Krzyżaków" Sienkiewicza. I tak było przez kilka lat. Krytycznej nocy doszedł do strony 144. Wujek zasnął, świeczka się wypaliła, papier zapłonął, szklanką pękła, a potem zajęła się poduszka i pierzyna. Obudzeni gryzącym dymem ugasiliśmy z bratem pożar, a przy okazji obudziliśmy wujka Władka. Nie wrócił on do lektury „Krzyżaków". Jakiś czas potem opowiedziałem mu zakończenie powieści: pod Grunwaldem wygraliśmy, a Zbyszko ożenił się z Jagienką. Wujek przyjął to z aprobatą.

* * *

Miłosza „Traktat moralny" pierwszy raz czytałem jako nastolatek. I niewiele rozumiejąc wiedziałem, że to poezja wielka. A potem czytałem „Ocalenie', już ze zrozumieniem i zachwytem.

Koniec lat sześćdziesiątych. mam spotkanie autorskie w jakiejś łódzkiej bibliotece. Kierowniczka wychodzi, żeby załatwić formalności. Czekam, łażę miedzy regałami. Wyciągam dawno temu wydany wybór wierszy Czesława Miłosza. W książce jest karta biblioteczna, czysta, dziewicza. Bez wahania i wyrzutów sumienia wpycham książkę za pasek spodni i obciągam sweter.

Nagroda Nobla dla Miłosza. Rozmawiam o nim z Putramentem, z Aleksandrem Rymkiewiczem – dobrze znali poetę. Ale i inni, moi starsi koledzy – pisarze okazują się znawcami twórczości Noblisty. Zawstydzony swoją znikomą wiedzą idę do biblioteki Domu Literatury, bo docierały tam prohibity. Biorę „Dolinę Issy". Książka jest nierozcięta.

Wniosek: albo wszyscy literaccy znawcy Miłosza maja dzieło w domu, albo nikt dzieła nie czytał.

* * *

Wszedłem kiedyś do tej biblioteki, chciałem wypożyczyć swoją antologię polskiej poezji erotycznej „Noc miłosna", bo nie mam ani jednego egzemplarza.

Kierowniczka bibliotek Ewa G-Z. powiada, że mogę książkę poczytać na miejscu, ale do domu zabrać nie mogę. Dlaczego? Bo od dawna obowiązuje przepis, wynikający z tego, że starsi koledzy pisarze wypożyczali swoje książki i nigdy ich nie oddawali. W ten sposób zacierali ślady swojej socrealistycznej twórczości.

Nie sprawdziłem, czy w księgozbiorze zachowała się moja młodzieńcza lektura – „Obywatele" K.B., ale ocalał w pamięci pewien jej fragment.

Młody działacz odwiedza młodą przodowniczkę pracy w jej schludnym apartamencie w hotelu robotniczym. Ona krząta się przygotowując herbatę, a on wertuje półkę z książkami. Stoją tam w dumnym szeregu: „Kapitał" Marxa, „Jak hartowała się stal" Ostrowskiego i „Numer 16 produkuje" Wilczka.

- Dużo czyta – pomyślał działacz.

* * *

Koniec marca, w zelowskim domu mojego przyjaciela Andrzeja D. grzebię w jego wielkim księgozbiorze. Znajduje wybór wierszy Wisławy Szymborskiej – poetka sama dokonała tego wyboru. Jestem ciekaw, czy zamieściła w nim dwa wiersze, bodajże z „Wołania do Yeti", wiersze jawnie antyklerykalne. Ten o Izaaku, który umrze, nie pozwoli się ocalić. I drugi, o służącej Hani, która biedne grosze daje na tacę, bo proboszcz straszy diabłem. A ona jest taka chuda, tak bardzo nic nie ma/ że zabłądzi w bezmiarze igielnego ucha.(cytuję z pamięci). To dwa wczesne wiersze pani Wisławy. Są w wyborze.

Bardzo szanuję Poetkę.

* * *

Zapomniany już (jak wielu), a w swoim czasie znany i ceniony pisarz Janek K. przeprowadzał się z Łodzi do Warszawy. Powiedział mi wtedy coś, co uznałem za bluźnierstwo: - Książki. Uważaj, książki to największy kłopot i nieszczęście. Zrozumiałem to po latach, kiedy z dużego mieszkania przeprowadzałem się do małego. Musiałem zrezygnować z trzech czwartych księgozbioru. A teraz znowu tonę w książkach.

Na cmentarzu w Ursusie żegnałem Leszka Żulińskiego. Trzydziesty któryś raz przemawiałem nad mogiłą. Hiena cmentarna. Po pogrzebie podszedł do mnie syn Leszka. Chce się spotkać, porozmawiać. Jeden z tematów: co zrobić z księgozbiorem ojca.

Bibliotek przyjmują tylko nowe książki. Biblioteka Domu Literatury

wkrótce runie pod ciężarem zgromadzonych tam dzieł.

Powiadam do mojego wnuka: - Franiu, pamiętaj, te pięć półek to są moje książki – tomiki wierszy, książki przekładowe, autorskie antologie, zagraniczne antologie z moimi tekstami, książki ze szkicami o mnie itd. Weź je, kiedy przyjdzie pora.

- Oj, dziadku, gdybym miał własne mieszkanie…

I po co to wszystko było?

Marek Wawrzkiewicz

Janusz Stobiński

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Janusz Stobiński

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Janusz Stobiński

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

Migotania

PLAKAT ARTYSTYCZNY

URSZULA MAŁGORZATA BENKA

***

otrzemy łzy fartuchem
prawda? a zmorę walniemy obuchem
prawda Boże, staruszku od zawsze, od Początku?
cienie twoje są świetliste
struny przezroczyste
pogłaszcz przytul
z oczu łzy mi wydłub
niech już tylko same te kwadraty czarne
widzę ale widzę

PLAKAT POETYCKI

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania